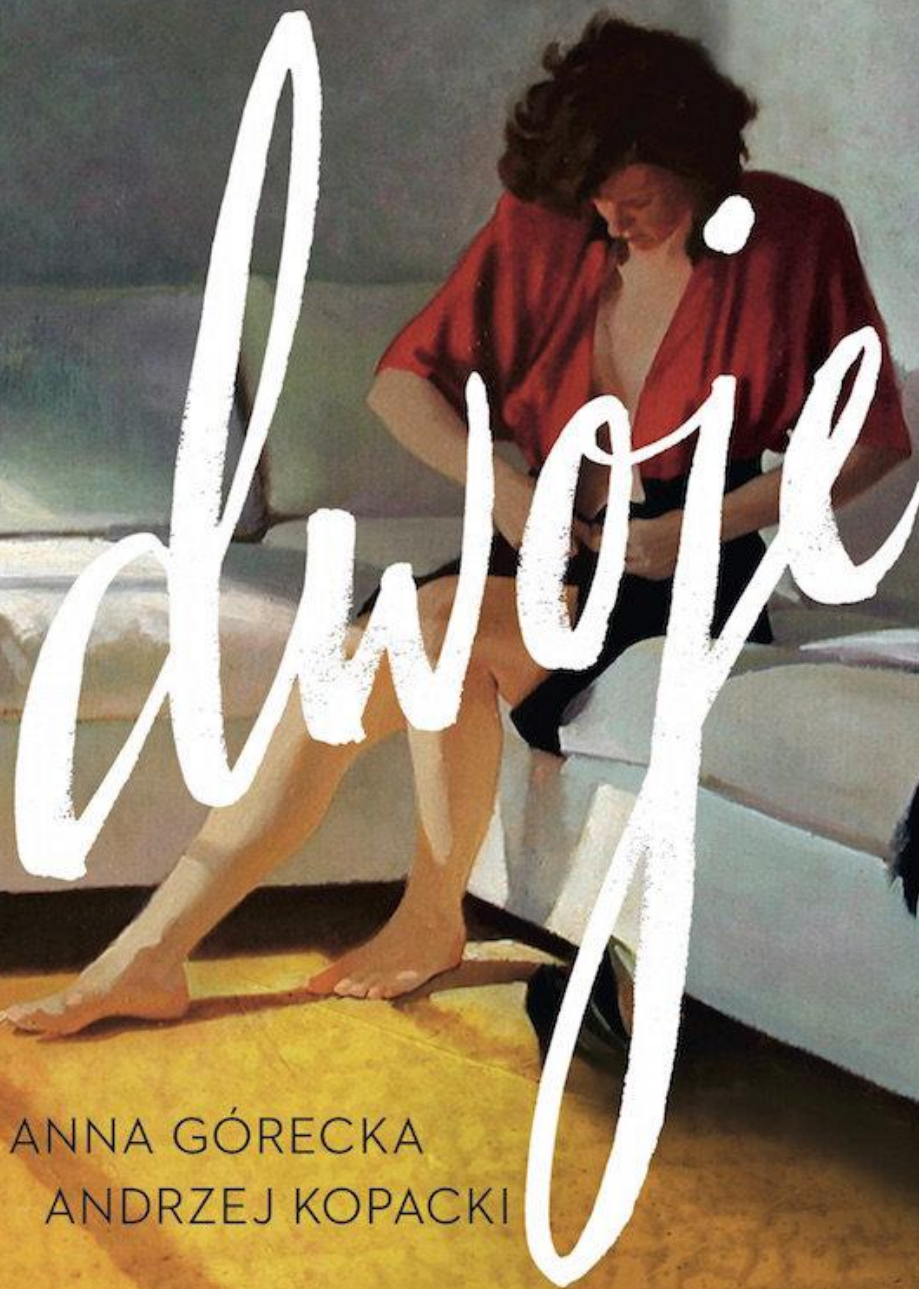


DOJRZAŁE, SUBTELNE, PEŁNE SOCZYSTEJ NAMIĘTNOŚCI.
TRUDNO UWIERZYĆ, ŻE TO DEBIUT!

JANUSZ L. WIŚNIEWSKI



dwoje

ANNA GÓRECKA
ANDRZEJ KOPACKI

 WIELKA LITERA

Anna Górecka
Andrzej Kopacki

dwoje

Naszym Bliskim

Lima

[LISTOPADOWA PEŁNIA]

Najdroższy Ksawery,

dłaczego wysyłasz mi tylko miasta? Poproszę o morze. Tęsknię za Adriatykiem, który wtedy pokochałam, chyba z wzajemnością, bo ani razu nie chciał mnie utopić. Wiem, wiem, wyjaśniłeś, że woda w nim jest bardzo słona, więc wypycha ciało („twoje zgrabne ciało”) ku powierzchni i nie sposób utonąć. Niestety, ktoś taki jak ja potrafi pójść na dno nawet w Morzu Martwym. Ale Adriatyk naprawdę domagał się nie umiejętności pływania, tylko naszych nagich ciał. Nigdy przedtem ani potem nie widziałam wody tak przesyconej słońcem i księżycem. Kąpaliśmy się, a potem leżeliśmy na ciepłych błyszczących kamieniach, jakby namaszczonej oliwą. Zerwałeś gałązkę rozmarynu. Sunęła po moich piersiach, brzuchu, udach. „Tak cudownie przyjmujesz pieśczętę”, powiedziałaś. Tęsknię za tym zdaniem. Szkoda, że nie odpowiedziałam Ci wtedy: „Tak cudownie dajesz pieśczętę”.

Nagle wróciły do mnie tamte dni, tamte noce, bo od dwóch tygodni odwiedza mnie starszy pan, właściwie starzec, i przegląda stare widokówki znad jugosłowiańskiego wybrzeża Adriatyku, bardzo uważnie, jakby szukał tej jednej. „Wie pani, byłem tam z kimś, kogo kochałem. Kąpaliśmy się w lazurze”, powiedział. Krótko mówiąc, on tęskni za swoim lazurem, ja za swoim szmaragdem. Nie – raczej szafirem, bo Adriatyk jest najpiękniejszy, gdy przybiera barwę mojego boa ze strusich piór. Brak, strata, luka – to, czego nie ma, istnieje w nas silniej niż to, co jest. Pan Lazur (tak go nazwałam) prosił też o stare zabawki. Boję się, że mając na co dzień do czynienia z dziwakami, dostanę obłądu. Podobno to się udziela, jak ziewanie. Głównie psychiatrom, ale antykwariusze też są zagrożeni, bo w ich życiu roi się od stukniętych kolekcjonerów i duchów: przecież w każdym starym, bezpańskim przedmiocie tkwi energia po jego dawnym właścicielu.

W magazynie, który nadal przypomina rupieciarnię, wyszperałam dziś drewnianego konia na biegunach i model krążownika Dresden.

– To nie zabawka, taki sam miał na swoim dębowym biurku Canaris – powiedział na jego widok pan Lazur.

– Tak, wiem, i trzy małpy.

– No właśnie. Byłem tam, gdzie go potem powiesili.

Przestraszyłam się tego zdania i szybko dałam drapaka.

– Proszę to przyjąć w prezencie. – Głupio wyszło: na co komu krążownik Dresden?

– Właściwie chodziło mi tylko o pluszowe misie. – Uśmiechnął się i zaraz wyjaśnił: – Dla wnuczki. Naprawdę.

Nie uwierzyłam.

Lubię ludzi, którzy zbierają bezużyteczne przedmioty, ale pan Lazur w tej pasji wzniosł się na szczyt bezinteresowności. Mam go już na zawsze. Wszedł do rodziny. Niestety mało w niej kobiet. Panie są praktyczne i poszukują stolików, sekretarzyków, zastawy stołowej.

A z tym u mnie krucho. Kredensów i szaf nie cierpię, są ponure, złowrogie i mieszkają w nich demony.

Całuję, Luna

PS Pan Lazur ma oczy koloru gryczanego miodu. Tak jak Ty.

- [GRUDNIOWA PEŁNIA]

Kochany Ksawery,

podobało mi się, że tak mało o sobie wiemy. Nie wiedziałeś na przykład, że bardzo późno, dopiero po śmierci ojca, zrozumiałam, o co chodziło z tą jego astrologiczną i astronomiczną pasją. Dzielił ludzi na słonecznych, neutralnych i księżycowych. Moją matkę i mnie zaliczał do tej ostatniej kategorii. Wierzył, że księżyc rządzi całym naszym życiem, i bał się, że tak jak ona porzucę swoje dziecko i ucieknę. I pewnie poszukiwał magicznej formuły, dzięki której mógłby sprowadzić swoją Karmenę do domu, a mnie w nim zatrzymać. Coraz bardziej wariował. Wciąż robił jakieś wykresy, stawiał horoskopy. Zachowałam je. Leżą gdzieś na pawlaczu.

Kilka dni przed śmiercią chciał mi opowiedzieć o matce, ale nie zdążył. Bełkotał coś o księżycu: „Miej się na baczności” (bawił mnie ten jego staroświecki język), zażartowałam: „Tak, wiem, żeby z niego nie spadać, bo się w końcu zabiję”. Myślałam, że chce mnie uczulić na pewne moje cechy, mówiąc wprost: na szajbę, bo „potem” (nigdy nie mówił „po mojej śmierci”) sama będę musiała się przed nią bronić. Szajbę odziedziczyłam po rodzicach i daję sobie z nią radę lepiej niż oni.

Tej nocy, kiedy umarł, długo stałam na balkonie i wpatrywałam się w niebo. Była pełnia. I nagle zrozumiałam, że nie bez powodu dano mi imię Luna. W dzieciństwie wstydziłam się go. Namawiałam ojca, żeby je zmienił na Julię, Annę, na jakieś zwyczajne imię, ale w końcu dałam za wygraną. Zasługiwał na to, choćby dlatego że tak mężnie znosił moje wybryki. Czwarta klasa, wypracowanie na temat: „Jak spędziłam letnie wakacje”: „Letnie wakacje w tym roku spędziłam tak samo jak w zeszłym roku, co już wówczas opisałam”. Piąta klasa, „Jak spędziłam letnie wakacje”: „Letnie wakacje w tym roku spędziłam tak jak w zeszłym roku, które spędziłam tak jak rok wcześniej, co wówczas szczegółowo opisałam”. W szóstej klasie relację z moich letnich wakacji zdała ciocia Laura. I dostała tróję, bo za bardzo poniosła ją fantazja, co wkurzyło nauczycielkę.

A wiesz, czasem myślę, że wszystko przez to imię, które na zawsze związało mnie z księżycem. Stąd te dziwne stany niepokoju i mój somnambulizm, który, ku mojej uldze, szybko położył kres wyjazdom na letnie kolonie. Laura nazywała to sennowłóctwem. Zabrała mnie do lekarza, który wyglądał jak Quasimodo. Poradził, żeby dała mi dwa klapy w tyłek, a odechce mi się łażenia po nocach. Chyba był psychiatrą, któremu się udzieliło.

Dopóki byłam wolna, czyli do przyjścia na świat Klary, kołam niepokój koczowniczym trybem życia: wrzucałam do plecaka kilka rzeczy i ruszałam w góry, nad morze albo nad jeziora.

A czasem po prostu do Lasu Kabackiego, żeby się powłóczyć. Kiedy Klara się usamodzielniała, mogłam wrócić do nomadyzmu, ale bałam się stracić antykwariat.

Á propos Klary, ona też ma włóczęgę we krwi. Ostatni SMS od niej: „Jesteśmy w Katarze. Czekamy na przesiadkę. Wszystko OK”. Liczba mnoga, a więc dzięki Bogu nie podróżuje sama.

Nie martw się, na księżyc w pełni mam wypróbowane metody: likier czekoladowy, czytanie *Fausta*, Vivaldi albo Wagner. Ten ostatni w małych dawkach, jak lek homeopatyczny. Ale dziś nie pomogło. Nie ma go, mówił Vivaldi. Nie mogłam sobie przypomnieć Twojej twarzy, Twojego głosu. Nigdy go nie było, ogłaszał Wagner. Nieprawda – przecież raz na miesiąc przysyła mi widokówkę: najczęściej z Budapesztu albo Tel Awiwu, czasem z Paryża, Tokio, Nowego Jorku. Założę się, że w skrzynce jest już kolejna. Niech zgadnę skąd – znów z Budapesztu? Z widokiem na Górę Gellerta i pomnik tego biskupa, którego poganie zrzucili do Dunaju w beczce nabijanej gwoździami. Tak niewiele potrzeba, żeby zostać świętym.

Dzięki za te widokówki, które przychodzą w okolicach pełni. Zabawne – Ty też wierzyłeś w gusła. W to, że ciała niebieskie mają wpływ na człowieka. I że każdy powinien znaleźć swój sposób na zaklinanie rzeczywistości. I oboje wierzyliśmy w moc słowa pisanego.

A wiesz, że pisanie zawdzięczam Laurze? Zanim w końcu, po wielu latach symulowanego wahania, scedowała na mnie swój antykwariat, usiłowała, za pomocą szantażu, po pierwsze – wzmocnić we mnie pierwiastek kobiecy (regularne wizyty u fryzjera i kosmetyczki, makijaż i żadnych wulgaryzmów; ciekawe, skąd już w dzieciństwie znałam słowa, za które chcieli mnie relegować z przedszkola); po drugie – wymusić przysięgę, że zaprowadzę ład w swoim życiu. Oczywiście ład w życiu kobiety polega głównie na tym, że ma męża („dziecko musi mieć ojca”, „ależ ono ma ojca”, „tylko biologicznego, kochanie, a to za mało”, „nam wystarczy”) oraz etat, najlepiej w jakimś urzędzie. Skończyło się na miniszantażu, miniprzysiędze i miniładzie: że będę gotować „przyzwoite obiady”, kłaść się i wstawać o „przyzwoitej porze” i ograniczę się do jednego romansu rocznie. Biedulka nie wiedziała, że średnio mam jeden na trzy lata (najkrótszy z ojcem „biednego dziecka”), a reszta to tylko flirty, raczej niewinne. „Ciociu, jeden rocznie? To mnie wykończy” – jęknęłam. Obiecałam też, że każdego wieczoru będę notować w kalendarzu, ile papierosów wypaliłam, ile wina wypiałam („moim zdaniem to już alkoholizm”) i co robiłam przez cały dzień, oczywiście spędzony na próżniactwie albo wzniecaniu bałaganu. „Ja cię zaklinam, skończ z tym chaosem wokół siebie!” „Nie przesadzaj, przecież na początku był chaos, wszystko powstało z chaosu”. „No to nici z antykwariatu”. Przeraziłam się, że zamiast wieść przyjemny żywot antykwariuszki, wyląduję gdzieś za biurkiem, i notowanie szybko weszło mi w krew. Notowałam kompulsywnie. Dzięki temu znam daty wszystkich ważnych i wielu błahych zdarzeń z minionych piętnastu lat. Antykwariusze nie wyrzucają kalendarzy. Przejrzałam je dzisiaj. Posłuchaj: „Wypad nad jesienne morze. Przeszliśmy brzegiem z Sopotu do Gdańska. W drodze Ksawery opowiadał nam o malarstwie marynistycznym”. „Kraków. Musieliśmy zrezygnować z teatru, bo Ksawerego rozboleł ząb”. „Weekend w Budapeszcie. Ksawery przegonił nas po muzeach. Klara wymusiła wizytę w wesołym miasteczku. Już nigdy nie wsiądę na rollercoastera”. „Ksawery zaprosił gości, musiałam obrać kilogram warzyw”. Najdłuższe zapiski przypadają na pełnię księżyca. Umiałeś mnie uspokoić. Luna

Cześć, Wodzu,

jest ciepły grudzień, niedługo święta. Sam pewnie wiesz, jeśli w Twojej głowie czas jeszcze płynie.

Dlaczego do Ciebie piszę, nagle, pierwszy raz w życiu? Jeśli kiedykolwiek otworzysz swoje indiańskie oczy i przeczytasz ten list, to się dowiesz.

Czysty przypadek: musiałem wpaść do szpitala. Dziwna rzecz, ale ilekroć mam do czynienia z białym fartuchem, przechodzi mi przez głowę myśl o Tobie. Pół myśli. Mimo że minęło tyle lat, coś około trzydziestu, wciąż mam te pół myśli o Tobie.

No więc wpadam przedwczoraj do szpitala (mężczyźni w pewnym wieku powinni badać sobie prostatę), łudząc się, że moja dziarskość przyśpieszy akcję: chcę czym prędzej mieć za sobą tę medyczną przykrość, bodaj jedyną męską przykrość z tej samej półki co medyczne przykrości kobiet. Nic z tego: jak zwykle tłum. Więc się wkurzam. Zaciskam zęby, wodzę wzrokiem jak ranny wilk, kogo by tu ucapić. Za szybką widzę dwie siostry. Jedna jak postawiony na sztorc, biały zeppelin, z plikiem papierzysk pod pachą. A druga fajna, pogryza jabłko, fartuszek jej się rozchylił od tego pogryzania i wystaje czarne ramiączko, które działa mi na wyobraźnię. Blisko ust, zalotnie obejmujących jabłko, kołysze się wężowy kosmyk włosów ciemnoblonde. Łagodnieję na ten widok. Chcąc nie chcąc, słyszę, jak Zeppelin mówi: „A ten, co go przywieźli nie tak dawno, w piątek albo w sobotę, pamiętasz? Wielkolud, indiańska morda z dziurą w brodzie, ten by ci się nadał. Gdyby trochę odmłodniał. Ale on nieprędko zatańczy”.

Może to dzięki tej półmyśli, powracającej przez około trzydzieści lat, coś mnie tknęło. Właściwie chcę powiedzieć w stronę szybki, że jeśli chodzi o tańce, to możemy spróbować nawet dziś wieczorem, ale mówię coś zupełnie innego. Najpierw do siebie: to możesz być Ty. Potem bezwiednie wymieniam Twoje nazwisko. Zeppelin i Wężowy Kosmyk patrzą po sobie, a potem na mnie – ze zdumieniem. W końcu jedna kiwa głową, a druga bąka „ehe”. Która to sala? Sto pięć, pierwsze piętro.

Ech, Wodzu. Wyglądasz jak kosmita w tych rurkach, kranikach, z jakimś dziwnym urządzeniem w ustach. Albo jak galaktyczny bóg, bo posturę masz wciąż tę samą – majestatyczną.

Dowiedziałem się wszystkiego. Że rozpędziłeś się jak świr na rozbabranej autostradzie i spotkałeś maszynę do wylewania asfaltu, której nie powinno tam być. A teraz tracisz czas. Zresztą nie wiem, czy tracisz, jeśli w Twojej głowie czas przestał płynąć.

Wlepiłem Kosmyczkowi swój numer telefonu, żeby zadzwoniła, gdybyś machnął – czymkolwiek. I znalazłem Twój adres mejlowy – dałeś mi go przed laty, kiedy się spotkaliśmy przypadkiem na Krakowskim, pamiętasz? Nigdy się nie odezwałem. Ty zresztą też nie. Nie wiem dlaczego. Ludzie czasem zachowują się niezrozumiale. I nie wiem też, czy adres dobry. Ale to teraz bez znaczenia.

Trzymaj się, Wodzu, zobaczymy, jakie plany co do Ciebie mają w galaktyce. Co postanowią. Albo, jak jesteś Wodzem, sam coś postanów. A ja, skoro przypadek tak chciał, jeszcze się odezwę.

Heliodor

PS „Prostata u pana jak malinka – powiedział lekarz – widzimy się za dwa lata”. Kto to może wiedzieć, co będzie za dwa lata? Co będzie jutro? Wiem, co jest dzisiaj – przytrafiłeś mi się Ty. Z innych nowości, których ostatnio nie ma w moim życiu zbyt wiele, chyba tylko to, że Kosmyczek nie pali się do tańców ze mną.

- [20 GRUDNIA]

Kochany Ksawery,

wczoraj zdj smallęłam z półki *Słownik wyrazów zapomnianych*, żeby sprawdzić słowo feblik, i spomiędzy kartek wypadła widokówka z wyspy Mont Saint Michel, gdzie obserwowaliśmy wspaniały odpływ i przyływ. „Patrz, jak księżyc i słońce poruszają wielkimi masami wody. To oczywiste, że muszą też działać na człowieka”, powiedziałam, wpatrując się w morze. „Luna, to są mity – stwierdziłeś z pobłażliwym uśmiechem. – Ale jak się w coś wierzy, kto wie, może to coś naprawdę zaczyna istnieć”. „Że niby wiara czyni cuda?” „Właśnie”.

A jednak uwierzyłeś, bo od tej pory, ty, taki sceptyk, skrupulatnie pilnowałeś, żeby nie przegapić pełni. Albo po prostu spodobało Ci się, że raz na miesiąc robimy coś fajnego.

Tymczasem księżyc maleje i jest w apogeum. Czuję się lekko i radośnie. Inna rzecz, że mam powody do radości, bo ostatnio udało mi się zdobyć kilka nadzwyczajnych przedmiotów. Między innymi – nie do wiary! – odwrotkę bokserów. Żona znanego filatelisty (obecnie pogrążona w żałobie wdowa) zaczęła handlować jego klaserami, jeszcze zanim biedak zdążył umrzeć. I uprawiając ten proceder, nie zdobyła się nawet na to, żeby od czasu do czasu westchnąć albo zrobić zbołą minę. Żony kolekcjonerów bywają okropne. Trudno się dziwić, oni wszystkie pieniądze trwonią na „głupstwa”, a co gorsza, w głupstwach lokują także swoje uczucia. Filatelista podłączony do respiratora dyszał i rząził, a tymczasem ona, w kwiecistym szlafroku i kapciach z pomponami, wyprzedawała znaczki, które zbierał przez ponad pół wieku. Najcenniejsze polskie znaczki! I dzięki temu załapałam się na upragnionych bokserów, chociaż nie bez odrazy, bo to jednak było nieetyczne. Przypomniał mi się Twój artykuł na temat etyki kolekcjonera. Wybacz mi – polowałam na ten znaczek od kilku lat, niestety zawsze, kiedy pojawiał się na horyzoncie, byłam bez grosza. Na razie nie jest na sprzedaż, na razie rozkoszuję się jego widokiem i myślę, że ten maleńki kawałek papieru ocali mnie, jeśli popadnę w nędzę. W końcu pięćdziesiąt tysięcy złotych (no, może trochę mniej) „nie w kij dmuchał”, jak mawiała Laura. À propos kija – mam też laskę z drugiej połowy XIX wieku: drewno, kość, masa perłowa i metal. Unikat. Niebawem ktoś ją kupi, to pewne. Na przykład taki jeden, który w czasie deszczu schował się pod daszkiem nad witryną, gdzie na granatowym atłasie leży ta cenna laseczka. Przestało padać, a on nadal się w nią wpatrywał. Dziwne, bo nie wyglądał na dziwaka lokującego w antykach ani nawet na zwykłego amatora staroci. Podniosłam głowę znad bokserów,

z uśmiechem, który tego dnia nie schodził mi z twarzy. Nasze spojrzenia się spotkały. Odszedł. Szkoda. Dlaczego szkoda?

W każdym razie wciąż ktoś o nią pyta. Niektórzy po kilka razy, w nadziei, że obniżą cenę. Nic z tego. Mam zamiar ją nawet podnieść i podsycić ich apetyt.

Ale jeśli człowiek z za szyby wróci po laskę, sprzedam mu ją taniej.

Po świętach, które spędzę z Leną, lecę do Budapesztu. Na czas mojej nieobecności na wystawę powędruje odziedziczona po Laurze miedziana figurka Priapa.

- [27 GRUDNIA]

Cześć, Wodzu.

No i po świętach. Myślałem o Tobie, zwłaszcza wczoraj, wróciwszy z kolacji u przyjaciół, Sabiny i Lutka. Lutek nie doszedł do końca, musiał lecieć do pracy, „świętek, piątek robota, w telewizorni jak na kopalni”, mruknął i wybiegł. Sabcia wydawała się jakaś markotna, chyba chciała zostać sama, więc się pożegnałem. Wieczór był jeszcze wczesny, myślałem, aby przejść się po mieście, popatrzeć na ładnych ludzi. Ale miasto w święta jest dość przewidywalne, za dnia niemożliwie zatłoczone w śródmieściu, poza nim prawie bezludne, wieczorem upstrzone chwiejnymi postaciami. Wziąłem taksówkę.

Więc myślałem o Tobie. Leżysz nocą w tej ciemnicy, tylko przyrządy mrugają kosmicznie. Nagle, czemu by nie w samą Wigilię – cyk, otwierasz oczyska, siadasz. Zapalają się fioletowe żaróweczki, którymi jesteś naszpikowany, pęcznieje okablowanie Twojego wielkiego ciała, świecisz jak choinka. Gdyby Wężowy Kosmyk postanowił akurat zajrzeć do Ciebie, zobaczyłby cud: Wódz się jarzy, oczyma ciska błyskawice, które wypalają w ścianie czarny wzór – nowy plan dla świata.

Wężowy Kosmyk na razie nie zadzwonił. Tobie i sobie życzę, żeby w nowym roku był powód do tego telefonu. Czy ona jest dla Ciebie dobra?

Tymczasem zadzwoniła Róża. Tak, ta Róża, która zaglądała na treningi. Kilka razy powiedziałeś mi, że jest piękna, i zawsze, kiedy to mówiłeś, miałeś dziwny smutek w oczach. Nie wiedziałem dlaczego. Pękałem z dumy, bo rzeczywiście była piękna.

Mamy regularny kontakt od jakichś piętnastu lat. To znaczy raz do roku, w drugi dzień świąt, zawsze późnym wieczorem lub nocą, Róża dzwoni i gadamy sobie pół godzinki. Potem jestem roztrzęsiony, ale nazajutrz – by tak rzec, z lekką przesadą – zaczynam odliczać czas do następnego telefonu. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni i nocy. Skłonność do lekkiej przesady jest moją słabością.

Ale wiesz co? Wczoraj było inaczej. Wczoraj chyba nie czekałem na jej telefon. Kiedy zadzwonił, patrzyłem i patrzyłem, i nie odbierałem. Dlaczego nie odbierałem? Przestał dzwonić, poszedłem do kuchni i zrobiłem sobie drinka. Lód trzaskał przyjemnie pod żółtym strumyczkiem,

a ja znów usłyszałem sygnał. Mam w telefonie oldskulową melodyjkę, za którą nie przepadam, ale nie chce mi się szukać i ustawiać innego dzwonka. Róża pewnie nie mogła uwierzyć, że po prostu nie odbieram, myślała, że już śpię albo coś mi się stało, niewykluczone, że się nawet martwiła. Nie chciałem, żeby się martwiła, ale stałem na skraju tej lodowej skały, która trzaskała mi pod stopami, spałem się jak na słupku przed startem i nawet nie drgnąłem.

Trzeci raz Róża nie zadzwoniła.

Myślisz, że to jakiś znak? Może od Ciebie? Dałbyś, Wodzu, znak!

Tymczasem śpij, tu się nic nie dzieje.

Heliodor

- [DWA DNI PÓŹNIEJ]

Cześć, Wodzu.

Przeszedłem się wczoraj do Ciebie. Nie wyglądasz ani ciut lepiej. Chyba tylko Twoja broda jest w miarę zdrowa, bo rośnie.

Rozmawiałem z ordynatorem i już wiem, kto jest jedyną na świecie osobą, dla której warto inwestować w płynący przez Twoje ciało prąd: to ja. Kto wie, czy ktoś nie wyciągnąłby przedwcześnie wtyczki z kontaktu – gdyby nie ja: Twój przyjaciel, ostatnia nadzieja, syn, faworyt do medalu, wyznawca, strażnik, bógwico. Przypadek, że napatoczyłem się na Ciebie? Twoja sprawka?

Na razie nic się nie martw, czekamy. Ale nie licz na to, że będę Cię trzymać za włochate łapsko.

Dałem Wężowemu Kosmykowi stowę, żeby raz na parę dni oskrobała Ci buźkę, bo jak się zjawi jakaś panna i postanowi się w Tobie zakochać, to musisz jakoś wyglądać.

Kosmyk jest chyba w wieku mojej córki; moja fascynacja krągłościami dziewczyny w białym fartuchu i czarnej bieliźnie, przeradza się w uczucie ojcowskie. Czy wiesz, że mam córkę? Skąd mógłbyś wiedzieć. Właśnie przysłała mi SMS-a: „Tatku, nie masz pojęcia, jak tu pięknie. Wszystkiego dobrego na święta”. Nie mam pojęcia, gdzie jest to piękne „tu”. Córuchna zapomniała napisać, gdzie akurat bawi. Grunt, że bawi się świetnie. Zresztą zapomniała też, kiedy są święta. Powinienem poszukać książki dla niej, bo – musisz wiedzieć – co roku, na urodziny, wysyłam jej książkę. Jeszcze nie wiem, co wybrać, najlepiej znów coś z klasyki. Masz jakiś pomysł? Jeśli ich nie wyrzuca, to ma już kilkanaście pozycji niezłej literatury.

Pochodzę po księgarniach i antykwariatach. Jest taki jeden, nawet niezbyt daleko ode mnie. Lubię tam zaglądać przez szybę. Prowadzi go kobieta o ładnym biuście. Na wystawie leży mnóstwo dziwacznych przedmiotów, ale chyba nie widziałem książek.

Do Ciebie też wpadnę, choć nie tak prędko. Wciąż coś mnie absorbuje. Może to kwestia wieku, ale najchętniej miałoby się do zrobienia jedną rzecz dziennie. Powinienem zaprosić Lutka i Sabinę na pieczoną kaczkę (w tym roku moja kolej). Lutka mogłeś znać, bo dawno temu chadzaliście podobnymi ścieżkami. Sabcia jest moją ulubioną przyjaciółką jeszcze ze szkoły teatralnej. To najlepsze małżeństwo świata, kocham ich oboje.

Aha, dzwonił też stary kumpel z liceum, wtedy zwany Profesorem, dziś senator. Chce, żebyśmy zjedli razem szarlotkę w sejmowym bufecie. Profesor, szarlotka, sejmowy bufet i ja. Wolałem dać mu swój adres. Odwiedzi mnie senator, kapujesz?

A jak przyjdę do Ciebie, to może mi wyjaśnisz, po jaką cholere ja się Tobą zajmuję i przejmuję. Skoro umiałeś mnie wezwać, będąc jedną nogą w Elizjum, na pewno to wiesz.

Bywaj, Wodzu. Twój H.

PS 1 A może wiem, po co się Tobą zajmuję i przejmuję? Bo jesteś mi potrzebny. I mam taką myśl, a właściwie przeczucie, że dopóki będę do Ciebie pisał, będziesz żył.

PS 2 Wiesz, co to jest Elizjum? Jeśli nie, to niech Ci Kosmyczek sprawdzi w internecie.

- [W SYLWESTRA]

Wodzu mój, *trenero di tutti treneri!*

Więc było tak:

Skoczyłem do wody ostatni, widziałem, że to widzisz. Chłopcy, po sześciu na jednym torze, płynęli równo, mocno, ale mój tor niepostrzeżenie opustoszał, sąsiednie też, i tylko Twoje łdy szły wzdłuż brzegu basenu, widziałem, jak idą obok mnie, i słyszałem Twój głos z góry (zawsze z góry): „Mocniej! łokieć wyżej, wyżej, mówię! Teraz dołóż nogi!”. Wbijałem ręce w rozchybotaną gładź nad brwiami, wciąż to lubiłem: wbijać się w wodę i pokonywać jej opór esowatym ruchem ramion aż do zahaczenia kciukiem o trykot; pokonywałem materię ustępliwą, ale nie bezgranicznie przyjazną – życiodajną, lecz bezlitosną. Reguły gry były jasne: dostawałem tylko tyle powietrza, ile potrzebowałem do życia przez kilka sekund walki z nią, i musiałem zwrócić je bez reszty, żeby dostać następny haust. Kilkusekundowe triumfy na granicy wyznaczonej przez reguły. Jak mógłbym tego nie lubić.

„Wyżej łokieć, co ja, kurwa, mówię?” Płynąłem szybko, ale nie dla Ciebie. Właściwie płynęło moje ciało, znów, po powrocie na siłownię, sprawne i mocne, i – niczyje, bo nie należało wtedy do nikogo. Zresztą to nieważne, bo ciało, które płynie, zawsze jest samotne. Z Różą nie byłem już od dawna, zniknęła z mojego życia przed wypadkiem (pewnie nawet o nim nie słyszała), a swojej żony wtedy jeszcze nie znałem. A jednak wciągając kątem ust powietrze, zobaczyłem cię; to była burta wielkiego jachtu, na którym siedziała moja ekszona z kuszą w dłoniach. „Patrz, jaki śmieszny ludzik!”, zawołała, a jej partner, harpunnik o sześciennej głowie, pokazał mi palcem: *shoot him down! shoot him down!* I wodę obok mojej skroni rozciął kobaltowo ciemny grot. Płynąłem jak bóg. „Dołóż nogi!” Bark bolał bardzo. Bogów ciało

nie boli.

Siedziałeś na swoim krzeselku, opleciony tymi idiotycznymi rurkami, nogi okrywał Ci koc, na którym leżał stoper. „Masz dokładać nogi, nie jesteś pieprzonym Australijczykiem, tylko rekonwalescentem. Ale nawet gdybyś był Australijczykiem bez nóg – na treningu masz być wcześniej niż ja. Inaczej nic z tego nie wyjdzie”. I włożyłeś sobie do ust coś w rodzaju kranu.

Bóg-bez-nóg, bóg-bez-nóg. Obudziłem się.

Wybacz, Wodzu, wiem, jak nudne są opisy snów. Ale Ty mi się chyba nigdy nie śniłeś, wtedy. A wczoraj tak.

Nie znałeś mojej żony. Mógłbym powiedzieć o niej wiele złych rzeczy, ale nie powiem. Tak, umiem sobie wyobrazić, że celuje do mnie z kuszy, a ja mam dziwną pewność, że nie trafi. Nie była naprawdę zła, po prostu mnie nie kochała. Ani ja jej. Teraz mieszka sobie w Kalifornii z harpunnikiem polującym na marliny – i bardzo dobrze. Zdaniem mojej córki on jest naprawdę miły. A ja się bardzo liczę z jej zdaniem; przyjeżdża tu raz na dwa lata, gadamy wtedy do upadłego i po paru dniach, w chwili, kiedy najbardziej chcę ją zatrzymać w Warszawie, mówi, że zaraz leci do Berlina albo do Kuala Lumpur. Takie życie.

Tymczasem zrobił się sylwestrowy wieczór. Lubię samotne sylwestry. Czuję się podniośle: mam w sobie same dobre uczucia wobec kochanych rodaków, którzy się właśnie wynurzają ze swych domostw. Żywią szczere życzenie, żeby to była magiczna noc. Taksówkarze rozwożą ich po przybytkach szampańskich uciech, tam, gdzie jaśnieją ognie świętego Elma i pokrzykują wodzireje, uwijają się posłańcy Dionizosa i Erosa, grzmi muzyka i tańczą madonny. A my dzisiaj nie będziemy z nich szydzić, z naszych brzuchatych herosów, z ich afrodyt i zaćpanych dzieciaków.

Skąd we mnie ten pastelowy nastrój? Czuję, że zostanie na dłużej.

Twoje zdrowie – H.

- [NOWY ROK, HOTEL GELLERT, NÓW]

Ksawery,

dziwne – nie chciało mi się lecieć do Budapesztu, jakby coś mnie tutaj trzymało. Kobieto, nie marudź, mówiłam sobie, przecież lubisz latać, jeździć koleją, wędrować. Chyba się starzeję. Jestem Ci wdzięczna za wspaniałe trofea, które przywożę z tych wszystkich podróży, za cudowne muzea, galerie, wernisaże, ale przerasta mnie Twoje odwieczne pragnienie, żebym miała najwspanialszy antykwariat w Warszawie. Chętnie wdrapię się na Giewont, ale na pewno nie zdobędę Annapurny. Wolę swoich nieszkodliwych wariatów niż biznesmenów lokujących majątek w Kossakach. Sukces, pieniądze zobowiązują, a ja nie mam zamiaru się zmieniać i rezygnować z wolności. Wystarczą zmiany, które wymusiła na mnie Laura. Dzisiaj myślę, że chodziło jej głównie o Klarę. Mnie też – dlatego się nie opierałam. Naprawdę chciałam być dobrą matką, chociaż różnie bywało. Nigdy nie przestanę się dziwić, że mam taką fajną córkę.

Ostatni SMS od Klary: „Dolecieliśmy, Singapur. Jesteśmy prawie na równiku”. Pisze tak, jakby to było oczywiste.

W Gellercie dostałam nasz pokój, co kosztowało mnie sporo wysiłku. Chłopak w recepcji nie mógł pojąć, dlaczego uparłam się na trzynastkę. „Zapewniam panią, że dziesiątka jest dużo wygodniejsza”. Już-już miałam zamiar wyznać mu, że w trzynastce spędziłam z Tobą pierwszą noc i ostatniego wspólnego sylwestra, kiedy nadszedł dyrektor, który mnie rozpoznał. „Tak, pamiętam, miała pani szafirowe boa ze strusich piór” – powiedział z uśmiechem. „No właśnie, znów je mam, zaraz panu pokażę”. Sięgnęłam do plecaka. Obaj zamarli (nic a nic nie przesadzam) z zachwytu nad tym szafirem. Kwadrans później patrzyłam z balkonu na oświetlone miasto, które przyjaźnie szemrało. To nie jest prawdziwe życie, pomyślałam, to niekończący się film, reżyserowany przez Ciebie, komedio-melodramat. Fantasmagoria. Ze mną w roli głównej. I zapragnęłam, żeby na ekranie pojawił się napis „Koniec”, zanim poumierają wszyscy twórcy tego filmu.

Jednym z nich jest Sándor, chociaż nigdy się do tego nie przyznał. Kiedy o to pytam, zmienia temat. Owszem, lubię tajemnice i niespodzianki. Dorastałam wśród nich i byłam pewna, że to chleb powszedni każdego człowieka: półsłówka, niedopowiedzenia, przemilczenia i zamilknięcia, pokątne szeptki, tajemnicze miny i niezrozumiałe łzy. Tylko że dzieckiem tajemnicy jest kłamstwo. Nie chcę już ani jednego, ani drugiego. Chcę siebie prawdziwej. Jeszcze nie wiem, co to znaczy.

Wieczorem zadzwoniłam do Sándora. Mówił szeptem, jakby miał dla mnie co najmniej obraz Csontváryego, który był jeszcze bardziej szalony niż van Gogh. Szeptaliśmy tak przez dziesięć minut, a ja wciąż nie rozumiałam, o co mu chodzi.

– Sándor, na litość boską, przestańmy się bawić w te antykwaryczne konwenanse, pojutrze muszę wracać do domu, bo zamkną mnie za obrazę moralności. Czy wiesz, że na wystawie zostawiłam figurkę Priapa?

Podziałało.

– Mam dla ciebie piękne bibeloty należące do rodu Esterházych i kilka fantastycznych książek, między innymi pierwsze polskie wydanie *Niebezpiecznych związków*.

– Co?! Trzeba było mówić od razu. Już do ciebie lecę.

Nie lubię tej książki, bo Laura, czytając ją, zawsze pomstowała, nie pamiętam na co, chyba i na mężczyzn, i na kobiety. Nie lubię, ale jest bardzo cenna. Szybko ją sprzedam. L.

- [W SAMOLOCIE]

– Powiedz, dlaczego przysyłasz mi widokówki z Gellertem, bilety na samolot i za półdarmo sprzedajesz cenne rzeczy? – spytałam Sándora, tym razem stanowczo. – O co w tym wszystkim chodzi?

Znów wykręcił się od odpowiedzi, bardzo zręcznie.

– Prowadziliśmy z Ksawerym interesy. Mam wobec niego dług wdzięczności. To wszystko. – Stara śpiewka.

Na lotnisku odebrałam od niego wiadomość: „Chętnie kupię figurkę Priapa”. Nie on jeden. „Oddam za odpowiedź na swoje pytanie”. L.

Chcę czegoś prawdziwego, Ksawery. Dlatego przestaję do Ciebie pisać – po co udawać, że jesteś.

Po co udawać, że jest.

- [STYCZNIOWY ZMIERZCH]

Nie potrafię opisać miny pana Lazura w chwili, kiedy wręczyłam mu sfatygowanego pluszowego misia, którego wydobylam spod sterty rupieci. Patrzył na mnie z taką wdzięcznością, jakbym ocaliła mu życie, a właściwie resztkę życia, bo jest strasznie stary i chyba schorowany.

– Ja też mam dla pani coś, co na pewno sprawi pani radość.

– Zgoda, radosnych chwil nigdy za wiele.

Byłam przekonana, że chodzi o jakiś drobiazg. Postawił na moim biurku skórzaną walizkę. Serce zabiło mi mocniej, bo mój ojciec miał identyczną, z dwoma zamkami na zatrzask, i tak samo przetartą na brzegach. Trzymał w niej kalendarze astronomiczne.

– Dziecko – gwałtownie zatęskniłam za dzieciństwem – tutaj są książki z przedwojennej biblioteki mego ojca. – Ciche westchnienie, wzrok wzniesiony ku górze, gdzie widocznie ojciec pana Lazura przebywa. – Wszystkie z ekslibrisami – ciągnął już szeptem (to jakaś mania wśród antykwariuszy i kolekcjonerów: wciąż mówią szeptem, czego nie znoszę, mam wówczas poczucie, że biorę udział w przestępstwie).

Wpatrywał się czule w walizkę kryjącą skarb rodzinny, a po chwili – to była naprawdę wielka chwila, jakby nad moim antykwariatem czas się zatrzymał – pochylając się ku mnie, wymamrotał:

– Z ekslibrisami heraldycznymi.

Kiedy wreszcie uwolniłam się z potrzasku tego zdania, pana Lazura już nie było.

– Nie, nie mogę tego przyjąć, zapłacę panu!

Wybiegłam na ulicę, niestety całkiem pustą, nie licząc Fausta, psa z kulawą nogą, który czasem koczuje pod moimi drzwiami. Wiem, że nie odpuści – kiedyś przekroczy próg

antykwarium i wsunie się do mojego życia. Popeliłam błąd – jeśli kogoś nazwiesz, to ten ktoś w pewnym sensie zaczyna do Ciebie należeć i nie ma już powrotu do stanu bezimienności. Namawiam go, żeby sobie poszedł: „Idź do kogoś, kto nada ci weselsze imię – Puszek albo Trampek”. Niestety, jego wzrok mówi: „Chcę Ciebie”.

Nie mogę przyjąć tych książek, są zbyt cenne. Mam jednak przecucie, że pan Lazurowicz już nie przyjdzie. Gdzie go szukać? Wiem o nim tylko tyle, że kocha Adriatyk, zbiera pluszowe misie dla wnuczki i że pod koniec wojny był we Flossenburgu.

Nie otworzyłam walizki, choć zżera mnie ciekawość.

- [PÓŹNĄ NOCĄ]

Drogi Wodzu,

nie mogę zasnąć, więc skrobię do Ciebie (czy mejle też się skrobie?). Chyba wiem, gdzie pójdę po książkę dla mojej małej. Już Ci wspominałem o tym miejscu. Był taki deszczowy dzień, właściwie wieczór, kiedy schowałem się pod daszkiem. Patrzyłem przez wielką szybę w głąb nieziemskiej rupieciarni: jakieś lampy, kufry, drewniane zabawki, na granatowej wyściółce w witrynie laska z gałką, nawet oryginalna. A w tle kobieta z ładnym biustem (o której też Ci wspominałem). Miała schyloną głowę, chyba coś czytała. To była piękna głowa w półdługich włosach i zgrabna szyja, i – domyślałem się, kiedy przesuwiała palcem po kartce – szczupła dłoń. Kobięce dłonie, Wodzu, to jest niesłychany dar od Matki Natury dla naszej wyobraźni.

A tuż przy tej kobiecie był jeszcze ktoś, kto stał za nią i patrząc ponad jej ramieniem, zgadywał, co akurat czyta, albo przypatrywał się jej biustowi. A może stał tuż przed nią, odwrócony do niej plecami? Albo obie sylwetki przechodziły jedna w drugą.

To byłem ja. Bo za mną na ulicy świeciła latarnia. Rozumiesz? Szyba była lustrem. Od czasu szkoły aktorskiej nie znoszę luster, ale teraz je doceniłem, bo dzięki fizyce światła mogłem być w tej grocie Platona i jednocześnie patrzeć z zewnątrz na siebie stojącego tuż przy kobiecie z książką.

Pewnie uśmiechasz się przez swój stuletni sen – myślisz: jakie to dziecinne. Ja też się wtedy uśmiechnąłem na myśl o tym, że moje drugie ja patrzy z głębi tego starożytnego sklepu, spod opuszczonych powiek, na prawdziwe światło. Prawdziwe, choć nie platońskie: światło lampy sodowej w staro-nowomiejskim zaułku, na którą patrzy moje odbicie w lustrze. Oraz kobieta, która w pewnej chwili podniosła wzrok i też się uśmiechała. Do mnie prawdziwego. Jakoś aż za pięknie.

Stropiłem się, spojrzałem na zegarek. Wicenczelny Kretyn pewnie już bębnił paznokietkami w swoje szklane biurko. Kazałem mu czekać na siebie, a to rujnowało jego obraz świata: od kwadransu powinien popijać koniak w swoim pokerowym towarzystwie kretynów.

Wrócę tam i zapytam o książkę. W tej starożytnej grocie, której strzeże kapłanka o pięknych dłoniach, jednak powinny być też książki.

No dobra, a teraz już naprawdę spać.

H.

- [CIEPŁE PRZEDPOŁUDNIE]

Ksawery (jak widać, odwyk trochę potrwa), przetrząsając szuflady w poszukiwaniu spinacza – jaki to kształtny przedmiot – znalazłam bilet, o którym na śmierć zapomniałam. Bilet do Tel Awiwu – nad morze, do słońca. Dobrze, przejdę się do Jaffy na bazar, gdzie wprawdzie nie uświadczysz niczego cennego, ale za to można poobcować z ludźmi, którzy od rana do wieczora trują się nicnierobieniem i udawaniem, że coś sprzedają. Lubię ten chaos, harmider, brud, pokrzykiwania, dziwaków wszelkiej maści, którzy krążą między stertami rupieci. A wszystko to odbywa się w absolutnej łagodności, pod bezchmurnym niebem. Chodziłam tam w tajemnicy przed Tobą, bo nie znosiłeś tego miejsca.

I znów – mimo wszystko wolałabym zostać w zimowej Warszawie, popijać herbatę z imbirem i obserwować ludzi, którzy zatrzymują się przed wystawą. Za szybą. On patrzył nie na laskę, tylko na mnie. A ja uśmiechałam się nie do odwróconych bokserów.

- [CIEPŁY WEEKEND]

Hej, Wodzu, jesteś tam jeszcze?

Pewnie, że jesteś, a jakby Cię nie było. Nie ma Cię, a jakbyś był. Trochę mnie to wkurza. Nawet to.

Najpierw zirytowała mnie oczywiście praca, jedno spojrzenie w oczy Wicenaczelnego Kretyna i mój wegetatywny układ nerwowy przestaje działać jak należy. Ale nie będę zwracał tym Twojej okablowanej głowy.

To zresztą nie całkiem prawda. W rzeczy samej jestem zły od chwili, kiedy postanowiłem nie odbierać telefonu od Róży. Postanowiłem? Naprawdę nie czekałem na ten telefon? Uświadomiłem sobie, że być może nie będzie już świątecznych rozmów z Różą. Nie dzwoniła przez całe lata po naszym rozstaniu, wiedziałem, że nie życzy też sobie, abym ja dzwonił – nie pytaaj dlaczego, trudno to wyjaśnić. Aż pewnego świątecznego dnia, kilkanaście lat temu, nawiązaliśmy ten kruchy, osobliwie rytualny kontakt: pół godzinki w drugi dzień świąt. Teraz go zerwałem.

Co z tamtych lat – powiedzmy: z pierwszej połowy mojego życia – przedostało się do terażniejszości? Nie tak wiele. Oczywiście mam swoją córeczkę, a także Lutka i Sabinę, dzielnych, kochanych, którym przychyliłbym nieba. Mam co jakiś czas narty z Arletą. Cała reszta czmychnęła w zakamarki pamięci i nawet nie wiem, czy tam jeszcze jest. Chłopaki z drużyny? Studencka paczka? Pojedyncze twarze – czasem wracają jako powidoki. Kolendra, na pewno ją pamiętasz. Wyciągnęła mnie z rozpaczy po odejściu Róży. Jak o czymś takim zapomnieć. Albo

tamta dziewczyna w niebieskiej kurtce. Sam wiesz.

Telefony od Róży w drugi dzień świąt były dla mnie czymś bardzo ważnym. Pozwoliłem sobie bezceremonialnie to zniweczyć. Czy maczałeś w tym swój siny palec? Wierzę w przeznaczenie, toteż z pewnością nie przypadkiem pojawiłeś się w moim życiu akurat teraz. Wróciłeś z przeszłości. Jeszcze nie wiem po co, ale się dowiem.

Wiedziałem, że Róża już nie zadzwoni, choć łudziłem się przez kilka dni. Wczoraj wysłałem jej SMS-a: „Różo, wybac. Nie mogłem rozmawiać. Życzę Ci moc wszystkiego najlepszego”. Moc wszystkiego najlepszego – takie kretyńskie zdanie napisałem do Róży. Wciąż potrafi splątać mi język, nawet na odległość. Nie dziwię się, że nie odpisała.

A mówię o tym wszystkim także dlatego, że pojutrze minie kolejny rok od dnia, w którym Róża powiedziała: nie będziemy się już widywać. Jednym zdaniem odmieniła moje życie. Domyśliłeś się tego, bo mnie obserwowałeś. Mierzyłeś mnie tym swoim melancholijnym spojrzeniem, czasem kładłeś mi rękę na ramieniu i mówiłeś „będzie dobrze”. Albo nic nie mówiłeś.

Wczoraj obejrzałem amerykański film, w którym pada (jak to w amerykańskich filmach) złota myśl: tym, co cię określa, jest nie twój sukces, tylko to, jak sobie dajesz radę w upadku. Czy to możliwe, że od trzydziestu lat próbuję dać sobie radę w upadku? Nie, to nie jest możliwe. Nie umiem Ci wyjaśnić, dlaczego Róża tak zrobiła, ale wiem, że to ona siedzi teraz sama w swoim smutnym wieżowcu. A ja wyglądam przez okno i widzę, że ta zima jest jak komedia romantyczna: ciepła, pogodna i dobrze się skończy.

Muszę wreszcie iść po tę książkę dla córki, nie mogę nawalać wszędzie i ze wszystkim. Kryzys wieku średniego ma swoje prawa, ale i obowiązki. Ty, Wodzu, przynajmniej to masz już za sobą.

H.

- [WIETRZNY WIECZÓR]

Wodzu drogi,

piszę, bo jakoś nie mogę się odczepić od myśli o Tobie. A może to raczej Ty nie chcesz się odczepić ode mnie.

Wiedziałem wczoraj dwóch mężczyzn. Jeden był już starcem, szedł o lasce, drugi, może trochę młodszy ode mnie, trzymał go czule pod ramię, a w rękę miał – nie uwierzysz – konika na biegunach. Pewnie kupił go dla swojego syna. Ale przez chwilę pomyślałem, że to jego zabawka, którą właśnie dostał od ojca.

Czy to możliwe, żeby facet w moim wieku tęsknił za ojcem?

Możliwe.

I zdarzyło się jeszcze coś. Szedłem przez park – lubię tam chodzić, wtedy najlepiej mi się myśli – i zobaczyłem dziewczynkę, osiem, może dziewięć lat, w niebieskim płaszczyku, siedziała na ławce. Miała jasne włosy i oczy o intensywnej szafirowej barwie. „Cześć, co tu robisz, ja mam na imię Heliodor, chyba powinnaś być teraz w szkole, pewnie ci chłodno w tym płaszczyku, zaziębisz się, może cię odprowadzę do mamy albo taty?”

Nie odpowiadała, tylko patrzyła na mnie szafirowo. W pewnej chwili wstała, wyjęła z kieszeni kawałek kredy i zaczęła rysować na asfalcie. Jeśli dobrze pamiętam, rysunek wyglądał tak:

	14				18
				23	

– Co to jest?

– Zadajesz dużo pytań. Nie trzeba. Nie wszystko musisz rozumieć. Zaczął się nowy rok. Każdy nowy dzień jest kwiatem, który zakwita w naszych rękach. Nie przegap tego najpiękniejszego.

I odeszła, oddaliła się alejką, aż w pewnej chwili, choć powinienem ją jeszcze widzieć, zniknęła, jakby wytarta z obrazu.

Rozumiesz coś z tego? Kwadrat, puste pola, trzy liczby. Sprawdziłem w internecie: „Każdy nowy dzień jest kwiatem”... Mickiewicz! Rezolutna ta nasza dziatwa, nie ma co.

Szkoda, że nie wierzę w gusła.

- [O ŚWICIE]

Miałam sen, który mnie obudził. Ksawery odchodzi długą aleją wysadzaną kasztanami, od czasu do czasu odwraca się i macha mi na pożegnanie. Jego sylwetka maleje i w końcu znika, jakby wytarta z obrazu. Filmowa scena. „Jakby wytarta z obrazu” – gdzieś słyszałam te słowa. Ludzie pojawiają się i znikają. To jest straszne i piękne zarazem.

- [BARDZO PÓŹNYM WIECZOREM]

Wiesz, Wodzu, telefony od niektórych osób zawsze wprawiają mnie w dobry nastrój.

– Kaczka już kupiona. Może być sobota za trzy tygodnie u nas?

– Jak to, Sabciu? W tym roku moja kolej.

– Nie drocz się, Maks. Nie będziemy jechać do ciebie z upieczoną kaczką.

– A dlaczego dopiero za trzy tygodnie? Tęskno mi do was. Stary pewnie zaharowany, co?

– Żebyś wiedział. Więcej go nie ma, niż jest. Zwłaszcza w weekendy.

Tylko Sabina nazywa mnie jeszcze Maks. To się wzięło ze szkoły: profesor W. była łaskawa określić kiedyś (próbowaliśmy bodaj *Świętoszka*) moje wysiłki aktorskie słowami: „Wie pan, Heliodorze, to jest aktorstwo specjalnej próby: maksimum niczego, minimum wszystkiego”. No i zostałem Minimaksem, znanym z aktorstwa specjalnej próby także na wydziale Sabiny. A potem Minimaks skurczył się – albo urósł – do Maksa.

Chwała Sabinie, że nie muszę piec tej kaczki.

Wypiłem trochę za dużo, a jutro rano mam trening. Wiesz, że znowu trenuję? Nowa-stara sprawa w moim życiu. Ramię co prawda łupie mnie zawsze na zmianę pogody, ale jeszcze dają radę – za parę miesięcy wystartuję w triathlonie dla oldbojów i spodziewam się Ciebie na mecie. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak bijesz mi brawo.

H.

- [SŁONECZNE POPOŁUDNIE]

No i patrz, Wodzu nad wodzami:

parę dni temu wspomniałem Ci o Kolendrze. To przypadek, że właśnie zapowiedziała swój przyjazd? Po tylu latach. Cud, że mnie odnalazła.

Kolendra. To znaczy: Cornelia van Hoogen, którą nazywałeś Kolendrą, bo miała dwa maleńkie pieprzyki na policzku. Chyba nie wiedziałem wtedy, że istnieje taka przyprawa o ładnej, niepokojącej nazwie. A Ty, byłeś mistrzem kuchni? Czy może tylko w ten niezbyt wyszukany sposób przedrzeźniałeś holenderskość Cornellii? Raczej to drugie.

Pamiętasz ją?

Przyjechała w smutnym roku osiemdziesiątym trzecim. Jej mama była Polką i Cornelia chciała odwiedzić naszą umordowaną ojczyznę, odkąd poznała w Amsterdamie Różę. O dziwo

zaprzyjaźniły się – Róża w zasadzie nie miała przyjaciółek, tylko przyjaciół. Więc Cornelia przyjechała do Róży, trochę próbowała dziennikarstwa, chciała, zdaje się, napisać artykuł o Polsce. Poza tym była doskonałą pływaczką, ocierała się o reprezentację Holandii. W Polsce miałyby dużo większe szanse na kadrę, ale byłby problem z obywatelstwem. W każdym razie przyprowadziłem ją do Ciebie i pływała z nami.

Grube, słomiane włosy, wiecznie różowe policzki i mocne uda. Z podziwem patrzyłem na te uda w wodzie, płynąc za nią, zwłaszcza przy delfinie: męskie ruchy biodrami, jak to nazywałeś, wychodziły jej nadzwyczaj ponętnie. Na setkę delfinem dorównywała naszym chłopakom.

Jak to się stało, że przyprowadziłem ją na trening? To była prośba Róży. Spytałem, dlaczego mam ciągnąć na trening jej holenderską przyjaciółkę, a Róża wzruszyła ramionami. „Jej mama bardzo mnie o to prosiła. Ona uważa, że Cornelia mogłaby pływać w polskiej drużynie, formalności na pewno dałoby się załatwić, komuniści są pragmatyczni. Trzeba ją tylko do tego namówić”.

I nawet wymieniła Twoje nazwisko. Holendrzy, którzy znają się na pływaniu, musieli Cię cenić. Gdyby nie podle czasu, może byś wyjechał i wyhodował mistrza olimpijskiego, zamiast użerać się z nami. Swoją drogą, chyba nie tylko mama Kolendry uważała, że ona ma nadzwyczajny talent. Ty też. Nie spuszczałeś z niej oka.

Lubiłem Cornelię. Miała wybujały temperament seksualny, o czym wiedziałem z drugiej ręki, bo przecież byłem z Różą. Kiedy zostałem sam, nie dałbym sobie rady bez Corneli.

Ale to nie tak jak myślisz. Spędzaliśmy czas jak brat z siostrą. „Co ja mam robić, Cornelio?”, pytałem ją czasem, a ona brała mnie oburącz za głowę, mówiła: „Słuchaj serca” i kładła ten mój skołatany łeb na swojej twardej piersi. I śmiała się jak holenderska pasterka.

Robiliśmy mnóstwo fajnych rzeczy, chyba wszystko oprócz seksu. I tak była moja – odebrałem ją Róży. Kiedy się zegnaliśmy, zawsze wspinała się lekko na palce, obejmowała mnie ramionami za szyję i całowała prosto w usta. Trwało to półtorej sekundy. „Czuję piżmo nosem”, mówiłem wtedy, a ona uśmiechała się, pstrykała mnie w ten nos i znikła, wywijając torebką. Po miesiącu czy dwóch zacząłem żałować, że trwa to tylko półtorej sekundy i ona znika. Ale było za późno. Po Cornelię przyjechał jasnowłosy Joep i zabrał ją do Amsterdamu. I tak skończyły się nadzieje na to, że Cornelia będzie zdobywać medale dla Polski. Mieli potem, ona i Joep, trzech wspaniałych blond bobasów i nadal żyją szczęśliwie.

„Co będziemy robić? Zabierzesz mnie na narty, jak wtedy?”. Wtedy tak właśnie zrobiła: zabrała mnie na narty – tego Róża nigdy jej nie wybaczyła. Miałem wylecieć z życia Róży, a skoro Cornelia trzymała mnie za rękę podczas tego lotu, to musiała wylecieć razem ze mną. „Będziemy się tarzać w śniegu? Chodzić do kina i drzemać skroń w skroń? Siedzieć nocą na tych wielkich schodach w Warszawie, pić z papierowej torebki tę waszą benzynę i palić fajki bez filtra? Tak się cieszę, że znów Cię zobaczę”.

To mi napisała wczoraj. Nasza benzyna to był winiak luksusowy. Ja też się cieszę, że zobaczę Cornelię.

Wiesz, Wodzu, jest taki egipski hieroglif: skrzydlaty wąż pożera własny ogon. To podobno wyobrażenie czasu. Zastanawiam się, po co mu skrzydła.

[NAD RANEM]

A jakby wyjąć węzowi ten ogon z pyska, to może by pofrunął? A my razem z nim? Tego nam życzę –

trzymaj się, H.

[PÓŹNĄ NOCĄ]

Po południu telefon od Leny, czy już chłodzę szampana.

– Jasne jak księżyc w pełni – skłamałam bez wahania, bo jak się zapomina o czymś ważnym, trzeba kłamać, że się o tym pamięta. – Przecież chłodzę, jak co roku: Dom Pérignon 1964. Wspaniały rocznik, winnice wiedziały, że się urodziłaś, i na twoją cześć wchłonęły mnóstwo słońca.

Lena zachichotała. Lubi, kiedy zmyślam. I nazywa to fantazją, nigdy kłamstwem. Tym razem jednak mnie przebiła:

– A ja zdobyłam ten, który pijała Marilyn Monroe.

Pozazdrościłam Lence i żeby moje było na wierzchu, szybko dodałam:

– A ja mam jeszcze rocznik 1953, ulubieńca Jamesa Bonda.

Już od ponad piętnastu lat razem świętujemy jej urodziny, nie pamiętam dlaczego właśnie u mnie. Zdaje się, że kiedy zaczęłyśmy, Lena była bezdomna, bo jej mąż Bruno, wówczas już eksmaż, czym prędzej chciał zamieszkać ze swoim chłopakiem.

Lubię te wieczory – żłapiemy sobie prosecco, po butelce na głowę, przeglądamy kolekcję wyblakłych etykiet Dom Pérignon (nikt ich nie kupuje), wspominamy, plotkujemy, a na koniec wznosimy toast: „Od dziś za rok w Jerozolimie” i padamy sobie w objęcia. I tak co roku. Tym razem zaprosiłam ją do antykwariatu. Uznałam, że to świetna okazja, aby wreszcie odgruzować magazyn, a Lenka przyjęła ten pomysł z entuzjazmem. Przymierzałam się do tego od dawna, ale zadanie wydawało się niewykonalne, również z powodu Klary – lubiła tam przesiadywać, w kurzu, brudzie, bajzlu. Aż nagle poczułam, że czas z tym skończyć – będę miała świetną kryjówkę.

Tak więc szperałyśmy i segregowałyśmy, od czasu do czasu przysiadając na dębowych beczułkach, żeby się napić „szampana” z kryształowych kieliszków i pogadać. Na przykład o Ksawerym, o naszych wieloletnich dyskusjach nad różnicą między kiczem a dziełem sztuki.

Długo nie mógł pojąć mojego upodobania do kiczu i wpadał w rozpacz, kiedy w moim antykwariacie pojawiała się „kolejna tandeta”.

– I co, w końcu zrozumiał? – spytała Lena.

– Tak. Kiedyś powiesiłam na ścianie upiornie piękną makatkę: sarny, polana o zachodzie słońca, pasterz i pasterka, baranki, a Ksawery opadł na fotel art déco i jęknął boleśnie. Przytuliłam do serca jego znękaną głowę i powiedziałam: „Zrozum, ja wolę się kochać w łóżku, nad którym wisi odpustowy gobelin albo monidło, a nie Kossak czy nawet Rembrandt. W morzu, nad którym zachodzi słońce albo wisi księżyc w pełni, nie w wannie z pianą. Na ciepłym mchu, na piasku”.

– Znów zmyślasz – szepnęła Lena.

– Tylko trochę.

– I co było dalej?

– Powiem ci tylko, że fotele art déco, zresztą żadne fotele, nie nadają się do tych spraw. A potem Ksawery powiedział: „Poddaję się, chyba masz rację. Coś w tym jest”. I napisał fantastyczny esej na temat kiczu, bardzo zmysłowy i przesycony erotyzmem.

Po minie Leny widziałam, że nie rozumie, na czym polega subtelny związek między kiczem i erotyzmem.

– Przyjmij do wiadomości, że prawie wszystko ma jakiś związek z erotyzmem.

– Te rupiecie też? – spytała Lena, zataczając łuk ramieniem.

– Każdy z nich – zapewniłam, sięgając po wiklinowy kosz pełen niewielkich przedmiotów. – Korkociąg. To chyba jasne.

– Aha. Ale z oczywistych względów pomiń wszelkie podłużne przedmioty. Nie idź na łatwiznę.

– Lenka, w ogóle nie chodzi o podłużności i krągłości, tylko o słowa. Przede wszystkim o słowa. W języku odbija się i spełnia cały świat. Wszystko, co w nim dobre i złe. A co w świecie jest najlepsze? Co jest najlepsze w świecie?

Mogła wykić to pytanie, roześmiać się, zmienić temat. W jej milczeniu zawierała się odpowiedź.

– Wymień jakąś literę.

– Esss – wyszczała.

– Zamknij oczy i słuchaj. Sakiewka, saturator, stalówka. Stambułka, scyzoryk, spernal,

stylus. Szaflik, szeląg. Szkaplerz, stęfel, syfon. Szyszka, szypułka.

– Stetoskop – powiedziała Lenka. – Nawet stetoskop kojarzy mi się z tym, o czym mówisz. – Była zdziwiona.

– No widzisz. Otworzyłaś się i poczułaś zmysłowość otaczającego cię świata.

– A wymień jakąś rzecz, która nie ma związku z tym.

– No, na przykład dębowe kredensy i szafy. Są amilosne, aseksualne.

Kiedyśmy późną nocą wyszły z antykwariatu, Lena spytała:

– Naprawdę robiłaś to na mchu?

– Nigdy, ale mam zamiar.

– Jest ktoś?

– Nie, ale niebawem będzie.

– Kiedy?

– Na razie wiem tylko tyle, że na mchu będziemy się kochać dziesiątego sierpnia.

Skąd mi to przyszło do głowy?

– Kurczę, czyli dopiero za siedem miesięcy. Ty to potrafisz planować.

[POGODNY WIECZÓR]

Magazyn przeobraził się w całkiem przytulny pokój. Mam mnóstwo nowych-starych rzeczy, w większości bezużytecznych i bezwartościowych. Ale są też takie, którym nawet wybitny historyk sztuki chętnie poświęciłby chwilę uwagi i komentarz: kilka noży do papieru (jeden mosiężny w kształcie kobiecej sylwetki, secesja), bursztynowe drobiazgi (igielnik, szkło powiększające, miniaturowe chodaczki), sporo figurek, w tym śliczna Selene, która już trzyma straż na mojej nocnej szafce, rozsypująca się kószka (co z nią zrobić?). A poza tym dziwne słoje, puszki, papierośnice, naparstki, sztuce, broszki, trzy krucyfiksy, dwie mezuzy, lichtarze i mnóstwo kołatek do drzwi. I coś jeszcze: trzy obrazy sygnowane literą W., dość nieporadne, chociaż sympatyczne oleje, którymi na pewno bym się nie zajmowała, gdyby nie fakt, że przedstawiają Laurę z czasów młodości. Przydużo tych zagadek.

Zadzwoił ojciec Klary. Bałam się odebrać, bo z trudem znoszę te jego jękliwe pretensje, że ją zaniedbuję. Zawsze przyznaję mu rację, bo rzeczywiście daleko mi do perfekcyjnej matki. Tylko że Klara jest już dorosła, świetnie sobie radzi i nie potrzebuje, a nawet nie życzy sobie, żeby się nią opiekować. Co za szczęście, że Rafał mieszka na drugim końcu Polski i ma troje

dzieci, w przeciwnym razie skupiłby na niej całą swoją uwagę i „biedne dziecko” zamiast filozofii musiałoby studiować inżynierię sanitarną. Nie umiem myśleć o nim z sympatią, chociaż nie zrobił nic złego. Co prawda nie ożenił się ze mną, kiedy okazało się, że jestem w ciąży – to podobno niehonorowo – ale jak mogłam, starałam się uniknąć ślubu, a swoje starania na wszelki wypadek wzmocniłam gorliwą modlitwą do wszystkich bóstw lunarnych po kolei (nawet do pigmejskiego i eskimoskiego) i wreszcie do miniaturowej Statuy Wolności – przecież chodziło o wolność. Na samą myśl, że resztę albo nawet część życia miałabym spędzić z człowiekiem, którego główną zaletą jest to, że nie ma wad, ogarniała mnie rozpacz. Kiedy upadłam tak nisko, że chcąc uciec przed ołtarzem, byłam gotowa złożyć śluby czystości, opamiętałam się i w czarną, bezgwiezdną noc krzyknęłam: „Każda kobieta ma prawo nie chcieć wyjść za ojca swojego dziecka”. Tak jest – ma prawo. Żeby mogła spotkać kogoś, kto ją pokocha za to, że jest, i nie będzie chciał jej zmieniać.

Czyli zadzwonił ojciec Klary, tym razem nie z pretensją, tylko z prośbą o spotkanie w bardzo ważnej sprawie. Na szczęście lecę do Tel Awiwu (ponad 20 stopni!), więc nawet nie musiałam kłamać, że teraz nie mogę. Ale co się odwlecze...

Zastanawiam się, co przed wyjazdem zostawić w witrynie, żeby ludzie... ludzie? – żeby pewien facet mógł sobie popatrzeć, kiedy znów przyjdzie. Priap odpada – przysporzył mi kilku wrogów w kamienicy: z pewnością woleliby mieć na parterze nocny lokal z wyszynkiem niż gorszycielkę. Może teraz dla równowagi Wenus z Willendorfu?

Czyli lecę sobie do Tel Awiwu, który jest najbardziej romansowym miastem świata. Już na lotnisku czujesz zmysłowość Lewantu, a potem jest coraz goręcej: na ulicach, w restauracjach, na plaży odbywa się nieustająca wymiana spojrzeń, gestów, sygnałów (jak to określa Lena), masz wrażenie, że bierzesz udział w niekończącym się flircie. Wiek nie gra roli.

[PRAWIE BEZSENNA NOC]

Wodzu,

nie wiem, co jest z tą pogodą, wiatr, słońce, pewnie dlatego nie mogę spać. Nad ranem jakaś maligna: kobieta w półmroku znanego mi (?) wnętrza wstaje zza biurka; jest w samym staniku. Podchodzi do marmurowego posągu (*Dawid Michała Anioła?*) i dotyka go TAM. Potem odwraca się do mnie plecami i odpina haftki. Jest bardzo ponętna; włosy opadające na kark, nagie plecy, talia i biodra – jak ze szkicownika Pana Boga. Jej prawa ręka za plecami przyzywa mnie, ale nie mogę przejść przez szybę...

Ocknięcie – cały jestem mokry.

Przedwczoraj dostałem SMS-a od Kosmyczka: „Witam. Kolega nieogolony, bo nożyki się skończyły”. Zrozumiałem: potrzebna stłwa. Zaproponowałem Kosmyczkowi, że możemy to załatwić przy kawie, ale odpowiedziała: „Raczej nie”. To też zrozumiałem: „Raczej nie” znaczy „nie”. Słowo „raczej” jest jak klak, który przyczepia się do schludnych zdań. A zdania Kosmyczka są nadzwyczaj schludne. Co mam robić, Zarośnięta Mordo? Wczoraj zostawiłem kopertkę z banknotem u Zeppelina („A idźże pan!”, „Siostró, to nie przekupstwo, tylko prośba

o pomoc w zakupie nożyków, po starej znajomości”). I nie zdążyłem do Ciebie zajrzeć. Weź no Ty się w garść, dobra? Trochę drogo mi wychodzi pielęgnacja Twojej urody i póki co wszystko na plaster (profesor W. próbowała żywym ogniem wypalić z mojego słownika frazkę „Póki co” i proszę: frazka jednak się wymknęła).

Buziak w (może już była) szczecinę – H.

[DWA DNI PÓŹNIEJ]

Czołem, Wodzu.

Wczoraj zapowiedziana wizyta Profesora. Ale nie przyszedł sam.

Nazwaliśmy go Profesorem, bo kumplował się z Horacym i Seneką. Teraz jest wybitnym starożytnikiem, łyso-siwym, brzuchatym, z nadciśnieniem i cukrzycą. A także zasiada w senacie jako deputowany ziemi jakiejśtam.

Natomiast Dorotka, z którą przyszedł Profesor, jest w wieku mojej córki, ma nogi jak kolumny Trajana, pod bluzką dwa interesujące stożki i anielskie – w sensie: choinkowe – włosy.

Przynieśli wino za dwadzieścia sześć złotych. Podaliśmy bezmięsne spaghetti w pomidorach. Dorotka poprosiła o wodę niegazowaną.

Dorotka właśnie zaczyna karierę artystyczną i szukamy pseudonimu (Profesor). Może Lorelei? (ja). Szczerze mówiąc, myślałam o Dajanie. Albo o Lajzie (Dorotka).

W telefonie Dorotki odezwała się melodia Michaela Jacksona *Billie Jean*.

– Przepraszam, muszę odebrać. – Kolumny Trajana powędrowały do kuchni.

– Słuchaj, stary. My do ciebie właśnie z tym, no wiesz. Jesteś aktorem, prawda?

– Próbowałem, ale jakoś nie wyszło.

– Jak to nie wyszło?

Łyk wina. Papieros. Jeszcze łyk.

– Palisz? Też bym zapalił, ale rzuciłem. Wiesz, lekarz...

– No tak.

Kolumny Trajana wróciły.

– Kto dzwonił, Dorotko?

– Nikt, Misiaku, nikt.

Misiaku! Ja pierniczę. Odkasznąłem.

– Wody, pani Dorotko?

– Dzieńks, jeszcze mam.

No tak. A właściwie co u ciebie? Sam sobie gotujesz? Przydałaby ci się jakaś, no wiesz. Kobieta (Profesor). Właśnie, właśnie (Dorotka). Jakoś się nie złożyło (ja).

Billie Jean.

– Przepraszam na chwilę. – Kuchnia.

– Bo słuchaj, ja z Dorotką... No wiesz, to jest dość poważne.

Chciałem się uśmiechnąć najszerzej jak umiem. Ale nie bardzo się udało.

– I właśnie pomyślałem... Bo ona, mówiłem ci już? Chciałaby zostać aktorką. Więc pomyślałem, że może dałbyś jej parę lekcji? Wiesz, raczej poufnie. Ze względu na moją pozycję wolałbym uniknąć rozgłosu.

– Raczej.

Lorelei wróciła z cienkim papierosem w zębach.

– O mało nie przypaliłam sobie włosów.

– Dorotka jest w trakcie rzucania. Prawda, Dorotko?

– Prawda, Misiaku.

– Właśnie rozmawialiśmy o paru lekcjach dla ciebie u Heliodora. Znamy się od lat. Ile to już lat, Heliodor? – Rzewne spojrzenie bladoniebieskich oczu. – Bo wiesz, Dorotka, mówiłem ci już? Być może zagra w filmie. Początki zawsze są trudne, więc rozumiesz. Mój kierowca by ją podrzucił. Dwa razy w tygodniu? Oczywiście nie za darmo.

Oczywiście. *Billie Jean.* Kuchnia.

Profesor dopił wino i pochylił się w moją stronę.

– Wiesz, to jest niesamowite, ale nigdy nie myślałem, że to mi się zdarzy. Taka kobieta. Bardzo ją kocham. Mówiłem ci już?

Chciałem go przytulić. Pocałować w łysinę. Ale Dorotka tymczasem wróciła z kuchni, omiotła łysinę anielskim włosiem i wzięła w dwa palce profesorskie ucho.

- No, Misiaku. Muszę teraz wyjść. Nie czekaj na mnie.
- Jak to?
- Tak to, Misiaku.
- Ale... stało się coś? Coś ważnego? Kto właściwie dzwonił?
- Już ci mówiłam, Misiaku. Nikt. No to. *So long*.

Kiedy wyszła, dałam Profesorowi wódki i mocnego papierosa. Zasnął na sofie. Rano już go nie było, tylko kartka: „Auto czeka, pędzę na senat. Dzięki za wszystko. Odezwę się”.

Masz pojęcie, Wodzu? Może to dobrze, że nie masz. Są rzeczy, które najlepiej przespać. No to. *So long* –

H.

- [16 STYCZNIA, PEŁNIA]

Warszawa pokryta śnieżną breją. Wieje wiatr podszyty deszczem. W dodatku wilcza pełnia. Na szczęście niebo jest zachmurzone, a księżyc daleko.

Wciąż nie mogę ochłonąć po tym, co mnie spotkało w Robinsonie.

Hotel Rothschild – cudowny! I miał pewną nieocenioną zaletę: okna mojego pokoju wychodziły na aleję Rothschilda, którą wiele lat temu zachwyciłam się od pierwszego wejrzenia.

Wieczorem spacerowałam po niej w tę i z powrotem i posiedziałam na ławce, obserwując ludzi. Skąd tutaj tylu oryginałów, przebierańców, dziwaków, gejów i lesbijek? Zwariowane miasto. Lubię Tel Awiw nie tylko za to. Zabudowany lekkim bauhausem jest świetlisty i eteryczny. Po ciężkich, ponurych kamienicach Budapesztu, po ich dudniących zatechłych podwórkach studniach, skąd nawet szept dociera do ostatniego piętra, Tel Awiw przynosi ulgę i daje poczucie wolności. I jest nowy. Demony zostały w Europie: w starych domach, szafach, kredensach, w tamtym niebie i pod tamtą ziemią.

Byłam pewna, że tym razem chodzi o wizytę bezinteresowną, przyjemnościową, że po prostu Ksawery chciał mi dać trochę słońca w środku warszawskiej zimy. Ale nie – w recepcji czekała na mnie wiadomość, że nazajutrz po południu mam odwiedzić antykwariat o nazwie Robinson. Nie mogłam zasnąć. O północy znów wyszłam na spacer. O wielu miastach mówi się, że nigdy nie śpią, ale to Tel Awiw doprowadził sztukę niespania do perfekcji. Ulice roily się od wesołych, rozgadanych, a w dodatku całkiem trzeźwych ludzi poszukujących rozrywki. Wszędzie korki. Kiedy po trzeciej wracałam do hotelu, miasto nadal się bawiło. Na litość boską, niech ktoś mi powie, kiedy oni pracują.

Po południu poszłam do Robinsona, gdzie przeżyłam chwile grozy. Z chaosem jestem za pan brat i nie odstręcza mnie żaden bałagan. Nie zraża mnie żaden brud, chociaż mam hydromanię (owszem, hydrofobię również; czy ja jeszcze nauczę się pływać?). Ale to miejsce przerosło wszelkie moje oczekiwania. Takiego bezładu i kłębow kurzu moje oczy jeszcze nie widziały. W dwóch witrynach, które z kolei nigdy nie widziały szczotki i wody, walały się mapy, do cna zaczytane książki, jakieś zwoje, łuszczące się globusy. Ledwie przekroczyłam próg, wylądowałam na wielkim pudle pełnym pożółkłych gazet, spod których prosto na mnie wybiegł ogromny pająk. Od podłogi po sufit były jakie regały, między nimi alejki półmetrowej szerokości, półki ciasno wypełnione książkami, które – przynajmniej na pierwszy rzut oka – wyglądały na bezwartościowe i ustawione bez ładu i składu. Tu i ówdzie na podłodze niszczała jakaś mapa, w rogach piętrzyły się stosy tomów i tomików, dla których zabrakło miejsca na półkach, pliki papierzysk powiązanych szpagatem, a w mrocznej kanciapie na zapleczu, gdzie wchodziło się po skrzypiących, rozchybotanych schodkach – znów krzywe regały, skrzynie, pudła, walizki i biurko zawałone szpargałami. Przy biurku siedział starzec, wyjęty z *Lovercrafta* albo *Jamesa*, i udawał, że mnie nie widzi, chociaż stałam obok. Kilka razy chrząknęłam, po czym usiłowałam wyjaśnić cel swojej wizyty, dość mętnie, bo go przecież nie znałam. Od czasu do czasu spozierał na mnie znad przekrzywionych okularów, jakbym była powietrzem, wzruszał wątlami ramionami i znów pochylał się nad stertą starych zdj smallęć i listów. Zrezygnowałam z angielskiego i próbowałam zagajać w różnych nieznanym mi językach, nawet po łacinie. Nic. W końcu opadłam na stołek obok biurka i z rezygnacją westchnęłam.

– Jasna cholera.

Jego twarz się rozpromieniła.

– Trza tak było od razu. Po polsku, jasne, że po polsku. Bedzie dobrze. Bedzie dobrze.

Co nie oznacza, że dalej poszło gładko. Najpierw nastąpiła seria pytań: „A co we Warszawie? A co w Berdyczowie? A co w Lubartowie?” Być może pytał też o inne miasta. Musiałam wypić dwie szklanki cieniutkiej herbaty z cukrem. Zjeść talerzyk przeterminowanych herbatników. Obejrzeć niemal wszystkie pierwsze wydania *Robinsona Crusoe*, jakie kiedykolwiek ujrzały światło dzienne. Ciekawe – polskiego nie było.

– No, panie Szmul, na mnie już czas – zaryzykowałam po dwóch godzinach.

– No tak. – Bezbrzeżny starozakonny smutek w oczach. A po chwili szeptem: – Bo Awi nie wrócił. Jest chory we Warszawie. Wiesz?

Byłam wyczerpana, zaczynałam lewitować jak postacie z Chagalla i marzyłam o haucie świeżego powietrza i łyku dobrego wina.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć. I nie znam Awiego – odszepnęłam zgnębiona bezsenssem tej gry bez reguł.

Już miałam zamiar ruszyć do wyjścia, gdy zobaczyłam coś, co nadal nie daje mi spokoju. Na biurku stała fotografia pana Lazura, młodszego o dwadzieścia lat, ale to był on! Chwyciłam ją i wybiegłam na ulicę.

- [Z GŁUPIEJ PRACY]

Wodzu,

wiesz, przeszedłem się tam, do antykwariatu, o którym Ci mówiłem. Ale był zamknięty. I zrobiło mi się strasznie smutno. Może dlatego że zamiast mieć na głowie jedną sprawę mniej (książkę!), musiałem wrócić do głupich obowiązków.

Przydupas Wicenaczelnego Kretyna kupił sobie fioletowe buciki. Mdli mnie na ich i jego widok. Tyle smutnego – H.

- [POPOŁUDNIOWA SZARUGA]

Próbuję zrozumieć, co pan Lazur ma wspólnego z Robinsonem i ze mną. Kim jest Awi i po co właściwie polecałam do Tel Awiwu. Wróciłam z pustymi rękami, nie licząc zdj smallęcia, które teraz leży na moim biurku.

O dwunastej otworzyłam sklep, zaparzyłam herbatę, zabrałam z wystawy Wenus (widział ją?) i położyłam tam bursztynowe bibeloty.

Już czas zajrzeć do walizki pana Lazura. I poczuć, że te książki naprawdę są moje.

Wolałabym nigdzie wyjeżdżać w najbliższych tygodniach. Jestem zmęczona. Sama nie wiem czym. I muszę się spotkać z Januszem, z którym nie chcę się już spotykać. Jak mu to powiedzieć? Po prostu: „Nie będziemy się już widywać” i szybko odejść? Czy lepiej wyjaśnić powody? Ze szczegółami. Czyli kłamać. „Uczucie rodzi się z czasem”, zapewniała Laura, ale nie wiadomo, co znaczy owo „z czasem”. Minęły trzy miesiące – i nic.

Chcę się też zająć przedmiotami z magazynu: odświeżyć je, wymyślić im przeszłość – o ile łatwiej sprzedaje się coś, co ma własną niepowtarzalną historię i ciekawego, a jeszcze lepiej sławnego właściciela. Zmyślam, ale nie tylko ja. Nie wierzę, że te drobiazgi od Sándora należały do rodu Esterházych. Trzeba to sprawdzić.

- [O SZAREJ GODZINIE]

Jest Cornelia. Muszę Ci opowiedzieć, bo czuję się osobliwie.

Lał deszcz podszyty wiatrem, o dziesiątej wieczorem pojechałem po nią na lotnisko. Zmęczony jak pies.

Nie poznałem jej. Waży chyba mniej niż trzydzieści lat temu. Stała przede mną w dzinsach, w butach na obcasie, włosy obcięte na chłopczycę, okulary w masywnej czarnej oprawce. Położyła mi dłonie na ramionach. W tych butach dorównuje mi wzrostem, co jakoś

mnie spieszyło.

– Przenocujesz mnie? Pomyliłam daty, moja doba hotelowa zaczyna się jutro o dwunastej.

– Jasne.

Chciałem upichcić coś naprędce, ale nie była głodna. Klapnęła na sofę i wyjęła z plecaka butelkę Jacka Danielsa. Przyniosłem szklanki. Cornelia milczała.

– Co się stało, Cornelio?

– Umarł mi tata. I rozeszłam się z Joepem.

– Przykro mi. Chcesz o tym opowiedzieć?

– Przecież mówię. Tata umarł w jakiś ponury piątek nad ranem. Niewydolność krążenia. A Joepowi chłopcy wystawili walizki przed drzwiami.

Wytrzymała mój wzrok. Oczy miała wciąż te same, bardzo niebieskie i piękne.

– Zdradzał mnie. Długo i regularnie. W końcu miałam dość.

Czułem, że Cornelia nie chce opowiadać żadnych szczegółów, więc milczałem.

Potem piliśmy małymi łykami, jak to się mówi: systematycznie, rozmawiając zdawkowo. „A co u ciebie?” „Pływasz?” „Rekreacyjnie”. „Jesteś sam?” „Przeważnie”. „Wiem, że miałeś wypadek, ale potem jeszcze startowałeś”. Zdziwiłem się.

– Skąd o tym wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętam. Może od Róży.

– Róża chyba nie słyszała o moim wypadku.

– Tego nie możesz wiedzieć. Wieści rozchodzą się dziwnymi ścieżkami. Zresztą... to było tak dawno. Dobrze, że pamięć jest zawodna. – Westchnęła.

– Więc potem odezwaliście się do siebie? Ty i Róża? – zapytałem.

– Tak. Choć nasza przyjaźń jest już inna. Mniej wylewna.

Właściwie chciałem wypytać ją o Różę, ale zauważyłem, że posmutniała. Więc zamiast tego powiedziałem o Tobie. Że mamy stały, choć jednostronny kontakt. Cornelia zakłęła i uśmiechnęła się jak do dobrego wspomnienia. Skręciła sobie papierosa. Milczeliśmy dłuższą

chwilę.

– Nie wiem, jak to będzie. W moim nowym życiu.

– Będzie dobrze.

Popatrzyła mi w oczy.

– Właściwie od dawna jestem sama. Zaczęliśmy się mijać z Joepem, nawet nie wiem kiedy. Ale jednak mieszkaliśmy razem. Byli chłopcy, czasem jedliśmy wspólną kolację. Nie zorientowałam się, kiedy on... Rozumiesz? A teraz będę singielką. – Uśmiechnęła się. – No dobrze, nie mówmy o mnie. Powiedz lepiej, co z tobą.

– Wierzę w życie po pięćdziesiątce.

– Łatwo ci mówić. Facetom łatwo mówić takie rzeczy.

Mijał czas, stopniowo ubywało złotego płynu w butelce. Wreszcie Cornelia przeciągnęła się, prostując długie ramiona, jak przed skokiem do wody, i wypinając biust – nadal twardy i pełny, jakbym widział go wczoraj.

– Jestem nieprzytomna, pijana i zaraz padnę, ale przedtem powiedz mi jeszcze, jak to było wtedy.

– To znaczy?

– Czy ty wtedy chciałeś ze mną... no wiesz. Miałeś na to ochotę?

– Dlaczego pytasz? Teraz.

– Jakoś mi się to podobało, że nie próbowałeś mnie tknąć. Ale też trochę złościło. Czułam jakies niebezpieczeństwo. Chyba ci mówiłam?

– Mówiłaś. Miałem dwadzieścia parę lat i wydawało mi się, że bycie niebezpiecznym jest sexy.

– Byłeś fanfaronem. Ale całkiem miłym.

– Dzięki. Tak naprawdę łatwo mnie było obezwładnić. Łatwo się zakochiwałem.

– Różę kochałeś monogamicznie. Na zabój.

– Mhm. Jednak nawet kiedy byliśmy razem, dostrzegałem wdzięki innych kobiet. Byłem psychicznym monogamistą, nie umiałbym zdradzić uczucia do Róży nawet wiele miesięcy po jej odejściu, ale to, co nazywasz ochotą, właściwie nigdy mnie nie opuszczało. Tkwiło w moim ciele albo, jak wolisz, w jego dolnej połowie. Hamowałem to, a może hamowała to moja, skazana na przebrzmienie, miłość do Róży. Należałaś do jej świata. Ceniłem twoją przyjaźń. Z biegiem

czasu miałem coraz większą ochotę na seks z tobą. Ale bałem się, że to zepsuje coś między nami. Że zrobiłbym krzywdę tobie i sobie. Zresztą ani wtedy, ani potem nie zadawałem się z kobietami, które miały mężów czy narzeczonych. Taka zasada.

Co powiedziawszy, zdałem sobie sprawę, że ostatnie zdanie jest kłamstwem, i to podwójnym. Wobec Cornelii nie mogłem się kierować „taką zasadą”, bo wtedy nawet nie wiedziałem, że w Holandii czeka na nią narzeczony. Sądziłem raczej, że kręci się przy niej kilku polskich absztyfikantów.

– A teraz?

Nie rozumiałem jej pytania, ale nie chciałem, żeby je objaśniała.

– Teraz? Od lat jestem pogodzony ze światem i ze sobą, to znaczy przelatuję każdą laskę, jaka się nawinie. Kiedyś znajdą mnie w ciemnym zaułku z przyszpiloną scyzorykiem kartką na piersi: idź do piekła.

Zgasilem papierosa. Cornelia znów się uśmiechnęła, a raczej próbowała się uśmiechnąć.

– Wiesz, Cornelio, teraz patrzę na to wszystko jak przez mgłę prześwietloną matowym wrześniowym światłem. Miłość, przyjaźń, seks... w tej mgle wszystko to wygląda trochę inaczej niż w pełnym słońcu. Ale nie musi wyglądać jak w greckiej tragedii.

– Gówno prawda.

– Może i tak, choć nie całkiem.

– Nie całkiem. Wcale nie przelatujesz każdej laski. A to o mgle – ziewnęła – nie brzmi źle.

– Mówisz do rymu. Nie mam drugiej pościeli, więc możesz spać w mojej albo tu, pod kocem.

– Wolę tu.

Kiedy przyniosłem koc i poduszkę, już spała, z podkulonymi nogami i dłonią wsuniętą pod policzek. Zdjąłem jej okulary i nakryłem ją aż po ucho pokryte jasnym meszkiem. Nagle wydała mi się obca, jakby przyjechała z innej planety. Pomyślałem: to przecież twoja Cornelia, bracie, uratowała ci życie. Siostra. Nic w przyrodzie nie ginie. Musisz spłacić dług. I poczułem się osobiście.

Jestem zmęczony. Noc poszarzała. Wrześniowa mgła – gówno prawda. Szaruga jesienna w styczniu. Trzymaj się ciepło – H.

- [W NOCY]

Ten Facet. Kiedy wszedł do antykwariatu, nazwałam go Tym Facetem.

Za oknem odbywał się wesoły spektakl: zaglądał przez szybę do środka, cofał się, wkładał ręce do kieszeni i sądząc po ułożeniu warg, pogwizdywał. Kiedy zorientował się, że na niego patrzę, ruszył do drzwi. Wszedł. Trzy błyskawiczne wnioski: to facet, który nie podaje kobiecie kawy do łóżka; były sportowiec (pływak?); samotny. I czwarty: kobieciarz. Podrywacz czy uwodziciel? Między jednym a drugim jest taka różnica, jak między włosiennicą a jedwabiem. Nic nie zastąpi pierwszego wejrzenia; uwodziciel, pomyślałam. Miła twarz, ogolona (nie lubię wąsów), żywe niebieskie oczy, w których jednak czai się kompleks Meduzy, sportowa kurtka, a do tego, ni w pięć, ni w dziewięć, garnitur i krawat, zgrzyt: Ten Facet żyje w dwóch światach, trudnych do pogodzenia. Milczał.

– Czy pan szuka czegoś konkretnego?

– Nie. To znaczy tak. Szukam książki.

– Jakiej?

– Nie wiem.

A jednak dziwak, tylko jakiś inny niż wszyscy, których znam.

I wtedy w jego kieszeni odezwał się telefon. Dzwonił ktoś ze świata, którego on nie lubi. Po chwili, nawet nie patrząc na mnie (a jednak kompleks Meduzy), powiedział, że przyjdzie kiedy indziej, i wyszedł. Przed wystawą zatrzymał się na krótką chwilę. Nasze spojrzenia znów się spotkały, przez szybę, jak wtedy. Ale teraz uśmiechnął się, jakoś tak... No – ładnie. Jak to ładnie? Raczej uwodzicielsko. Będzie mnie uwodził?

Laska i bibeloty Esterházych (naprawdę do nich należały!) sprzedane. Mam na czynsz, na prąd i na rozkurz. Są przedmioty, z którymi rozstaję się bez żalu, takie, które sprzedaję niechętnie – zwłaszcza jeśli uda mi się ciekawie odtworzyć koleje ich losu – i takie, po których obchodzę żalobę. Do tych ostatnich na pewno będą należeć książki od pana Lazura, jeśli w ogóle odważę się wystawić je na sprzedaż. Same rarytasy. Nadal nie mam poczucia, że są moją własnością, tak jak nadal nie rozumiem, co łączy pana Lazura z Robinsonem i ze mną. A także z Sándorem. Przecież to nie przypadek, że w *Niebezpiecznych związkach* od Sándora jest taki sam ekslibris jak w książkach z walizki: otwarte okno z widokiem na wzgórze, nad którym unosi się słońce, a na dole nazwisko Sonnenberg – nazwisko ojca pana Lazura. W jaki sposób ta książka trafiła do Budapesztu?

- [NAD RANEM]

Obudziło mnie olśnienie: również Ksawery miał kilka książek z takim ekslibrisem!

- [KILKA DNI PÓŹNIEJ]

Wodzu,

wklejam list, który dostałem wczoraj od Profesora. Daruję sobie komentarze, może Ty będziesz miał jakiś. Idzie to tak:

Drogi Heliodorze,

postanowiłem napisać do Ciebie po naszej wizycie, bo może nie przebiegła tak, jak wszyscy byśmy chcieli. Ale też z innego, ważniejszego dla mnie powodu.

Wiem, co o tym myślisz, mimo talentu aktorskiego, nigdy nic nie umiałeś ukryć: uważasz mój związek z Doris za skandaliczny (Doris – w końcu na taki pseudonim się zdecydowaliśmy, brzmi chyba niezłe?). Stary dziad i piękna, młoda kobieta – to się nie może podobać, zwłaszcza naszym zawistnym rodakom w naszym zapyziałym kraju (używam tych słów z niezmiennym bólem). A dlaczego nie może się podobać? Nic mnie to nie obchodzi. Chciałbym natomiast, abyś Ty nie myślał o tym pochopnie, bo należysz do ludzi, z których zdaniem się liczę.

Pamiętasz szkołę? Musisz pamiętać: Malpę, Rudego, Guzika. I tego, co się plątał zawsze w ogonie, uciekał z wuefu, bo był gruby, przyszczaty na całym ciele i niesprawny. Dobry był tylko z matmy i z łaciny. Tak, właściwie powinienem być wam wdzięczny, boście mnie wepchnęli do biblioteki, między Senekę, Lucjusza i Juwenala – tam szukałem dla siebie miejsca i je znalazłem. Dziś chwalebę to sobie, ale wtedy – szkoda gadać. Dobrze wam było w te maje i wrześnie, kiedyście z tęgimi minami żłopali wódkę, żeby się tym odważniej migdalić z dziewczynami, niedziele spędzać na ciężkim kacu, a w poniedziałki rechotać z tego bez końca. Bohaterowie pierwszej godziny. No co tam, Profesor, a jak twoja sobota? Wytrzepałeś konia? (To sakramentalne pytanko Rudego, podobno zatłukli go na komisariacie). No więc w istocie, robiłem to, ile wlezie, bo wbrew pozorom byłem całkiem normalny. Wtedy myślałem, że nie jestem.

Na studiach nie było lepiej; skończyłem je wprawdzie w trzy i pół roku, po dwóch następnych latach zrobiłem doktorat (tak, owszem, w stanie wojennym, ale byłem po prostu dobry) – tylko życie mi się nie układało. A propos: widziałem Cię wtedy raz czy dwa z piękną kobietą i pękałem z zazdrości. Ifigenia, myślałem, tak mogłaby wyglądać kapłanka Artemidy. Albo Izyda, figura w Sais, przesłonięta woalem (znasz tę historię? przeczytaj u Schillera). Nie mówiłem Ci o tym, kiedyśmy się trochę zbliżyli do siebie – wtedy miałem wrażenie, że tak jest; udzielałem Ci konsultacji w sprawie Herkulesa szalejącego, pamiętasz? W każdym razie nie chciałem, żebyś zobaczył, jak Ci zazdroszczę.

I dziwna rzecz, ale niedawno wydawało mi się, że znowu widzę tę piękną kobietę: zaszedłem do jednego antykwariatu, żeby kupić Doris jakieś cacuszko, i zobaczyłem tam – na obrazie! – kogoś bardzo podobnego do niej. Widzianej przed laty, przez chwilę. A może to przywidzenie? Mniejsza z tym.

Wybacz, że jestem taki szczery. Wszak widujemy się sporadycznie, nigdy nie byliśmy przyjaciółmi – choć lubiłem Cię bardziej niż innych naszych kolegów. Teraz już potrafię być szczery. Zaraz zrozumiesz dlaczego.

W każdym razie ja nie obściskiwałem się z pogańskimi boginkami, wręcz przeciwnie:

poważnie myślałem o tym, żeby zostać mnichem. Nie zostałem, bo wciąż wrzało mi w podbrzuszu. Zamiast tego zrobiłem habilitację, ubrałem się w gronostaje i – żeby nie odchodzić od wyświechtanej frazeologii używanej przez Rudego – pozostałem stajennym, czyli jedynym opiekunem własnej bestii. Stajenny w gronostajach. Moje hurysy to były panie z fakultetu; z jedną z nich związałem się nawet węzłem małżeńskim, ale kiedy okazało się, że nie mogę mieć dzieci, ona nie potrafiła mnie już kochać ani nawet lubić. Opuścić mnie też nie mogła z powodu głębokich przekonań etycznych, więc szybko umarła ze zgrzyoty. Przyjąłem to do wiadomości bez specjalnego żalu.

Po dziewięćdziesiątym roku wstąpiłem do partii wyznaniowej i ciężko harowałem dla kraju. Mijały lata; znów Cię widywałem, raz czy drugi, z daleka; już bez tej bogini u boku; kiedyś z wózkiem, potem znów w towarzystwie różnych pań. Parę razy byliśmy na przypadkowej kawie. Co u ciebie, pytałeś życzliwie, a ja wiedziałem, że nic a nic Cię to nie obchodzi. Nie miałem Ci tego za złe.

W końcu pogodziłem się z rolą stajennego. I nagle – ona. Prosta dziewczyna, która została królową moich snów. A sny stały się rzeczywistością.

Oczywiście wiem, jak to wygląda. Cóż poradzę, że prawda jest całkiem inna niż pozór. Mogę tylko zawalczyć o to, by nie wszyscy (w tym Ty, mój kumpel ze szkoły, do którego odważyłem się znów odezwać) dali się na ten pozór nabrać.

Więc, wyobraź sobie, w moim związku z Doris wcale nie chodzi o jakąś wątpliwą moralnie transakcję. Wyobraź sobie, że chodzi o uczucie. Nawet nie o erotykę (Doris za tym nie przepada, a ja potrafię ją zrozumieć: „Adeat invito”, jako rzekł Tibullus, nie śmieję odchodzić, gdy spotka cię odmowa miłości. Nawet gdyby Doris postanowiła w ogóle ze mną nie sypiać, i tak wiem, że nie byłaby to odmowa miłości, ta bowiem, między nami, jest nieziemską, wzajemną i wiecznotrwałą).

Pewnie się śmiejesz. Trudno. Ale może przynajmniej Ty nie odmówisz mi – nam – prawa do miłości? Z trudem bronię go przed światem, ale robię to – zwłaszcza dla Niej. Tu oto stoję i nie mogę inaczej (jeśli wiesz, o czym mówię).

Wybacz, że zawracam Ci głowę. Jeśli mógłbyś udzielić Doris kilku porad aktorskich, będziemy Ci dozgonnie wdzięczni. Przekonasz się, jaka to zdolna dziewczyna.

Kreślę się z braterskim uczuciem głębokiej przyjaźni –

Twój Profesor

Co tu powiedzieć, Wodzu. Rzeczywiście, na piątym roku profesor W. kazała mi grać Herkulesa szalejącego, a Profesor z euforią wygłosił tylko dla mnie wykład z Seneki. I rzeczywiście pijałem z nim przypadkową kawę, za każdym razem mając poczucie wstydu, bo w szkole średniej należałem do świata, który był dla tego nieszczęsnego chłopaka bezinteresownie okrutny. Swoją drogą, nie przyszłoby mi do głowy, że luminarz polskiej humanistyki mógł parę dziesiątek lat temu pomyśleć, że w osobie Róży przechadza się po Warszawie boska Izyda. Nie mam siły mu odpisać, a tym bardziej spotykać się z miłością jego

życia.

Ale wiesz, zdałem sobie sprawę z truizmu: jaką udręką może być samotność. Ktoś powiedział, że jest zdecydowanie przeludniona.

Twój – H.

- [KSIĘŻYCOWA NOC]

Rozmowa z Januszem – marnie poszło. Kusilo mnie zdanie: „Nie będziemy się już widywać”, ale oczywiście zaczęłam kręcić, wyjaśniać, kłamać. Niestety tylko jedno kłamstwo przyjąłby bezboleśnie: „Wybacz, ale właśnie odkryłam, że jestem lesbijką”.

A swoją drogą – jak to się dzieje, że ktoś nas pociąga, a ktoś inny nie, mimo licznych zalet? Pewnie steruje tym jakiś ośrodek w mózgu. Więc po co się obrażać. Janusz się obraził. I wcale nie chodzi o to, co nas dzieli – że on nie lubi moich żartów, zmyślenia, a ja – kawy do łóżka i pytań o przeszłość. Chodzi o to, że nie tęskni za nim ani moje ciało, ani głowa.

O! – przed witryną stoi Ten Facet. Widocznie właśnie dziś jest to „kiedy indziej”.

Znów się uśmiecha.

Ciekawe, czy już wie, o jaką książkę mu chodzi.

Zmierza do drzwi. Otwiera je. Kropka.

- [UKRADKIEM W BIURZE]

Kochany!

Wicenaczelnym Kretynem ujeżdżał mnie ostatnio jak łysą kobyłą, nie mogłem złapać tchu. Ale właśnie wybył do Hiszpanii na mecz swojej ukochanej Barcelony w Pucharze Króla („Więcej pracuj, stary, to kiedyś też będzie cię na to stać”), więc wczoraj postanowiłem przedłużyć sobie przerwę na lunch i pójść wreszcie po książkę dla mojej córunki.

Moja córunka. Chciałbym Ci o niej opowiedzieć, ale nie wiem jak ani co. Z jej dzieciństwa ze mną zostały mi w głowie tylko pojedyncze obrazy. Kadry bez dźwięku. Spocona niemowlęca główka na mojej piersi, kiedy idziemy na plażę w Białogórze. Czarno-czerwone boa, w które ustroiłem ją na przedszkolny bal maluchów. Kiedy była tu ostatnio, powiedziała z właściwą sobie szczerością: „Wiesz, nie mam nic do węży, ale boa nienawidzę!”.

Komu, jeśli nie Tobie, mam wyznać, że cholernie mi jej brakuje.

Marznący deszcz, ludzie ledwo łapią równowagę. Drzewa gestykują na wietrze. Świat cuchnie zimnym dymem i mokrą szmatą.

Wchodzę do tego antykwariatu. Czego tam nie ma: jakieś lalki, figurki (Priap!), stare mapy, lampy, obrazy. Nawet kołowrotek. Przez głowę przelatuje mi banalna myśl (zwykle banalne myśli odrzuca się ze wstrętem, bo wstyd je mieć, a przecież, przynajmniej niektórych, szkoda). Więc myślę sobie: stare przedmioty mają widzialną duszę.

Książek nie dostrzegam. Muszą tu być, co jak co, ale książki z pewnością, i to same białe kruki. Jest jasny półmrok, świeci tylko fikuśny kandelabr, a za biurkiem siedzi ona. Kobieta o ładnym biuście.

Co Ci mam powiedzieć? Widok kobiety, nienacechowany niczym szczególnym, w sytuacji powszedniej, takiej jak ta, może działać tylko na dwa sposoby: neutralny, czyli de facto negatywny – nie wywołuje w mężczyźnie zupełnie nic, mężczyzna (jak ja) podchodzi i pyta: przepraszam, czy sprzedaje pani także książki?

I może działać inaczej. Mężczyzna zbliża się do niej na trzy kroki, nieruchomieje i nie myśli o żadnych książkach. Chyba w ogóle nie myśli. Patrzy. Nie nazywa tego, co widzi, wyłącza język. Cały staje się zmysłowym odbiornikiem. Obraz wchodzi w niego jak nóż w masło. Co masło może powiedzieć, przyjmując w siebie nóż?

Rozsmaruj mnie. Ale to za łatwe. Nie mówimy o nieco wstydlwym popędzie, może dlatego że jako ludzie kulturalni zaraz włączamy mózg, przywołujemy się do porządku – nie dajemy nic po sobie poznać (albo tylko tak się nam wydaje), nie chcemy patrzeć zbyt natarczywie, uśmiechamy się, mimowolnie (mimowolnie?) dokładając starań, żeby to był jeden z TYCH uśmiechów. Róża mawiała, że uśmiech to moja najsilniejsza broń, a ja traktowałem tę jej opinię jako lekko obraźliwą. Uśmiech? A ja myślałem, że inteligencja. I może coś jeszcze.

– Dzień dobry.

- [PÓŹNYM WIECZOREM]

Ale najpierw obraz. Półdługie włosy chyba wpadające w kasztan, odsłonięta szyja, lekko pochyłe ramiona – jak to się dzieje, że pochyłość ramion kobiety jest tak podniecająca? Duży biust oparty na lewym przedramieniu, tak że pośrodku dekoltu, gdyby był ciut głębszy, widać by było ponętną kreseczkę. Ale nie jest głębszy; trudno, żałujemy (ja i moja wyobraźnia), że nie nosi pani odważniejszej garderoby.

Ładna, jasne, że ładna. Nie spuszcza ze mnie wzroku i uśmiecha się – łobuzersko, tak, co najmniej zuchwale. Jakby wszystko rozumiała i na tej podstawie wybrała sobie łobuzerski uśmiech. W prawej dłoni blisko ust trzyma w dwóch palcach okrągłe ciastko. Chyba makaronik.

Dłoń z ciastkiem. (Mózg znów wyłączony). Raczej drobna i szczupła, palce o wypielęgnowanych, pomalowanych bezbarwnym lakierem paznokciach. Nieruchoma. Gdyby ruszyła (bez zupełnie niepotrzebnego makaronika) w stronę mężczyzny, gdyby go dotknęła, udzieliłaby mu swojej energii i temperatury; na pewno jest dość silna, ciepła i sucha, a uścisk nie za mocny i nie za słaby. Uścisk kobiecej dłoni wiele mówi mężczyźnie.

– Dzień dobry.

Dłoń drgnęła w stronę ust (klasycznie wyciętych), usta rozchylają się i chwytają ciastko, palce ocierają się o siebie, żeby strzepnąć okruszki, i znów nieruchomieją, jakby czekając na nowe zadanie. Usta zamykają się i poruszają powoli – pochłonęły cały makaronik, łakomie. Łakome usta.

– Dzień dobry.

Światło ma kolor miodu, wydobywa z włosów kobiety ciemnomiedziane pasma. Pod kącikiem ust zawisł jej białoszary kokosowy wiórek. Palec serdeczny strząsa go paznokciem, język przesuwają się po wargach jak jaszczurka. Halo.

Zasilanie awaryjne mózgu.

– Chciałbym kupić książkę.

– Świetnie. A jaką?

– Nie wiem.

– Aha.

Głos ma niski, lekko ochryply, roześmiała się. Ładne zęby. Ciekawe, jaki lubi alkohol. Pali. Mężczyzna czuje słodkawy zapach dymu.

– Wszystko panu jedno, jaka to będzie książka?

– Tak. Nie.

Telefon w mojej kieszeni.

– Przepraszam.

Przydupas Wicenaczelnego Kretyna: „Dlaczego cię nie ma, myślisz, że kim ty jesteś? Natychmiast wracaj do firmy. Natychmiast!”.

Wkurwiony zazdrośnik: nie pojechał na Puchar Króla, do hotelu z jedwabną pościelą i prosecco do śniadania. Chowam telefon. Kobieta patrzy na mnie chyba z ironią.

– Przepraszam, przyjdę kiedy indziej.

Uśmiecha się znowu, wzrusza ramionami, dłoń wędruje do pudełka i wydobywa makaronik, który nawet nie wie, jak ma dobrze.

Cienki lód chrupie mi pod stopami. W pewnym wieku coraz rzadziej miewa się poczucie

tak bezwzględnie przypisane do czasów młodości jak to, które miałem teraz. W pewnym wieku umiemy już myśleć o sobie nie najgorzej. Ale teraz tuptałem po tej lodowej tafli, z rękami w kieszeniach, wśród przemarzniętych przechodniów, uchylałem się od lodowatych smagnień i miałem to właśnie znane mi sprzed lat poczucie: jestem cholernym debilem.

Pójdę tam znowu, Wodzu.

Trzymaj się ciepło – H.

PS Mróz coraz tęższy, moja trasa biegowa zamieniła się w lodowisko. Ale pobiegłem, a potem popłynąłem – machnąłem całą jednostkę treningową. Znowu myślałem o tych wszystkich czarnych, szarych i bladożółtych porankach, kiedy robiłeś cuda z moim ramieniem, ściślej mówiąc, z obręczą mojej kończyny górnej. A ja słuchałem Cię jak ojca, żeby nie myśleć o Róży, o skakaniu z pociągu z ciężkim, zakazanym plecakiem. Myślałem o Twoich łzach, kiedy udał się tamten półfinał. Płaczący Indianin. Postaram się, żebyś znów sobie popłakał. Popłaczemy razem – dwóch szczęśliwych facetów.

Kupiłem Ci nową piżamę i zostawiłem w recepcji. Z flaszką jeszcze czekam. Ale powoli się zbieraj – Twój H.

- [CIEMNA NOC]

Za drugim razem wszedł do antykwariatu, za trzecim, czyli dzisiaj, również do mojego życia. Wraz z nim do środka wpadły fala mroźnego powietrza i Faust. Stanęli przede mną, kiedy, niczego nie przeczuwając, czyściłam naszyjnik Sol de Mayo – wpatrzeni we mnie identycznym wzrokiem (jeden z dołu, drugi z góry): jesteśmy samotni, nikt nas nie kocha, pada śnieg, więc nie masz wyboru. A mój wzrok usiłował oznajmić: chłopcy, to zwykły szantaż, nie dam się na to nabrać, każdy jest samotny, ja też, wielkie mi mecyje. To była prawdziwa bitwa na spojrzenia i miny, podczas której ważyły się losy dwojga ludzi i psa. Chciałam powiedzieć: słuchajcie, w moim życiu nie ma miejsca ani dla psa, ani dla mężczyzny. Jest wypełnione po brzegi, jak ten zagracony antykwariat. Nieprawda, chciałam powiedzieć: posunę się i zrobię wam trochę miejsca. W końcu to Faust nie wytrzymał napięcia i podjął decyzję: położył się pod biurkiem i oświadczył, że już się stamtąd nie ruszy: „Dobij mnie albo przygarnij”. I zaczęliśmy się śmiać.

Gdyby ktoś patrzył na tę scenę z boku, pewnie inaczej by ją opisał. Na przykład tak: „Przed nią stał facet, który miał coś. Chciała, żeby wrócił – i wrócił. Był obietnicą. Zasługiwał, jeszcze nie wiedziała na co. Na herbatę?”.

– Napije się pan herbaty?

– Chętnie.

– Czarnej czy zielonej?

– Z cytryną.

– Przy drzwiach jest wieszak.

Spod kurtki wyłoniła się brązowozielona marynarka, beżowa koszula, której miałam ochotę dotknąć, i piękny krawat.

– Wyskoczyłem z pracy.

– Widzę. Będą kłopoty?

– Będą.

– To dobra wiadomość. – Czyli biznesmen, ale z przypadku.

Faust przeniósł się na stary kilim w róże, a my gawędziliśmy za pomocą zdań prostych oraz równoważników zdań i chyba oboje zastanawialiśmy się, do kogo teraz należy ten mały biały pies, który też podejmował trudną decyzję: kogo wybrać.

A teraz wyleguje się na moim plażowym kocu jak u siebie w domu. Co na niego spojrzę, od razu zaczynam myśleć o wolności. Jak łatwo ją stracić. Umiałam o nią zadbać już od dzieciństwa. Metoda była prosta, intuicyjna – starałam się, żeby nikt nie pokładał we mnie większych nadziei. Jeśli ludzie niczego od ciebie nie oczekują, masz wolność. Klara w mig to pojęła i już jako niemowlę nie chciała spełniać oczekiwań lekarzy, którzy doskonale wiedzą, jak się powinno rozwijać KAŻDE dziecko. A w szkole podobno specjalnie robiła błędy ortograficzne. Nikt nie doceniał jej radosnych eksperymentów z ortografią. Nie pojmuję, jak się dostała na studia, a tym bardziej – jak je skończyła, w dodatku rok wcześniej.

– Czy ona w ogóle studiuje? Zawsze kiedy do niej dzwonię, jest na imprezie, nad morzem, w górach albo gdzieś za granicą – pieklił się Rafał.

– No to nie dzwoń i czekaj, aż sama zadzwoni. Po co się denerwować.

– Jesteś niemożliwa. Co za szczęście, że się z tobą nie ożeniłem.

Nie chciałam mącić tego szczęścia sprostowaniem, że to ja za niego nie wyszłam.

– Tak, na pewno byś zwariował i miałabym kłopot.

Przez całe lata prowadziliśmy takie rozmowy, które utwierdzały mnie w przekonaniu, że moje żarliwe modlitwy do bóstw lunarnych miały sens.

Rafał. W końcu do niego zadzwoniłam. Same nieszczęścia: stracił pracę, okazało się, że najmłodszy syn jest narkomanem, żona wpadła w depresję. Potrzebują pieniędzy, sporej sumy. Nie mają od kogo pożyczyć. Żegnaj, odwrotko bokserów, jestem wdzięczna losowi, że chociaż przez chwilę mogłam się tobą cieszyć. Kiedyś cię odkupię.

Przy Ksawerym czułam się wolna. Nikt nikogo nie naprawiał, nie było miłosnych

zwierzeń, wspomnień, zawsze, nigdy, tylko detale (lubię twoje czerwone rajstopy, a ja twoje granatowe skarpetki z tym żółtym herbem, nie, to lew, aha, nie wiedziałam, dlaczego nie nosisz zegarka? bo mam alergię na czas). Za matką nie tęskniłam, byłam jej tylko ciekawa. Spokojnie pożegnałam się z ojcem, w poczuciu, że zdążyliśmy ze wszystkim. On był dobrym ojcem, ja dobrą córką. Ciekawe, kiedy stosowne organa dowiedzą się, że on nie ma grobu. Czy wolno nie mieć grobu? Czy wolno kogoś, całe jego poczciwe, rzetelne życie, rozsypać na wietrze? Nie wiem, zrobiłam to i ja też nie mam żadnego grobu. Lena uważa, że Klarze by się jakiś przydał. Po co? Również ona odprawia pogańskie misteria: rozmawia z dziadkiem i wozi jego zdjęć smallecie po całym świecie.

Ma na imię Heliodor. On chyba też nie uwierzył, że mam na imię Luna.

- [SOBOTA]

– Cudowna ta kaczka, Sabciu.

Jak zwykle. Sabina zawsze miała dryg do gotowania, wołała to niż teatrologię. A odkąd w jej życiu pojawił się fizyk nuklearny, mogła spokojnie porzucić wiedzę o teatrze i zająć się tym, co kocha. Czyli gotowaniem, nie tylko dla sztuki, ale także dla swojego Lutka.

Lutek z kolei bez żalu porzucił fizykę; nie zdążył się nią zachwycić, bo więcej czasu spędzał na milicyjnym dołku niż w laboratorium. Zdążył się za to zachwycić Sabina i tak powstało najlepsze małżeństwo świata. Do niedawna Sabina prowadziła małe bistro po drugiej stronie Wisły, ale sprzedała je, żeby sfinansować studia syna w Ameryce. Lutek długo nic sobie nie mógł znaleźć, więc wylegiwał się na kanapie, aż wreszcie trafił do telewizji, gdzie od paru ładnych lat jest na wylocie.

– Jak długo jeszcze, Lutek? Masz wory pod oczami. Pijesz za szybko. I tyrasz po nocach, tak? Wykitujesz – powiedziałem. – Czy ta robota jest tego warta?

– Daj spokój. Wiesz, jaki to uparciuch. – Sabina kołysała winem w kieliszku.

– Tak? A znajdziesz mi inną pracę? Mam pięćdziesiąt siedem lat i rzeczywiście wykituję. Jak wszyscy – prychnął Lutek.

No jasne. Co za pomysł: przekonywać Lutka, żeby zadbał o siebie. Zresztą nie miałem nastroju do tego i chyba tak jak on byłem myślami gdzie indziej. Ściśle biorąc, w miejscu, o którym Ci już mówiłem i jeszcze opowiem. Ale nie teraz.

W połowie trzeciej butelki merlota Lutek oparł brodę na piersi i zadrzemał głośno. Wyszliśmy do kuchni. Zapaliłem przy oknie papierosa, a Sabina układała talerze w zmywarce.

– Powiedz mi, Maks, i z góry przepraszam za to pytanie: dlaczego ty jesteś sam? Z wyboru?

Zaciągnąłem się i wpatrzyłem w księżyc.

– Nie wiem, Sabciu. Może nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty.

– Wyglupiasz się.

– Nie całkiem. Wierzę w przeznaczenie.

– Uciekasz od odpowiedzi.

– Nie znam jej.

Sabina wyjęła mi z ręki papierosa. Oparła się o mnie.

– A wiesz – powiedziała cicho – wtedy, w latach osiemdziesiątych, durzyłam się w tobie. Ale byłeś zajęty.

– Ty też byłaś zajęta.

– Nie. To było przedtem. Zanim poznałeś Różę, a ja Lutka.

– Aha. No tak. Widywałem cię w szkole. Myślałem sobie, że jesteś fajna.

– No właśnie, Maks. Minimaks.

Staliśmy obok siebie i gapiliśmy się przez okno. Księżyc co jakiś czas przesłaniała chmura. A potem znów świecił jasno.

– Wiesz co – powiedziała wreszcie Sabina – coś tu się nie zgadza. W szkole byłeś trzy lata niżej ode mnie. Na aktorskim, ja na wiedzy o teatrze. Nie zwróciłam na ciebie uwagi. Tylko słyszałam wtedy, wszyscy słyszeli, o Minimaksie: minimum wszystkiego, maksimum niczego. Nie mogłam się w tobie zadurzyć.

– Jak to nie mogłaś? Z powodu różnicy wieku?

– Głupi jesteś. – Szturchnęła mnie i zachichotała.

– A ty bystra i odkrywca.

Oddała mi papierosa.

– Prawda jest taka, że poznaliśmy się, kiedy przyjechałeś z Różą do Dębek. A ja już miałam dwuletnie dziecko.

Objąłem ją ramieniem.

– No widzisz. Wystarczy nieuważnie spojrzeć w przeszłość i człowiek potrafi sobie ułożyć całkiem inne życie – powiedziałem.

– Mhm. To teraz bądź uważny i zrób to z przyszłością. Swoją. Po prostu trochę ją ulóż, co?

Wzruszyłem ramionami.

– Już tam, w górze, ktoś pewnie nad tym pracuje. Czuję, że moja przyszłość będzie świetlana.

– Oby. – Westchnęła.

Lutek zakaszłał przez sen.

– Przyniosę mu koc – powiedziała – bo się zaziębi, nie weźmie zwolnienia i dostanie Bóg wie czego. Grypy z powikłaniami.

Jeszcze raz zapatrzyłem się w księżyc. Niebo całkiem przejaśniało, obrodziło w gwiazdy. Wydawało mi się, że coś tam widzę, jakiś kształt. Może to był skrzydlaty wąż, który uciekł z egipskiego hieroglify? Czyżby odfrunął? Zostawił nas? A może przeciwnie, mówi nam właśnie coś ważnego? O czasie. O przyszłości. O nas. Ciekawe co.

Twój H.

- [CIEMNO, ZIMNO]

Wybieram się do Konrada na wernisaż prac młodej artystki „Sztuka kobiet – instalacje waginalne”. Cóż począć, przyjaźń wymaga poświęceń. Ta artystka, niejaka Kamilla, nieźle zawróciła mu w głowie. Z własnej woli na pewno bym nie poszła. Skoro jednak pisuar czy rowerowe koło są wielkimi dziełami, to może niepotrzebnie się wzbraniam. Wiele lat temu stałyśmy z Klarą przed tym pisuarem, czy raczej jego repliką, a widząc jej minę, zaczęłam się śmiać na całe muzeum. Przypomniało mi się, jak dawno temu, w łazience, Laura wprowadzała mnie w świat przedmiotów rozbawionych swoim awansem do sfery artystycznej. Leżałam w wannie, a ona przemawiała tonem nielicującym z przyziemnością otoczenia. „Wyobraź sobie, że wszystko to – wskazała sedes, umywalkę, piecyk gazowy, pralkę Frania, wannę – może być dziełem sztuki”. „To ja się kąpię w dziele sztuki?”, spytałam. „Prawie. Musisz ją tylko zataścić na jakąś wystawę. Razem z wodą, w której pływają gumowe kaczuszki”.

- [MROŹNY PORANEK]

Taka to była rozmowa, Wodzu, posłuchaj:

– A ty? Masz jakiś cel w życiu?

Włosy przyklepione do czoła. Mimo mrozu i śniegu tylko krótka skórzana kurtka i zbyt odważnie rozpięta bluzka. Buńczuczne piersi. Podeszła do sofy, usiadła ciężko i wsunęła

zziębnięte dłonie między uda w dżinsach.

– Zaparowały ci szkła, Cornelio.

– Masz czy nie masz?

– Pewnie, że mam. Spędzić przyjemnie kolejny dzień.

– To znaczy?

– Przyjemnie znaczy grzesznie lub niezdrowo.

– Pieprzysz.

– Owszem, od przypadku do przypadku.

Zdj smallałem jej okulary, wytarłem starannie rąbkiem koszuli i wsunąłem z powrotem na nos. Byłem w ekumenicznym nastroju.

– Lepiej?

– Lepiej – mruknęła. – Jakie mamy plany na wieczór?

– Bo ja wiem? Wernisaż „Sztuka kobiet – instalacje waginalne”.

– Będą tam jacyś faceci?

– Przypuszczam, że nie w twoim typie.

– Co jeszcze?

– Degustacja win w hotelu Excelsior. Tam na pewno będą faceci, których wolałbym nie spotkać.

– Interesujące.

– Tylko z bardzo ekscentrycznego punktu widzenia. Propozycja trzecia i ostatnia: piwo, orzeszki i czeski film *Butelki zwrotne* w telewizji. Na tej sofie.

– No tak. Nie wiem, czy grzesznie, ale na pewno niezdrowo. Daj mi lepiej wódki.

– Ładny film – powiedziała i ziewnęła.

– Coś mi się zdarzyło, kilka dni temu.

– Mów, byle ciekawie.

– Poszedłem do antykwariatu po książkę dla córki. Prowadzi go intrygująca kobieta. Już raz tam byłem po tę książkę, ale jej nie kupiłem. Więc poszedłem znowu.

– Dłużyzna. Miało być ciekawie.

– Obok mnie stał pies, biały mieszaniec, utyłany w brudnym śniegu. Otworzyłem drzwi i wsunął się do środka przede mną. Ona coś pisała, podniosła na mnie wzrok i patrzyliśmy na siebie.

– I to jest to wydarzenie? Że wszedłeś do sklepu i gapiłeś się na intrygującą właścicielkę? I co kupiłeś?

– Co?

– Mówiłeś o książce. Jaką książkę kupiłeś? – Cornelia znów ziewnęła, przeciągnęła się i naląła sobie wódki.

– Żadnej. Chodzi o to, że... Kiedy tak patrzyliśmy na siebie, wyobraziłem sobie scenę jak z filmu: kobieta wstaje zza biurka, podchodzi do mężczyzny tak blisko, że on czuje jej piersi na żebrach, zapach włosów i oddech na szyi. Niemal się stykają.

– Stykają?

– No wiesz. Ciało w ciało. Wytwarza się pole elektryczne.

– Elektromagnetyczne.

– Właśnie. Ona dotyka jego ramienia, delikatnie, ale z pewną energią, i ta energia coś robi z mężczyzną.

– Przesuwa mu dźwigienkę z dołu do góry. Banał. Chcesz opowiedzieć o swojej dźwigience? – Cornelia oparła brodę na pięści i patrzyła na mnie z ironicznym półuśmiechem.

– Upraszczasz – rzuciłem.

– A ty komplikujesz.

– Nie. Mężczyzna widzi ją dopiero pierwszy czy drugi raz w życiu. Coś takiego nie zdarza się na co dzień.

– A tobie jak często? Z czasem coraz rzadziej, nie?

– Mówię ci o czymś nadzwyczajnym, a ty sobie kpisz.

– O czymś nadzwyczajnym, no tak. – Cornelia zmrużyła oczy i wpatrzyła się we mnie. Milczeliśmy. Spodziewałem się jakiegoś trudnego pytania, ale spytała: – To co z tym filmem. Nie bocz się. Opowiadaj.

– Wcale się nie boczę. Więc stoją tak, ciało w ciało, i mężczyzna czuje, że to się musi skończyć, nie może tak trwać. Czas zaczyna pędzić. On gorączkowo szuka słów, chce powiedzieć coś w rodzaju...

– Coś w rodzaju: pani jest taka piękna, chcę spędzić z panią resztę życia.

Zacząłem żałować swojej szczerości. Nie należy raczyć strapionych przyjaciół historiami, których nie potrzebują.

– Dawno nie miałeś kobiety, co? – Cornelia uśmiechnęła się ciepło. Wzięła moją głowę w obie dłonie, jak przed laty, kiedy pytałem: co ja mam robić, Cornelio. Wciąż były zimne. Delikatnie zdjąłem je ze swoich skroni. – Masz szorstkie ręce. Co dalej z panią z antykwariatu?

– Nic. Pies, który zresztą nie jest jej, wlaź pod biurko. Zaproponowała mi herbatę.

– A potem było jak zwykle w takich filmach?

– Coś ty. Gdyby o to chodziło, nie opowiadałbym ci. Zresztą nie wiem, dlaczego ci opowiadam. Po prostu się rozgadałem.

Cornelia zamyśliła się.

– Samotni ludzie, samotne psy. Wzruszające.

Chciałem ją wziąć za rękę i powiedzieć cokolwiek, co nie byłoby tak głupie jak na przykład „wszystko będzie dobrze”. Ale nie znalazłem takich słów.

– Jestem zmęczona. Zamów mi taksówkę.

– Pod warunkiem, że weźmiesz moją kurtkę. Jest minus dwanaście.

– Dzięki, tato. Umyję też zęby, obiecuję.

Mam nadzieję, że w szpitalu grzeją i nie marzniesz. W razie czego podeślę Ci dodatkowy koc.

Bywaj – H.

- [NIEDZIELA]

Doskwiera mi, że Laura jest tak daleko. Coś przegapiłam. Ona nie przez sentyment do Galicji wybrała sobie ten dom seniora pod Krakowem, zrobiła to z troski o mnie. Żeby nie sprawiać mi kłopotu. I żebym raz, dwa razy w miesiącu mogła się przejechać pociągiem.

Jakie on ma oczy? Niebieskoszare. Z przewagą niebieskości. Przyglądał się moim ramionom?

Lubię miarowy stukot kół. Przelotne krajobrazy za oknem pędzącego pociągu. Na półce nad moją głową leży portret Laury. A nuż na jego widok jej umysł na chwilę się rozjaśni, coś zdradzi, i poznam tajemnicę, jej i swoją – przecież była mi matką, nawet kimś więcej, bo nie łączyła nas kurczowa więź biologiczna, pętla nadopiekuńczości, jaka zaciskała się na szyi wielu moich rówieśników. Nie uważam, że z powodu braku matki cierpię na jakieś defekty psychiczne. A zresztą – nie muszę mieć racji. Tego też nauczyłam się od Laury, która często wygadywała urocze głupstwa, po czym całą wypowiedź anulowała refleksją: „Wiem, że nie mam racji” albo drugą, znacznie mocniejszą: „Nikt nie ma racji”. Czasem jednak radykalnie zmieniała zdanie: „Wszyscy mają rację”. Do dziś nie rozumiem tej osobliwej teorii względności. Nie szkodzi, przecież „Nie wszystko trzeba rozumieć”, a nawet – „Niczego nie trzeba rozumieć”. Ponieważ Laura nieustannie dzieliła się ze mną tego rodzaju mądrościami, byłam wiecznie zagubiona. Nadal jestem. Lubię żyć w zagubieniu.

Już ze sto razy pokonałam trasę Warszawa–Kraków–Warszawa. Mijam te same krajobrazy, ale wciąż coś się zmienia: pory roku, niebo, kolory, pogoda, jakieś detale, współpodróżni, których traktuję podobnie jak swoje antyki. Antyczni ludzie. Wymyślam im przeszłość.

Naprzeciwko mnie siedzi nieco starszy ode mnie mężczyzna. W młodości marzył o karierze muzyka, chciał grać na perkusji, ale zwyciężył rozsądek – rodziców, nie jego – i został inżynierem. Dobrze na tym wyszedł, bo dzięki solidnej posadzie nadal może sobie bębnić. Ma na swoim koncie kilka wynalazków: między innymi automat do przewracania nut i mechanizm do wiązania krawatów, który ułatwił życie tysiącom mężów i żon.

W dniu mojej pierwszej miesięczki Laura stanęła przede mną i uroczystym głosem oświadczyła: „A teraz, kochanie, możemy przejść na ty. Jesteś dorosła”. Wyjęła z lodówki radzieckiego szampana. „Sowietskoje igristoje, mów mi Laura”. Nigdy nie upiłam się tak jak wtedy, w wieku trzynastu lat. Nazajutrz miałam kaca i nie poszłam do szkoły. „Luna była nieobecna w szkole z powodu niedyspozycji”, przeczytała dwa dni później w moim dzienniczku wychowawczynie. Na głos, żeby cała klasa mogła to usłyszeć. „A czy wolno wiedzieć, jaka to była niedyspozycja?”, spytała oschle. „Miałam kaca”, odpowiedziałam kamiennym głosem, zapewniając sobie tym samym tróję ze sprawowania i podziw całej klasy. „Dobrze, że nie dwójka – ucieszył się ojciec, oglądając moje świadectwo – W końcu nie zdasz ze sprawowania do następnej klasy”. „Zdam, zdam. Oni już od dawna chcą się mnie pozbyć”. „No to nie przyjmą cię do liceum”. „Nie szkodzi, wybieram się do zawodówki. Chcę się uczyć obróbki skrawaniem”.

Uwielbiałam rozmowy z nimi. I cały ten teatr absurdu, który po śmierci ojca uprawialiśmy we dwie. Niestety Laury w pewnym sensie też już nie ma. Mimo to opowiem jej, co się ostatnio działo: o swoich podróżach, o panu Lazurze, o wystawie Guercina, na której byłam trzy razy. Lubiła go. Kiedyś przez kilka godzin opowiadała mi o jego obrazach przedstawiających powrót syna marnotrawnego. Pamiętam jej wykład – chwiejny, chaotyczny, zakończony dramatycznym pytaniem i wygłoszoną grobowym głosem odpowiedzią: „Ale gdzie jest matka? Matka jest tą ciemną chmurą na niebieskim niebie”.

Może wspomnę też o Heliodorze. Że coś się wtedy stało. Zbyt długo na siebie patrzyliśmy. W mankietach jego koszuli tkwiły spinki z berylowym oczkiem (heliodor). „Trzymaj się z daleka od solarnych mężczyzn”, przestrzegła Laura. „Ale jak ich rozpoznać?” Z jej odpowiedzi wyłonił się taki obraz: lubią się wylegiwać na plażach mórz południowych, oczywiście gapiąc się na dziewczyny w bikini, kochają władzę, są apodyktyczni, świetnie udają nieśmiałość, ale to zdobywcy, bywają okrutni, piją mocne trunki w odcieniach żółci (whisky, koniak, brandy), mają słabość do złota (to jedna z ich nielicznych zalet – obdarowują nim kobiety); klasycznym przykładem mężczyzny solarnego jest ten wybitny drań Faust i również sam Goethe. Spinki są stare (tak na oko – druga połowa XIX wieku), pewnie odziedziczone po dziadku albo pradziadku, a zatem słoneczni byli również przodkowie Heliodora. Na pytanie, czy istnieją mężczyźni solarno-lunarni, nie otrzymałam odpowiedzi.

- [NIEDZIELA]

Taka to była niedziela, Wodzu:

Szedłem przez starą dzielnicę naszego miasta i starałem się odgadnąć, w których domach toczy się życie, a w których nie. Nie lubię domów zdradzających, że są puste w środku, okien zabitych dyktą i zimnych kominów. Strużka ciepłego dymu, uchylone drzwi i szczekanie psa od razu poprawiają mi nastrój.

Czy samotnicy lękają się starości bardziej niż inni? Tak.

Pamiętam pewien wiersz, który braliśmy na zajęciach recytacyjnych, a właściwie jego ostatnią strofę: „W ciszy drzwi wędrowiec pchnie, ból skamienił próg i właśnie czystym blaskiem się rozjaśnia stół, a na nim wino, chleb”. Domy, z których się dymi, zapraszają do wnętrza. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj jest niedziela i zwłaszcza sklepy działają odpychająco: spuszczone do ziemi blaszane rolety sprawiają wrażenie, jakby zaraz miała wybuchnąć wojna.

To, co opowiedziałem Cornelii, trochę odbiega od prawdy. Tamtego popołudnia, kiedy wszedłem do antykwariatu w ślad za białym psem, raczej niczego sobie nie wyobrażałem – może później, siedząc w opustoszałym biurze, przed czarnym monitorem. Mniejsza z tym. Było tak, że stałem tam (w antykwariacie) przy parawanie w chińskie wzory i patrzyłem na tę kobietę. Wiedziałem, że moje spojrzenie mówi więcej, niżbym chciał. Ale ona wytrzymała mój wzrok, nie ruszyła się z za biurka. Miała oczy w kształcie migdałów; zwęziły się lekko, kiedy zacząłem obracać palcami prawej ręki spinkę u lewego mankieta. Rozchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć. I powiedziała:

– Napije się pan herbaty.

Bez znaku zapytania. Karminowa szminka.

– Tak, z cytryną, jeśli można.

Więc piliśmy herbatę. Powiedziałem, że nie mam wiele czasu.

– Będzie pan miał kłopoty w pracy? To dobra wiadomość. Ale, ale. Pan szuka jakiejś książki. Dobrze pamiętam?

Dlaczego, u licha, moje kłopoty to dla niej dobra wiadomość? Uśmiecha się, więc żartuje. Postanowiłem nie brnąć w to. I nie uciekać wzrokiem.

– Tak, dla córki, w prezencie urodzinowym. Szukam czegoś w dobrym guście. Może być coś z klasyki, także po francusku lub angielsku. Nie mam na myśli nic konkretnego.

Zamyśliła się, wzięła kosmyk włosów między dwa palce i przesunęła je wolno z góry na dół.

– Na pewno coś znajdziemy. Jak pan widzi, tu jest wszystko.

Poczułem się pewniej. Tak właśnie może się zaczynać gra, stara jak świat. Jedyna taka gra, której reguły ustalają sami gracze, i to dopiero w jej trakcie.

– Jak pani na imię?

Roześmiała się.

– Zwyczajnie. Luna.

Luna. Pewnie rodzice dali jej Leontyna. A może Selene? Szczyt pretensjonalności. Dobrze by było przejść na ty, ale nie zaryzykowałem. Nie odbiła piłeczki: nie spytała o moje imię, tylko patrzyła na mnie z rozbawieniem.

– Bardzo ładnie – powiedziałem. – Księżycowo.

Pokręciła głową, ale nadal się uśmiechała. Potem rozmawialiśmy; miałem wrażenie, że znamy się od dawna. Chciałem dotknąć jej przedramienia, a ona wiedziała, że mam na to ochotę, i cofała rękę dużo za wolno – żeby poprawić włosy albo sięgnąć po filiżankę. Chyba z porcelany miśnieńskiej.

Słuchałem nie dość uważnie, co mówi o swoim antykwariacie, o cioci, o jakimś starszym panu, który przynosi do sklepu książki. A może coś kupuje? Gubiłem wątek. Ten pies – weźmiesz go? (więc jednak jesteśmy na ty!). Wolałbym wpadać do was na herbatę. Chwytałem jej spojrzenia i gesty, starając się je odwzajemniać – między słowami. Ale nie wydawała się spłoszona – prawdziwa Selene. Patrzyłem na leniwie błędzące po jej szyi miedziane kosmyki. Zapytać ją, czy zna mit o Endymionie? Nie, to za mocne na pierwszy raz (pierwszy? a będzie jakiś drugi?). Nie popisywać się. Zresztą na pewno zna, skoro nazywa się Luna, zna wszystkie mity lunarne. Zbije mnie z pantałyku i nie zdołam tym pokierować.

Czym pokierować?

– Dzięki za herbatę.

– Wpadnij w przyszłym tygodniu, tymczasem pomyślę o książce dla ciebie. Dla twojej córki. Ale...

– Tak?

– Nie powiedziałaś, jak tobie na imię.

Ha! Chciałem jakoś zażartować; nie wiem dlaczego przemknęło mi przez głowę, że w szkole przezywali mnie „Odorek”. W końcu powiedziałem:

– Zwyczajnie. Heliodor.

Spojrzała mi w oczy.

– Świetnie. Heliodor pasuje do Luny. Jak ogień do wody.

Teraz staliśmy rzeczywiście bardzo blisko siebie, za blisko, albo raczej tak blisko, żeby w tej samej sekundzie, w której nie można już było znaleźć się bliżej siebie bez dalszych znanych-nieznanych konsekwencji tej bliskości – żeby dokładnie w tej sekundzie powiedzieć sobie: *adieu*. Jest przecież przyszły tydzień.

Pachniała werbeną. Musnęła mój krawat i opuściła ramiona. Za szybą błysnęło słońce, biały pies, który nie ruszał się spod biurka, dał znać, że właśnie się przebudził. Bezwiednie wsunąłem dłoń w jej włosy, końcami palców dotknąłem ciepłego ucha, pocałowałem ją w policzek (nie zdawkowo, ale i nie zanadto jedwabście) i zsunąłem palce po szyi. Nie drgnęła. Wyszędłem.

- [BARDZO PÓŻNYM WIECZOREM]

Nieprawda, Wodzu. Nie zrobiłem tego bezwiednie. Zrobiłem to jak najbardziej świadomie, może zresztą nie całkiem tak, jak to opisałem. Rozmyślnie wybrałem taki a nie inny gest.

Mężczyzna, żegnając się z kobietą, ma do wyboru trzydzieści trzy rodzaje pocałunków. Jeśli wybierze źle, naraża się na rozmaite kary, z których najgorsze jest szyderstwo. Wyszzydzone całusnik – to już lepsza dola Misiaka, czyli Profesora. Ale jeśli wybierze trafnie, może liczyć na nagrodę. Kiedyś Ci powiem, co przez to rozumiem.

Nie wiem, czy miała mnie spotkać kara, czy nagroda. Ale w tamtej chwili nie chciałem wiedzieć. Wyszędłem z lekkim sercem, choć czekał mnie monstrualnie smętny wieczór w firmie.

A dzisiaj, w niedzielny poranek, polazłem pod jej antykwariat. „Bezwiednie”? Na drzwiach wisiała kartka: „W poniedziałek 10 lutego będzie zamknięte. Zapraszam we wtorek”. Dlaczego ma być zamknięte w poniedziałek? Wyjechała, zabrała psa? Nie miałem jej wizytówki, numeru telefonu, nic. Postawiłem kołnierz, bo wionęło marznącym deszczem. Mój spacer dobiegł końca. Wezwałem taksówkę.

Coś w tym jest, że poniedziałki to marne dni. Twój H.

- [NOCĄ, W DRODZE POWROTNEJ]

Krajobraz za oknem biegnie w przeciwnym kierunku niż rano. Pociąg zatrzymuje się na tych samych stacjach, ale pogrążonych w ciemności i starszych o dziesięć godzin. Czas płynie naprzód, nawet jeśli się cofamy. Więc jak to jest z tą czasoprzestrzenią?

Gdzie jest teraz Laura?

Przez chwilę wpatrywała się w swoją twarz młodszą o jakieś sześćdziesiąt lat i z oczu popłynęły jej łzy. Ona nadal żyje, czuje, tylko straciła kontakt ze światem. Na odchodnym przytuliłam ją i powiedziałam: „Poznałam solarnego mężczyznę”. Nie zareagowała. „Jak myślisz, warto spróbować?”

Znam tę trasę na pamięć, nawet w bezksiężycową noc wiem, gdzie jestem, a właściwie, co mijam. Tym razem powrót jest jakiś inny, jakby ktoś na mnie czekał. No tak – przecież mam Fausta. Nie chcę solarnego psa. Żadnego psa nie chcę. Przepadło. Nie zdążyłam powiedzieć Laurze najważniejszego: kiedy dotknęłam koszuli Heliodora, poczułam pod palcami ciepło. Nadal je czuję. Trwa.

Widać już światła Pałacu Kultury. Do Pałacu Kultury też mam słabość, jak do koszul, i z wiadomych względów to też ukrywam.

- [MRÓZ]

Wczoraj rano, nie do wiary: telefon od Kosmyczka. Podobno otworzył oczyska. Postanowiłem porozmawiać z ordynatorem; musiałem wziąć dzień urlopu. Jadę. Z bukietem róż dla dziewczyny. Ale jej nie ma, zeszła z dyżuru, więc wciskam wiecheć Zeppelinowi – ta jakby w nią piorun strzelił: wypełniła się helem i zaczęła buzować. Frunę do sali sto pięć. Owszem, spoglądasz spod przymkniętych powiek, nie masz w ustach kranu. Poza tym ani be, ani me. Rozplakałem się.

Ordynator mnie nie pamięta. Nic dziwnego, rozmawiałem z nim tylko raz, jeszcze zimą. – Pan jest synem, tak?

– Tak. Coście zrobili?

Źle mnie zrozumiał, może z powodu mojego służbowego wdzianka, w którym wyglądam jak urzędnik wyższego szczebla; myślał, że pytam, o przebieg leczenia.

– Po hipotermii niedopuszczenie do hipotensji tętniczej. No a potem normalnie: monitoring ciśnienia śródczaszkowego oraz ciśnienia perfuzji. Potencjały wywołane...

– Co z nim będzie?

Ordynator popatrzył na mnie znad okularów.

– Zakładamy opcję rezydualnej aktywności pnia mózgu. Stan wegetatywny nie wyklucza świadomości minimalnej. Jeśli ustąpi arefleksja...

– Proszę mówić do mnie po ludzku. Wyjdzie z tego?

– A ma dokąd?

Ba. Dobre pytanie.

– Ma mnie – powiedziałem.

Ordynator pokiwał głową i włożył do ust niezapalonego camela.

– Walka o parametry homeostazy i oddech została wygrana, teraz napięcie mięśniowe. Ale nie potrafimy do końca przewidzieć konsekwencji uszkodzeń tworów siatkowatych. – Camel wylądował w koszu na śmieci. – Dzisiaj nic więcej panu nie powiem. Niech się pan dowiaduje. Częściej niż dotąd, dobrze?

Zrobiło mi się głupio.

– Oczywiście.

– Niech się pan trzyma.

Co za idiotyczny zwrot: „Niech się pan trzyma”. Czego mam się trzymać i po co? Zszedłem na parter. Zeppelin patrzył na mnie pytająco.

– Pilnujcie go – powiedziałem – żeby wam nie uciekł. To niezłe ziółko.

Wsunąłem jej do fartucha sto złotych.

– Zabierz pan to.

– Ale proszę.

– Ja też proszę: zabieraj pan.

I tak zostaliśmy rodziną, Wodzu. Cieszysz się?

A potem zadzwoniła Arleta.

– Narty?

Arleta na studiach była szczupłą rudowłosą nimfetką o drobnych piersiach i antenach wystawionych na świat mężczyzn. Poszliśmy do łóżka chyba na pierwszym roku, raczej przypadkiem. „Nie gniewaj się, ale nie jesteś w moim typie – powiedziała po. – Mam nadzieję, że to nie zrujnuje naszych koleżeńskich relacji”.

Nie zrujnowało; lubiłem Arletę. Zapowiadała się na dobrą aktorkę, może dlatego że nie wkładała w teatr całego serca. Mniej więcej co dwa miesiące paradowała pod rękę z nowym chłoptasiem. I mniej więcej co dwa miesiące zjawiała się u mnie z butelką kwaśnego bułgarskiego wina. „Znowu w życiu mi nie wyszło”, mówiła. Piliśmy wino, przytulaliśmy się, aż wreszcie – sam wiesz. „Reset”, mówiła z dobrym akcentem angielskim.

Zastanawiałem się, dlaczego Arleta działa w łóżku tak, jakbym był starcem, a ona siostrą miłosierdzia. Ale nie przeszkadzało mi to; jeśli tylko nie próbowałem udaremnić jej strategii seksualnej, mogłem być pewien westchnienia: „Właściwie szkoda, że nie jesteś w moim typie”.

Po studiach, w czasie niełaskawym dla aktorów, ja poznałem Różę, a Arleta czekała na paszport; kiedy go dostała, słuch po niej zaginał. Odezwała się jakoś w połowie lat dziewięćdziesiątych. Mieszka w Monachium i jest szczęśliwą, choć bezdzietną mężatką, żoną słynnego neurologa Stanisłausa Schimracha. Kiedy go poznała, Stanislaus, czyli Stach, był już po sześćdziesiątce.

Odkąd Arleta odnalazła się u boku starszego o ćwierćwiecze mężczyzny, widywaliśmy się co dwa, trzy lata. „Narty?”, pytała przez telefon, a ja czasem mówiłem „tak”, jechałem po nią do Monachium i ruszaliśmy w Alpy. Na odj smallezdnym, kiedy zapuszczałem silnik, Stach uśmiechał się po swojemu, od ucha do ucha, i groził nam palcem. Niepotrzebnie – zawsze braliśmy oddzielne pokoje. Zrozumiałem, czego szukała młoda Arleta w mężczyznach – czegoś, co chłoptasiom z pewnością jest kompletnie obce. Może ojca, i właśnie to budziło moją podświadomą sympatię do niej.

– Narty? – zawołałem do słuchawki, kiedy zobaczyłem, kto dzwoni.

– Nie tym razem – powiedziała Arleta. – Jesteś w kwietniu w Warszawie?

– Wszystko na to wskazuje.

– To mroź szampana. Przyjeżdżamy ze Stachem na kongres neurologiczny.

– Ha!

Jak tu nie wierzyć w przypadki, Wodzu. To Ty nimi rządysz? Tak czy siak, czekają mnie bliskie spotkania z neurologią, i to na światowym poziomie. Wyszedłem na balkon zaciągnąć się mroźnym powietrzem. Cisza. Kawalek księżycy. Po drugiej stronie ulicy biały pies. Jakby znajomy. Niemożliwe. Naprawdę niemożliwe? Ech, Wodzu, wszystko będzie dobrze.

Twój – H.

- [PO POŁUDNIU]

Szukam książki dla córki Heliodora i wspominam swoje lektury. Wśród tych przedwcześnie znalazł się między innymi Hemingway. Dostałam na Gwiazdkę *Komu bije dzwon* i pudło krówek ciagutek. Kiedy w noc wigilijną dotarłam do sceny miłosnej w namiocie, w okolicznych kościołach rozdzwoniły się dzwony na pasterkę. Gorączkowo usiłowałam dociec, co robili bohaterowie, że ziemia pod nimi się poruszyła. Rano zarzuciłam Laurę pytaniami, które ją jednak przerosły. Odesłała mnie do Galileusza, Kopernika, a na koniec do wszystkich diabłów. Potem, pod wpływem wyrzutów sumienia (w końcu to nie Święty Mikołaj podarował mi tę książkę), oświadczyła:

– Zapewniam cię, że od tego ziemia się nie porusza. Pisarze czasem, a właściwie zawsze, wygadują głupstwa. Zmyślają. Owszem, bywa przyjemnie, ale bez przesady.

– Byłaś z mężczyzną w namiocie?

– Tak. Kiedyś, dawno temu. W Tatrach i...

– I?

– Nad Adriatykiem. Kilka metrów od morza.

Po feriach inaczej spojrzałam na swoich szkolnych kolegów i zaczęłam wybierać tego do namiotu. Ale do wakacji mi przeszło, bo tymczasem znalazłam w antykwariacie Laury, dokąd zabierała mnie od niemowlęcych lat, *Justynę, czyli nieszczęścia cnoty* i doszłam do wniosku, że sprawy męsko-damskie są podejrzane, lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Nie mogłam jej przeczytać, była po francusku, ale ryciny wystarczyły, żeby się zniechęcić. Laura wyrwała mi de Sade'a z rąk. Stoczyłyśmy pojedynek na spojrzenia, a ja do swoich dorzuciłam jeszcze uśmieški. De Sade'ów w antykwariacie było więcej, jednak po tym epizodzie znikły i wyszły na jaw dopiero trzydzieści parę lat później, kiedy Laura uznała, że Klarze koniecznie trzeba kupić mieszkanie. To markiz sfinansował co najmniej połowę jej kawalerki, która leży odłogiem, bo „ten słodki aniołek” wciąż się włóczy po świecie.

Mejl od Klary: „Oto nasze «nigdzie». Na wyspie Lombok. Domki w Bumbangu ;) teraz jesteśmy w Kucie, kilkanaście kilometrów dalej, wpadliśmy na internet. Całusy, Klara”.

To powinna być wyjątkowa książka. Może *Niebezpieczne związki* z 1912 roku z przedmową „tłomacza”: „arcydzieło psychologii, mało równych sobie mające”. Ale co, jeśli panna jest niepełnoletnia? Niemożliwe – wspomniałby o tym. Zresztą tę książkę też przeczytałam jako nastolatka i zrobiła na mnie mniejsze wrażenie niż pierwsze spotkanie z ekshibicjonistą, które zaprzeczyło zapewnieniom Laury, że ciało ludzkie jest piękne. Pokazywała mi te wszystkie nagie posągi, mężczyzn i kobiety z marmuru, a kiedy w końcu naprawdę się nimi zachwyciłam, na klatce schodowej ujrzałam obnażonego grubasa. Laclos nie tylko nie zgorszy żadnej dziewczyny, ale nawet udzieli jej dobrych rad. Proszę bardzo, z przedmowy Boya: „Kobiety,

o ile czują się na siłach, nie pozostają w tyle za mężczyznami. Słabsze stają się ich łupem, silniejsze zawczasu uczą się rozpoznawać «w dzisiejszym kochanku jutrzejszego wroga» i wypracowują całą sztukę, jak z pierwszego wyssać wszystkie słodycze, nie wydając się drugiemu w ręce”. A przedmowa nakładcy rozwiewa resztkę wątpliwości: „...zdaje się nam, że autor, mimo iż wyraźnie zabiega o prawdopodobieństwo obrazu, zniweczył je sam, i to bardzo niezręcznie, przez wybór epoki, w jakiej umieścił opisywane przez siebie wypadki. W istocie, większość osób, które wprowadza na scenę, tak mocno szwankuje na punkcie dobrych obyczajów, iż niepodobna jest przypuszczać, aby miały żyć w naszym stuleciu; w tem stuleciu filozofii, w którym oświata, rozlewająca się na wszystkie strony, uczyniła, jak każdemu wiadomo, wszystkich mężczyzn tak pełnymi zacności, a wszystkie kobiety tak skromnymi i cnotliwymi”. Czyli to zwykła bujda na resorach – tak Laura określała rozmaite fabuły miłosne. Niech dziewczyna uczy się wysysać wszystkie słodycze i nie wydawać w niczyje ręce.

Trochę żał sprzedawać pierwsze wydanie Laclosa z ekslibrisem Sonnenberga, ale „kasy brak” (kto wie, że to z Mickiewicza?).

- [RANO, PRZED BIUREM]

Kochany,

miałem wpaść do Ciebie wczoraj, ale dzień ułożył mi się zaskakująco i nie wpadłem.

Zadzwoił Lutek i poprosił o szybkie spotkanie. Zdziwiłem się, bo to nie w jego stylu („Sprawa nie na telefon, proszę, nie odmawiaj, byle do południa, dobrze?”). No dobra, wyskoczę z biura trochę przed lunchem.

Patrzyłem na niego od drzwi kafeterii. Zawsze trzymał się prosto, „wzorowy kręgosłup”, powiedziałbyś. Teraz siedział przygarbiony, właściwie zgięty wpół nad stolikiem, z głową wtuloną w ramiona. Prawa noga w bezustannych podrygach.

Musiał czekać od dłuższej chwili, bo był już po kawie i koniaku. Zamówił jeszcze raz to samo. Koniak o wpół do dwunastej. Dla siebie wziąłem podwójne espresso i wodę.

– Co się stało, Lutek? Przerznąłeś w karty i boisz się Sabiny. W końcu wywalili cię z telewizji. Ktoś cię szantażuje.

Spojrzał na mnie znad okularów, z bezbrzeżnym smutkiem.

– Mam kochankę.

– Co?

– Mam kochankę. I nie wiem, co robić.

– Jak to?

– Mam romans. Zdradzam Sabinę. Od kilku miesięcy sypiam z inną kobietą. Nie wiem, co robić, rozumiesz?

– Jeszcze nie. – Wziąłem jego kieliszek, powąchałem i odstawiłem. Sięgnął po niego i wypił do dna. – No to mów – powiedziałem.

– Znałem ją z widzenia chyba od roku. Pracuje w firmie. Jest trochę młodsza ode mnie, o osiem lat. Samotna. Pewnego wieczoru wpadliśmy na siebie na jakiejś gali. Flirtowaliśmy. Potem odwiozłem ją do domu. Zostałem na noc. – Wyjął chusteczkę i wytarł sobie twarz. – Słuchaj, jeśli Sabina się dowie, popełnię samobójstwo.

– Z tym zawsze zdążysz. Najpierw dokończ.

– Myślałem, że to tylko ten jeden raz. Rozumiesz? Zdarzyło się. Trudno. I na tym koniec. Przecież kocham Sabinę i więcej tego nie zrobię.

– Ale zrobiłeś.

– Tak. Wyjechaliśmy na jakąś konferencję. A potem już poszło. Wtorki, czwartki, niektóre niedziele. Nie umiałem się cofnąć. – Zapatrzył się w szybę, za którą przemarznięci ludzie maszerowali w tę i w tę jak na przyspieszonym filmie. – Chyba się zakochałem.

Było mi go strasznie szkoda. Przypomniałem sobie słowa Sabinę: „Więcej go nie ma, niż jest, zwłaszcza w weekendy”, „Wiesz, jaki to uparciuch”, „Przyniosę mu koc, bo się zaziębi”.

– I chyba nie potrafię się tego wyrzec.

Spotkaliśmy się wzrokiem. Nie umiałem ocieplić swojego spojrzenia. Chciałem powiedzieć: „Zdradzasz Sabinę długo i regularnie”. Pożyczone skądś przysłowki, jakbym nie miał swoich. „Sabina potrafi wybaczyć ci całe mnóstwo rzeczy. Ale tej chyba nie”. Jednak powiedziałem tylko:

– Uff.

Zapadło ciężkie milczenie. Kiwnąłem na kelnera: podwójny koniak.

– No tak – rzucił wreszcie – co miałbyś powiedzieć. W końcu jesteś przyjacielem nas obojga.

– Tak. Was obojga. To stawia mnie w trudnej sytuacji. Choć bynajmniej nie tak trudnej jak twoja.

Lutek nalał sobie wody.

– Potępiasz mnie.

Zamyśliłem się nad tym zdaniem. Lutek bawił się serwetką, udając, że nie czeka na

odpowieź.

– Nie. Bardzo ci współczuję.

Zajrzał do pustego kieliszka. Odsunął go i popatrzył mi w oczy.

– Chciałem usłyszeć, co powiesz. Muszę podjąć decyzję. Dominika też w końcu ma prawo wiedzieć, na czym stoi. Krzywdzę je obie.

– Tak, Lutek. Krzywdzisz je obie.

Odetchnął głęboko, jakby właśnie padło zdanie, na które czekał.

– Wiesz, że kocham Sabinę.

– Wiem. A ty będziesz wiedział, co zrobić. Dostajesz w dupę, chłopie. Na własne życzenie, prawda?

Kelner wreszcie przyniósł ten koniak. Popijałem go małymi łydkami. Benzyna. Lutek znów patrzył przez szybę i bębnił palcami o blat. Wiedziałem, że chce teraz zostać sam. Wstałem od stolika. Lutek też wstał. Jest wyższy ode mnie, pomyślałem, a zawsze mi się wydawało, że to ja jestem nieco wyższy.

– Ty wiesz, że jak się nie garbisz, to... A zresztą. Na pewno jakoś to ogarniesz.

– Nie wiem, czy ogarnę. Ale dzięki.

Uściskałem go i pobiegłem do firmy. Przed windą zderzyłem się z Przydupasem, który z niej wysiadł.

– Kolega, widzę, chadza na lunch, o której sobie chce.

Dotknąłem atłasowej klapy jego marynarki.

– Nie gadajmy teraz o tym, co? – Uśmiechnąłem się. – Zjadłem za dużo i jestem znużony.

Wykrzywił usta, bo chyba poczuł ode mnie alkohol. Chciał coś powiedzieć, ale uskokczyłem do windy.

To był naprawdę trudny dzień, Wodzu. Co tu robić? Na trudne dni najlepszy jest sport. Przy tym zostanmy – H.

- [ZBLIŻA SIĘ PEŁNIA]

Wernisaz prac młodej obiecującej artystki Kamilli, która eksploruje kobiecą cielesność (śmieło), potem kolacja w stałym gronie. Próbowaliśmy się wykręcić, że zimno, mam katar

i chandrę, i psa, który na mnie czeka. Konrad pokiwał głową i spytał:

– A tak naprawdę o co chodzi? Za dobrze cię znam. Takie jęki zwiastują u ciebie Bergmana.

– A ostatnio powiedziałaś, że filmu czeskiego.

– Na jedno wychodzi. I tu, i tu jest śmiesznie, tylko inaczej.

– Nie mam czasu na imprezy. Właśnie badam istotę solarności. No wiesz, bóstwa solarne, ludzie solarni, zwierzęta solarne.

– Po co?

– Po nic.

– To się świetnie składa, bo istoty solarne mam w małym palcu. Możemy o tym pogadać.

– Nie masz o nich pojęcia, ale pójdę z wami, bo mnie tym kłamstwem ująłeś.

A jednak nie kłamał. Okazało się, że wszystkie kobiety w jego życiu były spod znaku słońca.

– Nie mam cierpliwości do lunarnych kobiet, są skryte, podstępne, nieprzewidywalne i według mnie trochę zimne i marudne.

– Dzięki. Pasuje do mnie jak ulał.

Kiedy Konrad przysiadł się do młodej artystki, zapewne solarnej, obok mnie wylądował Janusz, już trochę zawiany, żeby się dowiedzieć, czego mu brakuje.

– Niczego ci nie brakuje.

– Czego mi brakuje, że mnie odtrącasz?

– Źle to nazywasz.

– Jak to źle. Przecież mnie zostawiłaś.

– Proszę, dajmy temu spokój. Mówiłam: ty potrzebujesz stałego, solidnego związku, a ja się do tego nie nadaję.

Nie miał zamiaru odpuścić.

– Poznałam kogoś – skłamałam.

Skłamałam?

Znieruchomiał, z uniesionym kieliszkiem, i roześmiał się nerwowo.

– Wiedziałem – parsknął i wrócił na swoje miejsce.

Wysłałam wcześniej niż inni i zabrałam Fausta na długi spacer. Miasto było wyludnione, tylko pod całonocnym monopolowym stała rozśpiewana grupka młodzieży. „Babciu, napij się z nami”, rzucił za mną jakiś szczeniak. I nagle pomyślałam, że fajnie byłoby zostać babcią i zabierać wnuka albo wnuczkę do antykwariatu.

Wróciliśmy po dwunastej, Faust utyłany w śniegu, ja przemarznięta. Potem jeszcze godzinka z Laclosem. Powroty do dawnych lektur bywają zabawne. „Jestem szczęśliwa, powinnam nią być. Jeśli istnieją rozkosze bardziej żywe, ja ich nie pragnę; nie chcę ich poznać. Czyż może być coś słodsze, jak być w zgodzie ze swoim sercem, jak widzieć przed sobą jedynie pasmo dni pogodnych, usypiać bez niepokoju i budzić się bez wyrzutów?”

Owszem, może być coś słodsze niż te wszystkie rzeczy, które tak gorliwie wymienia prezydentowa.

- [NOC, CIĄG DALSZY]

W południe – Heliodor znów za oknem. Lubię tę scenę. Przytupywał, a z jego ust buchały kłęby pary. Co on wyprawia? Dlaczego nie może wejść od razu? Czekałam zajęta czytaniem, a właściwie już tylko kartkowaniem Laclosa – wejdzie, przecież zależy mu na książce dla córki. Czy rzeczywiście chodzi o książkę? Tylko o nią? Wszedł. Powiało chłodem. Faust rzucił się do drzwi z radosnym poszczekiwaniami.

– No to jestem – powiedział Heliodor, wsuwając dłoń w białą sierść Fausta.

– A, to świetnie, bo mam dla córki lwowskie wydanie *Niebezpiecznych związków*, ale gdyby uznał pan, że to dla niej zbyt... – Nie dokończyłam, bo na otwartej książce miękko ułożyła się czerwona róża.

Zrobiło się cicho, miałam wrażenie, że czas się materializuje.

– Dziwne, że nie zmarzła – powiedziałam wreszcie, nie podnosząc wzroku.

– Trzymałem ją pod kurtką.

– To znaczy, za pazuchą.

Kątem oka widzę dłoń i mankiet, w którym złoci się spinka: dar słońca. Spod róży wyziera list prezydentowej de Tourvel do wicehrabiego de Valmont: „Jakiem prawem stara się pan zakłócać moją spokojność? Zostaw mnie pan, nie szukaj mnie, nie pisz do mnie; proszę pana o to; żądam tego”. Sytuacja była naprawdę zabawna. Bałam się, że zacznę chichotać. Już czułam, jak lekko drgają mi mięśnie brzucha, a wtedy Heliodor pocałował mnie w kark. Wargi miał

jeszcze chłodne, dłonie też, pachniał wodą z nutą melona i wyraźnie zamierzał zakłócać moją spokojność. Miał na sobie koszulę w kolorze śliwkowym. Piękne zestawienie: śliwka i heliodor. I pewnie na tym by się nie skończyło, gdyby to była prawda. A było tak: Heliodor, widząc, że róża zrobiła na mnie piorunujące wrażenie, powiedział: „To tylko róża”. Albo tak: ktoś wszedł do antykwariatu, zanim Heliodor zdążył pocałować mnie w kark, i spytał o laskę, którą już dawno sprzedałam.

W każdym razie ładnie zapakowane i przewiązane lnianą wstążką *Niebezpieczne związki* z ekslibrisem przedstawiającym otwarte okno z widokiem na wzgórze, nad którym wisi słońce, powędrowały do rąk Heliodora.

Wyszedł. Na biurku została róża, która teraz wisi pączkiem w dół i się suszy. Laura w ten sposób utrzymywała kwiaty. Mniejsze wkładała do książek – spomiędzy kartek jej ulubionych lektur wciąż jeszcze wypadają dzwonki, niezapominajki, fiołki. Robię z nich zakładki.

Do widzenia, wicehrabio, zabiorę się do toalety albo też zacznę czytać twoje foliały.

- [CZWARTEK]

Patrzysz na mnie, wiem. Przykładałam się do treningu: przed świtem coraz ostrzejsze pływanie, ramię na razie milczy. Młodzi pięciobości trenujący obok patrzą na mnie bez zrozumienia. Dołożyłem też sobie rano trzy kilometry biegu po śnieżnym kartoflisku. I zamierzam kupić rower stacjonarny, inaczej nie zdążę z formą do jesieni.

Siedzę przy swoim szklanym blacie i patrzę szklanym wzrokiem w stronę szklanej ściany, za którą z telefonem przy uchu przechadza się Wicenaczelnny Kretyn. Przydupas siedzi w skórzanym fotelu, prawą stopę w fioletowym pantoflu Pierre’a Corthaya oparł na lewym kolanie i pilniczkiem czyści sobie paznokcie. Wicenaczelnny Kretyn, który uczy Przydupasa elegancji („Najpierw buty, patałachu, potem apaszki”), ma na sobie mniej pretensjonalne wiśniowe pantofle od Johna Lobba i zgrabny żakiecik Kitona. „Popatrz tylko na naszego modnia (to o mnie): żółte spineczki, buciory sprzed pół wieku. Zero klasy i wstyd dla firmy”. Fetyszizm marki – rozczulająca śmieszność narcyza. Gada z emfazą, jakby do tłumu w amfiteatrze:

– Have you ever had sex with a guy like me? What? Fuck you. Oh no, fuck you doesn't mean fuck me. No. Yes. Really? So I tell you: means fuck Barcelona and all that fuckin' shit. You know what? You're a little fuckin' dick, that's all.

Telefon pofrunął w stronę Przydupasa, który pochwycił go w locie dłonią bez pilniczka i odłożył na stolik. Następnie posłał Wicenaczelnemu Kretynowi najczulszego całusa i wrócił do piłowania.

Przedemną leży stara książka. Byłem tam dzisiaj w porze lunchu i proszę: Lwów 1912, masz pojęcie? Podnoszę ją i wącham: pachnie starym papierem. To mi przypomina warsztaty z profesor W., w której kochałem się miłością sztubaka, ona zaś odwzajemniła to uczucie, komentując moje aktorstwo słynnym bonmotem o Minimaksie. Pamiętam tę demoniczną moc,

z jaką mówiła: „Przyznam: w kampanii miłosnej najwyższą cenę atak żywy i dobrze przeprowadzony... który nie zostawia nas w tym kłopotliwym położeniu, abyśmy same musiały naprawiać niezręczność nieprzyjaciela... który pozwala nam zachować pozory poddania się przemocy w tym nawet, na co same się godzimy, i z ręcznie głaska dwie nasze uprzywilejowane słabości: chwałę obrony i przyjemność porażki”. I ów ponętny cynizm, który za młodych i durnych lat przyprawiał mnie, Valmonta z bożej łaski, o bicie serca: „Czyżbyś nie pamiętał, że miłość jest jak medycyna: jedynie sztuką pomagania przyrodzie?” Zapamiętałem to sobie. Ale czy mam tym raczyć swoją córeczkę?

Wszedłem i powiedziałem:

– No to jestem.

– A, to pan. Mam dla pana książkę.

Pan? No tak, idioto. Siedziała za biurkiem, na którym leżało kilka starych wydań. Otwarty Laclos. Położyłem na nim różę, którą miałem pod kurtką. Uśmiechnąłem się wewnętrznie, bo powstała kiczowata ilustracja: żywy kwiat na pożółkłym, zadrukowanym starą czcionką papierze. Spotkanie natury z kulturą.

To był naprawdę niezły strzał. Tak mi się przynajmniej wydawało. Pochyliła głowę; chciałem dotknąć wargami jej karku, ale – czyżby zamierzała się roześmiać? Więc jednak kulą w płot? Wiedziała, czego chcę. Nie było rady, nie mogłem tego zrobić – to właśnie byłaby niezręczność nieprzyjaciela.

– Ozłocę panią.

Uśmiechnęła się.

– Lepiej nie. Wystarczy, że pan zapłaci.

Ktoś otworzył drzwi.

– Dzień dobry.

Pies szczeknął nieprzyjaźnie, z bezsilną słuszością.

Kończę, bo Przydupas wymachuje do mnie przez szybę. Mam ochotę pokazać mu środkowy palec, podnoszę rękę, ale tylko poprawiam spinę przy mankiecie. To dużo gorsze dla niego, bo nie wie, czy powinien czuć się obrażony.

- [NAD RANEM]

Znów kartkowałem Laclosa. Valmont: „Na próżno przywodzę sobie na pamięć rozmaite moje tryumfalne zuchwalstwa; nie mogę się zdecydować tutaj na tę drogę. Abym się mógł czuć zupełnie szczęśliwy, ona musi mi się *oddać*”. Markiza de Merteuil: „*Musi ci się oddać*,

powiadasz: no, dobrze, musi, to pewna”. No nieźle. „Ale, żeby skończyła na *oddaniu się*, najlepszy sposób jest ten, aby zacząć od *wzięcia*”.

Miałem ochotę się napić. Ani kropli w całym domu. Zszedłem do Rogera, na szczęście jeszcze nie zamknął.

– To co zawsze?

– Tak.

Bar był prawie pusty, tylko na kanapie w kącie obściskiwali się jakaś para. Roger odwrócił się do mnie plecami, leniwie wycierał szklanki. Mogłem pogadać najwyżej z różą, która wyzierała w moją stronę z menzurki. Ale nie miałem ochoty gadać, myślałem o włosach Luny, o dwóch miedzianych pasmach, które rozeszły się na dwie strony i zapraszająco odsłoniły jej lekko wypukły kark, podczas gdy dłonie, niemłode, doświadczone dłonie, leżały beczynnie na biurku. Co by zrobiły, gdybym... Zajrzałem do szklanki z podwójnym Jackiem Danielsem, w której kolebało się stare złoto. Potem pomówilibyśmy o Laclosie, dlaczego Laclos, w jakim wieku jest twoja córka. Pana córka. O której pani zamyka? Czy mogę panią odprowadzić? Dziś lepiej nie. Lepiej nie – już to słyszałem. Zresztą mieszkam niedaleko. Świetnie.

– Roger! – wyszperałem z dzinsów pięćdziesięciozłotowy banknot.

– Już? Idziesz?

– No. Wezmę tę różę.

Mocno wiało, pobiegłem do samochodu. Miasto było już puste, samochód połykał białe, połyskliwe znaki na jezdni. Jazda trwała krótko, miałem na nogach domowe espadryle, przeskakiwałem kałuże. Dzwonek. Otworzyła natychmiast.

Zimno. Drgnęła, jakby chciała się cofnąć, ale nie zrobiła tego. Stałem przed nią, blisko, jak ostatnio w antykwariacie, tylko że teraz czas nie naglił. Płynął powoli. Podałem jej różę. Wzięła ją w dwa palce i patrząc mi w oczy, opuściła ramię. Poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć. Czyżby czas zaczął biec? „To tylko róża”, powiedziałem. Roztarłem dłonie. „Zimno”.

Myślałem o chwilach, w których czas przyśpiesza, ale nie pogania nas ku starości, wręcz przeciwnie. Starzejemy się, kiedy stoi w miejscu. Kiedy płynie we właściwym tempie, a wschody i zachody słońca trwają stosownie długo, mamy to, co najlepsze: władzę nad czasem.

Sięgnąłem po szklankę i wypilem duszkiem.

– Roger, nie wziąłem portfela, zapłacę następnym razem.

Ciekawe, gdzie ona mieszka.

Nie patrz tak na mnie, myśl lepiej o sobie. A teraz już śpij – H.

- [PISANE W ŁÓŻKU]

Lena też uznała, że dopada mnie Bergman i trzeba pośpieszyć mi z pomocą. Odeszła od łóżek pacjentów po udarach mózgu i bez zapowiedzi wpadła do antykwariatu.

– Powiesz od razu? – spytała, przyglądając się swoim paznokciom pomalowanym na wiśniowo.

– Lekarki nie powinny malować paznokci.

Nie chciałam się zwierzać. Zwłaszcza że nie wiem, co mi doskwiera. To znaczy wiem, ale tylko trochę. Nieopisywalny niepokój radosno-smutnego stanu, którego nie sposób nazwać.

Zaczęła się przechadzać, złośliwie komentując różne rzeczy: straszna ta figurka tancerki, patera na owoce – kiczowata (wzruszenie ramion), i kto dzisiaj kupuje takie koszarne poszarzałe koronki? (nikt). A, wyczyściłaś korkociągi, chyba powinnaś je sprzedać jakiejś winiarni (tak). Oho, i zaczynasz zbierać suszone kwiaty – żenada.

Czekałam, co z tego wyniknie.

– Chyba nie chcesz tutaj nocować – wypaliła w końcu, opadając na wiejski taboret bez gwoździ, który dwa lata temu przywiozłam z Siedmiogrodu, z narażeniem życia. Chcieli mi go zabrać na lotnisku jako niezarejestrowany bagaż („To nie bagaż, to taborecik, w którym jest dusza siedmiogrodzkiego chłopca!”, „Nie może pani wieźć tego na kolanach”, „No to usiądę na nim w ogniu samolotu!”). – Tylko nie mów, że nic się nie dzieje, bo się na to nie nabiorę.

Mówi jak Konrad, pewnie gadali.

– Zerwałam z Januszem, mieliśmy trudną rozmowę.

– Baję, baję... Wiem, że ci ulżyło.

– Smutno mi, że musiałam sprzedać znaczek z bokserami.

– Nie.

– Daj mi chwilę, muszę się zastanowić. Aha, byłam u Laury. Płakała.

– Dalej.

– Wystawiłam na sprzedaż książki od pana Lazura, chociaż czuję, że nie mam do tego prawa.

Lena pokręciła głową. Rzeczywiście nie miała zamiaru dać za wygraną. Trzymała na kolanach Fausta i oboje wgapiali się we mnie. Lena ma złotobrazowe oczy. Szybko zadałam jej

pytanie:

– Czy ty romansowałaś z Konradem?

Złapała przynętę.

– Przecież mówiłam ci o tym ze sto razy. Na pierwszym roku studiów, zanim się poznałyśmy. To było piękne: żarliśmy się od rana do wieczora, a od wieczora do rana kochaliśmy. Niestety byliśmy jak dwa wampiry, które wysysają z siebie energię. Okazało się, że własnej energii nie można zastąpić cudzą. Jest nieprzyswajalna. – Zamilkła. – O Konradzie innym razem, dobrze?

Jak ja miałam jej o tym wszystkim opowiedzieć? Że człowiek, tak jak drzewo, ma swoje lustrzane niewidoczne odbicie pod ziemią i między górą a ukrytym dołem odbywa się bezustanna wymiana soków. Czasem jednak korzenie prą do światła i wypychają beton albo płyty chodnikowe.

– Lena, jest to, co widać, i to, czego nie widać. Drzewo i korzenie. Poznałam kogoś, kto mógłby się nazywać Déjà Vu.

– Brzmi znacznie lepiej niż te wszystkie twoje Uszatki, Jeżyki i Kurduple.

– Myśmy się już spotkali, to ktoś z prehistorii. Ma oczy, które znam, dał mi różę, którą już dostałam.

Niezawodny instynkt Leny skierował jej wzrok na zasuszoną różę od Heliodora.

Żenada, pomyślałam, jakie to ładne słowo.

– Pocałował mnie w kark – ciągnęłam – ale tak, żebym o tym nie wiedziała, i obserwował mnie, kiedy włączyliśmy się z Faustem po nocy. To było jak sen.

– Pocałował, ale nie pocałował. Śledził, ale we śnie. Nic nie rozumiem.

– Nie musisz.

– Czyli wszystko w porządku: nie jesteś chora, Klara ma się dobrze, Laura żyje, nie zbankrutowałaś, wyglądasz całkiem nieźle, masz fajne sny erotyczne, a w dodatku wokół ciebie kręci się jakiś facet.

– Nie, po prostu przyszedł i kupił Laclosa, za którego słono, bez targowania się, zapłacił, a nawet przepłacił. I tyle.

– Ale dał ci różę.

– Z wdzięczności, że się zajęłam prezentem dla jego córki.

– A pocałunek? Czy to jakiś nowy zwyczaj, że ot tak sobie całuje się w kark miłe ekspedientki? Ty lepiej przestań zmyślać, wymyślać, obmyślać, bo sama widzisz, wszystko ci się miesza.

Milczałam.

Lena machnęła ręką.

– Z tobą tak zawsze.

Dziwne zdanie: „Z tobą tak zawsze”.

Sprawa jest prosta: on JUŻ kupił książkę, której szukał. Druga mu niepotrzebna.

- [PISANE JEDNĄ RĘKĄ]

To jest, Wodzu, jedna z tych historii, o których się szybko nie zapomina. A było tak:

Umówiłem się z Luną do teatru.

– Schnitzler. Podobno bardzo dobre przedstawienie.

– Świetnie. Lubię Schnitzlera. O której po mnie podj smalledziesz?

Wyobraziłem sobie, że właśnie wyszła spod prysznic, owija się ręcznikiem, piersi chcą z niego wychynąć, ale przytrzymuje go łokciami, przekrzywiła głowę, tuląc telefon do ramienia, prawą ręką nieśpiesznie wyciera włosy. Spojrzałem na zegarek.

– Będę o siódmej. Cieszę się. Naprawdę się cieszę.

Moje volvo S70, rocznik 1998, zachrypiało żałośnie i zgasło. Zupełnie niepotrzebnie otworzyłem maskę. Zaraz ją zatrasnąłem, niemiłosiernie brudząc sobie ręce. Umyłem je szerniałym śniegiem i zadzwoniłem po taksówkę, która z powodu oblodzenia spóźniła się o dwadzieścia minut.

Luna zeszła na dół, w kolorowej czapce uszatce, z papierosem w palcach. Miała karminowe usta.

– Przepraszam, samochód mi nawalił.

– Yhm. A zdążymy do teatru?

– Nie. Spektakl zaczyna się za chwilę.

– Szkoda. Mówi się trudno. To co robimy?

Dobre pytanie. Poza „pysznym”, według Sabiny, Schnitzlerem w teatrze, nie miałem pomysłu. Ściśle biorąc, miałem akcesoria do pomysłu, w domu, na później: dobrze schłodzoną wódkę czystą, whisky w średnim przedziale cen, wino czerwone (rioja) i białe (traminer), a także humus własnej roboty, kabanosy, twarde ser, salami, oliwki, masło ziołowe, czarny chleb (fitness) i paczkę makaroników. Ale droga do tego raję zrobiła się zaskakująco niepewna.

– Jeśli nie ma pan planu B, to po prostu chodźmy na kawę – powiedziała Luna.

Knajpy kojarzyłem głównie z kobietami: Exercise z Edytą, błyskotliwą animatorką, którą poznałem w hotelu na Korfu, Modern Life z Marianną, melancholijną rudowłosą malarką pejzażystką. Ale Luna nie pasowała mi do zabawy w aliteracje, zresztą nie znałem lokalu na L.

– Proszę uważać – powiedziałem. Szła pół kroku przede mną, próbowałem dotknąć jej łokcia. – Jest naprawdę ślisko.

O istnieniu cukierni Lukrecja nie miałem pojęcia. To, że wyrosła nagle na naszej ścieżce, wziąłem za dobry znak. W środku przeważali młodzi ludzie, zadumani nad swoimi laptopami.

– Latte macchiato, proszę – powiedziała Luna.

– A ja americano. I wodę.

Podniosła filiżankę do ust. Nad wargą została jej biała kreska, zlizwała ją. Nie spuszczała ze mnie oczu. Oczy jak mandorle.

– To o czym będziemy rozmawiać?

Chciałem jej przypomnieć, że rozmawialiśmy już godzinę przy herbacie z cytryną – między innymi o życiu nocnym w Budapeszcie, gdzie byłem raz, za dnia i przejazdem, i o Guercinie, którego kojarzyłem wyłącznie, nie wiem, czy trafnie, z obrazem przedstawiającym dwóch ludzi i czaszkę.

– Zaczniemy od listy tematów, na które nie będziemy rozmawiać – powiedziałem.

– Doskonale. Zgłaszam wędkarstwo i myślistwo.

Zapatrzyłem się na jej dłonie, którymi objęła filiżankę. Chciałem je skomplementować, w dodatku szczerze, ale coś mi mówiło, że stary repertuar nie na wiele się przyda. Musiałem improwizować.

– Czy teraz już będziemy na ty? – zapytałem.

– Czasami.

No tak. Genialna strategia. Chwała obrony, która nie wyklucza przyjemnej porażki, jak by powiedziała markiza.

– Aha – uśmiechnąłem się. – No to zaryzykuję. Jak to się stało, że prowadzisz antykwariat? Lubisz stare przedmioty?

– Tak, jeśli mają jakąś historię. Właściwie to wszystkie mają przeszłość, tak jak ludzie, trzeba ją tylko odtworzyć. Czasami to bardzo trudne i wymaga wyobraźni. – Sięgnęła do torebki. – Zobacz, tę papierośnicę akurat lubię. Jak myślisz, do kogo należała?

– Do Charliego Chaplina? Do Hajle Selasjego?

– Spójrz na inicjały.

Ładny przedmiot. Ze srebra, a inicjały A.S. w rogu pokrywki chyba z bursztynu albo, mój Boże – z berylu. Obracałem papierośnicę w palcach. Luna wpatrywała się we mnie z uśmiechem.

– Należała do Arthura Schnitzlera. Który w 1902 roku, na czterdzieste urodziny, dostał ją od Olgi, swojej przyszłej żony, kiedy się jeszcze bardzo kochali. Dlaczego ludzie kochają się, a potem przestają? Towarzyszyła mu aż do śmierci. Papierośnica. Kupiłam ją w Wiedniu, za grosze, i nie umiem się z nią rozstać. A sprzedam ją, kiedy rozstanę się z papierosami. Niebawem. Inna wersja jest taka, że Schnitzler otrzymał ją od swojego bohatera Alberta, który w kłębach dymu wciąż czekał na ukochaną. Niestety kobietę zamężną.

– Wspaniała. Przypomniał mi się taki wierszyk o antykwariacie, posłuchaj: „Nikt na was, drogie cacka, nachalnie nie zerka/ W witrynie terakota, kałamarz i złote fibule/ Pewna dama z Kos miała te srebrne lusterka/ W tej misie z brązu były figi, błyszcząły cebule”.

Przysunąłem się do niej tak nieznacznie, żeby mogła tego nie zauważyć. Niby przypadkiem zetknęliśmy się kolanami. Nie cofnęła swojego. Nie mogła znać tego wiersza, który nie jest o antykwariacie.

– Bardzo zmysłowe. Terakota, figi, kałamarz. Co jeszcze? Złote fibule? Fibule. Cacka.

Czuła się bezpiecznie. Mogłem ostrożnie przejść do wątku bardziej osobistego.

– Też pamiętam z dzieciństwa stare przedmioty. Półokrągłą suszkę do atramentu. Pękniętą lutnię mojego ojca. I laubzegę, którą wycinał figurki szachowe.

Luna patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Laubzegę?

– No tak, pałakowatą piłę, a właściwie piłkę, z cieniutkim ostrzem.

– Wiem, co to jest laubzega.

– Oczywiście. – Stropiłem się lekko. – A szachy lubisz? Chętnie bym ci pokazał te po ojcu.

Przyglądała mi się. Jest pewnie kobietą, która zwykle trafnie ocenia facetów. To pozwala jej czasem zaryzykować. I chyba nie pasuje do niej sentencja markizy o przyjemności porażki. Ruch należał do niej. Wykonała go z gracją.

– Książka podobała się córce?

– Jest zachwycona – skłamałem.

– A ty? Lubisz niebezpieczne związki?

Na to nie byłem gotowy. Nie miałem pojęcia, czy mówi do mnie z wielkiej, czy z małej litery. Oczy jej się śmiały, wiedziała, że czuję się rozbrojony. Nakryła dłonią moją dłoń.

– No więc? Lubisz?

Teraz mogłem powiedzieć: „Masz takie wszechwiedzące ręce” albo coś w tym guście. Ale teraz to nie ja kierowałem rozmową. Czy kierowałem nią choć przez chwilę?

– Niebezpieczne związki mogą być przyjemne – powiedziałem, zniżając głos.

Luna nachyliła się do mnie i zajrzała mi głęboko w oczy. Jej palce dotykały mojego przedramienia.

– Przyjemne? – zapytała.

– Mhm.

– Opowiesz mi o tym?

– Tak. Bardzo cicho. Posłuchaj.

Pocałowałem ją. A właściwie dotknąłem ustami jej górnej wargi. Potem dolnej. A potem obu naraz. Poczułem czubek jej języka. Muślinowy i słodki.

– Chyba masz rację – powiedziała.

– Są takie chwile, kiedy szalenie lubię mieć rację. Pójdziemy już?

– Rzeczywiście ślisko. – Wzięła mnie pod rękę.

Nie chciałem wyciągać telefonu i zamawiać taksówki, żeby nie zniweczyć nastroju. Lepiej było złapać jakąś na ulicy. Sprawdziłem, czy mam klucze (natręctwo – zawsze to robię, żeby zażegnać nerwowość). Rozglądałem się czujnie.

I wtedy. Wtedy, Wodzu, wydarzyło się coś absurdalnego. Jak poucza filozofia, istnieją pojęcia, których nie sposób przedstawić – mając do czynienia z taką niemocą, zaznajemy poczucia wzniosłości. Tego absurdu rzeczywiście niepodobna sobie nawet wyobrazić, a wzniosłość

są tutaj, kiedy próbuję go opisać, chyba tylko łyzy upodlenia.

Zobaczyłem dwa światełka, które jechały w naszą stronę. I jasnego koguta na dachu. Kto mi cię zesłał, przewoźniku do raję? Ścisnąłem klucze w lewej kieszeni, prawe ramię wysunąłem, żeby nim machnąć. I dokładnie w chwili, kiedy zrobiłem zamach, zgubiłem rękę Luny i zobaczyłem nad głową swój but, a zaraz potem drugi: ścigały się do nieba. W powietrzu wykonałem jeszcze półobrót, bo rąbnąłem o kamienny lód prawym bokiem. W ramieniu – w tym ramieniu – coś chrupnęło, samochód chlusnął mi w gębę błotem pośniegowym i znikł. *Voilà*.

– Dziwne, przez chwilę miałam wrażenie, że za młodu byłeś sportowcem, ale chyba się myliłam. Wyglądasz raczej jak ciężko ranny żołnierz w okopie. Bitwa kosztowała wiele znoju, a teraz jest raczej przegrana? – Zaciekawione migdałowe oczy patrzyły na mnie z góry, a na ustach błakał się uśmiech. Sympatycznie ironiczny. Nigdy jeszcze, odkąd człowiek nauczył się być ironiczny, ironia nie należała się nikomu tak bezapelacyjnie jak mnie teraz. – Ale nie trać otuchy. Do domu czy od razu do szpitala?

Bolało strasznie; siedząc w śniegu, próbowałem obmacać sobie ramię i bark i nie stękać. Luna zamówiła taksówkę.

– Odwieźć cię czy dasz sobie radę?

– Dziękuję. Jedź do domu.

– Zadzwoń, kiedy już zdołasz unieść telefon. Będę czekać.

Udało mi się wejść do wanny, jutro ortopedia i wyrok – ze specjalnego paragrafu dla niedoszłych triathlonistów i podstarzałych bawidamków.

A mogło być tak pięknie –

Twój zbolały H.

- [WIECZOREM, POCHMURNO]

Jak i gdzie te cuda przetrwały? Atlas geograficzny Bazewicza z 1907 roku. *Pan Tadeusz*, Toruń 1865. *Biblia* Wujka, Lipsk 1844. Mann, *Der Zauberberg* z 1924. W internecie znalazłam mnóstwo Sonnenbergów, ale nie ma wśród nich żadnego bibliofila.

Co rusz spoglądam z wdzięcznością na zdj smallęcie pana Lazura. Miła twarz o ładnych rysach, ale smutna, bez uśmiechu. Znikł tak nagle, jakby się czegoś przestraszył. Zadzwoiłam do upiornego Szmula w nadziei, że się czegoś dowiem. Niestety telefon odebrała jakaś mówiąca po rosyjsku kobieta, która zapewniła, że tylko tam sprząta. Akurat – co jak co, ale nikt mi nie wmówi, że do Robinsona w ostatnim półwieczu zajrzała sprzątaczką. Kobieta chyba poczuła się dotknięta, bo odłożyła słuchawkę. Mejla napisać nie mogę, bo Robinson w sieci nie istnieje. Nie mają strony internetowej, jak ja.

Słoneczne wzgórze. Na ekslibrisie, który Laura zaprojektowała mi kiedyś na urodziny, widnieje księżyc i moje imię. Czuję się tak, jakbym na chwilę odzyskała kogoś bliskiego i znów go straciła. Po co się tym zajmować – tajemnice są ozdobą życia, a rozwikłane stają się tylko faktami.

Konrad promienieje szczęściem. Wpadł i kupił kilka książek o sztuce. Niestety wyszperał też na mojej „prywatnej” półce Fromentina, z którym dorastałam. Podróżowaliśmy razem po Holandii: „Amsterdam zanurzony w pachnących oparach”. Nikt już nie pisze tak o artystach, o sztuce, o miastach. W końcu umówiliśmy się, że Konrad tylko go pożycza. Nie byłam rada – wiadomo, jak się kończy pożyczanie książek. Podarowałam mu też wywiad z Balthusem, tylko dlatego że mam jeszcze pięć egzemplarzy. Na śmierć zapomniałam, że on malował akty małych dziewczynek. Nieprawda, nie zapomniałam. Konrad spiorunował mnie wzrokiem.

– Przyjmij do wiadomości, że interesują mnie tylko dorosłe kobiety, co prawda młode, ale dorosłe. – Ostatnie słowo wypowiedział powoli i dobitnie.

– Nie miałam nic złego na myśli. To świetny wywiad, nic więcej.

– Tere-fere.

Nie było wątpliwości – Konrad zakochał się i postanowił edukować słoneczną artystkę. Boże, spraw, żeby nie porzuciła go zbyt szybko. Niestety, niezawodny instynkt Konrada uporczywie ciągnie go do kobiet, które nie odznaczają się stałością uczuć.

Za oknem od czasu do czasu ktoś się zatrzymuje, odchodzi. Kobiety i mężczyźni. Ich sylwetki oprószone światłem latarni wyglądają jak duchy. Trudno zrozumieć to przenikanie się światów. Że ten niewidzialny zaczyna się nagle materializować. Czyjeś spojrzenie, jakiś gest, przedmiot, zapach naruszają naszą stabilność i zaczynają się czegoś domagać. Przemiany? Czy *déjà vu* przychodzi z wnętrza, czy z zewnątrz? Nieważne – i tak staje się martwym znakiem, trochę jak rzeźba, która na pewno miała ciekawsze życie w głowie autora.

Heliodor nie potrzebuje drugiej książki, mimo to zadzwonił i zaprosił mnie na *Korowód Schnitzlera*.

Skąd wiedział, że lubię Schnitzlera?

Tak – lubię tych obłąkanych ludzi, to ich teatralne życie. Choćby taki Albert – „żyli w niespokojnej, pełnej lęku i żaru czułości i baliby się, że w każdej chwili mogą się przed innymi zdradzić”. Kiedy czytam Schnitzlera, wiem, czego się boję. A jak wiem, czego się boję, przestaje się bać.

Czasem mam wrażenie, że Heliodor zna mój dziennik.

- [DOCHODZI PÓLNOC]

Zamiast w teatrze zasiedliśmy w kawiarni o nazwie Lukrecja. I mówiliśmy o głupstwach.

Było ciepło, przytulnie, pachniało czekoladą i cynamonem. Pokazałam Heliodorowi papierośnicę z berylowymi inicjałami, którą kupiłam w Wiedniu i której od razu, pijąc kawę w Café Central, wymyśliłam przeszłość, co nie było trudne: na wieczku miała inicjały A.S. Heliodor jednak zasługiwał na więcej i w Lukrecji podarowałam mu także inną, wymyśloną naprędce, wersję: że papierośnica mogła należeć właśnie do Alberta, który szaleńczo kochał i namiętnie palił. A wtedy Heliodor podarował mi złote fibule, laubzegę, figurki szachowe. Chciałam, żeby mnie pocałował. Jak to się dzieje, że kiedy kobieta chce pocałunku, mężczyzna bezbłędnie to wyczuwa?

Heliodor, zdaje się, planował dalszy ciąg wieczoru u siebie. Może zaproponowałby drinka albo kolację. Niestety, kiedy wyszliśmy z Lukrecji, pośliznął się i wylądował na chodniku. Na szczęście (zdecyduj się, kobieto – „niestety” czy „na szczęście”), w przeciwnym razie najprawdopodobniej ja wylądowałabym w jego łóżku. Już-już brałam Heliodora pod rękę, a mój mózg zaczął wysyłać subtelne sygnały, które coś dziwnego wyprawiają z ciałem kobiety. Ale reakcja łańcuchowa została przerwana – Heliodor padł na łód, mój mózg się uspokoił i mogłam wrócić do domu, żeby oddać się bezpieczniejszym zajęciom niż seks z kimś, kogo właściwie nie znam, a kto chyba należy do kategorii mężczyzn nazywanych przez Laurę wielkimi planistami albo myśliwymi: „Mają przeciwiczone komplementy, spojrzenia, pocałunki, a nawet zdania. W specyficzny sposób wsuwają dłoń we włosy kobiety. I są bardzo wytrwali, jak biegacze słońca, Indianie z plemienia Tarahumara, którzy stosują polowanie uporczywe”.

Zbierałam się, żeby zadzwonić i spytać, co z jego barkiem. Tymczasem SMS: „Luno. Nie gniewaj się. Zamierzam wygrać walkę z inwalidztwem i proszę o jeszcze jedną szansę. Heliodor”.

- [OD WIECZORA DO RANA]

Wodzu kochany,

nie było rady, poszedłem na ortopedię.

Lekarz wprawnie wpinał zdj smallęcia mojego barku do podświetlonego pudełka na ścianie, rzucał na nie okiem i coś mruzczał. Na kanapce w rogu gabinetu siedziała z podwiniętymi nogami nordycka bogini i przeglądała kolorowe pismo. Nordycka bogini, ale jakoś nienordycko uśmiechnięta. Zgrabna łydka, bliska rzeźbiarskiego ideału pierś pod fartuchem, związane w luźny kok złote włosy i twarz o szlachetnych rysach. W łóżku jest chyba gotowa do pewnych ekstrawagancji, pomyślałem. Ilekroć przewracała stronicę, śliniła palec i spoglądała na mnie od niechcenia, a zarazem ciekawsko. Gdyby nie ból, odczytywałbym to – zapewne mylnie – jako zachętę do pogawędki.

– Miał pan szczęście. Głowa kości jest lekko podwichnięta, ale fundnie pan sobie ortezę i za parę tygodni będzie po bólu. A jeśli wziąć pod uwagę to – lekarz postukał knykciami w plik zdj smallęc i papierów, które przyniosłem, żeby traktował mój bark z należnym szacunkiem – to jest pan dowodem na geniusz pańskiego ortopedy. Co się wtedy stało? Zderzył się pan z pociągiem?

– Coś w tym rodzaju.

– Kto pana rehabilitował? Chciałbym go poznać.

– To możliwe. Przebywa całkiem niedaleko, na pierwszym piętrze. Też zderzył się z czymś ciężkim i miał mniej szczęścia. Śpi od paru miesięcy.

Lekarz spojrzał na złotowłosą koleżankę, a ona na mnie.

– Wielkolud o indiańskiej urodzie.

– Ach ten, pan Bromden. – Złotowłosa postawiła stopy na podłodze. – Rozległy uraz mózgu. Aż trudno uwierzyć, że nie zginął na miejscu.

– Ty go prowadzisz, Helena? – spytał lekarz.

– Nie pamiętasz? To ten z wypadku na autostradzie. Mówiłeś, że będą z tego ze trzy doktoraty, a może i habilitacja.

– Słucham? – zapytałem.

– Pan go odwiedza, prawda? – szybko powiedziała doktor Helena.

Ładne imię. Trojańskie.

– Tak. Pani uważa, że można mieć nadzieję?

– Proszę pana, dopóki człowiek żyje, to trzeba mieć. A on żyje, choć to nieprawdopodobne. Budzi się i zasypia. Pień mózgu działa, więc...

– Czym się pan zajmuje? – Lekarz pisał coś na komputerze i co chwila bębnił w klawisz `backspace`.

– Uprawiam triathlon.

Odwrócił się i spojrzał na mnie znad okularów.

– Stroi pan sobie żarty?

– Nie. Właśnie wracam do czynnego uprawiania sportu.

– Właśnie to zafundował pan sobie odwyk od machania tą ręką. Od każdego machania, tego, wie pan, męskiego także. Rozumiemy się?

– Oj, Stefan, Stefan. A potem ludzie sarkają na lekarzy, że chamy. – Doktor Helena wstała z kanapki i obciągnęła fartuch.

Wyobraziłem sobie, jak płynę z nią po parkiecie na balu w Dniu Pracownika Ochrony

Zdrowia, a jej włosy pachną, nie wiedzieć czemu, anyżkiem.

– Ależ pan doktor wyraził się bardzo oględnie. Zrozumiałem i nie czuję się urażony.

Uśmiechnęła się jeszcze cieplej niż przedtem. Wesoła. Ciekawe, czy na co dzień obdarza tymi uśmiechami jakiegoś szczęściarza.

– No to niech się pan trzyma – powiedziała, idąc w stronę drzwi.

O co im chodzi z tym trzymaniem? Jakies lekarskie zaklęcie czy jak?

– I proszę zajrzeć do mnie, kiedy pan będzie u pana Bromdena. Na neurologii.

Dobrze, doktor Heleno, pomyślałem i skinąłem głową. Zajrzę na pewno.

W taksówce wyjmuję telefon i lewą ręką wystukuję SMS-a: „Luno. Nie gniewaj się. Zamierzam wygrać walkę z inwalidztwem i proszę o jeszcze jedną szansę. Heliodor”.

Cisza. Czuję jakieś przedwieczne ukłucie. Nagle odkrywam w sobie niecierpliwość. Nie czułem jej od dawna. Seks przychodził nieuchronnie, zaraz, jak po burzy tęcza. Prawda, że czasem był końcem, nie początkiem. Nie może być początkiem? Ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie Karen, nadzwyczajną kobietę, której pragnąłem, ale – bez skutku. Spędziliśmy noc na rozmowie. Opowiadała mi o facecie, którego spotkała w jakimś hawańskim barze (kawa rozlana na spódnicę, a później – rutyna, muzyka, alkohol, łóżko). Zapamiętałem, bo podobno poznała go w Warszawie. I że to było bardzo fajne, ale ona myśli, że może nawet fajniej byłoby się nie śpieszyć.

Może i tak. Ktoś siedzi w mojej głowie, zasłonięty gazetą w nieznanym mi języku, i mruczy: „Nie śpiesz się”. Ba!

- [RANO]

Bromden, tak cię nazywają, wiedziałeś o tym? Właściwie dlaczego by nie, skoro jesteś podobny do wodza Bromdena, Wodzu.

Poczułem się trochę nieswojo, historia wraca farsą, wiesz, o czym mówię: mój bark jest tylko „lekką podwichnięty”. Znowu Cię potrzebuję, a ty śpisz. Przynajmniej doktor Helena w Ciebie wierzy – to plus. Po stronie minusów zapisuję gorzką myśl, że jak moja jeszcze-nie-moja dziewczyna zobaczy mnie w ortezie, to pęknie ze śmiechu. „Ciężko ranny żołnierz, bitwa jest chyba przegrana?” A może cała wojna jest przegrana?

Zawieszam się. Lubisz niebezpieczne związki? Opowiesz mi o tym? Muślinowy i słodki czubek języka. Dawno nic mnie tak nie odurzyło.

- [CIEMNY ŚWIT]

Wiadomość od Sándora, że koniecznie musi się ze mną zobaczyć. Coś się stało? Nigdy do mnie nie pisał. Jak ja w dwa dni znajdę kogoś do hałaśliwego kundla, który gubi sierść, ziapie i ma potworne maniery? Może Heliodor. Jasne – przecież Faust powinien być wspólny.

„Proszę o jeszcze jedną szansę”. „Tak, daj mu szansę”, mówi psie spojrzenie. I jeszcze: „Nie zgrywaj się. Przecież chcesz”. Dobrze, psie jeden, właściwie to nie mam nic przeciwko biegaczom słońca. Ktoś, kto biegnie w słońcu dziesiątki kilometrów, zasługuje na szansę. „Jakże ty, Pani, potrafisz mnie skłonić do biegu po laury. Biegnę, by lgnąć Ci do ust. Wiem, czym jest laur za mój bieg”. Skąd to?

- [WCIAŻ RANO]

Dlaczego jestem taki zmęczony? Bolało jak diabli przez całą noc. Żeby tylko to, Wodzu, żeby tylko to, świat byłby piękny. Trzeba popracować nad jego urodą. Obracam w palcach milczący telefon.

- [PO POŁUDNIU]

Wspinam się po schodach, a na wprost mnie, w kierunku przeciwnym – kolumny Trajana. Na śmierć zapomniałem.

– Przepraszam, pani Dorotko. Pani Doris. Doris. Powinienem zadzwonić. Mam kontuzję. Skoro już jesteś, to proszę. Zapraszam.

– Wody niegazowanej?

– A masz campari?

– Z mocniejszych napojów tylko herbatę i kawę. Jeśli mamy się zajmować aktorstwem, droga Doris, to musimy odmówić sobie alkoholu.

– To niech będzie woda.

Kolumny Trajana były osadzone na gigantycznych, połyskliwych cokołach barwy zieleni morskiej. Włosy Lorelei opadały swobodnie na seledyn głęboko rozpiętej bluzki, która od niechcenia zakrywała dwa pagórki. Między nimi, w centrum tej kompozycji, błyskało złote argentyńskie słońce na łańcuchu, ilekroć zza przykurzonej szyby przebijał się do mojej bawialni promień słońca polskiego, lutowego.

– Opowiesz, w czym grałeś? – Długi palec z fioletowym paznokciem potarł skrzydełko nosa.

– W kilku reklamówkach. Ogon w jednym serialu. Ale na dyplomie grałem księcia Homburgu.

– Chyba Hamburga. Mieszkałam w Hamburgu prawie rok.

– Co tam robiłaś?

– Normalnie. Pracowałam.

Billie Jean.

– Sekundę, Doris. Nie odbieraj tego telefonu.

Mina mówiąca: nie wiem, o co ci chodzi, czyżby o coś fajnego?

– A czemu?

– Żadnych telefonów w czasie zajęć. Wyłącz, dobrze?

W drodze do szklanki na stole argentyńskie słońce zachybotowało. Masz oczy jak jeziora, chciałem powiedzieć, szkoda, że bezpowrotnie idzie w nich na dno wszelka mądrość starożytnych, którą Misiak raczy cię przed snem. Albo po przebudzeniu.

– W takim razie... Znasz może kogoś z serialu *Głód miłości*? Albo *Powiedz kocham*? No wiesz, reżysera na przykład – zapytała z nadzieją w głosie.

– Niestety. Bardzo żałuję.

– Trudno.

– No. Trudno. To może zaczniemy? Od wymowy. Aktorka powinna mieć dykcję, rozumiesz, Doris?

– Dykcję? Coś jest ze mną niehalo?

– Całkiem halo. Uroczo wysuwasz język, ale nie wtedy, kiedy trzeba. Musimy go spionizować. – Zrobiłem ruch palcem.

Mina: nawet nie wiesz, jak świetnie kumam, o co chodzi.

– Teraz zaraz?

– Jasne. Spróbuj powiedzieć: szczoteczka szczoteczce szczebioce coś w teczce.

Chichocik.

– Nie!

– Tak, Doris, tak, po prostu to powiedz. Szczoteczka szczoteczce...

– Jaja sobie robisz.

– Spróbuj, Doris.

Łyk wody.

– Scotecka scotec...

Poszedłem do kuchni po opłatek.

– Otwórz buzię, Doris.

Mina: będzie jazda, jeszcze nie wiem, czy mam na to ochotę, ale co mi szkodzi spróbować. Odgarnęła włosy, powoli zadarła brodę.

– Tak dobrze? – Wysunęła język.

Położyłem na nim kawałek opłatka. Poczułem się nieswojo.

– Dobrze, Doris. Teraz językiem przyklej opłatek do górnego podniebienia. Możesz zamknąć usta.

Patrzyła na mnie jak na zboczeńca. Zapaliłem papierosa i podsunąłem jej pliczek opłatków, w który kiedyś w Wigilię zaopatrzyła mnie przezorna Sabcia.

– Weź, Doris. Codziennie przed snem rób to co teraz; opłatek na język i do góry. Aż się przyklei do podniebienia. Misiakowi możesz powiedzieć, że ćwiczysz do... A zresztą wszystko jedno. Musisz rozruszać język. – Znowu kiwnąłem palcem i mrugnąłem do niej. – Szczoteczka szczoteczce, rozumiesz?

Skinęła głową i przeciągnęła się. Mowa ciała wychodziła jej lepiej niż głoski szumiące.

– Jasne, że rozumiem. Rozruszać... – Palec z fioletowym paznokciem powtórzył mój ruch, a jeziora zalśniły niebezpiecznie.

Przypomniałem sobie list od Profesora.

– Teraz ściągnij językiem opłatek z podniebienia – powiedziałem. – No już. Możesz połknąć bez spowiedzi. I leć do tego swojego. Pozdrów go ode mnie.

- [ŚRODA]

Jak to ująć. No na przykład: dzięki za miły wieczór, szkoda, że miał taki finał; nie, nie powinnam o tym wspominać. A może tak: Lukrecja – było miło. Mam nadzieję, że nie skończę jak ona. Chyba zgłupiałam. Siedzę nad prostym SMS-em od pół godziny. Twój pocałunek był

słodki, całuj mnie jeszcze. Uwodź, zapraszaj, biegnij po laury. Napisałam: „Jak Twoja kontuzja? Czy możesz wpaść do mnie w czwartek ok. 10? L.”.

- [MIĘDZY DNIEM A SNEM]

Wodzu,

milczący telefon. Odwykłem od wpatrywania się w milczący telefon.

Czy oprócz tego, że wykazałem się slapstickowym talentem na lodzie, co dla niej nie musiało być zabawne, zrobiłem coś nie tak? Jeśli wziąć pod uwagę ostatnie ćwierćwiecze mojego życia, jest to niestety bardzo prawdopodobne. Ta myśl nie była miła – bo pocałunek w cukierni smakował, oj, bardzo.

Mimo wszystko mogłaby napisać coś w rodzaju: „Jak Twoja kontuzja?”.

Dla odzyskania równowagi zapatrzyłem się na pupę w białym fartuchu: wypięła się wdzięcznie, podczas gdy Kosmyczek wprawnymi ruchami pozbawiał Cię szczeciny. Przymrużyłem powieki: pupa Kosmyczka wyglądała teraz jak biały, krągły, podrygujący we mgle balonik. Ale ten obraz nie chciał się rozwinąć w nic kojąco frywolnego, bo gdzieś z tyłu głowy usłyszałem Twój głos: „Będę przychodził często. Jeszcze będziesz miał mnie dosyć. Mistrzostwa dopiero za osiem miesięcy”. A potem: „Dzielny z ciebie chłopak, Heliodor. Ojciec musi być z ciebie dumny”.

Mój ojciec. Porucznik kawalerii, jeden z tych, co zaludniają polską mitologię romantyczną. Czy Ty jesteś do niego podobny? Słabo go pamiętam. Jak sadza mnie na żrebaka („W naszej rodzinie mężczyźni jeżdżą konno”). Jak uczy gry w szachy („Ćwicz umysł!”) i pojęcia honoru („Czasem lepiej oberwać guza, niż się wstydzić do końca życia. Wstawaj i walcz!”). Jak daje mi berylowe spinki do mankietów („To spinki twojego pradziadka. Pilnuj ich i przekaz swojemu synowi, kiedy skończy sześć lat”). Dlaczego akurat sześć?

Biło od niego jakieś pół boskie, pół pogańskie światło, które parzyło mamę i bez którego nie umiała żyć. Tak bardzo, że odeszła niedługo po nim.

– Skończone – powiedział Kosmyczek. – Musi pan iść, bo zaraz zaczyna się obchód.

Wsunąłem jej pięć dych do kieszonki. Co będzie za osiem miesięcy, Wodzu? Przyjdziesz mi kibicować, czy to ja znów przyjdę do Ciebie? Chciałem podejść, potrząsnąć Twoją wielką łapą. Drgnęła czy tylko mi się zdawało?

Sygnal SMS-a. „Jak Twoja kontuzja? Czy możesz wpaść do mnie w czwartek?”.

Czwartek to najpiękniejszy dzień tygodnia!

H.

Heliodor wszedł do antykwariatu uśmiechnięty mimo kalectwa.

– Jak widzę, humor ci dopisuje.

W jego oczach zamigotały radosne iskierki.

– Owszem. Mam zwolnienie od prawdziwego lekarza, który zabronił mi... no, zabronił mi wszystkiego.

Kuj żelazo, póki gorące. Jedną rękę ma zdrową, da radę.

– Wiesz, to się nawet dobrze składa, bo...

(bo jestem wrednym babskiem, które chce odebrać radość mężczyźnie na zwolnieniu lekarskim).

– Ale oczywiście nie zabronił mi chodzić do kina i spotykać się z kobietami.

– A bawić się i spacerować z psem? – spytałam, przekładając papiery na biurku.

– Bawić się? Tak, właśnie to mi zalecił.

Nie może odmówić, to byłaby jawna nieżyczliwość i uchylanie się od odpowiedzialności za żywe stworzenie, którym mnie obarczył. W końcu odważyłam się podnieść wzrok. Heliodor, wypoczęty i radosny, wyglądał pięć lat młodziej od siebie i dziesięć lat młodziej ode mnie – niewyspanej i zmęczonej psem z rozstrojem żołądka. Miał na sobie miękką flanelową koszulę. Rozpięłam górny guzik – kołnierzyk rozchylił się, ukazując jabłko Adama, po chwili następny guzik... Wzrok kobiety, która spojrzeniem rozbiera mężczyznę, musi być niepokojący. Heliodor spytał:

– Wszystko w porządku?

– Tak, to znaczy nie... – Pewnie, że nie, przecież to on powinien rozbierać mnie wzrokiem „do cna”. – Przepraszam, zamyśliłam się. Czy mógłbyś w tym czasie zaopiekować się Faustem?

Z wyrazem zdumienia było mu do twarzy.

– W jakim czasie? W tym, kiedy się zamyślasz? Bardzo chętnie.

Faust wpatrywał się w niego żałośnie.

– Wyjeżdżam na trzy dni do Budapesztu – wyjaśniłam.

Heliodor zamrugał oczami, jakby nie zrozumiał, przełknął ślinę i chrząknął.

- Pewnie, że go wezmę. A kiedy?
- Dzisiaj, najlepiej od razu.
- Ale miski, karma, posłanie, piłka...
- Mam tutaj, zapakowane. Są też obroża, smycz, lekarstwa. – Nie wspomniałam, że śpi w łóżku.
- Chory jest?
- Nie, tylko czasem ma rozstrój żołądka. Ale to mały piesek.

Heliodor ożywił się, a jego oczy znów zamigotały.

– Niestety wszystkiego nie zabiorę, bo widzisz, jestem kaleką i nie mogę prowadzić auta, a zresztą zepsuło się na amen. Możesz mi go dostarczyć wieczorem?

- [NA LOTNISKU]

Lot opóźniony. Przysnęłam z *Niedzielą w Bejrucie* na kolanach. Książka spadła na podłogę. Jakaś kobieta podniosła ją i położyła obok na stoliku. „Znam go”, powiedziała. „Kogo?”, spytałam, otwierając oczy. „Autora”, wyjaśniła i szybko odeszła. Na ramieniu czarna torba ze sprzętem fotograficznym. Patrzyłam za nią. Pomyślałam, że to „znam go” zabrzmiało jak „kocham go”. W mojej głowie układa się historia dwojga reporterów, którzy nie mogą być razem, bo mieszkają w różnych krajach, a poza tym, żeby stworzyć wspólny dom, któreś z nich musiałoby zrezygnować z zawodu. Ktoś musi czekać – inaczej nie ma domu. Czasem się spotykają, przypadkiem, gdzieś, gdzie trwa wojna albo zatrzęsła się ziemia. Może spędzają razem noc i nad ranem któreś z nich pędzi na lotnisko. I tęsknią za sobą. On w hotelowym pokoju, ona w samolocie. Ich seks jest szybki, niecierpliwy, nie mają czasu na zaloty. Piszą do siebie mejle, czasem dzwonią. Co za szczęście, że nie jesteśmy reporterami. Niech mnie uwodzi. Ale z drugiej strony...

- [W SAMOLOCIE]

...z drugiej strony zazdroścę im: spotkali się, ciągnęło ich do siebie i poszli do łóżka – prosta historia.

Mogłam obejrzeć te figurki szachowe, posłuchać jego oracji i recytacji. Mogłam ująć jego twarz w dłonie i pocałować tę bruzdkę na lewym policzku, wypić jeszcze jeden kieliszek wina. Mogłam zostać.

- [BUDAPESZT]

Znów w Gellercie.

Dostałam trzynastkę. Już mi na niej nie zależało. Od razu wyszłam na balkon, żeby popatrzeć na Dunaj i wciągnąć w nozdrza zapach miasta. Zbliża się pełnia – Głodny Księżyc. Kiedyś w tym pokoju czekał na mnie Ksawery. Na stoliku stały różowe goździki, szampan, dwa kieliszki i talerzyk makaroników, które zakłócały obraz. Nie pasują do szampana, pomyślałam, tak jak ja do tych ciężkich bordowych kotar, luster, kryształowych kieliszków. To jakaś fatalna pomyłka. Czułam się jak kurtyzana w dzinsach. I już miałam zamiar zrobić w tył zwrot, żeby wrócić do swojego hostelu, kiedy zobaczyłam jego okropny krawat w odpustowych kolorach. Zdjęłam plecak i usiadłam w stylowym ludwiku, w którym dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej rzeczywiście mogła odpoczywać po upojnych nocach madame Pompadour. „Niestety swoją suknię wizytową oddałam do pralni chemicznej”, powiedziałam.

Budapeszt układa się do snu i obudzi się skoro świt. Jest jednym z tych miast, które wcześniej wstają. Wcześniej jedzą obiad. Wcześniej zasypiają.

- [PIĄTECZEK]

Bromdenku kochany,

wczoraj i przedwczoraj wydarzenia gnały. Na koniec wprawiły mnie w błąd o następujących współrzędnych: dzień tygodnia – czwartek; godzina – 18.54; miejsce – moje mieszkanie; akcja – dzwonek do drzwi.

– Jesteśmy – powiedziała Luna, a Faust (biała bestia), mój współlokator przez najbliższe kilka dni, skoczył mi na wysokość barku, żeby powąchać ortezę.

– Chwilo trwaj, jesteś piękna – powiedziałem w jego, a zwłaszcza w swoim imieniu.

– Mam pięć minut. Jestem jeszcze niespakowana.

– Negocjujemy: zostań godzinę.

– Pięć minut. Dziesięć.

– To nie są negocjacje. Pół godziny. Błagam. – Błąd. To nie jest kobieta, która lubi męczyzn zawodzących do księżycy.

– Kwadrans. Zanim spytasz: poproszę o kieliszek czerwonego wina.

Miała na sobie dzinsy i bluzę z kapturem. Bluzę z kapturem! Pod nią zapewne sprany podkoszulek. I biustonosz, lekki, ażurowy, który się łatwo rozpina.

Ta ostatnia myśl być może wypisała mi się na czole, bo Luna patrzyła na mnie bardzo uważnie.

– Więc trzy dni, dobrze? – zapytała. – Nie rujnuję ci jakichś planów?

Faust plus jego dobytek przez trzy dni w moim mateczniku to nie była zbyt wysoka cena za wizytę księżycowej dziewczyny. Rozglądała się ciekawie, zwilżając usta ręką. Faust obwąchiwał kąty.

– A skąd, nic nie rujnujesz, wręcz przeciwnie. Moje życie właśnie nabiera sensu, a będzie on polegał na zażywaniu spacerów, karmieniu i głaskaniu. Oraz na czekaniu. Usiądź, proszę. – Wskazałem jej sofę.

– Słuchaj, czy ty właściwie umiesz obchodzić się z psem? – zapytała.

– Jasne. W poprzednim wcieleniu byłem pasterzem.

Uśmiechnęła się, chyba pobłaźliwie, i spojrzała na swój telefon, żeby sprawdzić godzinę.

– Znasz legendę o Endymionie? – spytałem od niechcena.

– Znam wszystkie mity lunarne. Ale nie ma żadnej legendy o Endymionie, jest tylko epizod Endymiona w micie Selene.

– A znasz to: „Chybotałem się na jasnym morzach wielu, porzuciłem ciężar i nie miałem celu, dookoła rekiny, krwawy księżyc nad”...

– Nie znam. A powinnam? Z powodu księżycy?

– To jest wiersz – nieznacznie przysunąłem się do niej na sofie – o statku, który już niby zbutniał, ale tym samym odzyskał wolność, dryfuje po morzu i jak arka przyjmuje w siebie życie. Staje się metaforą macierzyństwa. Potem to idzie tak: „I z twarzą zmienioną sunąłem w dal. Powoli, w trzewiach wiatru wianie, zieleń, ciężar, od którego nie cierpiałem wiele: księżyc, roślina i rekin, i wal”. Więc ten księżyc...

Utknąłem. Ślepa uliczka.

– Jeszcze wina?

– Doceniam twój wysiłek, nazwijmy to, poetycki, ale wołałabym, żebyś powiedział coś od siebie.

– Aktor mówi od siebie, mówiąc od innych. Doleję ci kropelkę.

– Nadal jesteś aktorem?

– Trochę tak. – Otarłem się kolanem o jej udo. – Księżyc jakoś mnie fascynuje, bo jest nadzwyczaj dialektyczny. Wiesz, co mam na myśli? Pełnia i nów, ying i yang, Ozyrys i Izyda, sierp i przęda. Mężczyzna i kobieta. Przy czym on nie jest obojnaczy, księżyc; chodzi raczej

o to, że... Kiedy w niego patrzę, to jakbym czytał opowieść o doskonałej harmonii.

– Nie rozumiem. Dlaczego księżyc jest taką opowieścią? – zapytała cokolwiek podejrzliwie.

– W niektórych językach księżyc jest kobietą, a słońce mężczyzną, prawda? – Dopełniłem kieliszki. – Słońce przegląda się w księżycu, księżyc świeci światłem słońca. Spotykają się w świetlnym odbiciu. A na czym polega rozkosz takiego spotkania? Na dość szczególnym doznaniu. Doznajemy drugiej osoby, ale też – siebie przez tę osobę. Mężczyzna doznaje kobiety i za jej sprawą doznaje siebie. I na odwrót – w doskonałej harmonii.

– Wiesz co? Raczej muszę już iść.

Raczej. Tym razem błysnęła mi w tym słówku nadzieja. Resztę komunikatu zignorowałem, bo jednak Luna się uśmiechała, nie całkiem nieprzyjaźnie. Poprawiłem się na sofie, a ona położyła dłonie na złączonych kolanach, jakby naprawdę zamierzała wstać.

Timing, nauczyłem się tego w teatrze: jeszcze sekunda i będzie za późno.

– Daj mi rękę, pokażę ci coś – powiedziałem cicho i stanowczo.

– Heliodorze. Jesteś jednoręki. A ja jestem myślami w samolocie do Budapesztu.

– Tym bardziej. Nic ci nie grozi.

– Kobieta wysuwa swoją piękną dłoń, prawą, z lekko odgiętym kciukiem. Właśnie tak. Mężczyzna wysuwa swoją lewą dłoń, dotyka prawej dłoni kobiety, tak że ich kciuki przylegają do siebie jak dwa przytulone ciała. Kobieta czuje swoim kciukiem ciepły kciuk mężczyzny. Teraz dotyka ich lekko dwoma palcami lewej dłoni, o tak: kciukiem dotyka swojego kciuka, a palcem wskazującym – kciuka mężczyzny, właściwie delikatnie je objęła. Teraz czuje jego ciepło i swoje ciepło, ciepło, które się nie dodaje, tylko potęguje. Kiedy przesunie palcami po kciuku mężczyzny i swoim, o tak, dozna jego i siebie, siebie i jego – dozna zewnętrznie i zarazem wewnętrznie, niejako w świetle i w mroku, w pełni i w nowiu, aż przymknie oczy i obejmie mocniej, odrobinę mocniej, mhm, tę dziwną figurę złożoną z dwóch ciał, przesunie po niej jeszcze raz palcami lewej dłoni, poczuje wielkie, zwielokrotnione ciepło i...

– Naprawdę muszę już iść.

Powoli cofnąłem rękę. Kolana w dzinsach skleiły się ze sobą jakby na zawsze. Faust przekrzywił łeb i patrzył spod nastroszonych brwi.

– Bardzo żałuję, ta opowieść ma dalszy ciąg – powiedziałem.

– Nie wątpię.

Chyba koniec pierwszego aktu.

– Chcesz obejrzeć szachy mojego ojca?

Zawahała się.

– Tak. Może innym razem.

– Będę żył tą obietnicą przez długie trzy dni. I jeszcze dłuższe noce. Odwiozę cię.

Dopiła wino i sięgnęła po telefon.

– Naprawdę? Samochodem, który zepsuł się na amen, czy dziś po południu zdążyłeś kupić nowy?

Drugi błąd.

– Biedny Faust, dlaczego ja ci to robię? – Podrapała go pod brodą. – Obyś mi wybaczył.

– No tak, skłamałem. Nie znalazłem lepszego sposobu, żebyś... Pozwól, że jednak cię odwiozę.

– Nie, książę kłamców. Nie dzisiaj.

– Jest za kwadrans ósma. Zamówię ci taksówkę.

– Dziękuję, na dole czeka Lena. Moja przyjaciółka. Przyjechała po mnie. Nie chcę, żeby marzła.

Zapaliłem papierosa i uśmiechnąłem się najcieplej, jak potrafię. Byłoby niegodziwością i co gorsza, trzecim błędem dać jej do zrozumienia, że podziwiam tę Lenę, która od czterdziestu minut marznie w samochodzie. Pod warunkiem, że w ogóle istnieje jakaś Lena.

– Zadzwonisz? Do mnie albo do Fausta?

– Mowy nie ma. – Uśmiechnęła się szeroko. – Tu jest jego książeczka zdrowia. Je tylko suche, firmy Royal. I jeśli możesz, kup mu do gryzienia taką zabawkę, która czyści zęby.

Stała naprzeciw mnie w drzwiach i dotykała guzika mojej flanelowej koszuli. Czulem zapach jej włosów; już go znałem. Chciała pocałować mnie w policzek, ale zrobiłem unik i spotkaliśmy się ustami. Na długie dwie sekundy. Dotknąłem jej talii. Przyłgnęła do mnie biustem; mrowienie pod brzuchem. Dwie sekundy trwały dwie sekundy, po czym niestety minęły.

– Dzięki za Fausta. Uważaj na rękę.

– Ty też uważaj.

Z półpiętra:

– Odezwę się po powrocie. Za trzy dni.

Widziałem z okna, jak wsiada do żółtego samochodu, który wydał mi się znajomy. W ogóle zauważyłem, że wciąż mi się coś wydaje.

To tyle, Wodzu, bo zaraz południe, moje kolejne południe, kiedy nie muszę oglądać Wicenaczelnego Kretyna i jego Przydupasa, ponieważ jestem jednoręki – i szkoda mi czasu nawet na to pisanie. Idę na słońce. Na słońce!

H.

- [W DRODZE POWROTNEJ]

Spędziłam z Sándorem cały dzień. Zjedliśmy razem obiad. Był bardziej rozmowny niż zwykle. Dopytywał o Klarę, o Laurę, o mój sklep, o Polskę. Spytałam, skąd miał lwowskie wydanie *Niebezpiecznych związków*. Starzy ludzie często udają, że niedosłyszą. Laura opanowała tę sztukę do perfekcji, jeszcze zanim się zestarzała.

Potem poszliśmy do zamku na wystawę impresjonistów. Nie przypadła nam do gustu: straszny nadmiar. Obrazy nie rozmawiają ze sobą, tylko prowadzą spory. Wyszłam stamtąd ogłuszona i z oczopląsem.

A wieczorem, pierwszy raz, zabrał mnie do swojego antykwariatu. Panował w nim pedantyczny porządek. U Sándora, w przeciwieństwie do nory Robinsona, nie było żadnych rupieci, żadnych rozpadających się książek, nie pachniało starzyzną, wszystko lśniło czystością. Zdecydowanie jestem zwolenniczką złotego środka – czyli swojego antykwariatu, gdzie przeszłość bezkolizyjnie spotyka się z terażniejszością.

Sándor odwiózł mnie do hotelu, na odchodnym powiedział: „Bądź zdrowa” i – nie do wiary – przytulił mnie, a może raczej przytulił się do mnie. „Czas na mnie”, dodał takim tonem, jakby chodziło o jego ostatnią podróż, a nie o powrót do codziennych zajęć. Nie wiem, po co mnie zaprosił czy raczej wezwał.

Do Warszawy wracam bez cacek (trudno), za to z nadzieją, że Faust pod moją nieobecność postanowił zmienić lokum i właściciela. Będę go odwiedzać.

Marnie się czuję, mam temperaturę.

- [NIEDZIELA PRZED POŁUDNIEM]

Wyobraź to sobie: ładuję telefon, podkręcam głośność do maksimum i trzymam go w skrzepowanej ortezę ręce, żeby poczuć wibrację, gdybym z jakiegoś powodu nagle ogłuchł.

Drugą ręką jadłem jajecznicę i czytałem bez zrozumienia wywiad z Profesorem:

„...fatalizm to inaczej nieuchronność przyszłości. Czyli: co ma być, to będzie. Choć niekoniecznie wtedy, kiedy się tego spodziewamy. Czasem akcja się opóźnia, rozumie pan? To się nazywa retardacja: oczekujemy czegoś, ale ktoś wystawia na próbę naszą cierpliwość. Homer znakomicie stosował tę figurę w *Iliadzie*, dobra literatura potrafi rządzić czasem jak bogowie”...

Do licha, Profesor. Ty mi lepiej powiedz, który bóg albo diabeł zepsuł mi telefon, to sobie z nim porozmawiam.

Jajecznicą była niedoprawiona. Ramię boli. Faust nie przestaje gapić się na mnie ironicznie.

Retardacja. Któraś kobieta, która?, mówiła mi, że obce słowa ją podniecają.

Gdybym był pisarzem, wykorzystałbym to do sceny erotycznej.

Chcąc nie chcąc, wracam myślą do tamtych dwóch sekund i czuję wibrację, przyjemnie dolegliwą. Ale nie tu, nie w dłoni z martwym telefonem.

Czas, którym się bawią bogowie. Nie znoszę tego dowodu na ich istnienie.

H.

- [CIEMNY PORANEK]

Z Budapesztu wróciłam z bałkańską grypą. Już w czasie lądowania miałam dreszcze i gorączkę, która rosła z minuty na minutę. Jakimś cudem dotarłam do domu. Padłam na łóżko. Zanim pogrążyłam się w malignie, zdążyłam jeszcze zadzwonić do Leny, żeby powiesiła na drzwiach antykwarium kartkę – zamknięte do odwołania. I niech mnie zostawi w spokoju, bo nie chcę mieć na sumieniu całego szpitala, zresztą grypy nie leczy się, trzeba ją przeleżeć. A potem spałam, spałam, spałam. I śnił mi się Sándor, najpierw młody, radosny, potem stary Sándor, który pokazuje mi piękne cacka, przygasłym wzrokiem spogląda na zegarek i mówi: „Już czas”. Wtedy z ciemności wyłonił się Ksawery, za nim pan Lazurowy z lazurowym parasolem. Co jakiś czas się budziłam, półprzytomna docierałam do kranu w kuchni, żeby się napić wody, potem do łazienki, i z powrotem zapadałam w sen. I dalej śniłam. Ojciec stoi na balkonie i złowieszczo donosi, że znów pełnia, wciąż tylko pełnia. Wilcza Pełnia, Mleczna Pełnia, Pełnia Śmierci. Znał te nazwy w kilku językach. Laura rzeźbi nagie posągi i wzruszona pięknem ludzkiego ciała płacze. Klara wychodzi do szkoły, z jabłkiem w dłoni, i płacze. Pan Lazurowy płacze, Lena płacze. Wszyscy płaczą. Większość ludzi prowadzi życie w cichej rozpaczce. Kto to napisał? Nie pamiętam. Thoreau, podpowiada Heliodor. Kim jest Heliodor? Jest ktoś taki, nosi pod kurtką małą czerwoną różę. Kim jest Heliodor? Biorę go za rękę, ciepłą i suchą, i dokądś prowadzę, tam, gdzie jest przytulnie i bezpiecznie. Znam to miejsce, to jest... Nie pamiętam. Całkiem naga rozpinam guziki jego koszuli, których wciąż przybywa. Świecą wokół nas jak gwiazdy. Kim jest Heliodor? Kiedy to pytanie trzeci raz usiłowało się dobić do mojej świadomości, pojawiła się również odpowiedź: to facet, który opiekuje się moim psem; facet, z którym całowałam się w jakiejś Lukrecji i który pokazał mi podniecającą sztuczkę z kciukami – siedzieliśmy na kanapie i nasze przytulone kciuki uprawiały seks. I coś jeszcze, coś jeszcze: tak, kiedy od niego wychodziłam, pocałował mnie.

Zawiozłam ten pocałunek do Budapesztu. Był miękki i czuły. I to on po dwóch dobach obudził mnie ze snu. „Obudź się”, powiedział pocałunek. „Nie chcę – odparłam. – Sen jest życiem, a przebudzenie śmiercią. Jeśli otworzę oczy, stracę cię na zawsze”.

Budapeszt, Budapeszt, Budapeszt – dudniło w mojej głowie. I nagle myśl: muszę jechać po Fausta. Czy ja zawiadomiłam Heliodora, że mam grypę i nie odbiorę psa?

Resztki snu jeszcze się we mnie kołaczą. Muszę zadzwonić, zanim się rozproszy. Natychmiast.

- [W PIĘKNY LUTOWY WIECZÓR]

„Rozum nasz, tak wąły już, gdy chodzi o to, aby uprzędzić nieszczęścia, tym bardziej nie wystarcza, aby nas po nich pocieszyć”. Wynotowałam to zdanie, zanim Laclos, przewiązany lnianą wstążką, powędrował do Paryża. Teraz je znalazłem.

Zdaje się, że miała wrócić wczoraj. Nie patrz tak, stary, nie mów mi, że telefon jej wpadł do Dunaju. No dobra, damy sobie radę, w końcu nie pierwszozna. Tymczasem, skoro już siedzimy przy jednym stole, to może coś zjedzmy. Choćby i razem, pod warunkiem, że nie będziesz się otrząsał. Nie chcę w talerzu twoich faustowskich kudłów.

- [GODZINĘ PÓŹNIEJ]

No więc ten Laclos zapewne ma rację, gdy chodzi o wątle moce naszego rozumu. Ściślej biorąc, ma rację co do uprzedzania nieszczęść. Ale co do pociechy, to niepotrzebnie pochlipuje. Dajmy tylko szansę rozumowi, a już on będzie wiedział, jak nas pocieszyć. Najlepiej w czyichś ramionach. Ale co zrobić, jak się ma ochotę nie na „czyjeś” ramiona, tylko na bardzo konkretne? Skądinąd rozum powinien iść przed chucią. Akurat ty, kudłaty kolego, nic o tym nie wiesz. Teraz, ponieważ apetyty nam nie dopisują, ja idę do gabinetu pokręcić na rowerku, a ty sobie obejrzyj na przykład Huckleberry’ego Finna. Kiedy powtórzę za pewnym wielkim człowiekiem *E quindi uscimmo a riveder le stelle*, będzie to znaczyło: idiemy na siusiu.

- [NAD RANEM]

– Mówi Roger. Jest tu jedna twoja znajoma. Sama, zdaje się, nie wyjdzie, a chciałbym powoli zamykać.

Złe przecucie. Jakie moje znajome potrafi zidentyfikować Roger? Chyba pejzażystkę Mariannę, może tę panią magister od rosyjskich ziół (jakżeż miała na imię?), Edytę z Korfu? Jej chyba nie. Luny na pewno nie.

No oczywiście, gdy się człowiek śpieszy, to się diabeł – diabeł, nie ty, Faust! – to człowiek nie potrafi zapiąć rozporka i urywa sobie dolny guzik w najlepszej koszuli, która jest ozdobą jego nieprzebogatej szafy. Ty zostań, twoje siusiu musi zaczekać.

– Wypiła ponad pół butelki whisky. Może powinna się położyć.

Cornelia wyglądała jak nie Cornelia. Chyba nigdy nie widziałem jej w czarnej, zalotnie wyciętej z przodu, wieczorowej sukience przed kolano (czy widziałem jej kolana? No tak, na basenie, ale to się nie liczy). Na przekór swojej elegancji siedziała jak facet, z szeroko rozstawionymi nogami w pantoflach na obcasie, z głową spoczywającą na mokrym stole, a właściwie na przedramieniu. Oprócz przedramienia, z przyklejonym do niego czołem Cornellii, na blacie leżały paczka van nelle, wąsy tytoniu, zawilgocone bibułki i ciemne okulary. Była pijaniutka i postękiwała jakby z ulgą, że właśnie się oddała.

– Roger, czy ona coś brała?

– Nie widziałem, chyba nie.

– Ile to kosztowało?

– Zapłacone, tu jest reszta.

– Dobra, a to pięć dych za mój ostatni raz.

– Kwita.

– Pani Hoogen, idziemy. – Wziąłem ją pod lewą ramię, Roger czuwał nad prawym sterem.

– *Rot op dick! Miss Hoogen, ik ben miss Hoogen.* – Zatoczyła się, ale nie zdołała nas przewrócić.

Roger pomógł mi w dalszym rejsie, a w porcie czekał na nas Faust.

– Światła Rotterdamu – powiedziałem, zapalając lampę przy sofie.

– *Dank zij God.*

Niezdarnie skręciłem sobie papierosa. Odpowiedzi na kilka interesujących pytań – na przykład, co robiła u Rogera Cornelia w czarnej sukience i eleganckich pantoflach i dlaczego wlała w siebie tyle whisky? – musiały poczekać do rana: holenderska żeglarka szczęśliwie zasnęła. A ty, Fauściku, nie musiałeś z tego powodu robić kałuży na środku naszego pokoju. Naszego pokoju? Interesujących pytań jest z pewnością więcej, a księżyc się schował i nie odpowiada. Znajdziemy go.

Nie chciałem czekać do rana.

Wędrowałem wzrokiem od twarzy mojej śpiącej przyjaciółki – twarzy ocienionej chmurami jak z obrazów Salomona van Ruisdaela – do martwego wyświetlacza w telefonie. A może na drzwiach antykwarium jest jakiś ślad, informacja, do kiedy będzie zamknięty? Od

kiedy otwarty? Albo... jakiś inny znak?

Najlepiej gdyby sama Luna siedziała tam przy biurku i przetrząsała je w poszukiwaniu telefonu, który gdzieś jej się zapodział, jak wróciła z Budapesztu. Spacer ode mnie do antykwariatu Luny zajmuje mniej więcej czterdzieści minut, a ponieważ Faust ciągnął mnie jak oszalały, pokonaliśmy całą drogę w dwadzieścia osiem minut (ta mania kontroli czasu; przypadłość sportowo-aktorska). Ciemno. Faust szczeka wściekle. Pierwsza pięćdziesiąt dziewięć. Na drzwiach kartka: „Zamknięte do odwołania”. Bazgroł, nie chce mi się wierzyć, że to pismo Luny. U wylotu ulicy patrol. Klnę, zabieram Fausta i odchodzimy.

Wypadek? Był na Węgrzech jakiś wypadek? Media nic nie podawały. Może internet. Ale dlaczego od razu wypadek? Może Luna powiadomiła kogoś, że wróci później, a ten ktoś przylepił kartkę? Że też nie znam nikogo z jej znajomych. Konrad, mówiła kiedyś o nim. Pan Lazur? Przyjaciółka Lena! Wiem o niej tylko, że ma żółty samochód, do którego Luna wsiadła pod moim domem.

Gdybyś, kudłaczu, przynajmniej ją wytropił, to byłby z ciebie pożytek, a tak –

A może wcale nie odj smallechała spod mojego domu z jakąś Leną. Odj smallechała z facetem, dlatego pies jej przeszkadzał. Facet jeżdżący żółtym samochodem. „Odezwę się po powrocie. Za trzy dni”. Właśnie zaczęła się piąta doba. A jeśli ów ktoś o pseudonimie „Lena” coś jej zrobił? Może żółty samochód jest znany policji? Gdzieś go już widziałem, ale gdzie? Guzik podobno kiedyś pracował w UOP-ie, może Profesor ma jego telefon. Ile żółtych samochodów jeździ po tym mieście? Jaki wątył jest rozum, gdy chodzi o... Czyste wariactwo. Pieprz się, Laclos.

Cornelia miała mokre włosy, znaczy wzięła prysznic. Siedziała w kuchni opatulona w koc, piła kawę i paliła. Usiadłem naprzeciw niej.

– Nie pytaj, sama powiem. Wstydziałam się. Chciałam przyjść do ciebie, żeby się wypłakać, ale postanowiłam wypić drinka dla kurażu. Wszystko przez to, że wciąż myślę daty. No dobrze, od początku. Poznałam jednego takiego. Nie szukałam, ale się znalazł. A może szukałam? Koleżanka z hotelu nie mogła iść na squasha, więc poszłam sama. Zagadał do mnie: przystojny, elokwentny, z dziesięć, może dwanaście lat młodszy. No i zachowywał się wobec mnie tak, jak lubię, to znaczy nienachalnie. Zawsze podobali mi się tacy faceci. Zaintrygowało go, że jestem Holenderką dobrze mówiącą po polsku. Wyglądał na mężczyznę, który ma dobry gust i nie martwi się o pieniądze. Pracuje w takim zielonkawym wieżowcu, w centrum Warszawy.

– Ja pracuję w zielonkawym wieżowcu w centrum Warszawy.

– Więc umówiliśmy się na pewien deal. Powiedziałam mu, że szukam mieszkania, że już nie mogę płacić za hotel. A on, że ma duży dom pod Warszawą i jeśli nie będzie mi przeszkadzał jego tryb życia, to mogę w nim zamieszkać, bez żadnych zobowiązań, dopóki czegoś nie znajdę. Tryb życia?, pomyślałam. Chłopaku, właśnie szukam kogoś o niestandardowym trybie życia. Kto sam sobie pierze skarpetki. I też nie chcę zobowiązań. Ale jednak... może raz na parę dni przyniesiesz mi do łóżka herbatę z mlekiem. A może nawet uda się nam przytulić do siebie. Czy

pięćdziesięcioletnia kobieta nie może liczyć na odrobinę czułości, na męskie ramię, po prostu na męczyznę obok?

– Herbatę z mlekiem?

– Miał jeden warunek: żebym pojechała z nim na trzy dni do Austrii na narty, a potem do Styrii, do zamku jakiegoś burgrabiego, i żebym udawała jego, to znaczy nie burgrabiego, tylko chłopaka od squasha, żonę z holenderskiej szlachty. Złot rekinów z branży nowych technologii. A burgrabia życzy sobie, żeby było arystokratycznie i takie tam, będzie miło, a jego papiery, to znaczy papiery chłopaka od squasha, pójdą w górę. *Why not?* Przyjadę w piątek obejrzyć jego dom pod Warszawą, a w weekend poszukamy jakiejś kiecki na tę Styrię.

Cornelia zgasiła papierosa i skręciła sobie nowego.

– Pojechałam, ale o dzień wcześniej. W czwartek. Zwykła pomyłka w kalendarzu, rozumiesz? Dasz mi jeszcze kawy?

Westchnęła ciężko.

– Dom rzeczywiście w porządku. Grzmią Red Hot Chili Peppers. Chłopak od squasha w samych slipach, umalowany jak dziwka. Na szklanym stole piwo, szampan, skorupy po ostrygach, pagór kokainy. A na fotelu chłopaczyna, goły jak święty turecki, jeśli nie liczyć fioletowych pantofli i białej wstążki związanej na... „Holenderska babcia. To jest holenderska babcia, która wpadła chuj wie po co. Ale skoro już jest, to niech nam zatańczy. Najlepiej kankana, na stole. Dawaj, babciu. Rozbieraj się. Weź kreskę i pokaż, co potrafisz”.

Cornelia łkała cicho i bez końca. Za oknem zrobiło się szaro. Na środku kuchni Faust pogryzał leniwie jej elegancki bucik. Przyznaję bez entuzjazmu, panie Laclos, że w sprawie niedołęstwa naszego rozumu nic a nic się pan nie mylił.

- [CIEMNE POŁUDNIE]

Przez całe lata nic specjalnego się nie dzieje, kobieta przywykła do spokojnych poranków i wieczorów, podróżuje. I nagle chce to zepsuć: musi zadzwonić do Tego Faceta, natychmiast, zanim sen się rozproszy.

– Witaj, Luna, myślałem, że już na zawsze osiadłaś w Budapeszcie i wystawiłaś nas do wiatru – powiedział całkiem pogodnie.

– Miałam taki zamiar, ale sumienie mnie ruszyło. A tak naprawdę to przywlekłam do domu bałkańską grypę i przez dwa dni spałam. Przepraszam, że nie zadzwoniłam.

– Nic nie szkodzi – zapewnił. – Chociaż rzeczywiście trochę się denerwowałem. Pomyślałem, że coś ci się stało. Jak się czujesz?

– Oj, marnie. Czy mógłbyś jeszcze dzisiaj zatrzymać Fausta?

– Oczywiście. Wszystko u nas w porządku. Chodzimy sobie na spacer. Jemy razem śniadania, obiady, kolacje.

– Faust je trzy razy dziennie? Nie wierzę. I w dodatku nauczyłeś go siedzieć przy stole?

– Chyba tak, on jest bystry i ma dobrych nauczycieli. Próbuję dociec, kto go nauczył spać w łóżku, wylegiwać się na kanapach i żebrac.

– O, przepraszam, Faust nie żebrze – skłamałam. – I pomyśleć, że mi się śniłeś.

– Tak, a co robiliśmy? – spytał Heliodor z tą swoją sceniczną swobodą i już-już otwierałam usta, żeby rzucić coś złośliwego, gdy usłyszałam jej głos.

Nie wiem, kim jest, lecz czuję jej obecność. Czasami mówi, co mam robić, próbuje kierować moim życiem. „Luno, łap swój sen, nie uciekaj – powiedziała. – Wszyscy stoimy na scenie, ale nie wszyscy gramy swoje role z wdziękiem”.

– Jesteś tam? – spytał Heliodor.

– Śniło mi się – powiedziałam – że biorę cię za rękę i dokądś prowadzę. Jestem naga. Rozpinam guziki twojej koszuli. Chyba się denerwujesz, bo twoje jabłko Adama, które mam na wysokości oczu, podskakuje niespokojnie w górę i w dół. W końcu docieram do dolnego guzika, ale pod palcami wyczuwam tylko sterczące nitki.

Cisza.

– Hej, jesteś tam? – spytałam.

– I co było dalej?

– Pocałowałam cię w usta i obiecałam, że ci ten guzik przyszyję.

Przez długą chwilę słyszeliśmy w słuchawce tylko swoje oddechy. A potem nagle do Heliodora chyba dotarło, że musi coś zrobić, natychmiast.

– Luno, nie ruszaj się z miejsca, jedziemy do ciebie, a po drodze wpadniemy do naszego ulubionego sklepu. Pewnie nie masz nic do jedzenia.

I się rozłączył.

Nie ruszaj się z miejsca – przecież musiałam wziąć prysznic, ubrać się i zadzwonić do Leny, żeby się nie martwiła.

– Nie wychodź za wcześnie – poradziła swoim lekarskim tonem. – Komplikacje pogrypowe mogą mieć poważne konsekwencje. Poproś tego Heliodora, żeby zatrzymał Fausta jeszcze na dwa dni. Przy okazji sprawdzisz go, zanim całkiem stracisz głowę.

– Nigdy nie tracę głowy ani nie sprawdzam facetów. A Heliodor, kochanie, właśnie do mnie jedzie.

Nie wiedziałam, że słowa mogą tak działać na mężczyznę. No tak – na początku było słowo, przez które wszystko się stało.

- [RANO]

Faust niemal oszalał na mój widok. A Heliodor pocałował mnie w policzek.

– Uważaj, jeszcze zarażam – powiedziałam.

– Ja nigdy nie choruję – zapewnił i poszedł do kuchni. – Mamy winogrona, cytryny, makaron i pesto, pomidory, mozzarellę, butelkę merlota, kieliszek wina ci nie zaszkodzi, i jeszcze coś, zamknij oczy i zgadnij.

– Ale ja straciłam węch.

A jednak zgadłam. Mój nos z całą pewnością muskała róża.

Uniosłam rękę, która dotknęła ręki Heliodora, ciepłej, jak w moim śnie. Wzięłam różę, a on śmiesznie chrząknął i zaczął się krzątać po kuchni. Wodziłam za nim wzrokiem. Cały czas coś opowiadał albo cytował. Byłam mu wdzięczna, że nie muszę się odzywać. Że nic nie muszę. Że nie zadaje pytań. Kiedy sięgnął do górnej szafki po kieliszki, koszula wysunęła mu się ze spodni: dolny guzik był oderwany. Heliodor zorientował się, że to zauważyłam.

– Obiecałaś, że mi go przyszyjesz – powiedział.

– Ale to było we śnie.

– Wszystko jest snem.

– Nie, tylko życie.

– „Czym życie? Złudzenia chwilką, czym życie? Marzeniem tylko”.

– Wiesz, życie jest wszystkim.

Pod wieczór Faust zasnął. Kręciło mi się w głowie. Tęsknie spoglądałam w stronę łóżka. Byłam zmęczona i senna, ale nie chciałam, żeby Heliodor wychodził. I powiedziałam coś dziwnego:

– Chcę spać. Czy mógłbyś potrzymać mnie za rękę?

– Ja też to lubię – odpowiedział.

– No to ty potrzymasz mnie, a ja ciebie.

Nie wiem, kiedy zapadłam w sen, czyli w życie. Nie wiem, kiedy wyszli. Rano w kuchni zastałam karteczkę: „Pod ekspresem wystarczy zapalić gaz. Znalazłem zapalki – były w lodówce, w której teraz jest śniadanie: pomidory z mozzarellą. Grzanka w tosterze. Masła nie ma. Zadzwoń. H.”.

Czułam się tak jak w dzieciństwie, kiedy znalazłam rudego kota i Laura pozwoliła mi go zatrzymać.

wiosna

- [RANIUTKO]

Dzwonek telefonu: „Heliodor?”. Coś głęboko we mnie, w okolicy splotu słonecznego,

zamarło, dłoń mi zwilgotniała i nie poznałem własnego głosu: „Luna?” Pamiętam takie stany z prawieków, z czasów przewrażliwionej młodości. Czy ja się przypadkiem nie zakochałem?

„Możesz zatrzymać Fausta jeszcze jeden dzień?”. No tak, Wodzu, wyobraź sobie: jeszcze jeden dzień. Bawisz się ze mną, bogini? Już-już miałem powiedzieć coś nonsensownego: ależ jasne, Faustem zajmą się moi przyjaciele, a ja pobędę z tobą przez ten dzień, choćbyśmy mieli jechać pod ruską granicę; ty będziesz drzeć pierze, a ja będę cię wachlował liściem łopianu. Ale nie powiedziałem tego. Dałem sobie chwilę na opanowanie emisji głosu i gonitwy myśli. A kiedy padło zdanie: „Jestem naga, rozpinam guziki twojej koszuli”, już wiedziałem – wiedzieliśmy – co robić.

Ale, ale, jak to „jedziemy do ciebie”, dokąd jedziemy? Gdzie ona mieszka, psie? Pomóż! Nic, tylko po swojemu przekrzywił łeb. Myśl!

Mój entuzjazm zgasł, a jego najbardziej widomy przejaw, fircyk, co ożywa na dźwięk jej głosu, miał się z pyszna. Bezradnie gapilem się na bezczelnego kudłacza, który merdał ogonem. Myśl!

Merdał z takim impetem, że kieszonka u jego obroży gibała się, jakby była na baterie. Po co ci ta – ten – to... Jak to po co? Miałem wrażenie, że trzęsie się ze śmiechu, kiedy wydłubywałem ze środka kartkę. Ładne, równiutkie cyfry i litery. Telefon i adres Luny! Najpierw pojechaliśmy po zakupy, u kwiaciarki pod moim ulubionym sklepem kupiliśmy pąsową różyczkę, a potem – prosto do naszej dziewczyny.

Kiedy na nią patrzyłem, fircyk przeobraził się w casanowę, którego zaprzęta tylko jedna myśl: jak umknąć z więzienia w Pałacu Dożów. Miała na sobie czarny sweter z niewielkim wycięciem, pod którym moja łapczywa wyobraźnia zobaczyła cuda. Nie mogłem oderwać wzroku od dłoni zabawiającej się łańcuszkiem na szyi. I – niesamowite: Luna miała na twarzy makijaż.

Trzeba było ukryć te emocje. Krzątałem się przy kolacji i gadałem, gadałem:

– Spałaś dwa dni? Bardzo dobrze. „Wszakże snem są ludzkie cele, snem ludzkiego serca bicie, snem człowieka ziemskie życie”. Wiesz, z czego to? Pewnie, że wiesz. Sprzedajesz sny w swoim antykwariacie? Oj, byłbym twoim najlepszym klientem. Na każdą noc kupowałbym sobie inny sen, tak jak się kupuje koszule albo buty. Co ja mówię, koszul mam z siedem, a buty wielosezonowe. Nie jestem wzorem elegancji, ale za to w kuchni działałem jak... Proszę bardzo, skromnie, ale wytwornie: makaron z pesto i winogrona na deser. Gdzie masz kieliszki? Aha.

Potem prześliznęliśmy się – miękko i z humorem – nad niedostatkami mojej garderoby z powrotem do Calderona, życia i snu. Skądinąd: nie miałem pojęcia, że rozmowa o urwanym guziku może nabrać erotycznego rumieńca. Albo już zapominałem, że wszystko się tak rumieni, kiedy do stołu przysiada się Eros. Księżycowa dziewczyna miała na brodzie kropelkę pesto, starłem ją czubkiem serwetki. Patrzyliśmy sobie w oczy. Wiesz, co miałem w głowie. Tylko i wyłącznie to. Luna powoli odwróciła wzrok w stronę łóżka.

Nie, nic z tych rzeczy.

Leżała w tym łóżku, przykryta kołdrą po szyję, tylko jej dłoń wysunęła się w moją stronę i powiedziała (niektóre dłonie kobiece potrafią mówić) – powiedziała „Chodź, chodź do mnie”. Więc położyłem się w ubraniu obok niej i trzymaliśmy się za ręce.

Moje ciało podsuwało mi frywolne pomysły, zabroniłem sobie słuchać. Włosy opadły Lunie na czoło, chciałem je odgarnąć, ale, jak pisał poeta, to byłoby „już za wiele i za wielki gwałt”. Kiedy tak patrzyliśmy sobie w oczy, wszystko we mnie spęczyło. Pewnie świeciłem jak jarzeniówka i z uszu wydobywały mi się smużki siwego dymu. A ona wiedziała, co mi robi, ściskając mnie za rękę, bo uśmiechała się lekko. Tak uśmiechają się kobiety, kiedy czują się bezpiecznie i dobrze. Zrozumiałem, że właśnie dostaję coś, czego nie miałem od dawna, może od czasu, kiedy tak leżałem z Różą; trzydzieści lat temu w Tatrach, gdy oboje byliśmy wykończeni po wyprawie na Czerwone Wierchy i jak na komendę opadły nam powieki. Rano mieliśmy najlepszy seks na świecie. Tak Róża została moją dziewczyną.

„Nie spieprz tego, synku” – przypomniały mi się Twoje słowa, które powiedziałeś do mnie przed tamtym półfinałem. Zająłem piąte miejsce, ale z ostatnim czasem wszedłem do finału i byłem rad jak rzadko w życiu.

Kiedy Luna zasnęła, wysunąłem się z łóżka i napisałem do niej kartkę. Przed wyjściem nalałem wody Faustowi, który utkwiał we mnie rozumne spojrzenie i milczał. „Cześć, stary. Idę. – Pogłaskałem go. – Mam nadzieję, że zobaczymy się niebawem. Dbaj o nią”. „Dobra, dobra. A ty nie pij tyle” – szepnął Faust i machnął ogonem.

I dobrze, że nie zdążyłem zatrzaskać drzwi, bo dosłyszałem jeszcze, jak mruknął: „To znaczy rano mam wyprowadzić chorą Lunę na mroźny spacer?”

No tak, westchnąłem i wróciłem po niego. „Jeszcze przez dwa dni będziesz wyprowadzał mnie, troskliwy kudłacz”.

To był naprawdę nadzwyczajny dzień, Wodzu – Twój H.

- **[PO POWROCIE OD LAURY]**

Faust ma teraz dwa domy i bardzo mu to odpowiada. Nam też: Heliodor chodzi na długie spacerki, a ja mogłam spokojnie pojechać do Laury.

Przez cały czas wpatrywała się w okno. Gdzieś tam zostawiła młodość zmarnowaną dla cudzego bachora, miłość i wyjątkową urodę. Na portretach, które przez kilkadziesiąt lat spoczywały w magazynie, jest podobna do Jeanne Hébuterne z obrazów Modiglianiego. W musiał być pod jego wpływem. Mam nadzieję, że nie umarł na gruźlicę, nie zapił się ani nie zaczął w młodzieńczym wieku. Jednak Warszawa lat pięćdziesiątych to nie szalony Paryż czasów *belle époque*.

Po co ja Laurę wciąż o coś pytam? Od kilku lat milczy. „Pamiętasz, jak cię zamęczałam, żebyś zdradziła, co robiłaś w namiocie z mężczyzną?” „Jesteś za mała – odpowiedziałaś

surowo. – Na razie musi ci wystarczyć, że to był piękny i utalentowany młodzieniec. Jeździliśmy w Tatry i spaliśmy w schronisku albo w namiocie”. „A co się z nim stało?” „Umarł”.

Przykucnęłam przed fotelem Laury i spytałam: „Lauro, czy to on namalował twój portret? Modigliani?”. Jej twarz chyba drgnęła.

W drodze powrotnej zadzwoniłam do Konrada, który, od kiedy poznał Kamillę, rzadko się odzywa. Doskonale znam rytm jego romansów: pierwsze trzy miesiące – ostra chemia, czyli Konrad zapomina o bożym świecie, potem sporadycznie dzwoni i zaprasza na wystawy, organizuje jakąś kolację, a po pół roku, porzucony, zamęcza kogo się da telefonami.

– Konrad, wiem, że nie masz czasu, ale...

– Nie, dlaczego mam nie mieć czasu, fajnie, że dzwonisz.

Szybki wniosek – właśnie skończył się najkrótszy romans Konrada. Przechodzę do rzeczy:

– Chciałabym cię spytać o obrazy sygnowane literą W. Przecież ty znasz każdego malarza, jakiego polska ziemia nosiła, choćby namalował tylko jeden obraz.

– Bez przesady. – Konrad chrząknął z zadowoleniem.

– Malował w stylu Modiglianiego, a kobieta na portretach przypomina Jeanne Hébuterne.

– Modigliani? Jeanne Hébuterne? Nie mam pojęcia, ale postaram się go znaleźć. To trochę potrwa.

– Dzięki. Z Kamillą w porządku? – To pytanie mi się wysnęło.

Stukot kół pociągu wydaje się głośniejszy niż wcześniej i ciągle się wzmacnia.

– No dobra. Puściła mnie w trąbę. Jak już streściłem jej te książki od ciebie, zwłaszcza Fromentina, powiedziała: „Żegnaj, kotku” i pofrunęła do Nowego Jorku robić karierę z pomocą mojego kumpla, którego poznała u mnie. O co w tym wszystkim chodzi?

Martwię się o Konrada. Przecież młode kobiety pozbawiają starszych panów resztek sił witalnych. To dlatego pisarze i filmowcy nie lubią pokazywać dalszego ciągu takich szalonych związków. Na początku wiek nie ma znaczenia, a potem liczy się każdy drobiazg. Audrey Hepburn udało się wreszcie rozkochać w sobie starszego o trzydzieści lat Bogarta – ale nie znamy dalszego ciągu tej historii. Wszyscy oni kończą tak jak Gustaw von Aschenbach – najpierw tracą godność, a potem odarci z niej umierają na cholera.

List od Sándora. Znowu złe przeczucia – coś się stało.

Droga Luno,

widzieliśmy się ostatni raz. Jestem bardzo chory i właśnie skończyłem załatwiać swoje ziemskie sprawy. Pamiątki po naszej Mamie – mojej, Ksawerego i Wiktora – trafią do Ciebie i syna Wiktora.

Cieszę się, że Wiktor w końcu wybrał się do Warszawy i Cię odwiedził. Czyli już znasz tajemnicę rodzinną. Od samego początku, od kiedy związałaś się z Ksawerym, byłem przeciwny ukrywaniu przed Tobą tej tragicznej i zarazem żenującej historii, ale takie było życzenie Laury. Przekonywałem ją, że trzeba powiedzieć Ci prawdę, ale nie chciała o tym słyszeć. Śmiertelnie obraziłem się na Wiktora za to, co zrobił tej pięknej i mądrej kobiecie, i zerwałem z nim kontakt. Odezwałem się do niego dopiero w listopadzie zeszłego roku, żeby się pożegnać. Powiedział, że się do Was wybiera. Chce zobaczyć Laurę i Ciebie. Podobno miał w Warszawie ciężki zawał i jest w marnym stanie. Odwiedzasz go w szpitalu?

Opiekowaliśmy się Tobą na odległość – Wiktor i ja – to my wysyłaliśmy Ci bilety na samolot. Ksawery nas do tego zobowiązał. Twoje wizyty sprawiały mi wielką radość, chociaż nie umiałem tego okazać.

Dbaj o siebie.

Twój Sándor

A jednak nie chodziło o żaden dług wdzięczności – Sándor i Ksawery to bracia. Przez cały wieczór do niego wydzwaniałam. Na próżno. Nagle poczułam, że ten chłodny, powściągliwy dziwak jest dla mnie kimś ważnym. Cieszył się z moich wizyt. Nie wiedziałam.

Jaka tajemnica rodzinna? Jaka tragiczna historia? Jaki Wiktor? Nie odwiedził mnie żaden Wiktor. Ja nic nie wiem. Nic nie rozumiem.

- [WIECZOREM]

Dziwny to był dzień, Wodzu, dziwne myśli kołatały mi się po głowie. Doktor Helena, do której zgodnie z (daną sobie) obietnicą, zajrzałam, poszła ze mną do Ciebie i fachowym okiem sprawdziła, jak tam Twoje oprzyrządowanie. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby zapytać, czy w warunkach domowych można Cię rehabilitować. Zmierzyła mnie ironicznym spojrzeniem. Uwielbiam takie spojrzenia; niektórym kobietom dodają uroku.

– Myśli pan o sobie? W roli terapeuty?

– Dlaczego nie. Pokaże mi pani, co mógłby robić z kimś takim jak on ktoś taki jak ja?

Zawahała się. Miałam wrażenie, że uważa moje pytanie za absurdalne, ale z jakiegoś powodu nie chce mnie zbyć.

– No dobrze, jeden przykład. Jeśli pacjent leży na lewym boku, trzeba wyprostować lewą nogę w stawie biodrowym i kolanowym. Staw skokowy ustawiamy pośrednio.

– Czyli?

– O tak. Lewą rękę zginamy w stawie łokciowym, na poduszce. Łopatka ma być w protrakcji, żeby zabezpieczać rotację zewnętrzną w stawie ramiennym, a w prawych stawach...

– Ale pani doktor...

– Zgięcie powinno być pod kątem między sześćdziesiąt a dziewięćdziesiąt stopni. O tak.

– Pani doktor.

– Wiem, to niełatwe. Mówię o tym, bo podczas terapii pan też musi głośno komentować to, co pan robi.

– Mam mówić o protrakcji i rotacji zewnętrznej?

– Może pan to nazywać po swojemu. Zresztą za wcześnie na terapię domową. Jak pański bark?

– Nigdy nie miewał się lepiej.

– Świetnie. To teraz niech pan po prostu posiedzi z pacjentem.

Z pacjentem. No tak. Siedziałem i patrzyłem na Twoje półzywe ciało. Czy Ty wierzysz w gusła? Mój ojciec wierzył. A propos, przypomniałem sobie, dlaczego dał mi berylowe spinki pradziadka, kiedy skończyłem sześć lat. Wymyślił to sobie, tłumaczyła mi mama, bo szóstka to była dla niego bardzo ważna cyfra. W magicznym kwadracie Saturna słońcu przyporządkowana jest cyfra sześć. „To taki słoneczny chłopak – mówił ojciec. – Nasz Heliodor”.

Mój ojciec, o którym nagle myślę. O którym znowu myślę. Znowu, często, wciąż.

Mój ojciec: oficer przedwojennej kawalerii, matematyk, szachista. Trochę też hazardzista. Może dlatego tak wierzył w szóstkę.

Powiedz mi, jakim magicznym zaklęciem mam Cię z tego wyciągnąć.

Twój H.

- [W NOCY]

Nie mogę zasnąć. Głowa mi pęka od pytań. I zamartwiam się z powodu Sándora. Nie odbiera telefonów. Nie odpowiedział na mejla. Ludzie inaczej powinni się żegnać. A może właśnie tak: listem, w którym wyznają, że cieszyli się z naszych wizyt.

Późnym wieczorem w moich drzwiach, bez zapowiedzi, stanęła Lena – z grobową miną i torbą noclegową w ręce.

– Mam zamiar spędzić z tobą noc – mruknęła.

– Cieszę się z twojej wizyty. Mówię to, bo potem może nie zdążę. Człowiek wciąż z czymś nie zdąża.

Lena machnęła ręką. Pewnie pomyślała, że to znów jedna z mądrości Laury, tylko wypowiedziana nie w porę.

Wiem, co w chwilach smutku potrzebne jest Lenie. Nastawiłam Cohena, żeby mogła się jeszcze bardziej pogłębić, otworzyłam butelkę czerwonego wina i usiadłyśmy z podkulonymi nogami na kanapie.

– Szpital? – spytałam.

– Nie. Całokształt. Wiesz, po śmierci Bruna...

– Daj spokój, on żyje.

– No więc po śmierci Bruna chciałam ze sobą skończyć, ale w grę wchodził tylko jeden rodzaj śmierci: żeby zasnąć i już się nie obudzić. Niestety nie można sobie tego zamówić.

– Mylisz się. Zdradzę ci pewną skuteczną i bezbolesną metodę. Robisz tak: kupujesz dwie butelki swojego ulubionego trunku, jedną wypijasz w domu, a z drugą idziesz do lasu, siadasz sobie w śnieżnej zaspie i popijając, powoli zasypiasz.

– Chyba zamarzasz. I co cię powstrzymało?

– Odwilż.

Oczy Leny zamigotały wesoło. Ulżyło mi – w stanie przewlekłej chandry ma w nich tylko pustkę.

– Nie, nic strasznego się nie dzieje – powiedziała, wyciągając w moją stronę rękę z opróżnionym kieliszkiem. – Nic prócz tego, że jestem samotna, starzeję się, nie mam dzieci, nie będę mieć wnuków i haruję jak wół.

– I co jeszcze?

Popatrzyła na mnie ze smutkiem.

– No dobrze. Pamiętasz, w czasie studiów spotykałam się z jakimś Pawłem. Jakoś się rozpadło. Został kardiochirurgiem, ułożył sobie życie.

– Typowe ludzkie losy: rodzina, kariera. – Nie rozumiałam, dlaczego Lena wraca do tak odległej przeszłości. – I co z tego?

– A to, że dzisiaj spotkałam go na ulicy.

– I co?

– A to, że na jego widok serce zabiło mi mocniej. Przyglądaliśmy się sobie przez chwilę. Uśmiechnęłam się do niego.

Cohen swoim aksamitnym głosem wyznawał *And I miss you so much*. Lena wpatrywała się w pusty kieliszek.

– Nie poznał mnie – oznajmiła wreszcie. – Koniec, kropka.

Nie umiałam jej pocieszyć. Resztę wieczoru spędziłyśmy w milczeniu. Jak można nie poznać kobiety, którą się kiedyś kochało, nawet jeśli to było trzydzieści lat temu?

- [TUŻ PRZED ŚWITEM]

Kochany,

wybacz wylewność, ale jestem radosny i pełen energii. Czuję się odmłodzony i nie przestaję się tym zdumiewać. Nauka zdołała wyrwać bogom wiele tajemnic dotyczących naszego świata, ale tej chyba nie. Jak to jest, że znamy tablicę Mendelejewa, wiemy, co wiemy, o materiałach rozszczepialnych, a jednocześnie naszym duchem i ciałem rządzi sobie, jak chce, jakiś uskrzydłony młodzieniaszek z łukiem i strzałą?

Luna wyjechała w sprawach rodzinnych tylko na jeden dzień; najchętniej nie odstępowałbym jej na krok. Wodziłbym za nią psim spojrzeniem, a ona szybko miałaby tego dosyć, odstawiłaby mnie na półkę w swoim antykwariacie (ciekawe, czy ma półkę z porcelanowymi psami) i wróciłbym do równowagi emocjonalno-hormonalnej.

Tymczasem mam ochotę wspiąć się na kasztanowiec, który rośnie pod moim oknem, i wrzeszczeć: Luno, Luno, chcę do ciebie!

„Śniło mi się, że jestem naga, rozpinam guziki twojej koszuli”, powiedziała przez telefon. Boże, jaką empiryczną istotą jest człowiek: wystarczy jeden elektryczny impuls, żeby zagotowały się endorfiny, poszły w ruch dźwignie. Mózg, ta kupka szarej masy, która mieści się w dwóch dłoniach, nie jest już niczym innym jak tylko agregatem do wytwarzania wybuchowych reakcji chemicznych. Oko, którym szara masa mogłaby spojrzeć na nas z zewnątrz, jest zamknięte; śpi sobie w najlepsze i nie budzą go żadne bóstwa logiki, filozofii, religii czy moralności – one też śpią.

Dla uspokojenia organizmu – i żeby nie zadreżyczyć Luny telefonami – kręcę dziesiątki kilometrów na stacjonarnym rowerze, gadam do „naszego” psa. I od dziś z niechęcią szykuję się na spotkanie z Wicenaczelnym Kretynem. Co mam mu zrobić za tę historię z Cornelią, za jej łzy? Może wystarczy, że złapię za wyżelowane kudły, trzasnę czerepem o szklany blat i w spokoju ducha pójdę sobie na słońeczko. Cornelia chyba się jakoś otrząsnęła, choć została w niej

dozgonna nienawiść do squasha. Postanowiła wrócić do Holandii.

Z duszą na ramieniu zadzwoniłem do Sabiny. Głos pełen radości:

– Kiedy do nas przyjdiesz, Maks? Zrobię zeberka w sosie chrzanowym, takie jak lubisz. Mamy świetne wino, prosto z Umbrii.

– Skarbie, nie wiem, strasznie dużo się dzieje. Właściwie to jestem na zwolnieniu, bo wybiłem sobie bark na lodowisku. Na gołoledzi znaczy. A co u ciebie? U Lutka?

– Ha! Nie uwierzysz. Lutek przestał tkwić bez końca w telewizorni, powiedział im, że nie będą już w niego orać, tak się mówi? W niego orać? I jak chcą go wyrzucić, to niech wyrzucają. Wziął urlop, przesiaduje w domu i naprawia wszystko, co nie działa. I to, co działa, też. Co z tym twoim barkiem?

– Berek opróżniam metodycznie. Bardzo się cieszę, Sabciu. I trochę współczuję, bo jak Lutek już naprawi wszystko, to będziecie musieli kupić nową pralkę, lodówkę i tak dalej...

Dzisiejszy wieczór miał wyglądać tak jak wczorajszy. Właśnie graliśmy z Faustem w „człowieku-nie-irytuj-się”, gwarząc leniwie (pytałem go, jak w świetle swojego losu ocenia relację między wiekiem biologicznym stworzenia a jego szczęściem doczesnym), kiedy rozległ się dzwonek. Doris. Byłem pewien, że jako osoba, która nie zna nikogo z serialu *Głód miłości* ani *Powiedz kocham*, nie nadaję się na pomagiera w jej karierze i że dzisiejsze spotkanie jest nieaktualne. A jednak kolumny Trajana wparowały do mojej bawialni jak na rzymskie forum, pozłacana torebka wylądowała na sofie, a dłoń o szmaragdowych szponach na moim zboląłym barku.

– No jak tam. Bawimy się dziś w opłatek?

– Opłatek nie jest do zabawy, moje dziecko, opłatek jest symbolem ciężkiej pracy.

– Chodziło mi o to, no wiesz. Stawianie języczka. Misiak mówi, że stawiam już bardzo dobrze.

– Nie wątpię. Co zrobiłaś z włosami?

– Zrobiłam sobie na Jessicę. Wiesz, tę z *Pieczary rozkoszy*.

Włosy miała teraz kruczoczarne. W złotej kolczudze, spod której wyzierały na świat dwa okrągłutkie sutki, wyglądała jak Kleopatra o twarzy wymodelowanej w chińskiej fabryce zabawek.

– Czy ty wiesz, Doris, kto był najsłynniejszą Kleopatram w dziejach kina?

– A co to za Kleopatra?

– Nieważne. Powiedz teraz ładnie: czyżyk czesze czarny koczek, a w tym koczku czarny

loczek.

– Hi, hi. Czyżyk cesze... no nie, kurde. Czyżyk cese... ale jazda!

Myślałem, jak z tym skończyć („czyżżyk czese, czyżyk czese”), zadzwonić do Profesora, powiedzieć, że wyjeżdżam („czyżżyk czyż – cesze czarny”) na dłużej, na bardzo długo? Albo od razu prawdę, że wystarczy tych lekcji, że Doris jest świetna do niektórych ról, niekoniecznie teatralnych, a ja już nie zdołam jej pomóc. Miałem trochę dość Kleopatry w kolczudze, Marka Antoniusza w senacie, siebie w roli samarytanina. Telefon. Luna.

Pobiegłem do kuchni. Doris wyjęła lusterko i oglądała w nim swój język. Pokazałem jej wymownym gestem, że ma być cicho.

– Cześć, Luno. Jak się miewasz?

– Świetnie, chciałam cię usłyszeć. A poza tym: będzie w Warszawie wystawa Miró. Pójdziemy?

– No pewnie.

Doris zamknęła lusterko i zrobiła zniecierpliwioną minę. Przeszło mi przez myśl, że muszę opowiedzieć Lunie o tym, czym się właśnie zajmuję, o narzeczonej przyjaciela, o stawianiu jęczyczka, czyżyku i loczku. Ale nie musiałem.

– Ktoś puka. Całuję cię. Jutro odbiorę Fausta.

Ledwie Luna się rozłączyła, z ust Doris wypłynęła triumfalnie brzmiąca fraza:

– Czyżyk czesze czarny kroczek. Zrobione! Słyszałeś?

– O tak, Doris, bardzo dobrze. – Przycupnąłem na brzegu sofy.

– No i? Będzie jakaś nagroda? – Zrzuciła cokoły barwy zieleni morskiej na podłogę, podwinęła nogi i usiadła na piętach.

Kolczuga zachręściła mi koło ucha.

– Pochwalę cię, Doris. Powiem Misiakowi, że naprawdę świetnie sobie radzisz.

Podniosłem się, bo szmaragdowe szpony zaczęły krążyć niebezpiecznie blisko mojej twarzy.

– Wystarczy na dziś, Doris.

Żółty samochód. Wreszcie uświadomiłem sobie, dlaczego wydał mi się znajomy. Widziałem go, kiedy ostatnio byłem u Ciebie, na przyszpitalnym parkingu. Niski, nie najnowszy, ale stylowy. Ford mustang?

Powędrowałem myślą (zupełnie jakby ktoś mną dyrygował) z parkingu na neurologię, do gabinetu doktor Heleny. „Dopóki człowiek żyje, trzeba mieć nadzieję”. Uwiesiłem się tego zdania. Było znacznie bardziej obiecujące niż półsłówka jej wkurzonego szefa, który rzuca palenie. A ja jestem teraz specjalistą od nadziei, chętnie dzieliłbym się nią z całym światem.

Nagle przypomniałem sobie tryptyk Miró *Nadzieja skazanego na śmierć*. Widziałem go na wystawie w Baden-Baden. Ciekawe, Miró wymyślił tytuł, który tak świetnie pasuje do Ciebie. A teraz mamy jego wystawę w Warszawie i obejrzę ją z Luną.

Muszę się dowiedzieć, co znaczą trzy kolory na tym tryptyku: czerwony, niebieski i żółty. A tymczasem zdejmę sobie tę żalną ortezę.

Bywaj! Twój H.

- [POŁUDNIE]

Rano nie potrzebowała już ani Cohena, ani wina. Przy śniadaniu wprowadzi parę razy westchnęła, ale raczej z oburzenia niż ze smutku.

– Facet nawet po stu latach powinien rozpoznać kobietę, którą kochał. Nie sądzisz?

– Jasne. Tak jak Heliodor rozpoznał mnie.

– Co takiego? – Lena była zdziwiona, ja zresztą też, i tym zdaniem, i następnymi, które jakby bezwiednie stwarzały moją pamięć.

– Widzę taką scenę: stoimy naprzeciwko siebie, bardzo młodzi, w jakimś dziwnym pomieszczeniu, może w jaskini, gdzie panuje półmrok, do środka wpada tylko światło księżyca w pełni, ogromnego, to musiał być supermoon, jest bardzo cicho i słyszę ten wiersz. Lena, już wiem, skąd znam wiersz, który Heliodor cytował, kiedy poszłam zostawić mu Fausta!

– Miałaś taki sen, dawno temu. Zamęczałaś mnie opowiadaniem swoich snów. Ale ten był fajny. Na świecie szaleją wojna albo zaraza, tak, chyba dżuma, bo czytałaś wtedy książkę o epidemiach w średniowiecznej Europie. Jesteś w grocie. Z jakimś chłopcem.

– Trzymamy się za ręce.

– Przytulacie się.

– Patrzymy na siebie.

– I on mówi wiersz o księżycu. W końcu nie wiem, czy umarliście na dżumę, czy sen się skończył.

Nagle zamilkła i spojrzała na mnie surowo.

– Zaraz, ja marzłam na dole w samochodzie, a wy recytowaliście sobie wiersze. Stało się coś jeszcze?

– Tam było słonecznie i ciepło. Spytał o Endymiona i mówił ten wiersz o statku, rekinach i krwawym księżycu. Czerwony Księżyc, czyli pełnia sierpniowa. A potem... Nie mogę ci powiedzieć.

– Marzłam w samochodzie. – Lena nigdy nie odpuszcza.

– Potem nasze dłonie uprawiały seks. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale tak było. Bałam się, że jeszcze chwila, a włosy mi się skręcą jak Barbarelli, pamiętasz?

Patrzyła na mnie podejrzliwie.

– Nic nie rozumiem. Nie wolicie prawdziwego seksu?

Przed odpowiedzią na to trudne pytanie uratował mnie telefon od Konrada.

– Mam! – zawołał. – Był taki jeden i rzeczywiście malował jak Modigliani. Tak go zresztą nazywali w akademii: Modigliani. Trochę złośliwie. Lata pięćdziesiąte, a ten, rozumiesz, bez przerwy utrwała na płótnie jedną i tę samą kobietę w tej nieznośnej manierze. Marne były te obrazy.

– Dla mnie warte są więcej niż prawdziwy Modigliani. Nazwisko?

– Wiktor Sonnenberg.

Właściwie w ogóle mnie to nie zdziwiło. Sonnenberg postanowił zadomowić się w moim życiu. Błyskawiczna analiza danych: Wiktor, Ksawery, Sándor – trzech bracia, trzy nazwiska: jedna matka i trzech ojców. Na ekslibrisach w książkach od pana Lazura widnieje nazwisko jego ojca, czyli pan Lazure nazywa się Sonnenberg. To on musi być Wiktorem z listu Sándora, malarzem W.

– Powiesz, o co chodzi? – spytał Konrad.

– Kiedy wszystkiego się dowiem i sama zrozumiem. Dzięki.

– Wiesz, poznałem kapitalną...

– Konrad – przerwałam mu, bo nie miałam ochoty słuchać o kolejnej młodej artystce, która za kilka miesięcy puści go w trąbę. – Pozwól, że się zrewanżuję cenną radą, z którą noszę się od lat: znajdź sobie fajną dziewczynę w swoim wieku, dobrze?

– Dlaczego mu dokuczasz? – spytała Lena.

– Dla jego dobra.

– A co z tym Modiglianin?

– Jeszcze nie wiem wszystkiego, ale to, zdaje się, długa historia. Powiem ci kiedy indziej. Co w szpitalu?

– Nic. Jedni resztką sił trzymają się życia, inni umierają. I jest taki jeden, nazywamy go Bromden, który żyje jakimś cudem i nie ma zamiaru się poddać. Fascynuje mnie ta przestrzeń między życiem a śmiercią, kiedy człowiek jedną nogą stoi po tamtej stronie, ale coś może sprawić, że się jeszcze cofnie. Moim zdaniem Bromdena trzyma przy życiu facet, który do niego przychodzi. Chyba jego syn. Trochę denerwujący, typ wesołka, który nie może żyć bez dowcipkowania. Siedzi przy jego łóżku i opowiada mu jakieś dyrdymały albo recytuje wiersze jak ten twój Heliodor. A ostatnio zapytał mnie o ćwiczenia rehabilitacyjne. Tak jakby miał zamiar wziąć go do domu. Ujął mnie tym. Aha, mówi do niego „wodzu”. Karol May strasznie namieszał w głowach chłopcom naszego pokolenia.

– Dziewczynom też. I co z tym wodzem?

– Po tych wizytach trochę się ożywia. Miałam w swojej karierze kilku takich pacjentów, napisałam o tym referat na konferencję. Wiem, że się nie spodoba, bo to właściwie jest esej, a nie praca naukowa.

Lena nadal coś mówiła. Nie słuchałam. Myślałam o Laurze. Że mieszka tak daleko. Powinnam przywieźć ją do Warszawy.

– Pojedziesz ze mną po Laurę?

– Coś ty, ja nie dlatego. Laura ma świetną opiekę.

– Wiem, ale chcę mieć ją bliżej. Ona też reaguje, ostatnio chyba się uśmiechnęła, kiedy ją o coś spytałam.

Jak to możliwe, by ten słodki, niewinny staruszek miał tak wiele tożsamości: malarz Wiktor Sonnenberg, czyli niejaki W. – co właściwie zrobił Laurze, tej „pięknej i mądrej kobiecie”? Kim dla niej był? – zakochany w adriatyckim lazurze pan Lazurowy, którego zdjęcie ukradłam z Robinsona. Awigdor. Wiktor.

- [W JASNĄ NOC]

Kochany Wodzu,

więc po kolei: najpierw moja wizyta u Ciebie, nieplanowana.

Przedtem, zgodnie z planem, zdjęłam ortezę, choć w barku wciąż łupało. Luna zadzwoniła, że jednak nie zdoła wziąć ode mnie Fausta, no i postanowiłam zrobić coś w Twojej sprawie i pojechać do szpitala. Ale kudłaty czuł się rozżalony („Co ty mi robisz, nie tak się

umawialiśmy”) i dla świętego spokoju zapakowałem go do samochodu. Na parkingu znów stał żółty jak żółtko MG kabriolet z czarnym dachem – tym razem obejrzałem go sobie dokładnie: stary model i jakże piękny. Ten sam.

– Tu nie wolno wprowadzać psów, to jest szpital. – Kosmyczek wyglądał uroczo, służbowo naburmuszony, w atlasowej bluzce pod fartuchem, zachęcająco (o jeden guzik) niedopiętej.

To nie jest zwykły pies, chciałem powiedzieć, spójrz mu tylko w oczy, dziecino, a zobaczysz głębię: zgłębił on bowiem był „sekrety, ach, filozofii, prawa, medycyny, i teologii też, niestety”.

Z ćwiczeń do *Fausta* pamiętam niewiele więcej. Jeśli nie liczyć seksu z Arletą po zajęciach w sali prób. Arleta miała grać Małgosię i właśnie rozstała się z Faustem, który okazał się wyjątkowym palantem. Mnie, Minimaksowi, profesor W. wyznaczyła rolę brata Małgosi, Walentego, który umierając, powiedział jej wiele przykrych słów. Tym chętniej po zajęciach uciekaliśmy od literatury.

– Daj spokój, dziewczyno. – Zeppelin rozpromienił się tak, że mogłem policzyć brunatne od nikotyny zęby w jakże mi dziś przyjaznej facjacie. – Pan idzie do pacjenta, a my się zajmiemy mądrałą.

– Ech, gdyby nie drobna kontuzja, siostró, już ja bym siostrę wyściskał. – Westchnąłem cokolwiek na wyrost i pobiegłem na pierwsze piętro.

– A, to pan. – Doktor Helena ledwie rzuciła na mnie okiem. Dopiero po dobrej chwili przestała pisać i zakręciła pióro. Zręcznie, nie ma co; wyobraziłem sobie, jak nieomylnie te palce muszą wodzić skalpelem albo choćby stetoskopem. – W czym mogę pomóc?

Patrzyła na mnie tak, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć. Albo coś przede mną ukryć. W każdym razie widać było, że nad czymś intensywnie rozmyśla.

– Pani może nie pamięta. Braliśmy lekcję o protrakcji wewnętrznej.

– O rotacji zewnętrznej. Pamiętam doskonale. Pan Bromden, którego pan odwiedza, kiedyś uratował pańską obręcz ramienia, teraz tak lekkomyślnie przez pana... Pan, zdaje się, ma kontuzję stawu barkowego. Gdzie pańska orteza?

– Zostawiłem w szatni.

– Chce pan być dowcipny?

– Nie wiedziałem, że tak to po mnie widać.

Tak, chciałem być dowcipny, ale z gorzkiego półśmiechu doktor Heleny wnosiłem, że jestem raczej śmieszawy.

- Przepraszam, pani doktor. Przyszedłem w konkretnej sprawie.
- Kurs rehabilitacji pacjentów w stanie wegetatywnym? Mówiłam panu, za wcześniej na to.
- Nie. Chciałbym dostać dokumentację jego choroby.
- Dostać? To znaczy?
- To znaczy chciałbym ją komuś pokazać. Proszę mnie źle nie zrozumieć.
- To niech pan mówi jaśniej. Pan jest jego synem, tak?
- Poniekąd. Przybranym.
- Ma pan to na piśmie?
- Nie.
- W takim razie... – Doktor Helena rozłożyła ręce i znów je złączyła, opierając łokcie o blat biurka, a brodę na czubkach palców. – Dokumentacja jest własnością szpitala. Pan nie ufa naszym lekarzom?
- Wręcz przeciwnie. Chciałbym jednak zasięgnąć opinii przyjaciela, który jest znanym neurologiem. Pani mówiła, że można mieć nadzieję. Ale nie wiem, co to konkretnie oznacza. Co z nim będzie i kiedy.
- Kiedy? Tego nie wie nikt, pański przyjaciel też nie będzie wiedział, gwarantuję. A konkretnie: pan Bromden sam oddycha, ustąpiła arefleksja, pojawiło się napięcie w mięśniach. Ale jego mózg wciąż jest w szoku. Nie wiadomo, czy z tego wyjdzie.
- Co można zrobić?
- Jest wiele sposobów. Masaże, kinezyterapia, oddziaływanie elektryczne, magnetyczne, laserowe, chce pan znać szczegóły? Pan Bromden wciąż jeszcze wymaga stymulacji polimodalnej, czyli stałej, fachowej opieki terapeutycznej. Sam nie da pan sobie rady, nawet gdyby był pan geniuszem rehabilitacji. Potrafi pan zapewnić mu taką opiekę? Łącznie, rozumie pan, z fizjologią? Spędzać przy nim długie godziny, ciężko pracować fizycznie, mówić do niego, podsuwać mu pod nos różne zapachy?
- Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wiesz, Wodzu, jest taki wiersz, który kończy się zdaniem: „Musisz zmienić swoje życie”. Całkiem zwykłe zdanie, ale może zwalić z nóg. Zależy tylko, kto je mówi i w jakiej sprawie. Czytałem ostatnio ten wiersz i myślałem o Tobie, bo może on jest trochę o Tobie i o mnie. Wystarczy nie zastanawiać się nad tym za długo, żeby spać całkiem nieźle. Oddawać się powszednim zajęciom według dobrze znanego planu. A tu nagle:
- Kim jest ten pana przyjaciel?

– Słucham?

– Znany neurolog.

– Ach, Stanislaus Schimrach. Będzie niedługo w Warszawie.

Doktor Helena drgnęła na krześle.

– Pan zna Schimracha? – zapytała ze źle skrywaną emocją.

Powiedziałem, że znam Stacha Schimracha, jestem kimś w rodzaju jego szwagra i chętnie ich poznam ze sobą. Doktor Helena uśmiechnęła się szeroko.

– Oczywiście, profesor Schimrach będzie na kongresie. Jego wizyta w naszym szpitalu to byłoby coś. Może zgodziłby się wziąć udział w konsylium? Bo przypadek pańskiego ojca jest w istocie bardzo, bardzo interesujący.

Pożegnaliśmy się prawie wylewnie. Kładąc rękę na klawce, zapytałem jeszcze:

– Wie pani może, pani doktor, do kogo należy ten żółty samochód na parkingu? MG z czarnym dachem.

– Owszem. Jest mój. Uwielbiam stare samochody z duszą.

I wszystko jasne. Poszedłem na dół. Intuicyjnie czułem, że nie powinienem przedłużać tej rozmowy – nalegania w sprawie dokumentacji przed przyjazdem Stacha, a także pytanie o Lunę, po którą doktor Helena przyjechała pod mój dom, byłyby teraz, jak mi się wydało, niestosowne. Swoją drogą: jaki mały ten świat.

Faust siedział na białym krześle w pokoju przy recepcji i merdał ogonem.

– Pieska ma pan jak ta lala. Pojadł sobie herbatniczków i szafa gra. A co pan taki zdziwiony na twarzy? – Zeppelin przyglądał mi się badawczo.

– Nic, siostró, nic. Szafa gra. I bardzo dziękuję.

Poszliśmy na długi spacer. Kiedy około ósmej wróciliśmy do domu, mój telefon cudownie się do mnie uśmiechnął. „Masz nową wiadomość”. A mianowicie: „Miró od dzisiaj w Zachęcie. Pójdziemy jutro?”

Od dawna nie byłem tak podekscytowany pytaniem o jutro. Ani bezskuteczne szperanie w regale (chciałem jeszcze raz przeczytać tamten wiersz Rilkego), ani podwójna whisky nic na tę ekscytację nie pomogły. Minęła północ, księżyc wylał zza chmury. Patrzyliśmy sobie z Faustem w oczy i chyba obaj czuliśmy to samo: idą zmiany.

H.

- [WIOSNA TUŻ-TUŻ]

Tel Awiw – najbardziej wiosenne miasto świata. Gdzieś tam mieszka pan Lazor. Ale skoro miał ciężki zawał, może nadal jest tutaj, „we Warszawie”.

Tym razem nie dostałam biletu do Tel Awiwu. Nie szkodzi, wiosnę można powitać gdziekolwiek. Choćby w antykwariacie. Jak za dawnych lat. Zaprosiłam też Heliodora. I uprzedziłam go, że na tę okazję wkładamy barwne stroje. „To świetnie – powiedział. – Mam kostium, w którym trzydzieści lat temu grałem Oberona. Czy mogę przypiąć sobie również skrzydła?”. Podobają mi się zabawni mężczyźni. Którzy nie boją się śmieszności. Heliodor jest właśnie taki. A przynajmniej bywa. Dziś przekonałam się o tym – na wystawie Miró.

Na razie wstydzę się o tym pisać.

- [OSTATNI DZIEŃ STAREGO ŻYCIA]

Wodzu kochany,

nie można mieć wszystkiego, wiadomo. Ale jak się ma w perspektywie fantastyczną randkę w galerii, to łatwiej znieść biurową szarzyznę. Toteż pomaszerowałam w końcu do roboty, przewidując z lekkim niesmakiem, że jednak nie dam w mordę Wicenaczelnemu Kretynowi – wiem, że i Ty, i mój ojciec wolelibyście, żebym dał, i to trochę psuło mi humor. Z ulgą przyjąłem więc do wiadomości, że nie grozi mi szarpanina z łajdakiem i ochroniarzami, a może i areszt: Wicenaczelnny Kretyn nadal bawił w Styrii, na zamku arystokraty, albo fruwał na motolotni gdzieś w Szwajcarii. Ulga nie trwała długo; po pięciu minutach zostałem wezwany do Przydupasa.

Siedział w fotelu, z nogami w pantoflach Pierre’a Corthaya na szklanym blacie, i jak zwykle oglądał sobie paznokcie, z których jeden, u najmniejszego palca lewej ręki, był pomalowany na czarno. Obok fioletowego pantofla, kryształowego przycisku do papieru i pióra Waterman leżała kartka formatu A4.

– Dla ciebie. Podpisz i spadaj.

– Co to jest?

– Wymówienie. Już tu nie pracujesz.

Usiadłem naprzeciwko niego i zapaliłem papierosa.

– Co ty, kurwa, robisz? Tu jest czujnik!

– Nigdy cię nie lubiłem, ćwoku – powiedziałem, wydmuchując dym prosto w jego upudrowaną gębę.

– I vice versa, panie Brzydki i Chamski. Wiesz, za co wyleciałeś? Poza tym oczywiście, że firma nie potrzebuje obiboków, którzy wracają z lunchu o godzinę za późno i z powodu zbyt rzadkiej kupki biorą trzy tygodnie zwolnienia. Nie umiesz współżyć z ludźmi.

– Nie umiem współżyć z takimi jak ty.

– Jesteś homofobem, a może i nazistą. Zgaś tego gwoździa. – Zakaszłał.

– Nie wiesz o mnie wszystkiego. *Under the bridge downtown is where I drew some blood.* Lubisz Red Hotów?

– Co?

– Jak grzejesz, to lubisz posłuchać Red Hot Chili Peppers? – Wstałem, zaciągnąłem się i wypuściłem siwą chmurę w czujnik dymu. – Wszystko jest na filmach.

– Co wszystko jest na filmach? Na jakich filmach?

– Z siedmiu kamer w domu cioteczki. Łącznie ze zbliżeniem twojej pozał się boże fujarki przystrojonej białą wstążką. Ale przede wszystkim jest prawdziwie alpejski pejzaż. Całe góry śniegu.

– Co ty...

– Ja nic. Twoja ciocia. Jeździła do Barcelony dawać dupy Gonzalesowi, a potem wystrychnęła go na dudka. Gonzales się wkurwił i zawiadomił Interpol, że ciocia wozi w odbycie woreczki z cukrem pudrem. Więc Interpol pozakładał u niej kamery i mikrofony, ot i cała tajemnica. Naprawdę nie wiedziałeś?

Przydupas zdj smallął nogi ze stołu.

– O czym?

– No przecież mówię. Na przykład o Holenderce, która miała przewieźć dla was towar z Austrii.

– Ty skurwysynu.

– Gdyby tylko na własne potrzeby. Ale nie, ty jesteś chciwcem, polskim wieśniakiem-cwaniakiem, więc sprzedawałeś drożej niż na mieście. Przynajmniej mnie.

Przydupas chwycił poręczę fotela, jakby właśnie miał lądować bez podwozia.

– To dużo gorsze niż samo épanie – rzuciłem obojętnie i poprawiłem mu węzeł krawata. – O, tak dużo lepiej.

– Spadaj!

– Dobra, zaraz. A ty pamiętaj: za dilerkę naprawdę można posiedzieć. Mają na ciebie sporo. Więc posłuchaj rady: jeśli nie chcesz zasypać cioci, którą zapewne kochasz, to powinieneś spierniczać, najlepiej do Ruskich. Ciocia ma za dużo do stracenia, kumasz? Chłopaki w pudle już na ciebie czekają.

– Kim ty właściwie...

– Tego też nie wiesz? – Pochyliłem się nad jego ufryzowaną na sztywno czuprynką, niemożliwie śmierdzącą żelem. – Ja jestem częścią tej dziedziny, która zła pragnie, a dobro wciąż czyni.

Zgasiłem papierosa na blacie. Rozkręciłem watermana, wyjąłem nabój z atramentem i wycisnąłem niebieską ciecz na formularz A4 – rozpełzła się jak plama szlachetnej krwi. Detektor dymu wreszcie zadziałał i usłyszałem metaliczny głos jak z zaświatów: *This is a no smoking area. Please extinguish your cigarette. A member of staff has been contacted.* Sięgnąłem po kryształowy przycisk do papieru, zważyłem go w dłoni i cisnąłem w czujnik. Przycisk spadł na blat, który rozsypał się jak deszcz diamentów.

– Aleś narozrabiał – powiedziałem z westchnieniem. – No to idę. Mam nadzieję, że więcej się nie zobaczymy. Pamiętaj, ćwoku: najlepiej do Ruskich. Raz na jakiś czas wydupczą cię za szklankę wódki i też będzie przyjemnie.

W drzwiach zderzyłem się z dwoma strażnikami.

– Moim zdaniem trzeba wezwać karetkę – powiedziałem. – Teraz jest spokojny, ale w każdej chwili może sobie coś zrobić.

Na dworze piękne marcowe słońce. Słońce! Musisz zmienić swoje życie – no tak. Nie byłem z siebie dumny. Ale czułem się lekko. Kiedy ostatnio tak się czułem? Może wtedy, po wejściu do finału.

Zdj smalląłem krawat poplamiony atramentem. Starannie wytarłem palce w ten kawałek tkaniny, który zawsze mnie uwierał, i wrzuciłem go do pojemnika na śmieci. Nigdy nie lubiłem ani tego, ani żadnego z dwóch pozostałych swoich krawatów. Mam nadzieję, że nie będą mi już potrzebne.

Chcę Ci powiedzieć coś ważnego. Nie znajduję lepszych słów, więc użyję tych, które znam, najprostszych: Kocham Cię jak ojca.

Twój H.

- [NOCA]

Cały wieczór myszkowałam po szufladach ze starymi dokumentami ojca i Laury.

Przecież to niemożliwe, żeby ten „piękny i utalentowany młodzieniec”, który malował jej portrety, z którym spała w namiocie, w górach i nad morzem, niemożliwe, żeby znikł bez śladu. Nawet jeśli bardzo się chce wyrugować kogoś ze swojego życia, coś zostaje: jakiś list, zdjęcie, widokówka, zasuszona róża, pluszowy miś, książka z dedykacją. A tu nic. Dlaczego? Jeszcze raz przeczytałam list Sándora: „Czyli już znasz tajemnicę rodzinną... Byłem przeciwny ukrywaniu przed Tobą tej tragicznej i zarazem zenującej historii, ale takie było życzenie Laury”. Dopiero teraz rzuciło mi się w oczy owo „przed tobą”. Jestem zawiedziona – Laura wciąż powtarzała, że kobiety w naszej rodzinie były nieustraszone, a mnie wykluczyła z ich grona. Musiało się stać coś strasznego.

Nie będę się tym zajmować. Prawda wcześniej czy później wyjdzie na jaw. Tymczasem mam zamiar cieszyć się Heliodorem i pierwszym dniem wiosny. Całą wiosną.

- [PO WYSTAWIE]

Wodzulu, słuchaj:

piszę do Ciebie w środku nocy, bo to było niesamowite. Trzeba mieć swoje lata, żeby docenić takie przeżycia.

Wystawa Miró. Gdyby powiedziała, że chce ze mną oglądać rośliny doniczkowe, też byłoby fajnie. Wszystko bym z nią oglądał. Chociaż jeśli chodzi o rośliny, interesują mnie głównie nazwy. Ostatnio wpadłem na ślicznego mieszkańca paleotropiku imieniem *Amorphophallus*. A właściwie na polski odpowiednik tego imienia: dziwidło.

Więc Miró. Widziałem jego wystawę w Baden-Baden. Z niejaką Karen. Jedną z tych kobiet, do których pasuje przymiotnik „wybitna”; tak, tą od miłości w Hawanie. A teraz miałem oglądać Miró z Luną i cieszyłem się jak szczeniak. Byłem na miejscu trochę za wcześnie, wszedłem do księgarni i odliczałem czas, kartkując jakiś album: jedna strona, trzy sekundy.

Miała na sobie ciemną sukienkę we wzory. Obserwowałem, jak się poruszają: gdy Luna oddycha głęboko, jej biust leciutko się unosi. Przy obrazach, które ją intrygują. Zadziera wtedy głowę i bezwiednie wysuwa palec. Wpatrzyłem się w niego.

– Spójrz, jaka pałeczka. Wąsata – powiedziała, jakby to wyczerpywało sprawę pałeczki. – Jak myślisz, dlaczego ta kobieta tak się pali? Żółtym i czerwonym ogniem?

Palec Luny przewędrował od mojej lewej łopatki do prawej i powoli, zgrabnym, węzowym ruchem, pełzał w dół. Dotykała mnie biodrem.

– A co to jest?

Na jej otwartej dłoni leżała jednogroszówka, którą właśnie wyjęła z tylnej kieszeni moich spodni.

– Weź sobie. Na szczęście.

– A to? – spytała.

– *Głowa mężczyzny.*

– Ciekawe, o czym myśli mężczyzna, kiedy tak wysuwa...?

Przypomniałem sobie, co Karen powiedziała o tym obrazie. „Głowa mężczyzny myśli cygarem”. Bo mężczyzna u Miró ma nie język, tylko jęzor jak cygaro. Wsunąłem palce we włosy Luny.

Coś poczułem. Dziwidło. Nie myśli, za mały ma rozumek. Ale się dziwi. Czemu się dziwi moje dziwidło? Zdziwione, cygaropodobne dziwadło?

Luna pociągnęła mnie za ściankę dzielącą salę i byłem gotów na wszystko, czego zażądałyby te dłonie. Usta. I tak dalej. Ale jakiś jegomość (fulary noszą chyba jegomości) postanowił porozmawiać z nami o wiszącej tam akwareli. *Kobieta zbuntowana*. Był ciekaw, o czym ona myśli. Wolałbym sam spytać o to Lunę.

– O tym? – Luna wskazała coś, co wśród wieloznacznych kształtów wyglądało jednoznacznie. Jak pokażna, uśmiechnięta żołądz. Owoc mężczyzny.

Zagapiłem się, tymczasem Luna odeszła do innej sali. Odszukałem ją wzrokiem. Stała przed obrazem *Kropla wody na różowym śniegu*: dwa nadzwyczajne pasemka na pomarańczowym tle. Zsunąłem wzrok po plecach Luny we wzorzystej sukience – tam, gdzie wzory układały się we wdzięcznie krągłą opowieść.

Wiedziała, że podchodzę; lewą rękę przesunęła za plecy i zapraszająco poruszyła palcami. Przyłgnałem do niej na sekundę, rozsunąłem jej włosy i szepnąłem do karku:

– Co widzisz?

– Mężczyznę i kobietę.

– Co robią?

– Są nadzy. Siedzą naprzeciw siebie. Dotykają się nogami.

– Kolanami? – Musnąłem wargą jej ucho.

– Może udami.

– Będą się kochać? – Pocałowałem szyję, która się lekko wyprężyła.

– Już się kochali. Teraz siedzą pod gwiazdą i patrzą na kroplę spadającą na różowy śnieg. I jest im bardzo, bardzo dobrze. – Luna odsunęła się odrobinę i ścisnęła mnie za rękę. – A ty co widzisz?

Chciałem powiedzieć: „Widzę wzór na twojej sukience. Co to jest? Owoce dębu, mali chłopaczkowie w fikuśnych czapkach, podrygują, kiedy oddychasz szybciej, tak jak teraz, bo dotknąłem kolanem twojego uda. Twoje palce muskają mój policzek. Jakby chciały powiedzieć, że lubisz mój dwudniowy zarost. Od tego muśnięcia zaczyna się tlić. Chcę cię całować we włosy, w oczy, obok ust i w usta, w usta...”

– Tutaj? Powiedz – nalegała Luna.

Cichutki rozkaz, którego najpierw usłuchało moje cygaro i zaczęło przepalać mi spodnie.

– Wszystko widzę pojedynczo. Gwiazdę. Kroplę. Ślad na śniegu?

– A to na dole? Półokrągłe pasemka. Co to jest, Heliodorze?

– No dobra – powiedziałem. – To jest cudownie asymetryczna, uchwycona w ułamku chwili... ku swemu zażenowaniu, bo właśnie się ruszyła, straciła wrodzoną symetrię i ktoś to widzi, zobaczył, a to jest dla niej chwila wielkiej intymności, właściwie coś bezwstydnego. Taki już jej los, że wciąż ktoś decyduje za nią, zwłaszcza kiedy ją odsłania, podczas gdy ona lubi cień i pokazuje się dopiero, kiedy gaśnie światło, ukradkiem, i nigdy nie siada na śniegu, różowym czy pomarańczowym, suchym czy mokrym.

– Heliodorze.

Spojrzałem w uśmiechnięte oczy Luny. Nabrałem powietrza i powiedziałem głośno:

– To jest pupa.

Uciekliśmy, chichocząc, również dlatego że nikt nie zdążył zwrócić nam uwagi na niestosowność naszego zachowania. Podj smallechała taksówka. Luna ugryzła mnie w ucho.

– Cześć.

Ależ miałem ochotę ją schrupać. Chrupałbym i chrupał. Szkoda, że nie mam w domu cygara. Zapaliłbym sobie.

H.

- [NADAL NOCĄ]

Tak – zapomnieć o tym, co ludzie wyprawiają, i cieszyć się Heliodorem. Ufam, że ktoś, tam, na górze (a może w podziemiach?), pięknie nam to zaplanuje: będziemy chodzić na wystawy, do kina. Niebawem zjemy razem poranną jajecznicę, potem wrócimy do łóżka. Heliodor też nie śpi i myśli o tym samym.

- [KWADRANS PÓŹNIEJ]

Aha, jeszcze to: kiedy Luna odj smallechała, złapałem się za ucho – żeby zapamiętać, jak przyjemnie zabolalo. Pozwoliłem, żeby przejeżdżający autobus obryzgał mnie wodą z kałuży. Kiedy przejechał, zobaczyłem, że po drugiej stronie ulicy stoi dziewczynka w krótkim niebieskim płaszczu i patrzy na mnie. Ta sama dziewczynka o szafirowym spojrzeniu, która narysowała w parku dziwny kwadrat i cytowała Mickiewicza. Wysunęła rękę z kieszeni i wskazała na swoje, a potem na moje stopy. Odruchowo spojrzałem pod nogi. I wiesz, co zobaczyłem? To, wyrysowane na asfalcie:

	14				18
				23	

Sfotografowałem. Nie wszystko musisz rozumieć. Każdy dzień jest jak kwiat. Nie jestem ani guślarzem, ani poetą, czego czasem, na przykład dzisiaj, trochę żałuję – H.

- [PO WYSTAWIE]

Nie było go przed wejściem ani w hallu. Stał w księgarni, z ogromnym albumem w rękach. Poczul, że na niego patrzę, uśmiechnął się i podniósł wzrok. Rozmawialiśmy tak przez minutę. Na odległość. Ruszył w moją stronę. Mężczyzna nadchodzi, pomyślałam. Za chwilę pocałuje mnie w policzek, tuż przy uchu, i coś szepnie. Nie, dlaczego miałyby to zrobić? Bo tego chcę. Zrób to, Heliodorze. „Ładna sukienka”, słyszę przy prawym uchu. „Piękna koszula”, mówię w rewanżu do lewego ucha Heliodora. Z plakatów nad marmurowymi schodami patrzą na nas dwa ptaki – słoneczny i księżycowy. Pierwszy ma wszystko pojedyncze, drugi składa się z podwójności.

– Od czego powinniśmy zacząć? – pytam bileterkę.

– Wszystko jedno – odpowiada chłodno i wzrusza ramionami. – I tak nie wiadomo, o co chodzi. Nic a nic.

– Chyba wolałaby strzec *Bitwy pod Grunwaldem* – mówię do Heliodora. – Nic dziwnego, tam są prawdziwi waleczni mężczyźni, mięśnie i eksplozja testosteronu. A tutaj, popatrz, Zawisza Czarny w kąpieli z żoną. Bez broni i zbroi wygląda dość żałośnie.

– I kółka, kreski, kropki, wężyki.

– Barwne plamy.

– Księżycy i słońca.

– Gwiazdy.

– Ptaki, insekty, wąsy, kłaczki, sierść.

– Nic a nic – podsumowuje Heliodor i dotyka mojej ręki. – A jednak ktoś tu jest. Kobieta. – Nasze palce splatają się na chwilę. – Ona się pali. Żółtym i czerwonym ogniem.

– Do czego? Od czego? – pytam.

Przecież wiem. W środku czuję przyjemne mrowienie, ciepło. Ciepło, ciepłej. Cycuszki, pępek. Nic a nic. Tylko nagie ciała we wszechświecie.

„Jak się ogląda obrazy na dwie pary oczu, to po chwili zaczyna się je oglądać na dwie pary rąk, dwie pary uszu, dwa serca, dwa ciała”. Laura.

Moja ręka wsuwa się pod płócienną marynarkę. Plecy Heliodora są gorące. Z tylnej kieszeni jego spodni wyciągam jednogroszówkę. Trzymam ją na otwartej dłoni.

– Przynosi szczęście. Jest twoja.

W poprzek kobiety paleczka, z jednej strony zakończona wąsami, z drugiej – dłonią o rozcapierzonych palcach. Ciekawe, jak wygląda paleczka Heliodora. Szybko odchodzę, bo korci mnie, żeby spytać: „Heliodorze, jaką masz paleczkę?” Czuję jego wzrok: na plecach, na pupie, na łydkach. Domyśla się, co mi chodzi po głowie. „Głowa mężczyzny”. Mózg wypełniony wielobarwną plamą, oczy – błękitem morza. A niżej coś, czym...

– Czym myśli mężczyzna? – pytam.

Heliodor wsuwa palce w moje włosy. Ciepłej.

– Wiem tylko o kim, o czym.

Ten mężczyzna myśli o mnie.

Wciążam go za ściankę, na której wisi blada akwarela. Dobrze zapamiętałam: ma miękkie usta, które się nie mądrzą i szybko się ucza. Między nami pojawia się odpowiedź na tamto pytanie, które nadal korci. Ciepło, gorąco. Dzieli nas tylko kilka milimetrów tkaniny. I przestrzeń publiczna. Tuż obok ktoś chrząka i pokasłuje. Otwieram oczy i dostrzegam na akwareli coś. To. *Pars pro toto.*

– Przepraszam, chciałbym obejrzeć kobietę zbuntowaną – mówi starszy pan z fularem na szyi. – Ciekawe, o co jej chodzi.

– Chyba o to. – Pokazuję palcem dominujący na obrazie obiekt, którego kształt nie pozostawia wątpliwości. – Tylko po co jej ten sierp?

– Kobiety są nieprzewidywalne i czasem mają dzikie sny, w które Miró usiłował wniknąć – wyjaśnia Heliodor stłumionym głosem.

„Ważniejszy niż dzieło jest efekt, jaki ono wywołuje”. Miró. Nie posiadałby się ze szczęścia, gdyby teraz widział nas, łakomie w siebie wpatrzonych. Sztuka może umrzeć, a ziarno kiełkuje.

Mijam kobiety szamanki, kobiety kosmitki, kobiety zimne i gorące, wśród słońc, księżyców, gwiazd, ptaków. Zatrzymuję się przed pomarańczowym płótnem.

– Kropla wody na różowym śniegu – mówi Heliodor.

Ocieram się policzkiem o jego dłoń, która leży na moim ramieniu.

– Noooo, teraz to już naprawdę nic a nic. Tylko kropka, kropla, kropeczka. A te skrzyżowane pasma na dole?

Heliodor zmarszczył czoło i rozpoczął zawiły wywód. Słuchałam w skupieniu i było mi bardzo wesoło. „To jest symetryczne, tutaj akurat cudownie asymetryczne, chowa się i nie lubi światła, i nigdy nie siada na śniegu...” A kiedy pomyślałam, że już się nie dowiem, czym są dwa pasma na obrazie, Heliodor spojrzał na mnie i powiedział głośno: „To jest pupa”.

Pociągnęłam go za rękę i roześmiani uciekliśmy stamtąd, zanim ktokolwiek zdążył zwrócić nam uwagę.

Na pożegnanie ugryzłam go w ucho. Co w tym śmiesznego? Dlaczego wciąż się śmieję? To przez te dzikie sny.

I czego tu się wstydzić? Tego, o czym nie napisałam.

- [WIECZOREM]

Kochany,

zadzwoń na Cornelia. Ma teraz kupę forsy, bo Joep ją spłacił. Zastanawia się, co zrobić ze swoim życiem. Myśli o przenosinach do Polski; źle znosi amsterdamską atmosferkę, tę szczególną, buńczuczną beztroskę, rubasność i chłód. Świat jak tafla lodu, po której mknie się z wiatrem w uszach, jeśli tylko lubisz siebie w panczenach. Ale biada ci, jeśli nie znosisz jazdy na łyżwach – wtedy leżysz i kwiczysz. W każdym razie mam szukać dla niej lokum w Warszawie.

Aha, zadzwonił też Szef Wszystkich Szefów: żałuje mojego odejścia, jednak musi respektować restrukturyzacyjne decyzje szefa działu (Wicenaczelnego Kretyna) – w każdym razie gwarantuje mi sutą odprawę. Podziękowałem grzecznie. Sprawa zamknięta: udało mi się wylecieć z roboty w wigilię pięćdziesiątych piątych urodzin. Grunt, że nie zacznę przymierać głodem jutro ani pojutrze, mogę sobie pospać, potrenować i tak dalej.

Wpatruję się w zdj smallęcie: pustawy kwadrat z trzema liczbami. Nie wiem, co oznaczają ani dlaczego znajdują się akurat w tych miejscach kwadratu, który ma tyle innych pustych pól. Muszę chyba zaczekać na jakąś odpowiedź. Może od Ciebie, Wodzu. Wpadnę jutro przed świętem wiosny. To będzie ważny dzień. Dzień jak kwiat, który zakwita w naszych rękach.

Zobaczymy. Jak powiadał hrabia Tolstoj: dla kogoś, kto potrafi czekać, wszystko kończy się dobrze. Tego się trzymajmy.

H.

- [O PÓLNOCY]

Nie mogę spać. Jest północ. Zaczął się dzień moich urodzin. Mam pięćdziesiąt pięć lat.

Robię sobie potrójne espresso. Trzy liczby: 14, 18, 23. Żadna z nich nie odpowiada cyfrom w dacie moich urodzin. Próbuje inaczej: gdzieś około czternastego roku życia zrozumiałem, do czego oprócz siusiania służy męski przyrządek. Pierwszy prawdziwy seks w osiemnaste urodziny. A w dwudzieste trzecie?

Wpisuję w wyszukiwarce hasło „liczby w kwadracie”. Kwadraty magiczne, matematyka innego wymiaru. Dziesiątki kwadratów różnej wielkości, różnie podzielonych, z liczbami w różnych układach, które nic mi nie mówią. Nie jestem matematykiem. Ojciec był matematykiem i wierzył w gusła. „Istnieje coś takiego jak magiczne kwadraty. W kwadracie Saturna słońcu przyporządkowana jest cyfra sześć. A w kwadracie Słońca jest trzydzieści sześć pól, sześć w poziomie i sześć w pionie”.

Trzydzieści sześć pól, magiczny kwadrat słońca. I trzy liczby, które nic mi nie mówią. Może dziewczynka chce pograć ze mną w sudoku?

14, 18, 23. Czy kolejność jest ważna? 23, 18, 14? Jestem bezradny. Dopijam kawę i włączam radio. Jedwabisty głos recytatora: czy to nie ktoś z mojego roku w szkole? „Tyżeś to? i tak późno? – Błądną miałem drogę, wśród lasów, przy niepewnym księżycu promyku! tęskniłaś? myślisz o mnie? – Luby niewdzięczniku, pytaj się, czy ja myśleć o czym innym mogę!” Mickiewicz. Któryś z sonetów erotycznych. „Przebóg, jesteścież winni, że siedzimy razem? Wszak siedzę tak daleko, mówię tak niewiele, i zabawiam się z tobą mój ziemski aniele!”

Co jest z tym Mickiewiczem? Liczę litery w jego imieniu i nazwisku: czternaście. Ale nie wiem, co miałyby z tego wynikać.

Zbereznik. Przygalopował w księżycową noc, usiadł daleko od ziemskiego anioła i się z nim – znaczy z nią – na odległość zabawia.

Promyk księżycyca niepewny, znaczy niebo szarzeje, a ja się muszę wyspać. Od dzisiaj mam pięćdziesiąt pięć lat i spędzę wieczór w towarzystwie Luny. Może przyśni mi się mała wróżbitka i coś mi o tym opowie. Oby.

H.

- [PO ŚWIĘCIE WIOSNY]

Z patefonu płynęły dźwięki *Wiosny*. Miałam na sobie ciemnowiśniową sukienkę i zielone rajstopy, na ustach karminową szminkę. Reszta towarzystwa też była pstrokata. Tylko Heliodor i Lena wyglądali zwyczajnie. Weszli jednocześnie, jakby się znali i przyszli razem. Lena z naręczem tulipanów. Heliodor z pękiem żonkili. Ruszył w moją stronę. Jak wtedy, w Zachęcie. Jest coś magicznego w tym jego nadchodzeniu – jeden krok, dwa, radość, że idzie do mnie, ku mnie, a ja czekam i nie wiem, co się stanie.

– A strój Oberona? – spytałam.

– Przepraszam, ktoś mi go chyba rąbnął.

– A czy przynajmniej masz zdj smallęcia z tego przedstawienia?

– Tak. Pokażę ci. Pod warunkiem, że nie będziesz się śmiać.

– Będę. Aha, to przy okazji obejrzę też figurki szachowe. – Moja ręka bezwiednie dotknęła jego policzka.

– Ładne rzeczy – usłyszałam obok siebie głos Leny, kiedy Heliodor poszedł przywitać się z Faustem. – To ja ci opowiadam o facecie, który odwiedza Bromdena, a ty najwyraźniej znasz go lepiej ode mnie.

– Co?

– Wyjaśnię ci innym razem, a ty przedstaw Heliodora koleżeństwu, zdaje się, że są ciekawi kto to.

Po dziesiątej wszyscy uznali, że wiosna została godnie powitana, i zaczęli się zbierać. Heliodor wstał i też ruszył do wieszaka, Faust za nim. Zdrajcy, pomyślałam. Chwilę później Faust ziewnął i wrócił na swój kilim, Heliodor podał płaszcz Lenie i wrócił na swoje krzesło. Przepraszam za tych zdrajców.

Dźwięki *Wiosny* dobiegały końca, kolejny raz, płyta wzruszająco trzeszczała. Faust zasnął.

– Wiesz, nigdy nie będziemy już tacy młodzi jak teraz – powiedział Heliodor.

– Wiem.

Mam poczucie, że pierwszy raz jesteśmy naprawdę sami. Płomyczki świec dogasają w podskokach. Kiedy człowiek jest taki młody, nie powinien tracić czasu na sprzątanie, mówi wzrok Heliodora. Biorę go za rękę i prowadzę do schronu. Po chwili ogarnia nas cisza doskonała. „Tutaj mieszka wielki pająk, nazywa się Horacy – mówię szeptem. – Nie rozdepcz go. Jest oswojony”. Zamykam drzwi z ciężką mosiężną klamką. W ciemnościach nie widzę twarzy Heliodora, ale wiem, że się zawahał, bo jego dłoń drgnęła. „Nie bój się, zaraz zapalę”. Znowu drgnęła – nie wolno sugerować mężczyźnie, że się boi, nawet jeśli się boi. A Heliodor się boi. Nie Horacego. Nie ciemności. Z kobietą, która mu się podoba, wolałby przebywać na własnym terenie, gdzie wszystko ma oswojone, wymierzone, i mógłby ją uwodzić zgodnie z planem: teraz zapytam, czego się napije (mam wino czerwone i białe, wódkę, whisky i na wszelki wypadek campari), potem usiądę tak albo siak i poproszę, żeby podała mi rękę, a jeśli sztuczka nie zadziała, wstanę i zmienię płytę, muzyka robi swoje, znowu usiądę obok niej, o centymetr bliżej, i opowiem jakąś anegdotę, potem kolej na wiersze z księżycem: „Dziś wieczór Luna jakoś bardzo rozmarzona” albo: „Kiedy księżyc wschodzi, głuchną wszystkie dzwony”, a przy „wysepce w otchłaniach” wsunę rękę w jej włosy, powiem, że jest śliczna i pięknie pachnie, po „stu błędnych licach” zacznę całować ją w szyję, powiem jeszcze jakiś erotyczny frazes, a po kropce zacznę jej rozpinąć guziki.

Jeśli teraz spyta, ilu mężczyzn tutaj przyprowadziłam, natychmiast wyjdziemy; jeśli się powstrzyma od tego pytania, zapalę światło – słabą żarówkę, osłoniętą kulistym abażurem z bursztynowych płytek. Moja lewa ręka sunie w ciemnościach do ebonitowego włącznika, słychać pstryknięcie. Heliodor się rozgląda. Jest zagubiony. To dobrze – niech się skupi na urodzie tego, co nieznane, na przedmiotach starszych od nas. Nawiąże kontakt ze swoją utraconą niewinnością i skonfrontuje się z tą stratą. Niech dotknie drewnianego konia na biegunach z wyślizganym grzbietem, złoconej ramy obrazu namalowanego przez W. i przywita się z Horacym, który tkwi nieruchomo w sieci. Niech poczuje spokój. To miejsce nazywa się Teraz i jest rajem.

Heliodor całuje moją rękę. Patrzy pytającym wzrokiem. Lekko go popycham i rusza na obchód. Ogląda niemal każdy przedmiot, niektórych dotyka, zatrzymuje się przed starą, popękaną ikoną, a potem przed portretem Laury.

– Ładna.

– To Laura, moja przyszywana matka.

– Dziesięć korkociągów? – pyta z rozbawieniem.

– Tak, i mnóstwo fajek, papierosnic, grzebieni, stalówek, obsadek i kałamarzy, a nawet siodło, które należało do Wieniawy-Długoszewskiego, i jego szabla.

– Zmyślasz?

– Tak.

– Często?

– Nieustannie.

Na zewnątrz być może dzuma właśnie pustoszy Warszawę, a my siadamy na beczułkach i uśmiejemy się do siebie. Przez piwniczne okienko, za którym siedzi kot, widać skrawek podwórka. Heliodor przesuwając wzrokiem po mojej sukience, po zielonych łydkach i zatrzymuje się na kostkach. Mój wzrok schodzi po guzikach jego ciemnorudej koszuli i znów się wspina. On sunie w górę, ja w dół. Spotykamy się na wysokości kolan, kłatek piersiowych, ust, oczu.

– Nie cierpię słowa grdyka – mówię, jakbym zawierzała mu największą tajemnicę.

– A ja słowa brodawka.

– W jakimś języku, chyba po węgiersku, na brodawkę mówi się *bimbó*, czyli pączek.

– Ładnie.

– Brzuch i podbrzusze też brzmią okropnie.

Nie podobają się nam również pachy, kark, plecy, brwi, kości, broda, włosy, palec, mózg. Zapragnęłam nazwać ciało Heliodora po swojemu. I żeby on nazwał moje. Na nowo. Niech części naszych ciał nazywają się miło jak rośliny i zabawnie jak owady.

Podnoszę się i przytulam głowę Heliodora do wiśniowej sukienki. On też wstaje. Przesuwam palcem po jego grdyce, najbardziej tajemniczej, a mimo to bezwstydnie odkrytej części ciała mężczyzny, która od tej chwili będzie jabłuszkiem. Jabłuszkiem Heliodora. Pachnący szampanem oddech na moich ustach. Znam ten pocałunek i ciepłe wibracje w całym ciele. Z dawnego snu. Zamek błyskawiczny sukienki zaczyna się w połowie.

– Ten wihajster trzeba ustawić trochę do góry, w pozycji ukośnej.

Rozchylam koszulę Heliodora i całuję borówki na jego piersi. Mam tyle skradzionych nazw dla ciebie: rozponkę, kozieradkę, barwinek. I turkucia podj smalladka. Twoje plecy są gorące jak wtedy w galerii. Cofam się o krok, dwa, Heliodor za mną, jak w tańcu. Ale to ja prowadzę. Chodź. Chodźcie. Jest nas już troje. Czworu.

- [W ŚRODKU NOCY]

Daruję sobie wstępy, zresztą widzieliśmy się wczoraj. Może powinienem przestać udawać, że piszę listy do Ciebie. „Dopóki będę pisał, będziesz żył” – tak myślałem i nadal myślę, ale może jednak przeceniam siłę tego zaklęcia. A w ogóle, to są listy? Przecież ja opisuję swoje życie – Tobie, sobie. Muszę się wygadać, a chwilowo nie mam komu.

Kiedy zapukałem, doktor Helena była już w płaszczu, chyba gotowa do wyjścia, ale jeszcze poprawiała sobie makijaż. W wazonie na biurku moczyły się żółte tulipany. Swoje żonkile schowałem za plecy.

– Niech zgadnę, doktor Leno: czy pani...

– A to pan. Był pan u pacjenta czy dopiero pan do niego idzie? A na imię mam Helena.

– Wiem. Dla przyjaciół Lena, prawda?

– Dla przyjaciół. Wyłącznie – powiedziała tonem, w którym usłyszałem ciepłą ironię.

Wyglądała odświeżenie, z rozpuszczonymi włosami, w cynobrowych wiosennych półbutach.

– A dla przyjaciół swoich przyjaciół?

– To znaczy?

– Luna mówiła mi o pani – wypaliłem. – Że zawsze dobiera pani kwiaty pod kolor samochodu.

Więc pojechaliśmy tam razem. Żółtym MG. Po drodze przeszliśmy na ty.

Nie będę Ci opisywał święta wiosny. *Primavera* Vivaldiego. Naprawdę radosne tutti w E-dur. Igła patefonu, pewnie z czasów pierwszej wojny światowej, hyciała po winylowych wybojach – ale mistrz Antonio chyba nie tak wyobrażał sobie szesnastkowe pochody w skrzypcach. Luna w wiśniowej sukience. Oczywiście zapomniałem o przebraniu, zresztą nie miałem zamiaru pamiętać.

Na początek *qui pro quo*. Rumieniec Luny, kiedy zobaczyła mnie z Leną. I oczy, dwa roześmiane chabrowe jeziora wśród kwiatów. Uciekłem pobawić się z Faustem.

Potem już tylko chciałem, żeby wszyscy ci mili ludzie poszli sobie. Mówiąc wprost, chciałem zostać. Patrzeć na Lunę, popijając z umiarem, i nie robić nic.

Nalałem sobie kieliszek i podrapałem Fausta pod brodą. Dotknąć ustami szyi pod lewym uchem, poczuć zapach perfum, którego nie umiem nazwać, musnąć kolanem jej trawiastozielone udo, a może też grzbietem dłoni atlas opinający krągłą pierś, która, wraz z siostrą, tak się wyrывa na świat – nie chciałem więcej. A raczej lekko odbijałem myśl o jakimkolwiek „więcej” – jak łatwą piłkę z głębi kortu.

Co to jest? Kompletnie o tym zapomniałem. Że takie zdania: „Zadzwoń, kiedy już zdołasz unieść telefon. Będę czekać. Śniło mi się, że jestem naga, rozpinam twoją koszulę” mogą być jak iskry – wystarczy, że spadną na suchą ściółkę. Pochowałem skrętnie wszystkie te ciepłe, pachnące słowa w łatwo dostępnych szufladkach w głowie, sięgałem po nie całkiem często, obracałem w palcach, brałem do ust. I czułem jej delikatne, ale pewne siebie palce na policzku.

Na plecach. I już znany mi zapach, kiedy całowałem ją w kark. Całowałem najciszej w życiu. Naprawdę nie chciałem więcej?

To dziwne, Wodzu, ale w tym, co już dostałem – czego dotychczas, spotykając, a właściwie mijając inne kobiety, nawet bym nie zauważył – było tyle rozkoszy, że mogłem tak siedzieć i patrzeć, i cieszyć się czekaniem (cierpliwość hrabiego Tołstoja), aż wszyscy goście, którzy tak pilnie udawali, że nie myślą o seksie, wreszcie sobie pójdą. Bo oczywiście chciałem więcej. I to jak.

Pomogłem Lenie, która wychodziła ostatnia, włożyć płaszcz i spojrzeliśmy na siebie porozumiewawczo. Kiedy zostaliśmy z Luną sami, powiedziałem:

– Wiesz, już nigdy nie będziemy tacy młodzi.

– Wiem – powiedziała i zrobiła gest, który miał chyba znaczyć: „nie mówmy teraz o tym”. Wzięła mnie za rękę.

Dokąd idziemy? – chciałem spytać, ale milczałem. Trzymała mnie mocno, jak dziecko, które w emocji wczepia się w dorosłego. Przystąpiliśmy jakiś próg.

Kiedy Luna zapaliła światło, zrozumiałem. To był ten jej świat wypełniony tysiącem starych, nikomu niepotrzebnych przedmiotów, a ona była tu księżycową księżną. Astrolabium, lustro, kufer, floret, nawet siodło. Kwadrat magiczny Jupitera. A powinien być Słońca (przyszło mi na myśl). Papierośnice, korkociągi, szylkretowe grzebienie w orientalnych misach. Między sztalugą przesłoniętą płótnem a komódką, może z alkowy madame Pompadour – materac. Dotknąłem ustami ręki Luny nad nadgarstkiem, ale cofnęła ją i pchnęła mnie lekko.

Zrozumiałem coś jeszcze: wszystko jest tu na swoim miejscu. A ja? Wyznaczyła miejsce dla mnie: mam być Endymionem w jej jaskini? To świat urządzony według jej reguł. Najgłupsza rzecz, jaką mógłbym zrobić, to sprzeniewierzyć się jego prawom. A zwłaszcza – postąpić tak nie w porę.

Korciło mnie, żeby zerwać zasłonę z obrazu, tak jak zrobił ów głupiec w świątyni Izdy. Odwróciłem się.

– Masz ochotę obejrzeć?

– Tak.

Zdj smallęła zasłonę.

– To Laura, moja matka.

Ładna. Ciekawe, jak wygląda ojciec Luny.

Usiadłem na beczulce naprzeciwko księżnej i wpatrzyłem się w nią, w jej owalne oczy, w szyję i dekolt. Oczy chabrowe czy szafirowe? Przełknąłem ślinę. Miałem ochotę pocałować ją

w kącik ust i posłuchać ich odpowiedzi. Wyobrażałem sobie, że będzie zwiewna i gorąca jak letni wietrzyk.

– Nie cierpię słowa grdyka – niespodziewanie rzuciła Luna.

Tak – przemknęło mi przez głowę – jest w tym słowie bezsilność mężczyzny wołającego o ratunek. Bogowie, a zwłaszcza boginie, nie lubią takich nieszczęśników. Krztuszących się kawałkiem jabłka. Haniebne poniżenie rodzaju męskiego przez tę tradycję znajduje jakąś rekompensatę w innym wyrazie, a właściwie dwóch wyrazach: jabłko Adama.

Rozmawiamy o ciele. Oczy Luni zasnuła szarość; błędziły gdzieś poniżej punktu, którego polska nazwa, choć znajduje się on w centrum człowieka, brzmi jak żart.

– Nie cierpię też sutków, pach, potylicy i sromu. Nasze ciała powinno się nazwać od nowa – powiedziała z lekką chrypką.

Wstała i podeszła do mnie. Jej dłoń dotknęła mojego ucha i zsunęła się po szyi.

– Jabłuszko Adama. Może być. Takie niewinne. I takie bezwstydne.

Wstałem.

– A Diana? Ta od Endymiona, ma jakiś swój owoc?

– Diana ma łuk i strzały. Dopiero średniowieczni alchemicy podarowali jej drzewo. Hoduje się je ze srebra i rtęci.

Naprawdę mówiliśmy o łuku, strzałach, srebrze i rtęci? Może mi się przyśniło. Sen, życie – dawno mi się tak nie myliły. W każdym razie od którejś chwili nie mówiliśmy już nic.

- [NAD RANEM]

Luna miała rację: język imion nie przylegał do natury, w której miało się ziścić spotkanie mężczyzny i kobiety. Ziścić. Przyszli w to miejsce z różnych światów. Mężczyzna ze spalonych słońcem ziem, kobieta – mleczną drogą z pałacu pod niebem. Przyszli po wielu stuleciach, nieomylnym tropem, wyznaczonym tylko dla nich w znakach języka, którego jeszcze nie znają.

– Chodź.

Mężczyzna rozbiera kobietę. Jak zwykle wygląda to dużo śmieszniej niż w filmowych scenach erotycznych. Zamek błyskawiczny nie może się nie zaciąć. Haftki biustonosza zakleszczone na amen. Jej rajstopy: w drodze do raju uwięzione stopy, jego skarpetki: dwie martwe jaszczurki.

Jesteśmy nadzy, snujemy opowieść bez słów, moje palce na twojej szyi, twój oddech na moim policzku, wędrujące dłonie, bezbronność nagich ciał cieszy nas, darujemy ją sobie

chętnie – masz, masz. Masz chłodne dłonie, ogrzewasz je w moich włosach, a ja schylam się i obejmuję ustami twarde jagody, jedną i drugą, i znów tamtą, odrobinę dojrzałą, słodką; przepelnia mnie od tego przyjemnie wilgotny ciężar. Wiem, że go uwolnisz, marzę o tym, ale jeszcze nie teraz, nie teraz.

Nasze ciekawskie wargi bawią się w chowanego; czy to przypadek, że się znalazły akurat w chwili, kiedy odkryłaś kosz z owocami? Czułe, zwinne zwierzątka w naszych ustach są chciwe siebie i tak cichutko rozradowane, kiedy twoje palce, szczebioczące przekupki, przebierają w tym koszu, ważą brzoskwinie, głaszczą mechata skórkę, sprawdzają świeżość podłużnego owocu, dla którego dopiero trzeba wymyślić nazwę. Patrz, jak dorodnieje... Chcę coś powiedzieć do twojej szyi za uchem, ale domyślam się rozkazu („zajmij się lepiej – zgadnij czym”) i właśnie wtedy na moim udzie przysiada motyl. Odfruwa i znów przysiada. Czuję na skórze muślin.

Bierzesz mnie za ręce i cofasz się o krok. Siadasz na materacu między sztalugą z płótnem a komódką madame Pompadour. Wpatrujesz się w koszyk z owocami, a potem bardzo powoli podnosisz oczy. Srebrny promień przedziera się przez piwniczne okienko. A ja zdejmuję ci rzesę z policzka i mówię:

– Jestem.

- [NAZAJUTRZ]

Cisza. Obok mnie leży mężczyzna. To Heliodor. Spotkałam go i przyszedł. Kładę dłoń na jego policzku, a on mruży oczy. Lubi to. Już nigdy tacy młodzi? Nasze ciała w bursztynowym świetle wyglądają całkiem, całkiem. Lepiej jednak nie przyglądać się sobie zbyt uważnie. A Heliodor patrzy.

– Gapisz się – mówię.

– Ty też.

– Nie, tylko zerkam.

Patrzymy, zerkamy, gapimy się, wpatrujemy.

„Zwiedzanie miasta zaczynaj od peryferii, do głównych atrakcji i tak zdążysz dotrzeć”. Za późno, Lauro, ale dzięki, bez twoich mądrości na pewno sprofanowałamby tę świętą chwilę. Może powiedziałabym: „Masz fajną pałeczkę” albo: „Bzyknij mnie, Heliodorze. Po co nam ten Vivaldi?”. A przecież nie chcę tak, chcę się kochać. Przy Vivaldim. Zwiedzać to miasto powoli, bez pośpiechu. Krążyć po nim, całować je, dotykać, polubić.

Radosne tutti. Dwie ciepłe ręce wspinają się po moich ramionach na szyję. Jedna wsuwa się we włosy, druga, pachnąca żonkilami, zawraca. Po moich plecach i pośladkach biegają tryle i staccata. Kto ci dał takie miękkie usta, takie wesole ręce?

A teraz largo.

– Od czego zaczynasz zwiedzanie obcego miasta? – pytam.

– Poruszam się zygzakami, a potem skupiam na tym, co wymaga szczególnej troski, jak to miejsce za twoim uchem.

Omijam okoloną delikatnym runem wieżę, która się chwieje. Znow jabłuszko. Uszy, oczy, ścieżka między zębami, pępek. Wieża kładzie się na mojej dłoni. Ani drgnie. Do czasu, za chwilę podskoczy i zatańczy. Dotykam jedwabistej kropli, która rozplywa się pod opuszkami. I zwabiam twoje palce w inne miejsce szczególnej troski, które żyje już własnym życiem.

Będę cię całować. O, tak – jedno oko, drugie oko, lewe ucho, prawe ucho i usta, które mam tuż nad sobą. Nie rozumiem twojego szeptu na szyi, ale brzmi słodko. Zaraz zostaniesz sam, moje ciało chce już tylko tej jednej egoistycznej chwili. Radosnej siciliany wokół siebie, w sobie. Tulę cię, zagarniam w tym tańcu, żebyś nie odfrunął. A potem nie pamiętam. Opowiesz mi o tym?

- [W PORANNYM SŁOŃCU]

Każę mi tu siedzieć i szukać słów, które opowiedziałyby inaczej o jaskinnym spotkaniu kobiety i mężczyzny. Grymasi. Dlaczego, pyta, nie powiesz wprost: kochaliśmy się na materacu, w cokolwiek operowej scenografii; było trochę śmiechu, tłumionego pożądaniem; te haftki, gumki, guziki i paski, ale też zadyszany pośpiech. Coś was nagliło?

Ktoś w mojej głowie. Głos.

Jasne, odpowiadam, ale im bardziej nagliło, tym bardziej wydłużała się droga – dziwne prawo czasoprzestrzenne.

Leżeliśmy wtuleni w siebie, wpleceni, wgłaskani, i mówiliśmy sobie rzeczy. To dopiero było niezwykle: mówienie na przekór wstydom. Jak dalszy ciąg seksu, inna barwa intymności, w którą chciwie wczuwają się ciała. Trzymaliśmy się w ramionach, jakbyśmy już nie umieli – nie chcieli – się rozszczępić, i nie przestawaliśmy szeptać.

Zagarniałam cię jak w tańcu, żebyś nie odfrunął.

Chciałem być jak najbliżej. Można tańczyć do Vivaldiego?

Można się kochać. A wiesz, ona ma swoją muzyczną miarę czasu.

Tempo. On też.

Lubię jego *andante*. I *andantino*. Pokaż.

Dotknęła go. Pocałowałem ją w ucho i wsunąłem dłoń między jej uda. Wpuściły ją. Runo. Byłem w fazie plateau.

O, chwiejąca się wieża.

O, ciasna uliczka.

- [PO POŁUDNIU]

Potem mówiliśmy sobie słowa jakby wzięte z jakiejś księgi zaklęć. A nasze ciała były najpierwotniejsze, wciąż chciały rozkoszy. I przyciągały światło, chociaż była noc. Spadałam ze szczytu śpiewającego wodospadu, a tam też śpiewało.

Heliodor nie jest cytatem ze świata. Nie ma do niego rymu.

- [PO BANKIECIE]

– Wyglądasz jak Delon w *Pierwszej spokojnej nocy*. Jak ty to robisz?

– Dzięki. Delon był wtedy młody. Dla ciebie może powinienem wyglądać jak Jean Gabin.

– Dla mnie? A wyglądamy sobie, jak chcesz. Ale Delon to Delon.

– Miał w tym filmie kochankę, śliczną uczennicę Vaninę, pamiętasz? Ty wyglądasz jak Vanina.

– Spadaj. Dobrze wiem, jak się postarzałam.

Na *Pierwszej spokojnej nocy* byliśmy razem, w kinie studyjnym, którego już nie ma. Przyjrzałem się Arlecie; zachowała doskonałą figurę. Okulary w złotej oprawce i drobniutkie zmarszczki nad górną wargą dodawały jej uroku.

– A mój mąż młodnieje. Popatrz tylko.

Stach Schimrach z kieliszkiem białego wina stał opodal w otoczeniu czterech młodych kobiet i wodził rej.

– No tak. Stach podrywa cizie – powiedziałem.

– Cizie? Tak się jeszcze mówi?

– Raczej nie. Ja mówię, bo jestem staroświecki. – Westchnąłem i zapatrzyłem się w ociekający kryształowymi girlandami żyrandol.

Arleta spoglądała na mnie znad okularów.

– Znam cię, że tak powiem, od każdej strony. Wiem, kiedy się zgrywasz.

– Na przykład?

– Na przykład, jak chcesz coś ukryć.

– To znaczy?

Patrzyła na mnie badawczo oczyma, do których pasowało słowo malachit.

– Jesteś jakiś zmieniony. Masz nową cizię. Kłopot sercowy.

Pokręciłem głową.

– Ani cizi, ani kłopotu.

Nie uwierzyła.

– Wiesz, że jedyne poważne rozmowy prowadziliśmy w łóżku i na wyciągu krzeselkowym? – zapytałem.

– Na wyciągu tak, ale w łóżku? Nie pamiętam, żebym z tobą sypiała. – Uśmiechnęła się.

Zęby miała imponujące. Niemieckie.

– Wybacz, widocznie to nie byłeś ty.

Lubiliśmy się tak bawić, w ciepło-ironiczne żarciki.

– Teraz ty popatrz, o tam.

W naszą stronę żeglował Stach pod rękę z Leną. Podczas wymiany uprzejmości puściła do mnie oko.

– Doktor Heleno, to jest Heliodor. – Stach był wyraźnie podekscytowany, dzięki czemu jego polszczyzna nabrała poloru.

– My się już znamy – powiedziałem.

– Doprawdy?

– Przez tego pacjenta, o którym panu mówiłam, profesorze.

– Oczywiście – rzucił Stach. – Jestem go bardzo ciekaw. A kto to dla ciebie jest, *mein lieber Heliodor*? Heliodor! Co za imię, prawda, doktor Heleno? *Geschenk der Sonne*. Podczytuje właśnie Biblię; otóż w Drugiej Księdze Machabejskiej występuje niejaki Heliodor, który próbował obrabować świątynię jerozolimską. Dostał po uszach, ale miał wiele szczęścia: uszedł z życiem. Naszemu Heliodorowi też się zdarza uchodzić z życiem. – Stach próbował wytarmościć

mnie za ucho. – A doktor Helena wygłosiła nadzwyczajny referat. *Chapeau bas!*

Stach był pod dobrą datą, wyglądał jak podpity Jean Gabin. Zachwiał się i Arleta wprawnie podtrzymała go za łokieć.

– Dziękuję, panie profesorze. – Lena podała mu rękę, a Stach pochwycił ją trochę niezgrabnie.

– To był świetny esej, pani doktor. Esaj, mówię to z podziwem. Ekspresja literacka przywraca medycynie pamięć. Medycyna bez pamięci, moi państwo, jest jak muszla klozetowa bez... – Stach teatralnie zakrył sobie usta dłonią. – Przepraszam. Więc z przyjemnością przyjdę jutro do pani szpitala. Proszę podj smallechać po mnie, powiedzmy o jedenastej? Po drodze opowiem pani o naszym szczęściarzu Heliodorze. – Zachichotał jak chłopczyk. – Historie pasjonujące jak... Czasem brakuje mi słów, polski to taki trudny język.

Kokiet, spryciarz, na pewno nie brakuje mu polskich słów. Udaje, że tak jest, i zawsze z rozmysłem przechodzi na niemczyznę lub angielszczyznę, żeby zyskać na czasie – przejrzałem go już dawno. Byłem rad, że wizyta Stacha w szpitalu, a może nawet na konsylium, dojdzie do skutku, że Stach Cię obejrzy i powie, co Ci tam w gwiazdach zapisali. „Lekarz, który nie czyta w gwiazdach, zawsze może przeoczyć coś ważnego”, mawia ten mój znachor i astrolog. Może on mi zdradzi, co znaczą trzy liczby w magicznym kwadracie?

I cieszyłem się, że Lena jest w komitywie ze Stachem bez mojego pośrednictwa.

Sala bankietowa hotelu pustoszała, uczestnicy kongresu, dobrze ostrzyżeni okularnicy oraz ich eleganckie towarzyszki, gromadzili się przy drzwiach wyjściowych. Lena skinęła mi ręką, w oczach miała radość i odrobinę niedowierzania. Stach wdał się w pogawędkę z czarnoskórym mężczyzną w szacie przypominającej ornat (co ty masz na sobie? jak to się nazywa? *this? oh, this is agbada, usual clothing – you like it?*), a ja objąłem Arletę.

– Co znaczy *Geschenk der Sonne*? – szepnąłem jej do ucha.

– Dar słońca.

– Aha.

– Więc co właściwie...

– Więc nic.

Odgarnąłem kosmyk długich rudych włosów i pocałowałem ją w skroń.

– Nic. Jestem szczęśliwy.

- [SZEŚĆ MINUT PÓŹNIEJ]

Opowiedziałem Ci o bankiecie neurologów, żeby zdać sobie sprawę z tego, co się ze mną dzieje. I czego, jak mi się wydawało, nikt nie widzi. Ale jeśli zobaczyła to Arleta, to pewnie widzą wszyscy.

Wiem, co to jest, ale jeszcze nie umiem tego nazwać. Kiedy już będę umiał i chciał, napiszę do Ciebie znowu i znowu nie wyślę tego listu. Ale nie przestanę pisać.

Jak wytłumaczyć przymus pisania. Wiara w to, co zapisane w gwiazdach? A jeśli w listach jest jakaś magiczna moc, to może wcale nie zależy ona od tego, czy się je wysyła. W każdym razie któregoś dnia zapalisz fajkę, założysz swoje druciane okulary, ktoś poda Ci kawę. I będziesz sobie czytał.

Twój Heliodor

- [SOBOTNI WIECZÓR]

Kwitną forsycje i śliwy.

Lenka i Heliodor byli dzisiaj na kongresie neurologów. Oni obradowali i bankietowali, a ja pojechałam do Laury. Byłyśmy w parku. Wystawiła twarz do słońca i oddychała głęboko, jakby się chciała nasycić zapachem wiosny. Zerwałam liliowego tulipana i włożyłam go między jej splecione palce. Cały czas do niej mówiłam.

– Lubisz tulipany. Pamiętasz? Wiosną wszędzie stały u nas tulipany. Nawet na moim biurku. „Jeśli nie będzie nikogo, kto by cię otoczył kwiatami, sama się nimi otocz”. Mówiłaś to każdej wiosny. Dostałam od Heliodora różę i ususzyłam ją, tak jak ty to robiłaś. I żonkile. Jednego zgnetliśmy na materacu, kiedyśmy się kochali. Wiem, wiem, ziemia się nie rusza, a pisarze i artyści zmyślają, ale na ułamek chwili nasze ciała stały się lekkie, jakby bezwładne.

Przypomniała mi się jedwabna chustka, którą kiedyś wyrzuciłam przez okno, bo nie mogłam znieść, że ojciec przez nią płacze. Szybowała jak rajski ptak, aż w końcu osiadła na pobliskim kasztanowcu. Chustka mojej matki. A ojciec jak płakał, tak płakał. Zrozumiałam, że jednak nie z powodu chustki. Gdyby nie Laura, ja też bym ciągle płakała. Bardzo za nią tęsknię. „Ciesz się, jeśli masz za kim tęsknić. I naucz się tęsknić pięknie”. Chyba dopiero dziś rozumiem, co miała na myśli. Całe jej życie było wypełnione tęsknotą, a ja tego nie widziałam.

Kiedyśmy wracały ze spaceru, Laura podniosła tulipana i niezgrabnie przytknęła go do nosa, na którym został liliowy pyłek. Chciałam jej jeszcze powiedzieć o naszych pieśczętach słowami. Że wciąż mam je w uszach, przed oczyma, w całym ciele. Spytać Laurę o tę nieznaną rozkosz. Dziecięca wiara, że Laura wie wszystko, nigdy mnie nie opuszcza.

W jej pokoju stały białe róże. Pomyślałam, że od Ewy, młodej pielęgniarki.

Lekarz powiedział, że stan Laury jest stabilny. Codzienna rehabilitacja przynosi efekty. Ale nie powinnam robić sobie nadziei. Należy się cieszyć, że choroba postępuje wolniej niż dotychczas. „I tak mamy szczęście, że nie jest agresywna i nie przeżywa stanów lękowych”. Skąd

ta pewność? Czuję, że Laura w tej swojej kryjówce żyje w ciągłym strachu. Nie umiem jej stamtąd wyciągnąć.

Umyłam ją i położyłam do łóżka. Trzymała mnie za rękę, kiedy śpiewałam kołysankę o księżycu, którą kiedyś dla mnie ułożyła.

Wychodząc, wpadłam na Ewę.

– Dziękuję za te róże w pokoju Laury – powiedziałam.

– Nie, to nie ode mnie. Odwiedził ją jakiś pan. Staruszek. I drugi, sporo młodszy. Zostawił ich samych w parku. Tamten też był na wózku, drżały mu ręce i miał bardzo bladą twarz. Obserwowałam ich przez okno. Może nie powinnam, ale nie mogłam oderwać od nich oczu. Cały czas głąskał Laurę po dłoniach. I pocałował ją w policzek. Poryczałam się.

Staruszek? Jest tylko jeden staruszek, który mógł ją odwiedzić. Ten sam, który przestał odwiedzać mnie.

Zabrałam z szafki Laury plik pożółkłych papierzysk, wśród nich kopertę: „Dla Luny, mojej ukochanej córki”. Jest jakiś dyskomfort w tym, że się ma dwie matki. Konflikt uczuć. Nie obchodzi mnie moja biologiczna matka – na próżno, dużo o niej myślę. A koperta niech sobie leży w szufladzie biurka. Otworzę ją, kiedy otworzę.

- [W NOCY, PO SPACERZE Z FAUSTEM]

Kobieta – z natury czy z kultury? – po pierwszej nocy z mężczyzną czuje się dziwnie. Chciałaby tę noc cofnąć i zarazem powtórzyć. Wiem, dlaczego chciałabym ją powtórzyć, ale nie mam pojęcia, dlaczego miałabym cofać coś, co było piękne i bardzo przyjemne. To, zdaje się, ma coś wspólnego z przemijaniem i wolnością, a pewnie też „po” zmienia się chemia mózgu. Nie cierpię tych rozterek.

Faust podczas spaceru zamiast biegać po krzakach, grzecznie idzie przy nodze i co rusz podnosi łeb, wpatrując się we mnie wyczekująco. Wybij to sobie z głowy. Dlaczego? Nie ma go w domu. Nieprawda. Skąd wiesz? Pali się światło. Jest zajęty. Jest wolny. Ale ja nie mam ochoty. Chcę wszystko cofnąć. Tere-fere. A tak na marginesie, czy ty kiedykolwiek miałeś suczkę? Co za pytanie. Zaliczyłem pół osiedla, zanim do ciebie trafiłem. I pewnie sobie myślisz, że wszystko jest takie proste. Niestety, człowiek to skomplikowany instrument. Daj spokój. Przecież go chcesz. Chcę i nie chcę. Chodźmy. Ale to nie w moim stylu. Nie chodzę do facetów po seks. Nie do facetów, tylko do jednego konkretnego faceta, który czeka. No, nie wiem. A co o tym mówiła Laura? Nie pamiętam, zaraz coś wymyślę. Mówiła na przykład, że jak się ma wielką ochotę na seks, to czym prędzej trzeba gdzieś wyjechać. Co za nudziara. Albo żeby pójść po ten seks, jak gdyby nigdy nic, a potem wyjść jak gdyby nigdy nic. To już lepiej. I mówiła też, żeby na takie tematy nigdy nie rozmawiać z beczelnym psem.

– Zrobię kolację, mam dobre wino – mówi Heliodor.

Jest zaskoczony, ale oczy mu się śmieją. Czy tylko tak mi się wydaje?

– Nie trzeba, my na chwilę. Faust stęsknił się za tobą.

– A ty? Tak jak ja?

Faust, wraz ze smyczą, biegnie do kuchni. Szybka wymiana spojrzeń. Kiedy docierają do nas odgłosy łąpczywego chrupania, mój płaszcz leży już na podłodze. Na płaszczu miękko układają się tęczowa apaszka i niebieski sweter, o krok dalej twoja bordowa koszula, obok białej kanapy rośnie barwny stosik garderoby, opodal czerwienią się moje buty ze sznurowadłami zawiązanymi na kokardkę. Czarny stanik, przez głowę, tak jest szybciej. Nic nie mów. Nie bawmy się w ceregiele. Żadnych wstępów, żadnego zwiedzania ciał ani muzyki. Przyszłam tylko po to. Bo moje ciało wariuje od rana do wieczora. Chodź. Na tej białej kanapie. Gdziekolwiek. Zajmij się nim, żeby przestało. Spodoba się wam. Obejmę twoją głowę, przytulę ją do serca i szepnę ci coś, coś zwykłego, na przykład, że jeszcze nigdy, z nikim, nigdzie. Jakieś kłamstwo, które będzie prawdą. Zrewanżujesz się czymś podobnym. I powiesz: zostań do rana.

- **[PIERWSZE NAPRAWDE**

CIEPLE POPOŁUDNIE W TYM ROKU]

...obejmę cię mocno ustami. nie chcesz tego? bardzo chcesz.

pamiętasz mnie? nie musisz, to tylko sen, w którym do ciebie przychodzę. a pamiętasz, jak było w tamtej książce? „...wysączył każdy cień z jej brzucha, z bioder, a potem wznosił się do twarzy...” namaszczenie, wtajemniczenie, wszystkie te wysokie słowa. czytaliśmy je sobie w łóżku. ale ja nie jestem magą, a ty nie jesteś horaciem oliveirą, więc nic z tych rzeczy. wszystko jest dużo prostsze, w snach wszystko jest prostsze. wypełniasz mnie i czuję twój smak. stajesz się wtedy najdoskonalej bezbronny. cały jesteś w moich rękach, w moich ustach. niezależność, „jedyny ubiór pasujący do magi” – akurat to zdanie mi się podobało, choć po hiszpańsku musi brzmieć lepiej. miewasz sny w obcych językach? przyszłam i wyjdę tak ubrana, a zanim wyjdę – nie, jeszcze nie teraz. chcesz zdążyć, wiem, chcesz obdarować mnie przed przebudzeniem, bo co to za sen, który kończy się za wcześnie. więc zanim wyjdę, zanim zdążysz, zanim mnie obdarujesz, najpierw ja muszę obdarować ciebie. chodź do mnie, nie bój się. obejmę cię mocno ustami...

Otworzyłem oczy. Maga, Horacio. Cortazar. Kto powiedział to zdanie i kiedy? Róża. Nie, Róża nie wygłaszała takich monologów. Która kobieta? Skądinąd dobre zdanie. Dwa daktyle i trochej. Na początku anakruza, na końcu – „mocno ustami” – spadek adoniczny. Nie, tego zdania nie powiedziała żadna z kobiet, które znam. Przyśniło mi się. Malignowałem. Nie jestem sobą.

Luna. Seks z Luną jest jak pierwszy zawstydzony seks w życiu. Ale o całe życie mądrzejszy.

Arleta ma rację, zmieniłem się. Dobrze mnie zna. I ja znam siebie: jestem najdoskonalej odczarowany, nie ulegam szczeniackim fascynacjom, umiem jeździć ten slalom tak, żeby nie zrobić sobie krzywdy. Z czasem odwykłem od poważnych miłosno-erotycznych emocji, świat, w którym rządziły, przerodził się w scenę buffo. Teraz wraca do mnie we śnie nieznanym głosem.

Dzwonek telefonu. Arleta.

– Możemy przełożyć spotkanie na jutro? Stach się zdrzemnął, miał trudny dzień. Był w tym szpitalu, na konsylium. Powinien odpocząć.

– Jasne.

– Wszystko u ciebie w porządku?

– Jeszcze jak. Właśnie się obudziłem. Śniło mi się, że jestem dużym chłopcem, nade mną, na złotym rogalu księżycy, siedzi dobra wróżka, majta nogami w trawiastych pończochach i chce spełniać moje życzenia.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak. Kocham cię, Arletko.

Czuję się tak, jakbym nie musiał robić nic, bo ktoś gdzieś obsługuje wielką maszynę, przesuwa dźwignie, popycha mnie albo łapie za ramię – po to, żeby było mi dobrze. Może w takim razie wygram ten triathlon, nie zamęczając się na treningu.

Pewnie, że wierzę w przypadek, jak każdy rozsądny człowiek. Gdybym się nie umówił z Luną i nie wykopyrtnął na prostej drodze, może Wicenczelny Kretyn nie zwolniłby mnie pod byle pretekstem i dzisiaj, w najcieplejsze popołudnie tego roku, siedziałbym w biurze. I nie czekałbym nie wiadomo na co. Ale to nie rozsądek każe mi czekać, tylko Wielka Królowa Kontyngencja, która ma dla mnie plan. Dwie godziny temu zadzwoniła Lena i powiedziała: „To było wspaniałe konsylium”. Stach chrapie w swoim hotelu. Arleta nie zapytała, czy mimo to nie wpadłbym na kawę. Nie wpadłbym. Muszę tu siedzieć i czekać.

Wielka Królowa z pewnością ma wielki porządek w swoich rachunkach. A ja jestem bardzo dorosłym facetem. Więc jednak trening. Słońce wisi nisko nad horyzontem, gruby na palec, złoty promień przecisnął się przez roletę i położył na wysokości moich bioder. Pobiegnę, a potem zadzwonię do Luny.

Nie, nie chce mi się biegać. Z każdą minutą świat za oknem nabiera coraz głębszej granatowej barwy. Zapaliłem lampę. Co robi latarnik, kiedy o zmierzchu zapali już latarnię? Wpatruje się w noc i czeka, aż na czarnym morzu pojawi się zbłąkane światełko. To nie dla mnie, pomyślałem i w tej samej chwili zaplumkał dzwonek u drzwi.

Faust szczerknął wesoło i skoczył mi na klatkę piersiową.

Luna. Poczulem zapach morskich minerałów. Przytuliłem ją mocno.

Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałem, żebyś przyszła. (Nie powiedziałem tego). Wiesz, po co przyszłam. (Też tego nie powiedziałaś).

Płaszcz ułożył się na podłodze jak posłuszny zwierzak, obok tęczowa apaszka i sweter – rozbierała się, tuż przy mnie, ze mną. Nagość przywarła do nagości; jak łatwo pragnienie przewycięża wstyd. Dwa ciała połączone w jedno, podwójnie żywe, podwójnie bogate. Jesteśmy hojni i chciwi. Daj. Masz. Chcę. Bierz. Ciemna miedź, jaka lekka. Muślin, to dobre słowo? Raczej muślinka. Twoje dwie siostrzyczki: jedna nasłuchuje, druga chce schować mi w garści kamyk. A ty zatrzymaj moją twarz w dłoniach, zamknij w nich chwilę, w której tyle się dzieje. Łasimy się do siebie, łakniemy łakoci. Twój łakomy wąż, mówisz. Wpuść go do ogrodu. O tak, „wąż śliską piersią dotyka się ziola”. Siedzisz mi na kolanach – jedźmy. Wsuwam dłonie pod twoje pośladki. Unoszą się. Jeszcze raz. Jeszcze. Cudownie to wiedzieć: jedziemy w tę samą stronę, w słońce.

Wyszła. Mógłbym pomyśleć, że to się nie zdarzyło.

Pod stołem w kuchni leżą okruchy korka od wina, który spadł tam wieki temu. Widocznie Faust zwietrzył dobrą markę. Zapaliłbym papierosa, ale nie chcę zgubić zapachu; wciąż go czuję. Morskie minerały. Jak właściwie pachną?

Właśnie tak.

- [O ZACHODZIE SŁOŃCA]

Jestem bajecznie bogata. Moje konto bankowe nie posiada się z radości, a fiskus już zaciera ręce. Na szczęście wraz z nagłym przypiływem gotówki usłyszałam też głos rozsądku, wygadujący jakieś nudziarstwa o fortunie, która kołem się toczy.

A było tak:

– Ładnie urządziła pani antykwariat. Widać kobiecą rękę. I nie czuć zapachu starzyzny – powiedział mężczyzna, który od dłuższego czasu lustrował półkę z książkami. Miał obcy akcent.

Podniosłam wzrok, wyrwana z zamyślenia, a właściwie ze śmiałych fantazji z Heliodorem w roli głównej – miewam też nieśmiałość: że biorę jego rękę i przykładam ją do swojego policzka; że na tarasie z widokiem na jezioro pijemy sobie zimne chardonnay; że kiedy śpię, szykuje mi niespodziankę.

Przyglądał mi się uważnie.

– Chciałbym kupić te książki – powiedział, wskazując stolik obok półki, na którym piętrzył się stos pierwszych wydań i wszystkie książki od pana Lazura.

Żartowniś, pomyślałam, przecież to są bardzo drogie książki. A te z ekslibrisami

heraldycznymi kosztują majątek.

– Znam ich wartość – powiedział pan Bibliofil, najwyraźniej rozbawiony moją miną. – Mam słabość do pierwodruków.

– Ja też.

– Dziwne, że tak sobie stoją na półce. Wiele z nich powinno trafić na aukcję.

– Miałam też lwowskie wydanie *Niebezpiecznych związków*, ale kupił je Heliodor.

Uśmiech. Nie spytał, kim jest Heliodor. A szkoda.

W moim antykwariacie każdy przedmiot cierpliwie czeka na swoją chwilę. Dojrzewa i nabiera wartości. I to przyszedł właściciel musi go znaleźć, a nie on właściciela. Umiem gromadzić, nie umiem sprzedawać. Nawet nie mam strony internetowej, więc podobno nie istnieję.

Chryste, szybka myśl, jeśli naprawdę je kupi, będę mogła opłacić rehabilitację Laury i pomóc Klarze. I przestanę, przynajmniej na jakiś czas, karmić Fausta najtańszymi chrupkami.

– Dorzucam kilka zakładek ręcznej roboty. Te kwiatki pochodzą z czasów naszej młodości.

– Piękne.

Zapłacił i dalej sobie rozmawialiśmy. Okazało się, że mieszka w Tel Awiwie – gawędziliśmy o Tel Awiwie. I że jest zachwycony Budapesztem – gawędziliśmy o Budapeszcie. Dziwne. Wciąż wracają do mnie te dwa miasta, kryjące w sobie całkiem odmienną energię. A w końcu, zamiast się pożegnać, jak to robią moi klienci po miłej pogawędce o antykach, pogodzie i dzieciach, pan Bibliofil powiedział:

– Chciałbym zaprosić panią na kolację. – Spozrzegł moje zakłopotanie. – Nie, nie na randkę. Nikogo tu nie znam. Po prostu chciałbym spędzić z kimś miły wieczór.

Znam ten uśmiech, oczy, nawet gesty. Szybko przeszukałam przeszłość, poczynając od czasów przedszkolnych, a kończąc na współczesnych. Nic z tego.

– Dobrze – odpowiedziałam – skoro nie na randkę, to chętnie.

- [9.30 RANO]

Chodzi bezszelestnie po kuchni, lecz on słyszy jej nagie stopy.

Ona staje w drzwiach z filiżanką kawy, której zapach snuje się po pokoju. Patrzy na śpiącego.

On wzdycha przez sen i uśmiecha się do jej myśli.

Ona uśmiecha się do jego porannych snów.

Tej nocy jej piersi były ciężkie i chłodne. Podtrzymywał je i ogrzewał w dłoniach.

Jej język przechadzał się po jego szyi, brzegiem ucha. Czekał, szepnęła, noc będzie długa.

On ją pieścił i czekał.

Jej ręka sunęła po jego brzuchu: o, śmieszna dziurka, i niżej: jak się masz, chłopcze? Czemu płaczesz? Pocieszę cię. Posłuchaj:

Był sobie raz jednooki stworek, który rósł i rósł, i szukał czegoś, co się przed nim schowało. Stęskniony ocierał się o jej brzuch. Oblizywał pępek. Prowadziła go dalej. Zostawiał za sobą mokry ślad. Długo się witał z małym czerwonym kapturkiem.

Wzięła jego twarz w dłonie. Ich usta były wesole i chciały się bawić.

A wąż pełzał brzegiem głębi. I czekał.

Niech czeka. I niech się uczy pokory.

Wąż uczył się pokory, a on całował ją wszędzie, gdzie chciała.

Za uchem.

Całował ją za uchem. Namiętnie.

Trochę niżej, pół centymetra w lewo, o tak. Możesz tam zostać dłużej.

Księżyc wędrował po bezchmurnym niebie, a oni się bawili. Wąż wysunął mokry pyszczek i pokornie prosił.

Oplotła sobą jego ciepłe ciało.

Wsunął dłonie pod jej głowę i pocałował ją w czoło.

Patrzyli sobie w oczy.

Wpuściła do siebie węża o śliskiej piersi. Westchnęła.

I on westchnął. Wąż rozpoczął swoją opowieść.

Rozchodziła się śpiwnie po całym jej ciele. Napawała je radością i smutkiem. I ciało też zaczęło opowiadać.

Wąż wiedział, kiedy ma zamilknąć. Wyprężył się i znieruchomiał.

A kiedy spadała, podążył za nią.

Tuliła jego głowę i tak sobie milczeli.

Leżałem pod prześcieradłem, a Luna w turbanie z ręcznika i szlafroku w papugi stała w drzwiach.

– Witaj, Szeherezado. Kiedy wstałaś?

Odstawiła na stolik filiżankę i skrzyżowała ramiona pod biustem. W wycięciu szlafroka pokazała się ponętna kreseczka, w którą się wpatrzyłem, żeby nie myśleć o papierosie. Nie chciałem kopcić w sypialni Luny.

– Dlaczego „Szeherezado”?

– Opowiedziałas mi w nocy cudowną baśń.

– Ciekawe. Wstałam, żeby się napić wody. Kiedy wróciłam, spałeś w najlepsze. I obejrzałam sobie twojego jednookiego kota perskiego w stanie narkozy. Wzruszyłam się i nie mogłam zasnąć. I rzeczywiście baśń wróciła do mnie. Ubrała się w zdania.

– Opowiesz mi?

– Znasz ją.

– Nie szkodzi. Baśnie są po to, żeby je opowiadać wciąż od nowa.

I zaczęła opowiadać: „Tej nocy jej piersi były ciężkie i chłodne”. Kiedy skończyła, klasnąłem w dłonie.

– Skądś znam tę historię! A pamiętasz, niedawno cytowałaś mi *Stepy akermańskie*. „Wąż śliską piersią dotyka”...

– Dziwne, bo nie znam na pamięć *Stepów akermańskich*. Ani tego zdanka z wężem.

– Rzeczywiście, dziwne. Mickiewicz ostatnio jakoś płacze się wokół mnie.

– To znaczy?

– Kojarzysz Mickiewicza z liczbami?

– Z jedną: czterdzieści cztery.

– No tak. A gdybyś miała rozszyfrować takie trzy: 14, 18, 23?

– Nic mi nie mówią. Wyższa matematyka? Ja umiem tylko dodawać i odejmować. – Luna zdj smallęła turban i wycierała włosy.

– Cudownie dodajesz słowa do słów, gesty do gestów. Właściwie mam ochotę... – Wysunąłem rękę spod prześcieradła. – Chodź, usiądź. Porozmawiamy o hodowli persów.

– Heliodorze. Za pół godziny muszę być w antykwariacie.

– Wystarczy nam dwadzieścia dziewięć minut.

Luna odgarnęła włosy znad czoła. Pasek jej szlafroka sam się rozwiązał. Sio, papużki! Mój pers dał mi do zrozumienia, że też ma ochotę popatrzeć na to, co się nam ukazało.

– Chcę znów powędrować z tobą... jak to było? Brzegiem głębi? Mam nadzieję, że nie wywinę tam orła ani żadnego innego ptaka.

– Cierpliwości. Miałeś dziś pływać, prawda? A ja po antykwariacie mam randkę z pewnym tajemniczym bibliofilem.

Ubraliśmy się szybko. Był czas na jeszcze jedną kawę.

– Powiedz mi – odwróciłem jej dłoń i przesunąłem palcem między linią serca a linią rozumu – lubisz pisać? No wiesz, na przykład listy albo dziennik? Masz w szufladzie niewydane wiersze?

Roześmiała się.

– Nie jestem autorką liryczną, jestem antykwariuszką.

– Z księżyca.

– A wiesz co? Czasem mi się wydaje, że moje życie jest opowieścią, którą nie ja opowiadam. Nie tylko ja.

– A kto jeszcze?

Luna położyła palec na brodzie; robi tak, kiedy się zastanawia.

– Wyobraź sobie, że ktoś o nas pisze. Podgląda nas. Żeby potem wszystko wygadać, a może nawet powymyślać niestworzone rzeczy. Miej się na baczności, bo jeszcze o sobie przeczytasz. Ten ktoś nie wie, jak się nazywamy, weźmie imiona dla nas z rozgwieżdżonego nieba, skądkolwiek. Nie zdziwiłabym się, gdyby ciebie nazwał Heliodor. A mnie Luna.

Patrzyłem na nią ze zdziwieniem. Wstałem i pocałowałem ją w policzek. Cieplutko.

– Pachniesz kawą. Kawowa księżna z księżyca.

– Kot perski pod narkozą. Jednooki.

– Już miauczy.

Luna zakrztusiła się i odstawiła filiżankę.

– To daj mu mleczka. Jest w lodówce. I wyprowadź Fausta!

Dodawanie: $14 + 18 + 23 = 55$. A ja jestem dzieciinniałym pięćdziesięciopięciolatkiem, który właśnie zaczął wierzyć w cuda. Wariuję. Muszę wziąć się w garść. Poszukać jakieś pracy; zajęcie latarnika odrzuciłem, powinienem jednak działać intensywniej i efektywniej. Zadzwoń do Sabci. Nie teraz, nie teraz.

Ależ bym chciał opowiedzieć Ci o tym. Normalnie, przy męskiej wódce. Komu jak nie Tobie.

- [DESZCZOWO]

Przyszłam pierwsza. Zamówiłam wodę. Po chwili obok stolika pojawił się pan Bibliofil. Niechętnie spojrzałam na bukiet, który trzymał w ręce.

– Widzę, że pani naprawdę boi się randek.

– Akurat jestem zaangażowana.

– Ja też. W żonę, troje dzieci i gromadkę wnuków. My, w Izraelu, wcześniej się pobieramy, chociaż to się powoli zmienia.

Wcześniej się pobierają i mało piją. Pan Bibliofil w połowie kolacji wciąż był przy pierwszym kieliszku, ja przy trzecim. Dobrze nam się rozmawiało. Jakbyśmy się znali od lat. On też wychowywał się bez matki.

Opowiedziałam o Laurze, on o latach spędzonych w kibucu. Jakiś czas temu przejął antykwariat ojca i chce przeprowadzić tam rewolucję. Kiedy wyznał, że w dzieciństwie lunatykował, zrobiło mi się nieswojo.

– I wciąż gdzieś pędziłem. Uspokoilem się i zacząłem prowadzić osiadły tryb życia, dopiero kiedy urodził mi się syn. Miałem dwadzieścia dwa lata. To wtedy założyłem malutki antykwariat w Jaffie. Pasja pozwala się wyciszyć.

– Można z tego utrzymać rodzinę? – Zdziwiłam się, bo wiem, że większość antykwariuszy klepie biedę.

– Można, jeśli się skupić na cennych książkach. Ale *Robinsonów Crusoe* ojca nie zamierzam sprzedawać. Zgromadził prawie wszystkie pierwsze wydania z całego świata.

Niestety, polskiego nie udało mu się zdobyć, chociaż ojciec pochodzi z Polski.

Przez myśl przemknął mi Szmul, stare herbatniki i Robinsony prawie we wszystkich językach – to spotkanie nie mogło być przypadkiem.

– Mam je. 1769 rok.

– Na sprzedaż?

– Niestety nie. Laura uwielbiała tę książkę. Chowala ją przede mną, bo uważała, że mam zbyt wielkie zamiłowanie do przygód i podróży.

Kelner zabrał talerze i butelkę po winie i przyniósł nam espresso. Pan Bibliofil wzbudzał we mnie jakąś niezrozumiałą obawę. A właściwie – całkiem zrozumiałą. Kiedy to drugie uczucie wzięło górę, zapadło między nami nieznośne milczenie. W końcu to on je przerwał.

– Mam na imię Beniamin.

– A ja Luna.

Wziął mnie za rękę. Nie cofnęłam jej. Czekałam, co z tego będzie.

Za oknem stoi Heliodor. Zawsze tak robi, zanim wejdzie – obserwuje mnie. Za chwilę stanie za mną i pocałuje mnie w kark, a katalog z porcelaną zsunie mi się z kolan.

- [DESZCZOWY DZIEŃ]

Dzwonek. Która to? Szósta. Ktoś dzwoni. To nie sen, tylko telefon.

– Halo.

– Tu Stach. Obudziłem cię? Jasne, że tak. Przepraszam.

– Nie szkodzi. Co się stało?

– Nie możemy się dzisiaj spotkać. Ani pewnie w najbliższym czasie.

– Bo?

– Jesteśmy na lotnisku, za niespełną godzinę odlatujemy do Kanady. Zadzwoił mój przyjaciel, ordynator kliniki w Toronto. Jego bratanek rozbił się na paralotni. Jadę go obejrzeć, może coś da się zrobić.

– Rozumiem. Powodzenia.

– Dziękuję, powodzenie bardzo się przyda. A tak w ogóle, miło było cię spotkać

w Warszawie. Może przyjechałbyś do Monachium? Albo jeszcze lepiej do Toskanii. Wiesz, że kupiliśmy tam domek? Napilibyśmy się wina, pogadali.

– Tak. Chętnie. Ale nie wiem kiedy. Moje plany są niejasne.

– Możesz przyjechać z kimś. Arleta byłaby szczęśliwa. Miejsce jest bajeczne. Ogród oliwny.

– No, no. Uwielbiam ogrody oliwne. Lekki wietrzyk ożywiający drobne listowie. Kobiety w półcieniu.

– Co?

– Nic, rozmarzyłem się.

– Więc Toskania, niedaleko Viareggio. Może jesienią?

– Dzięki.

– *Keine Ursache*. To jesteśmy umówieni. Aha, ten twój wielkolud. Nie chcę powiedzieć ani pół słowa za dużo, ale chyba możesz być dobrej myśli. Na moje oko to arcyzadki, wręcz niewiarygodny przypadek.

– To znaczy?

– Co mam ci powiedzieć? Z takiego urazu po prostu się nie wychodzi. Pień mózgu po czymś takim nie ma prawa funkcjonować. To jest...

– Cud?

– Możesz tak to nazwać. Facet najwyraźniej miał zapasowe życie.

– Wierzysz w cuda, Stachu?

– Wierzę w przeznaczenie, mówiłem ci.

– No tak, „lekarz, który nie czyta w gwiazdach” i tak dalej. – Chciałem zapytać go o magiczny kwadrat Słońca, ale chwila chyba nie była odpowiednia.

– Właśnie – rzucił Stach – warto czasem popatrzeć w niebo. No, muszę kończyć, zaraz wsiadamy do samolotu. Doktor Helena wszystko ci powie, to wspaniały lekarz. Uważam, że powinna zadbać o swoją karierę, jeździć po świecie, wyklądać. W ogóle lekarzy macie wspaniałych. Widziałem tłumy ich fanów oblegających izbę przyjęć i wcale się nie dziwię.

– Oj, Stachu.

– Wiem, nic śmiesznego. Ale to o lekarzach mówię serio. Więc miałbym bardzo ostrożną

nadzieję, że wielkolud poza szpitalem powoli dojdzie do siebie. *Langsam*. Ale wkrótce możesz go zabrać. No to... Aha, spytała mnie, czy on rzeczywiście jest twoim ojcem. Powiedziałem jej prawdę.

– Co? Komu powiedziałeś? Jaką prawdę?

– Powiedziałem doktor Helenie, że jesteś synem Indianina, przecież wystarczy na ciebie spojrzeć. No, trzymaj się, chłopie. *Auf Wiedersehen in Toskana*.

– *Jawohl*. Ucałuj Arletę.

Ładne rzeczy. Wystarczy na mnie spojrzeć? Jestem podobny do milionów mieszkańców tej planety, ale z pewnością nie do czerwonoskórych. Karnację mam tutejszą (słaba kawa z mlekiem), podbródek bez dziurki, a ubrania w moim rozmiarze można dostać w każdym sklepie.

Nie jestem do Ciebie podobny, nic a nic.

Dziewiąta. Dzwonię do Leny.

– Dzień dobry, pani doktor, mówi syn pani pacjenta.

Zaraz, przecież od imprezy w antykwariacie jesteśmy na ty. Zabawne, że uzależnienie erotyczne tępi moją wrażliwość na szczegóły dotyczące innych kobiet. To się chyba nazywa monogamia.

Lena myśli, że żartuję z tą „panią doktor”, i odpowiada: „dzień dobry, panie synu”. Co bym powiedział – pyta – na kolację z profesorem i jego przemiłą żoną? Niemożliwe, dziś rano wyleciał do Toronto, niespodziewanie. Ale zdążył mi powiedzieć, że jest tobą oczarowany. Zapewne w każdym sensie, ale – no tak, w medycznym przede wszystkim. Uważa, że jesteś znakomita, profesjonalna i w ogóle. Świat stoi przed tobą otworem. Powinnaś opublikować swój referat w „Science”. Pojechać z wykładami do Niemiec, a może i do Ameryki. Praktykować na świecie. Czytaj mejle i nie wyłączaj telefonu, lada chwila posypią się zaproszenia. No skąd, nie zmyślam, tylko streszczam, znam Stacha dość długo, żeby go streszczać bez pudła. Ach, słuchaj, muszę pójść do mieszkania ojca, a nie mam kluczy. Czy szpital może mi je wydać? Będę ci bardzo wdzięczny.

Tak, nie gniewaj się, muszę pójść do Twojego mieszkania.

Pierwsza dwadzieścia. Dzwoni Lena. Zrobimy tak: ona weźmie te klucze z depozytu i pojedzie tam ze mną, tak będzie najprościej. W przyszłym tygodniu, może być? Jasne, że może.

Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w deszcz za oknem. Dzwonił, bębnił, szeleścił i wyśpiewywał melodię, którą znałem. Do rytmu dodawały się słowa. „Wzięła jego twarz w dłonie. Ich usta były wesole i chciały się bawić”. Tak, chciały się bawić do szaleństwa.

– A wiesz, że umiem całować jeszcze inaczej?

– A pokażesz mi jak?

– A tak.

Mokry pyszczek. Jestem głuchy na pokorne prośby tego stwora. Co robić? Wkładam dres, wypadam na ulicę i biegnę. Najpierw lekko, rozgrzewkowo. Potem mocniej, ale bez wysiłku. Wydłużam krok, z przyjemnością wbiegam w kałuże. Czuję ulgę, jak student, któremu dano szansę, choć niekoniecznie na nią zasłużył.

Ciągle pada. Jestem przemoczony. Biegnę coraz szybciej. Mój organizm pracuje tak, jak lubię. Powoli odpływają mi z głowy trudne pytania. Wszystko działa: serce pompuje krew, krew pędzi arteriami, mięśnie produkują maksimum energii. Podnoszę głowę i widzę raptownie znikające z szarego tła czarne czubki topól, jeden za drugim. Myśli mam lekkie jak wiatr. Pewnie siedzisz teraz za biurkiem, zajadasz makaroniki i kartkujesz swoimi boskimi palcami jakiś katalog ze starą porcelaną.

Dobiegam. Widzę cię przez szybę. Wchodzę. Zamykam drzwi od wewnątrz i odwracam wywieszkę – przez najbliższą godzinę będzie zamknięte. Pochylam się nad twoim karkiem, rozsuwam pasma włosów i odsłaniam skrawek białej skóry – czuję na wargach jej chłód. Twoja pierś w mojej dłoni budzi się do życia. Niech się zbudzi, nie śpieszmy się. Mijają sekundy. Ciepła kropla zsuwa się leniwie z włosów nad moim czołem i spada między twoje palce na błyszczącym papierze, wprost do filiżanki Rosenthala.

A teraz po prostu mnie pocałuj.

- [MAJOWA NOC]

Dzwonek u drzwi rozdzwonił się radośnie.

Po mojej szyi, karku, ramieniu wędrował pocałunek lekki jak promień majowego słońca – właśnie tak! niech nikt mi nie zmienia moich zdań, wiem, jakie są pocałunki Heliodora – we włosy wsunęła się dłoń. Ten gest masz naprawdę świetnie wyćwiczony. A potem piersi. Mruczałam, nie potrafię tego opanować. I też chętnie wezmę prysznic. Masz tu prysznic? Aha. No to chodźmy.

Rozkosz jest taka łatwa.

Jeszcze nie umiem o tym opowiadać. Ale po co to robić? Głupie pytanie – o szczęściu powinno się mówić, opowiadać je, nazywać. Żeby tak jak nieszczęście cieszyło się życiem wiecznym i było opisywane na wszelkie sposoby. Kiedy Heliodor wyszedł, poczułam smutek. Kto nam to zrobił – jaki bóg? – że spełnienie napawa takim samym smutkiem jak niespełnienie, a największą rozkosz każe nazywać małą śmiercią. Nieadekwatnie – palce, usta Heliodora wypełniły mnie dzisiaj energią. Odpłynęłam, nie w śmierć, lecz w życie.

- [PRZESTAŁO PADAĆ]

Csikló.

Ukląłem. Rozchyliła uda, objęła mnie za głowę i powiedziała *csikló*.

Luna czasem mówi, podczas gdy ją kocham.

Palce. Westchnęła głębiej i znieruchomiały. Powędrowałem językiem wzdłuż.

„Rozkosz jest taka łatwa”, powiedziała potem, kiedy tuliłem ją jak skarb, dany mi przez kogoś. Komu nawet nie mogę podziękować, bo go nie znam.

Przedtem całowałem ją w miejsce, które jest szczytem kobiety. Czomolungmą. Już. Chodź do mnie.

To był cudowny trzyminutowy seks. Jak letnia ulewa w środku skwarne go dnia.

Zapadła cisza, bo przestało padać, i wtedy, między pocałunkami na do widzenia, Luna powiedziała to o rozkoszy. „Wystarczy jej chcieć”, odpowiedziałem.

Wklepałem *csikló* w internet. Wyświetliło mi się coś w języku bratanków, z czego zrozumiałem tylko *sex*. No to jeszcze słownik węgiersko-polski. I już wiem: Czomolungma.

- [MAJOWY WIECZÓR]

Zaczęły kwitnąć kasztanowce, ulubione drzewa Ksawerego. Każdego roku już od marca martwił się, że atakowane przez żarłocznego szrotówka kasztanowcowiaczka wyginą jak mamuty. A one wciąż trwają. Ten na moim podwórzu wygląda pięknie.

Tak wiele zmieniło się w ostatnim czasie. Beniamin wziął mnie wtedy za rękę i powiedział: „Jestem twoim bratem”. Zmartwiałam.

Mamy wspólną matkę, która ukradła Laurze faceta. Z tego złodziejstwa urodził się Beniamin, ich syn, jej i Wiktora. Mój brat.

Kelner kilka razy podchodził do nas i pytał, czy coś jeszcze podać. Nie reagowaliśmy.

Tydzień później Wiktor Sonnenberg zmarł.

Przyjechał pożegnać się z Laurą i wysłał do mnie Beniamina, żebyśmy się poznali. A potem zmarł. Nie byłam na pogrzebie. Nie sposób z zagranicy dotrzeć do Izraela na pogrzeb. Tam się umiera i od razu wędruje do ziemi. Nie wiem, jak oni są w stanie zawiadomić wszystkich żałobników. Rozmawialiśmy z Beniaminem na skajpie i próbowaliśmy ułożyć puzzle rodzinne. Niestety: i tutaj, i tam panowało głębokie milczenie na temat naszej matki. Niewiele o niej wiemy, ale Beniaminowi zostało parę zdjęć smallęć: jest na nich piękna, intrygująca

i tajemnicza. *Femme fatale*. Trudno się dziwić, że wywołała u pana Lazura miłosną euforię. Mimo to dziwię się, że wołał jakąś narwaną Cygankę niż anielską Laurę.

– Podobno nie chciała mnie karmić i nie mogła znieść mojego płaczu – powiedział Beniamin z westchnieniem, jakby takie rzeczy miały decydować o życiu człowieka.

Po chwili wahania wyznałam:

– Ja też nie chciałam karmić i też nie mogłam znieść płaczu niemowlęcia.

Zamilkliśmy. Beniamin być może właśnie rewidował swoją opinię na mój temat, a ja dochodziłam do wniosku, że jestem podobna do matki: odziedziczyłam jej charakter i skłonności. I nagle dotarło do mnie, że kobieta na zdj smallęciu jest podobna do Cathy Ames, to znaczy do Jane Seymour. I że mój ojciec w swojej poczciwości przypomina Adama Traska.

Niestety dowiedziałam się jeszcze wielu innych przykrych rzeczy o naszej matce. Beniamin nie umiał nad tym zapanować: nasza matka to, nasza matka tamto. Moja wyobraźnia tymczasem pracowała na pełnych obrotach, aż w końcu trzy kobiety – Jane Seymour, moja matka i ja – złąły się w jedną postać: Cathy Ames.

Kim ja jestem? Całe moje życie skłębiło mi się w głowie, wszystko, co dobre i złe, wymieszało się w niej w niestrawną papkę. Musiałam znaleźć odpowiedź.

- [BLADYM ŚWITEM]

Luna czymś się trapi, nie mam śmiałości spytać jej o powód do westchnień. Dziwna rzecz: im bardziej się staram nie być przy niej egomanem i narcyzem, tym gorzej mi to wychodzi. Bo przecież jestem tym kimś, kim nie chcę – dla niej – być. Pierwszy raz w życiu tak bardzo nie chcę.

Wyglupiam się dla niej, wczoraj przed witryną zrobiłem gwiazdę i stałem na rękach, widząc w szybie niepożądaną zasobność własnego brzucha. Więc może lepiej, że nie było jej w antykwariacie i tego nie widziała. Powinienem spoważnieć? Nie wiem.

- [MAJOWA NOC]

Zdj smallęłam z półki *Na wschód od Edenu*. Pierwsze wydanie – rzecz jasna, nie na sprzedaż. Przeczytałam tę książkę pierwszy raz, mając bodaj dziesięć lat, a *Alicję w krainie czarów* w wieku pięciu lat. Tak jak Cathy Ames. To mogło nam zaszkodzić.

„Miała nieludzką zdolność wyrzekania się tego, czego nie mogła uzyskać, i czekania na to, co mogła dostać”. Jak ulał pasuje do mojej matki. A do mnie? „Wcześniej zrozumiała, że seksualizm wraz z towarzyszącymi mu tęsknotami i cierpieniami, zazdrością i wszystkimi tabu jest najbardziej niepokojącym popędem, jaki mają ludzkie istoty”. I co z tego? – to dotyczy całej ludzkości. Po kolejnym fragmencie szybko zadzwoniłam do Leny.

– Lena, powiedz, czy ja mam lęk przed odtrąceniem i jest we mnie gniew?

– Pachnie mi cytatem. Co czytasz?

– *Na wschód od Edenu*.

– Poczekaj, wezmę swój *Eden* i naleję sobie whisky. Może być ciężko. Już jestem, cytuj.

– „Największą zmurą dziecka jest obawa, że może nie być kochane, a odtrącenie jest piekłem, którego się lęka”.

– Poczekaj chwilę. Mam. Zaznaczone na czerwono. „W jedno wierzę: że wolny, badawczy umysł jednostki jest najcenniejszą rzeczą na świecie”.

– Patetyczne. Teraz ja: „Czy nie może się zdarzyć, iż w mrocznych sadzawkach niektórych ludzi zło nabiera takiej siły, że przesadza zapory, aby wypłynąć na swobodę?”.

– Ja mam chyba inną wersję. Słuchaj: „Wśród całej niepewności pewien jestem, że pod wierzchnią warstwą swych przywar ludzie pragną być dobrzy i pragną być kochani. Zaiste większość ich wad jest próbą znalezienia skróconej drogi do miłości”.

– „Wiem, że czasami kłamie się z dobroci. Nie wierzę, żeby z tego mogło wyniknąć coś dobrego. Szybki ból prawdy może minąć, natomiast powolna żrąca męka kłamstwa nie przechodzi nigdy. Jest jątrzącą się raną”.

– Jeśli chcesz nosić jakieś rany, to sobie noś, ale pamiętaj, że śmiech przychodzi później, tak jak zęby mądrości, a śmiech z samego siebie najczęściej za późno.

– Czyli kiedy?

– W chwili śmierci.

– Dzięki. Już mi lepiej.

Podczas lektury zawsze podkreślamy ważne dla nas fragmenty i stawiamy ptaszki na marginesach. Kiedyś lubiliśmy przerzucać się zaznaczonymi cytatami. „To dziwne – powtarzała Lena – jakbyśmy przeczytały zupełnie inne książki”.

– A właściwie dlaczego wracasz do *Edenu*?

– Zajmuję się odkrywaniem w sobie Cathy Ames.

– Chciałabym ci przypomnieć, że od niepamiętnych czasów co rusz utożsamiasz się z jakąś bohaterką literacką.

Lena ma rację, życie bez przerwy miesza mi się z fikcją. Nie mogę być Cathy Ames, bo

jestem miłą i dobrą kobietą, która przygarnęła bezdomnego psa.

- [WIECZÓR POCHMURNY I CIEPŁY]

Dużo się dzisiaj zdarzyło. Najpierw scena, zaraz po wyjściu od Ciebie. Od Ciebie. Cholera. Wciąż jesteś adresatem tych zapisków.

„Dominika...” – młody facet w wojskowej kurtce, z kamerą w ręce, biegł za noszami i pojękiwał. Nosze, eskortowane przez ludzi w białych fartuchach i czerwonych skafandrach, wjechały przez rozwarte drzwi z napisem OIOM. Facet zatrzymał się przed nimi i zakrył twarz. Kamera upadła na kamienną posadzkę.

– Co się stało? – zapytał Kosmyczka, kiedy już posadziła tego faceta na ławce, a obok niego położyła rozbitą kamerę.

– Wypadek. Na pasach, przy gmachu telewizji. Ratownicy mówią, że ofiara była z tym koleśkiem i nagle weszła na jezdnię. Kierowca nie miał szans.

Nie miał szans. Oby wreszcie zaczęli wsadzać do puszek tych świrusów, co nie mają szans, kiedy człowiek, niewyposażony jak oni w pancerne penisy na kółkach, stawia stopę na jezdni.

Wróciłem do domu w nie najlepszym nastroju. Zapaliłem papierosa i zadzwoniłem do Sabci. Co u was? W porządku. Lutek jest do rany przyłoż. Ale nie ma roboty. Więc znów, jak za dawnych lat, leży na kanapie i gapi się w sufit. Pielęgnuje swoją melancholię. Ja mu pracy nie znajdę. No, chyba żeby się najął do teatru lalkowego, ale do tego trzeba być aktorem. Do teatru lalkowego? Wiesz coś o wolnym etacie dla kukielkowca? Yhm. To daj mi telefon do tego teatru, może ja bym się najął. Zwariowałeś, Maks? Ty i kukielki? A dlaczego nie? Fakt. Niewykluczone, że to rzeczywiście coś dla ciebie: bezkarne robienie min, za które całe manto bierze Bogu ducha winna marionetka. Tak to sobie wymyśliłeś?

– Manto albo aplauz, kochanie. A z innej beczki. Czy Adam Mickiewicz kojarzy ci się jakoś z liczbami? Nie chodzi o „imię moje czterdzieści i cztery” ani o „milion”. Chodzi o liczby wpisane w magiczny kwadrat.

– Ej, Maks – powiedziała Sabcia z niepokojem w głosie.

– Pisałaś pracę o Mickiewiczu.

– No i?

– Pogmeraj w pamięci. Mickiewicz i liczby. Albo w ogóle: magia, czary, okultyzm.

– Sam pogmeraj. W internecie. A właściwie po co ci to? Trochę się martwię, bo jak faceci w twoim wieku idą w okultyzm, to sam wiesz. Może wymagają szczególnej opieki? Ja już tu mam jednego takiego. Ale moje możliwości opiekuńcze są ograniczone. Przychodzi taki

moment, kiedy trzeba by was kopnąć w dupę. Z całej siły. Jest nadzieja, że wtedy wrócicie do normalnego życia.

– Widzisz, Sabciu, ja jestem w samym środku życia. Pierwszy raz od łącho wie kiedy.

Pierwszy raz naprawdę.

Wieczorem telefon od Corneli:

– Jadę do Birmy. Mają tam poważny problem z narkomanią. Zajmują się tym mnisi buddyjscy. Może im się przydam.

– Mnichom? Znasz się na tym?

– Trochę. Mój najstarszy syn wyszedł z tego. A ja mu pomagałam.

– Rozumiem.

– Rozumiesz? Co rozumiesz? – sapnęła.

– Rozumiem, że uciekasz do Birmy.

– Uciekam? Jadę do Birmy, bo nie mogę tu wytrzymać. Dobrze: uciekam. Chciałam uciec do Polski, mówiłam ci. Chcę jeszcze zrobić w życiu coś sensownego. Myślałam, że mi pomożesz.

– Wiem. Pamiętam. Wybacz, nie miałem do tego głowy. Nasz trener... Muszę go zabrać ze szpitala.

– Co z nim? Wybudził się?

– Jeszcze nie. Nie całkiem. Nie wiem dokładnie. Ale muszę go zabrać.

Cisza.

– Cornelio?

– Tak. Przepraszam.

– To ja przepraszam. – Musiałem zebrać myśli. – Słuchaj. Mogę się tym zająć. Pomogę ci. Tu też możesz robić sensowne rzeczy.

– A ty robisz sensowne rzeczy?

– Nie wiem. Próbuję.

– Jasne. Spędzasz przyjemnie każdy kolejny dzień.

– Nie każdy. Ale tak, miewam przyjemne dni. Staram się, żeby takie były.

– Aha, starasz się. To fajnie.

– Cornelio.

Cisza.

– Cornelio?

Cisza.

– Cornelio, powiedz mi...

– Nie, ty mi powiedz. Powiedz: czy ty wiesz, jak ja się czuję? Jak się czuje pięćdziesięcioletnia samotna kobieta? Skąd możesz wiedzieć. Nigdy nie byłeś kobietą. A może byłeś? Cholerną samotną Holenderką, co? I jak spędzałeś kolejne dni? Żeby było przyjemnie. Powiedz mi, naucz mnie tego. *Verdoemme!*

– Zaczekaj chwilę, dobrze?

Odłożyłem telefon. Poszedłem do kuchni, zrobiłem sobie drinka i wrzuciłem dwie kostki lodu. Wróciłem do pokoju, wyszukałem płytę Johna Lennona i włożyłem ją do odtwarzacza. *Cleanup Time*. Puściłem głośno. Zdjąłem z półki książkę i odnalazłem właściwą stronicę. Sięgnąłem po telefon.

– Halo, jesteś tam? Cornelio?

– No.

– To posłuchaj: „Jeziora błękit tam odnajdź, gdzie / Dokoła płaczą wierzby; / Wypłacz i ty tę bólu krztę / I cierpień swych drobiny. / A pokonując stromą perć, / Nastękaś się niezgorzej; / Przed tobą szczyt: na skałę wejdź / I usłysz, jak skrzeczy orzeł”. Ładne, co? Heine. Wiedziałaś, że orły skrzeczą?

– Nie wiedziałam. Co właściwie chcesz przez to powiedzieć?

– Nic specjalnego. Że natura nie obdarowała nas po równo. I że pięćdziesięcioletnie samotne Holenderki mają trochę gorzej, a w gruncie rzeczy po prostu inaczej.

– Bla, bla, bla. Nienawidzę cię.

– A ja cię uwielbiam. Zadzwoń za tydzień. Całuję.

Wiedziałem, co teraz robi: przerzuca stertę czarnych płyt, żeby znaleźć tę piosenkę Lennona, którą kiedyś kochała na zabój. Puści ją sobie i zaśnie w fotelu, a talerz gramofonu nie

przestanie się obracać do rana. Rano znów będzie silna – to też wiedziałem.

Ale nie miałem pojęcia, jak jej pomóc. Mieszkanie to pewnie ławizna. Co dalej? Co ona może tu robić? Gdzie pracować, jako kto? „Każdy nowy dzień jest kwiatem, który zakwita w naszych rękach”. Ba.

Szperam w internecie. Pierwsze, co widzę: „Masz nową wiadomość”. Sabcia. „Maks, Kochanie. Załączam link: «liczba człowieka: znaki i symbole – przyszłość w przeszłości». Znajdziesz tam magiczny kwadrat Mickiewicza. Dalej radź sobie sam. Całuję, S.”.

Robię, co podpowiada Sabcia. I znajduję: Mickiewicz liczbom w magicznym kwadracie przypisał polskie litery. Dalej wszystko jest proste. 23 = S, 18 = O, 14 = L. SOL. Słońce ma na imię 55? I co?

I nic.

Przepowiednie nie są po to, żeby dawać im wiarę. A jednak w takie jak ta bardzo chce się wierzyć. Wierzyć w przyszłość w przeszłości. „Chcę, żebyś przypomniał sobie mój sen”. Luna to powiedziała? Powiedział ktoś inny? Przypomniałem sobie, Luno, kiedy słońce zajrzało do Twojej jaskini w dniu moich urodzin, przypomniałem sobie wszystko.

(Zabawne, ale myślę, że mam całkiem fajne imię).

- [PO KINIE]

Poza *Błękitną rapsodią* niewiele do mnie dotarło: fragment jakiegoś dialogu („ludzie powinni się dobierać na całe życie jak gołębie lub katolicy”, „wołowina nie powinna być niebieska”, „czy moje życie warte jest życia?”), kilka obrazów, twarz Tracy i może końcowe napisy. Gershwin do tej pory kojarzył mi się głównie z *Manhattanem*, a teraz, pewnie już na zawsze – z Heliodorem. Nie opowiem nawet sobie, dlaczego wróciłam do domu z bielizną w torbie. Prawa jest wesoła, lewa poważna czy tak jak powiedział Heliodor: lewa jest czuła, prawa raczej senna.

- [PIĄTA DWIE RANO]

Przedwczoraj byliśmy w Kinie. Liliowy neon „Kino”, z innej epoki. Przegląd filmów Woody’ego Allena. Dzień jak kwiat: piętnasta, puste kino. Oboje widzieliśmy *Manhattan* parę razy, w ogóle nie chodziło o film.

To znaczy najpierw chodziło. Jednak ledwie rozbrzmiał Gershwin, Luna objęła mnie za szyję, powiedziała do niej cicho tuż przy uchu: „Niebieskie glissando, uwielbiam. A gdzie twój klarncik?”.

Bawiliśmy się świetnie. Woody Allen popatrywał na nas z ekranu i czasem rzucał coś w swoim stylu, na przykład: „Zróbcie to jakoś inaczej niż wszyscy. Heliodor, zabrałeś swój

sprzęt do nurkowania?”. Kiedy Luna uniosła się w fotelu, to było nie zaproszenie, tylko rozkaz. Czulem się jak szczęśliwiec, którego wybrała, żeby sprawiał jej rozkosz. Ja jej, ona mnie.

„Czy moje życie warte jest życia?” (Allen). Jeszcze jak. Kiedy wyszliśmy z kina, powiedziała: mam ochotę na kraby u Sama Wo. Albo nie, chodźmy na mielone z buraczkami – i trzymała mnie za rękę jakoś tak z całej siły.

W tym kinie czulem się tak, jakbyśmy mieli po dwadzieścia lat. A wczoraj byłem u fryzjera. Facet w moim wieku, jak się ostrzyże, wygląda młodziej, bez dwóch zdań. To jest właśnie pozór. Natomiast fakt, że fryzjerka uznała za stosowne przyciąć mi brwi, to czysta prawda o rzeczywistości: mam pięćdziesiąt pięć lat i potrzebuję kosmetyki brwi.

Dawno nie widziałem u Rogera takiego tłoku. Było jak w ulu. Przy barze, za moimi plecami, hałasował jakiś jegomość. Roger nie chciał mu podać alkoholu.

– Co robisz jutro? – zapytałem Lunę.

– Muszę dopieścić witrynę. Wziąć do ręki każdy przedmiot, odkurzyć. Lubię się nimi zajmować. One to czują.

Wyobraziłem sobie, jak podnosi swoje eksponaty, niektóre oburącz, i przeciera szmatką. Igielnik z bursztynu. Wydłużoną pękatą muszlę. Oblą tubę z masy perłowej, ze złotym pierścieniem. Obejmuje go dwoma palcami. Pociera. Odkręca.

– Zazdroszczę przedmiotom w twojej witrynie. Zazdrość. Okropne uczucie, które w polskiej deklinacji rymuje się z uczuciem bardzo pięknym.

Luna zmarszczyła nos i lęknęła whisky. Harmider wzmógł się nagle, o podłogę trzasnęło szkło. Odwróciłem się i osłupiałem.

– Zaczekaj chwilę. – Wstałem i szybko podszedłem do szamoczących się mężczyzn. – Puść go, Roger. Ja go znam, już będzie grzeczny. Zrób mu mocnej herbaty.

Zaciągnąłem podpitego zawadiakę, szarpiącego się z własnym krawatem, do naszego stolika.

– Co ty wyprawiasz, Profesor? Chcesz się pozbawić immunitetu?

– W dupie mam immunitet.

– Pozwól, to jest Luna. Luno, to jest Profesor. Wybitny starożytnik, który zaraz nam opowie, co o uczuciu zazdrości mieli do powiedzenia antyczni Rzymianie. Siadaj, Profesor.

– Bardzo mi miło. Łaskawa pani wybaczy tę niefortunną scenę. Z natury nie jestem awanturnikiem.

– Do rzeczy, Profesor. Nie po to cię wyciągnąłem z łapsk czarnoskórego Rogera. Mów

o zazdrości Rzymian.

– O zazdrości? *Invidia*. Słowo, które oznacza też nienawiść. U barbarzyńców, czyli w germańskim, jest zresztą jakoś podobnie. Jedno słowo dla opisu zła różnego rodzaju. A może wcale nie różnego? Może zło jest zawsze po prostu – czknął – złem i już? Mogę się napić?

– Herbatki. Dlaczegoś tak się nabombał? Coś nie tak z Doris?

– Ach, Doris. Wszystko tak z Doris. Chwilowo się wyprowadziła do pewnego pana o imieniu Nikt i jest, mam nadzieję, szczęśliwa.

Musiałem mieć głupawą minę. Patrzył na mnie czerwonociekłym okiem.

– Kiedy w telefonie gra Michael Johnson, wiem, że dzwoni Nikt. Tak Doris nazywa pana, który uczy ją tańca towarzyskiego. Przy takiej drabince, na której trzeba wisieć głową w dół.

– Michael Jackson. Więc zostawiła cię dla nauczyciela tańca. O co chodzi z tą drabinką?

– Nie zostawiła mnie. Kochamy się z Doris. Nic ani nikt, żaden nikt, tego nie zmieni.

– A drabinka?

Profesor podrapał się w łysinę i łyknął herbaty. Oparzył sobie usta i zamachał rękami, jakby chciał przefrunąć z grzędę na grzędę.

– Przyjechałem po Doris do sali tanecznej. Wisiała na drabince głową w dół, nagusienka jak ją Janus stworzył. Ty w ogóle wiesz, kto to jest Janus?

– Bóg Latynów o dwóch twarzach. Okres przedetruski. Patron bram i drzwi – powiedziała cicho Luna.

– Jestem wzruszony, droga pani. – Profesor usiłował przez stół pocałować Lunę w rękę, w ostatniej chwili uratowałem jego herbatę. – Więc wisiała tam. Widziałem jej cudowne ciało. A ściślej, dolną połowę, która była w górze. Buzi mojej Doris nie widziałem, bo coś ją zasłaniało.

Poczułem niepokój w układzie oddechowym. To znaczy przestałem oddychać.

– Proszę wybaczyć, droga pani: zasłaniała ją włochata pupa pana o imieniu Nikt. Nie wiem, jak się nazywa taniec, który on ćwiczył z moją Doris, ale chyba jest bardzo trudny.

– I co pan zrobił? – spytała Luna lekko zachrypniętym głosem.

– Nic. Nie mogłem rozmówić się z Doris, bo ten taniec trwał i trwał. Do znudzenia. Wreszcie poszedłem do domu, choć martwiłem się oczywiście, że Doris nie będzie miała czym wrócić. Podwiózł ją pan o imieniu Nikt. Niebieskim autem wyścigowym. Oznajmiła, że musi się wyprowadzić na jakiś czas, bo ćwiczy teraz bardzo skomplikowane tańce i tak będzie dla nas lepiej. Dla nas, powiedziała, i to było bardzo miłe.

Luna zabębniła palcami po stole.

– Chyba wyjdę na papierosa – rzuciła.

– Przepraszam panią – bąknął Profesor. – Nie chciałem być nieelegancki. Jestem trochę pod dobrą datą.

– Jesteś pod bardzo dobrą datą, Profesor. Współczuję ci i jest mi naprawdę przykro – powiedziałem najcieplej, jak umiem.

– Niepotrzebnie. Najważniejsze, że Doris jest szczęśliwa.

– Bardzo cię przepraszam, Profesor, ale nie pierdol.

– Właśnie – wtrąciła Luna – niech pan nie pierdoli.

– W aktualnym stanie rzeczy bynajmniej tego nie robię. Z przyczyn, by tak rzec, obiektywnych.

Profesor wysiorbał herbatę do dna i westchnął.

– No tak. Trochę zakłuło w okolicy mostka. W końcu każde rozstanie z ukochaną osobą, nawet na krótko, musi boleć. Ale wiecie państwo? Ku pociesze sięgnąłem do Publiusza Owidiusza. I czytam: „Zazdrosny umie się śmiać tylko wtedy, kiedy jego bliźni zapłacze”. Otóż – spojrzał na nas – musicie wiedzieć, że Doris nie uroniła nawet jednej łzy. Przeciwnie: była rozradowana. Zniosłem jej walizki do niebieskiego auta wyścigowego z panem Nikt w środku i uśmiechałem się do niej na odchodnym, a ona uśmiechała się do mnie. Nie wiem, czy państwo rozumieją, albowiem jestem...

– Jesteś nie z tej ziemi, Profesor – powiedziałem. – Zamówię ci taksówkę.

– Nie trzeba. Pójdę jeszcze na drinka do baru opodal. Bo ten czarnoskóry chyba mnie nie lubi. Tu jest zwrot kosztów za rozbitą butelkę wódki i za herbatę. – Położył na stole kilka banknotów. – Żegnam państwa.

– Widziałaś?

– Czegoś takiego do dzisiaj nie.

– To jest właśnie rym do zazdrości.

– Nie, to jest rym do bezradności.

Wiedziałem, że Luna, której antykwariat zaleca się tak zwanym artystycznym nieładem, w świecie pojęć porusza się jak kustosz pilnujący metafizycznego wręcz porządku: nie daj Bóg wleźć do tego świata i pomieszać na przykład bezradność z bezsilnością.

– A wiesz – powiedziała – znam tego faceta. Był kiedyś w moim antykwariacie. Gapił się na portret Laury. A potem kupił bardzo drogi naszyjnik. Pamiętam, że zawyżyłam cenę. Naszyjnik przedstawiał Sol de Mayo.

– Co to takiego Sol de Mayo? – zapytał. – I dlaczego zawyżyłaś cenę?

Myśl, której nie zdołałem powstrzymać, powędrowała w stronę pytania, jaka właściwie jest wartość rynkowa lwowskiego wydania *Niebezpiecznych związków*.

– Wersja inkaskiego bóstwa solarnego Inti. To był bardzo piękny wyrób, nie chciałam się z nim rozstawać. A jeśli już, to za godziwe pieniądze.

– Aha – bąknąłem, niepoprawnie zdumiony tym, jaki mały jest świat.

I zacząłem mówić o Profesorze. Wróciłem do czasów szkolnych, po czym moja opowieść zataczała coraz szersze kręgi. W którejś chwili zauważyłem coś w oczach Luny. Przymrużyła je i przygryzła paznokieć małego palca. Chyba oddaliła się myślą od mojej szkatułkowej historii. Zamilkłem.

– Wiesz, dobrze by było wyjechać gdzieś razem. Na przykład do Hawany. Usiedlibyśmy w jakiejś knajpce. Paliłbyś cygaro przy dźwiękach tej muzyki. No wiesz, Buena Vista...

– A ty byłabyś półnaga i mój *guerrillero* co rusz stawałby jak słup.

– Jak to „co rusz”?

– Na przykład od niektórych twoich zdań.

– Jakich?

– Na przykład: „Kiedy mówisz do mnie łacińskie słowa, oddałabym ci się natychmiast”. Na mnie też działają twoje słowa.

– W końcu zabrałabym cię z tej knajpy i coś pokazała.

– A co?

– Zresztą mogę ci pokazać tutaj. Dlaczego ty nosisz spodnie z guzikami? To takie nieporęczne. Mówiłam ci w kinie: guziki są większe od dziurek.

– A haftki to takie małe haczyki. Tak?

– Wiesz co, mam pomysł na dalszą część wieczoru.

To właśnie jest w tobie urzekające. Że zawsze, jak masz jeden z tych swoich pomysłów, to on jest lepszy niż wszystkie inne pomysły świata.

Wnętrze mojego antykwariatu pokryło się warstewką kurzu. W ogóle mi to nie przeszkadza, ale klientom tak. Widzę to po ich minach. Trzeba zakasać rękawy i wziąć się do roboty. Dziś. Albo jutro. Pojutrze? Kiedy u Rogera mówiłam Heliodorowi, jak dopieszczam swoje eksponaty, jego wzrok się zamglił. Kusiło mnie, żeby opowiedzieć o tym z detalami: jak miotełką z piór muskam róg porcelanowego jednoroźca, jak szmatką z irchy przecieram futerały i tuby i jak zdmuchuję kurz z grzbietów książek. Kusiło bardzo, bo Heliodor jest wrażliwy na bodźce słuchowe. Czasem wystarczy kilka słów, a jego laseczka natychmiast się ożywia. „Zazdroszczę twoim przedmiotom...”, powiedział, wpatrując się w moje dłonie. Dobrze, pomyślałam, dziś będę cię muskać, głaskać, pocierać, przecierać i cały czas czule do ciebie przemawiać, jak do bursztynowych bibelotów. Będziesz wzdychał i się uśmiechał. I czekał, czekał, razem ze swoim wpatrzonym w sufit gapiszonym.

Za moimi plecami rozległ się dźwięk tłuczonego szkła i po chwili Heliodor przyprowadził do naszego stolika jakiegoś profesora, który całkiem pijany rozrabiał przy barze. Znałam go. Nie zapominam klientów, którzy kupują coś, czego nie mam ochoty sprzedać. Natychmiast wypatrzył naszyjnik przedstawiający Słońce Majowe. Lubiałam na nie patrzeć. Kojarzyło mi się z czymś niebiańskim, erotycznym. „Właśnie tego szukałem”, powiedział profesor uradowany. Nie mogłam mu tej radości odbierać. Kiedy już za nią słono zapłacił i wyszedł, mruknęłam do Fausta: „Miejmy nadzieję, że nasze słońce trafi na szyję pięknej kobiety”.

Profesor zrobił nam wykład o zazdrości (w samą porę) i odmalował scenę karkołomnego seksu, który jakaś tancerka Doris uprawiała ze swoim trenerem przy drabinkach gimnastycznych. Nie pojmuję, dlaczego ludzie, mając do dyspozycji wygodne kanapy, miękkie dywany, nadmorskie plaże, wołą się kochać w samochodach, przy drabinkach, na drabinach, w kłującym sianie pełnym robactwa. Czy coś ze mną jest nie tak? I czy to właśnie ta Doris nosi teraz mój naszyjnik? Zrobiło mi się smutno. A potem poweselałam, bo drabinki skojarzyły mi się z Allenem w stroju do nurkowania. I natychmiast wyobraziłam sobie Heliodora w woderach.

Profesor wreszcie sobie poszedł, a Heliodor coś do mnie mówił i mówił. Słuchałam jednym uchem. Nie, w ogóle nie słuchałam. Tylko patrzyłam na niego. Łakomie. Widział to.

– Mam pomysł na dalszą część wieczoru – powiedziałam.

– U ciebie czy u mnie?

Do ciebie bliżej. Pokażę ci coś, czego pozazdroszczą ci moje bibeloty, wszystkie pierwsze wydania, a nawet figurka Priapa. Zobaczysz, jak kobieta dopieszcza mężczyznę od stóp do głów.

– U ciebie. I zabierz od Rogera jedną różę.

Nie pamiętam, jak dotarliśmy do sypialni i pozbyliśmy się ubrań. Wszystko działo się tak szybko. A potem zwolniło. Przesuwałam palcem po żebrach Heliodora, po linii ust, całowałam powieki, pod którymi uśmiechały się błyszczące tęczęwki, głaskałam pokryte lekkim zarostem

policzki, wtulające się w moje dłonie. W nieskończoność wędrowałam po jego ciele, środkiem, po bokach. Lizalam go – usta, uszy, pępek.

– Czy ja tak oblizuję swoje filizanki, figurki? – spytałam.

Pałeczka Heliadora kilka razy muśnięta pączkiem róży spojrzała na mnie z niedowierzaniem i załśniła.

– Czy ja pachnącą różą pieścę pałkę Priapa?

Heliodor zamknął oczy.

– Czy przesuwam tak różą po ślimakach jego mosiężnego kręgosłupa?

Wszystkie drogi na ciele Heliadora prowadzą TAM. Do małego kłamczucha, który, kiedy go pogłaskać, rośnie i robi się wielkim oszustem, i lubi wtykać nos w nie swoje sprawy. Moja sprawa nie ma nic przeciwko temu.

– Kiedy się śmiejesz, on też wesoło podryguje.

– Przestań!

Nie, nie przestanę. Wiem, to trudne, kiedy pyszałek zamiast pękać z dumy, pęka ze śmiechu. W razie czego zaczniemy od początku. Kto powiedział, że śmiech i seks kolidują ze sobą? Sprawdźmy to. No tak, jest mała kolizja, ale warto było. Jeszcze to poćwiczymy. Nie musisz zawsze nad nim panować. Daj mu trochę wolności. Znow ożywa i łasi się do mojej ręki. Oswajam go i niedługo będzie z niej jadł. Wędruje za moim palcem, w lewo, w prawo. A kiedy nad nim klękam, staje między moimi udami i zagłada TAM.

- **[PRZED WEEKENDEM]**

Od chwili, w której powiedziała „mam pomysł na dalszą część wieczoru”, do tej, po siedmiu minutach, kiedy zatrzasnęły się za nami drzwi, nie mówiliśmy prawie nic. Mówimy do siebie kiedy indziej – kiedy inni zazwyczaj milczą.

To znaczy, głównie Luna mówi. Czasem pyta, nie oczekując odpowiedzi. Czasem coś oznajmia. Albo rozkazuje.

Tej nocy kochaliśmy się dwa razy. Lubię te nasze dwa razy, ale nie są regułą, bo czasem wystarcza nam jeden raz. Słowo „wystarcza” nie opowiada o tym pierwszym razie całej prawdy.

Zawsze jest odrobinę zdyszany. Im bardziej nasze pożądanie syci się chwilą, tym łatwiej ją wydłużyć. Przestajemy się śpieszyć. Ciało Luny mówi do mnie swoim językiem. Na koniec powiada: „nie wypuszczę cię”. Albo: „jestem daleko, ale wrócę”.

Leży na wznak i zamyka oczy. Wtedy mówię do jej skroni. Opowiadam o nieznanym mi

miastach, streszczam nieprzeczytane książki i recytuję nienapisane wiersze. Aż w którejś chwili Luna przewraca się na bok i dotyka mojej twarzy.

Drugi raz jest jeszcze przyjemniejszy; kończy się tym, że oddaję jej wszystko, co przydźwigałem na tę niebotyczną wysokość – łapię jeszcze haust tlenu – i zaraz potem pewnie bym spadł i złamał sobie kark, gdyby Luna nie trzymała mnie mocno za szyję. Na koniec dostaję pocałunek, który Luna ma dla mnie tylko na tę okazję.

Potem jej dłonie głaszczą mój szorstki policzek. Chce mi się spać, Luna o tym wie i chyba się uśmiecha. Nigdy nie jest tak czuła jak wtedy, gdy tego nie widzę. Myślę o jej zdaniach – „czy ja pachnącą różą pieczę pałkę Priapa?”. O tym, jak wypowiada niektóre słowa – jakby miały i pytajnik, i wykrzyknik: „mój rozmiar?! włożysz?! tak troszeczkę?! już?!”. O jej oczach, które bezwiednie mówią prawdę, choć chciałyby skłamać. A potem chyba śpię, śpię i śnię, śnią mi się jej bibeloty, jakieś twarze z jej życia, ludzie na „L” – Laura. Lena. Lazur... Luna, Luna... I słyszę we śnie słowa: „Lewant, lukrecja, lubczyk, lubisz to?”.

Kochaliśmy się gdzieś w plenerze, na jakiejś polanie, pod brzozą, inaczej niż zwykle. Mam to jeszcze w uszach: „Na pieska? Co za okropna nazwa. Tak, teraz, po prostu to zrobmy”.

- [NIECIERPLIWA NOC]

Niespodzianka? Świetnie. Cierpliwie poczekam. Nie, chcę wiedzieć teraz.

Czy to wiersz? Nie. Teatr? Nie. Więc co? Powiem jutro. Przyjadę po ciebie o dziesiątej. Tylko nie kombinuj za bardzo. Nie jestem wymagająca, wystarczy mi fajny seks. Więc co to może być? Przyjedzie po mnie. Śniadanie na trawie? Przez ciebie nie mogę zasnąć.

- [WEEKEND]

Jedziemy. Piękne niedzielne przedpołudnie. Co kryje w sobie koszyk piknikowy? Są twarde ser, łosoś, pomidory, wino białe i różowe. Tak, dwie butelki. Jedną wypijemy, druga jest na wszelki wypadek. Wszelki, czyli też taki, którego w ogóle nie bierzemy pod uwagę. Gruszka. Brzoskwinia. Melon. Pokażę ci, jak uczują bogowie. Sól. Cytryna.

Moje volvo sprawuje się na medal, silnik szumi w harmonii z usypiającym mazowieckim pejzażem. Luna w długiej kolorowej koszuli i szortach siedzi obok. Patrzy przed siebie i się uśmiecha. Dzwignia skrzyni biegów nie potrzebuje mojej prawej ręki, więc ta wyrusza w drogę: dotyka ciepłego uda, które drgnęło. Codziennosc i jej inwazje nie mają do nas dostępu.

Moje palce pełzną w górę i dotykają ciepłego miejsca pośrodku. Po co ci te szorty, myślę. Luna wzdycha.

– Mam ochotę na śliwkę węgierkę – mówię. – Dojrzałą, bez pestki, sam słodki miąższ. Wyssałbym z niego sok.

– Jeszcze nie sezon na węgierki – odpowiada Luna filuternie.

Widzę coś ciemnego na szarej jezdni. Jeż? Omijam go lekkim łukiem.

Całuję ją w środek dłoni, która odrywa się od moich ust i opada jak szybowiec na twarde skrawki łąki.

– Robiłeś to już, prowadząc auto?

– Nigdy.

Luna idzie przede mną, rozgarniając wysoką trawę. Co kilkanaście kroków doganiam ją, żeby dotknąć jej talii. Odwraca się i muska językiem moje jabłko Adama albo grzbietem dłoni pociera mnie TAM, albo całuje w nos.

– Na pewno będziemy sami?

– Na pewno. Zarezerwowałem święty gaj tylko dla nas.

Igraszki z Luną, kiedy nie jesteśmy sami, w galerii czy knajpie, mają nieprzeparty urok czynu zabronionego – buszujemy na granicy zgorzenia. Uciekamy, w ostatniej chwili unikając skandalu. Spragnieni siebie. Może dlatego, kiedy zostajemy sami, spełnienie jest tak nadzwyczajne?

To tutaj. Podrygujące nad nami brzoźowe listki dają trochę cienia. Pijemy wino, jemy ostry ser i patrzymy na siebie. Luna rozpina guzik swojej koszuli, potem drugi. Podaję jej zapalony papierosa.

– Wiesz, o czym myślę? – pytam.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć.

Jasne. Mówimy do siebie kiedy indziej. Dotykam ustami jej szyi. Całujemy się jak za pierwszym razem, w Lukrecji. Leciutko. Jej włosy pachną dymem.

– Zaraz się zapalisz.

Gasi papierosa w trawie.

– Popatrz – mówi.

Różowe wino z przewróconej butelki zrosiło źdźbła i kapie z nich na dwa żuczki, które właśnie postanowiły zażyć rozkoszy.

– Świetnie sobie radzą. Alkohol niejedno ułatwia.

– A wiesz, że kiedyś w Niemczech za taki seks groziła kara śmierci?

Luna mówi to tak, jakby wcale jej nie obchodziło, co wiem w sprawie kary śmierci za jakiś tam seks. Nieśpiesznie pozbywamy się garderoby, z przerwami: koszula, pocałunek, szorty, pocałunek (ciut bardziej aksamitny niż tamten). Klęczymy naprzeciw siebie nadzy. Lekko ściskam jej piersi, mój język wprasza się między nie i spaceruje. Słyszę, jak Luna oddycha. Pieszczę jej pączki (węgierskie), najpierw jeden, długo, potem drugi. Przygryzam go lekko, oblizuję.

– Mmm – mruczy Luna. – Mógłbyś tak do zmierzchu?

Podnoszę wzrok i uśmiecham się do niej.

– To jeszcze z osiem godzin – mówię cicho.

Luna schyla się i szepcze mi do ucha:

– Nie będziesz tyle czekał.

Odpycha mnie lekko, odwraca się i wsuwa dłonie w miękką trawę pod brzozą. Te jej opadające lekko ramiona, łuk bioder i dwa dołeczki nad półkulami, które dzieli kreska. Bodaj żadna nie udała się bogu rysowników tak wspaniale.

Potem długo tulę policzek do pleców Luny. Samotny? Nie, dlaczego miałbym się czuć samotny. Przecież wiem, że zaraz się odwrócisz.

- [NIEDZIELA]

Jaka piękna martwa natura. Ser, pomidor, tylko jeden, gruszka, melon, brzoskwinia. Nie jadam owoców, ale lubię na nie patrzeć. I lubię, kiedy mnie kusisz. Dwie butelki wina. Chcesz mnie upić? Żebym się rozebrała do śniadania, jak rudowłosa nimfa na obrazie Maneta. Ale dlaczego panowie są ubrani od stóp do głów? Dlaczego ona patrzy na nas, a oni są zajęci rozmową? Rozpinam guzik. Obserwujesz moją rękę. W drugiej trzymam kieliszek. Trzeba wypić to wino, zanim się nagrzeje. Może jednak zjem kawałek gruszki. Drugi guzik. W naszych oczach płasają brzozowe listki. I trzeci. A co ze śniadaniem na trawie? Obok połyskującej w słońcu metalowej solniczki żółci się cytryna. Śniadanie potem? Raczej tak, już na pewno. Pod brzozą widzę kopulujące biedronki oczatki. Czemu nie. Tak kochał się neandertalczyk. Tak kochają się lwy i myszy.

– Ładne zuczki, świetnie sobie radzą – szepczesz mi do ucha.

– A wiesz, kiedyś we Francji za taki seks groziła kara śmierci – odpowiadam. – Bez obawy, teraz wolno już wszystko.

Ktoś nas rozebrał. Klęczymy naprzeciwko siebie. Twoja pałeczka wspina się po moim

brzuchu. Cycuszki – o tak, w nieskończoność, aż do zmierzchu. Ta pieszczota nigdy mi się nie nudzi, nie znudzi.

Teraz wolno już wszystko, myślę i odwracam się; kładziesz usta na moich plecach, dłonie na rozgrzanych piersiach. A on chciałby wejść. Dobija się leciutko. Wokół nas słycać szelesty, postukiwania, to chyba dzięcioł, śpiew ptaków. Jeszcze nigdy nie kochałam się w słońcu.

Wnika.

Dlaczego rozkoszna chwila wnikania trwa tylko krótką chwilę? Powiedziałeś: „Zaczyna się łąsić tam, w środku, do małej gaduły, która oddaje mu pieszczotę. Powolutku. Trochę szybciej, wyżej. I znowu wolniej, ale głębiej”. Skąd mi się biorą te zdania? Chcę, żeby znieruchomiał. Wiesz kiedy. I czekał. Przenosisz dłonie na moje biodra. Spadają na nas listki brzozy. Czekasz. Świat też cichnie. Zamiera. I znika.

Kołysujemy się. A potem twój policzek kładzie się na moich plecach. Odwracam się i przygarniam cię do siebie, żebyśmy ani na chwilę nie czuli się samotni. I znowu zjemy śniadanie, prawda? Jestem bardzo głodna. I chce mi się pić. Zapomniałeś o wodzie. Chodź do mnie, znowu chcę się kochać. Teraz tak, żeby cały czas mieć przy sobie twoją twarz. Wiem, że patrzysz, kiedy tego nie widzę. I słuchasz mojego oddechu, kiedy o tym nie wiem. I że twój fiutek jest łąsy na słowa.

A na śniadanie zrobię ci jajecznicę.

Lato

- [UPAŁ]

Wreszcie jest naprawdę gorąco i słonecznie, tak jak lubię. Luna po cichutku złorzeczy

z powodu skwaru, nie wychodzi spod prysznic i czeka na księżyc. A ja czekam na nią. W chłodnej pościeli. Wystarczy, że usłyszymy, jak zakręca wodę (pędziwiatr słyszy lepiej ode mnie), i już gotowiśmy szybować.

Miałem nazwać to, co zobaczyła we mnie Arleta na bankiecie neurologów. Ale nie będę szukał specjalnych nazw. Może tylko jedna przydaje się do czegoś, ta, której użyłem wtedy, w rozmowie z Arletą.

Jednak dzisiaj wiem lepiej, co to jest. Coś się we mnie rozjarzyło i nie chce zgasnąć. Dlaczego mężczyzna w moim wieku, z medycznego punktu widzenia całkiem zdrowy, nagle ma chronicznie podwyższoną temperaturę?

„Dar słońca” – moje imię. Tamtego wieczoru próbowałem zrozumieć, co to za dar. Nie wiem, kiedy przeskoczyła ta iskra – zimą, pod nowomiejską latarnią, czy dopiero wiosną, w jaskini Luny, w świetle księżyca. Kiedy stamtąd wyszedłem, coś paliło się we mnie jasnym, równym płomieniem. Nagle zapomniałem, jak smakuje sytość, i dziwiłem się temu. Idąc do domu, czułem: to, co się zdarzyło, nie jest wczorajszym przeżyciem do wspominania nazajutrz. To kieliszek absyntu, bez którego trudno mi się będzie obejść. *La fée verte*, trunek w kolorze jej rajstop. Właśnie wpadłem w nałóg.

„Więc co?”, spytała mnie wtedy Arleta. A ja pocałowałem ją w skroń i powiedziałem, co mi jest. Niech tamto słowo wystarczy.

Coraz częściej myślę, że nie ja piszę to wszystko. Wietrzę znowę, której nie wolno mi przejrzeć. Jacys bogowie, boginie grają nami, żeby załatwić swoje sprawy. Drocą się. Mają ubaw. A ja wreszcie dostałem niezłą rolę. Życiową. Jak ze snu.

- [PO KWADRANSIE]

Ten teatr lalkowy, który podsunęła mi Sabcia: okazało się, że mają w repertuarze także spektakle bez lalek, w maskach i bez masek. *Pana Maluśkiewicza* i *Ferdydurke*. Przechodzę kurs animacji, uczę się „prowadzenia lalki przed aktorem”, choć tak naprawdę oczekiwałem, że to lalka poprowadzi mnie – gracja i wdzięk są po jej stronie, bo lalka nie ma świadomości i nie uprawia refleksji, która rujnuje te przymioty. Gdzie to wyczytałem? W każdym razie, jeśli mam wrócić do zawodu aktora, to muszę się zadomowić w świecie jawajek, marionetek, pacynek i nauczyć operowania gabitem, czempurytami, krzyżakiem. Jak będę gotów, to mam szansę na rolę w *Pinokiu*. Luna pęknie ze śmiechu.

Śmiech Luny. Jestem gotów na wiele, żeby go usłyszeć. I dziecinniej: „pokaż, koteczku, co masz w środeczku”, „zgadnij, króliczku, co jest w koszyczku” – niechby tak ktoś przysłuchał się temu ćwir-ćwir.

Oboje nie lubimy wysokich tonów. „Pałeczka w rozmiarze jak na obstalunek”, „prymus: już umie pod sukienką zdj smallać kobiecie stanik”, „lizak w różnych smakach, najśłodszy na czubku”. Te zdania są częścią naszego seksu.

A czasem we śnie słyszę całkiem inny język: „Priapa czci się nad Hellespontem... chciałam, żeby mnie obdarował... wsunął się między moje piersi... pomogłam im, żeby umiały witać go wciąż na nowo... i poczułam smak ciebie”. Skąd się bierze taka tonacja? Z podświadomości, z pamięci marnych lektur? A może z pożądania, które chce, żeby je nazwać, lecz słowa, rozgotowane we wrzątku, stają się niestrawne.

Język erotyki powinien być jak mowa ptaków, którą Messiaen usiłował zapisać i przełożyć na muzykę. Ale muzyka nie potrafi ptasiej mowy odtworzyć.

Słowa Luny budzą mnie, wtedy dzwonię do niej w środku nocy. Wyobrażam sobie, że siedzi na łóżku w krótkiej koszulce, w której sypia. Widzę jej uda i małą gadułę. Widzę, jak Luna odgarnia włosy. Rozmawiamy przez chwilę samymi oddechami, aż wreszcie mówię:

– Będę u ciebie za kwadrans.

– Bądź.

- [GORĄCA NOC]

Przychodzą, żeby się pozwierać i nie kupują. Mam takich klientów. Snują się po antykwariacie, obmacują porcelanę, zerkają na mnie kątem oka, a w końcu ruszają w stronę biurka, aby klapnąć na krzesło Heliodora i rozpocząć jakąś opowieść ze swojego życia.

Na dworze po upalnym dniu rozpełtała się burza. Pan Stefan postanowił ją u mnie przeczekać. Właśnie dlatego przyszedł o tej porze: wiedział, że około czwartej będzie burza. Starsi ludzie bardzo pilnie śledzą prognozę pogody. Spojrzał na zalaną deszczem ulicę, i oczywiście usiadł na krzesło Heliodora. Westchnął – oho, niedobrze! – i obwieścił, że rzuciła go żona. Pomyślałam, że teraz będzie miał święty spokój. Pani Stefanowa zajadłe zwalczała pasję męża: przychodził do mnie po kryjomu i kupował tylko takie przedmioty, które łatwo ukryć: mapy, ryciny, listy z frontów różnych wojen. I jeszcze coś: rozbierane zdj smallęcia przedwojennych pań swawolnych. Zawsze wtedy puszczał do mnie oko, a ja uśmiechałam się ze zrozumieniem.

– I widzisz, dziecko – czemu oni nazywają mnie dzieckiem? – całe życie walczyliśmy ze sobą, a teraz mi jej brakuje. – Nie wyglądał na kogoś, kto chciałby mieć święty spokój. – Kochałem ją.

Trudno zrozumieć – ona darła z nim koty, on wieszał na niej psy. A teraz wzdycha tu wśród grzmotów i tęskni. Nie umiem pocieszać, ale postanowiłam spróbować.

– To może teraz zaczniesz zbierać szable i miecze. Jest pan wolny. – To drugie zdanie było niepotrzebne.

Spojrzał na mnie z wyrzutem – najwyraźniej nie potrzebuje ani spokoju, ani wolności i boi się być sam. Tak jak Konrad, pomyślałam.

Jak mu uświadomić, że samotność można do czegoś wykorzystać. Rozglądałam się po antykwariacie w poszukiwaniu inspiracji.

– Proponuję, żeby pan coś przeczytał. – Zdjęłam z półki *Szkice o miłości* Ortegi y Gasset. – Ta książka pana pokrzepi i natchnie. Proszę posłuchać: „Dante wierzył, że to miłość wprawia w ruch słońce i gwiazdy”.

– Lekka przesada – mruknął.

– Ale tylko lekka. I dowie się pan z tej książki, że człowiek zakochuje się, bo chce się zakochać. Chciałby pan?

Wzruszył ramionami.

– Jest też coś o namiętności. Proszę bardzo... – Nie, tego zdania nie mogłam mu zacytować. Moje serce przyśpieszyło.

– O namiętności?

– Tak. O namiętności. To nawet fajne. Tylko niech pan ustali, jakiego typu mężczyzną pan jest. Podobno można was podzielić na trzy grupy: tych, co sądzą, że są donżuanami, tych, co sądzą, że byli donżuanami, a trzecia grupa to mężczyźni, którzy uważają, że mogli być donżuanami, ale po prostu nie chcieli. Pożyczę panu tę książkę, a teraz, przepraszam, muszę zamknąć, mam coś ważnego do załatwienia.

Wzięłam Fausta pod pachę (smycz gdzieś wciągnęła) i ruszyłam przed siebie, a właściwie do Konrada, któremu chyba dopiekłam swoją życiową poradą, bo przestał się odzywać. Znów wyjrzało słońce, pachniało mokrą ziemią. Stałam przed wypucowaną szybą galerii i zajrzałam do środka: jest. Siedzi zamyślony i bębni palcami w szklany stolik. Hipnotyzowałam go wzrokiem. Podziałało. Zamachał, żebym weszła.

– Mogę z psem? – spytałam, stojąc w uchylonych drzwiach.

Zawahał się, przecież pies gubi kudły, ale widocznie miał ochotę na moje towarzystwo. Na wszelki wypadek zaczęłam od przeprosin.

– Konrad, przepraszam, że tak wtedy palnęłam, ale...

– No coś ty, to była świetna rada. Spójrz tam. – Pokazał palcem w głąb sali.

A w tej głębi siedziała artystka. Artystka klasyczna, która zajmuje się nie sztuką waginalną ani abstrakcyjną, ani nawet nowoczesną, tylko tkaniem gobelinów. Znam ją. Piękna, zgrabna, urocza i na pewno starsza od Konrada.

– Nic nie mów – powiedział, zupełnie niepotrzebnie, bo zdziwienie odebrało mi mowę. – Nigdy, no, prawie nigdy, nie miałem... jak by ci to powiedzieć... Wiesz co, obiecałaś wódkę. Może gdzieś wyskoczmy?

– Jasne, lubię dotrzymywać słowa.

Dawno nie rozmawiało się nam tak dobrze. Konrad, wyluzowany, radośnie donosił:

– Wiesz, laski po pięćdziesiątce są fantastyczne. Miałaś rację.

– Przyszło mi dzisiaj do głowy, że ty chyba boisz się być sam.

Konrad zmieszał się, jakbym odkryła jego głęboko skrywaną tajemnicę.

– Tak, boję się jak cholera. Ale, ale, czy ty jesteś smutna?

– Nie. Może trochę.

– Tęsknisz za Ksawerym?

Zaskoczyło mnie to pytanie. A jeszcze bardziej moja odpowiedź.

– Nie. Przecież on nie żyje od ponad pięciu lat. Cały czas pisałam do niego listy, ale parę miesięcy temu przestałam.

– Pisałaś na adres cmentarza?

– Przestań. Po prostu pisałam o tym, co się u mnie dzieje, tak jakbym pisała do niego. Kupował mi bilety na samolot i wysyłał mnie do zaprzyjaźnionych antykwariuszy w całej Europie.

– Ale jak, skoro nie żyje?

– No, nie on osobiście, tylko jego bracia, jeden z Tel Awiwu, drugi z Budapesztu. Jeszcze nie wiem wszystkiego, tylko się domyślam. Że to Ksawery ich do tego zobowiązał. Zanim umarł. Żeby się mną zaopiekowali. Ale robili to w tajemnicy, bo Laura za wszelką cenę chciała ukryć przede mną istnienie Wiktora. No wiesz, tego malarza.

– Nic nie rozumiem.

– Nie umiem ci tego wyjaśnić. Jeszcze nie.

– Ale skoro tyle lat pisałaś do Ksawerego, to pisz sobie dalej. Komu to szkodzi.

– Poznałam kogoś. Spotkałam.

– I co?

– Teraz jest inaczej.

– Zakochałaś się? – spytał zdumiony. – Przecież ty jesteś zimna jak ryba w zamrażarce.

– I tu się mylisz, jestem gorąca jak piec hutniczy. Mamy świetny seks, bajeczny, kryształowy, słoneczno-księżycowy.

W brązowych oczach Konrada niedowierzanie walczyło ze zdziwieniem.

– Chyba cię poniosło – powiedział. – Boże, dziewczyno, uważaj na siebie. To na pewno jakiś podrywacz.

– Podobno każdy mężczyzna jest donżuanem. Zapłacisz? – spytałam, całując Konrada w czoło.

– To ty zapraszałaś! – zawołał, kiedy otwierałam drzwi bistro.

Widziałam, że się śmieje.

– Za dobre rady powinno się płacić – odkrzyknęłam już z ulicy.

Ledwie nadązałam za Faustem. Drzwi do klatki były otwarte.

– Zionę wódką, zgubiłam smycz i bolą mnie ręce od dźwigania psa. Aha, i zrobiłam dzisiaj piętnaście kilometrów.

Pogłaskał mnie po głowie. Kiedy to robi, świat staje się bezpieczny, jakby stworzono go specjalnie dla mnie.

– I była burza z piorunami.

Co innego chodziło mi po głowie, to zdanie, którego nie odważyłam się zacytować panu Stefanowi: że szczyt ludzkiego życia to czysta i subtelnie dramatyczna namiętność. Nasze noce i poranki, kino, obrazy Miró, piknik.

– I co? Przecież lubisz burzę – powiedział Heliodor i pocałował mnie w szyję.

– Jestem naelektryzowana.

– Pokażę ci, jak się odelektryzuje kobietę.

Kobietę odelektryzuje się całkiem zwyczajnie. Najpierw się ją rozbiera i całuje w różne miejsca, lekko muska się i oblizuje dwa korale na jej piersiach, bardzo długo, aż zacznie wzdychać i poczuje, że nagromadzony w niej prąd spływa w dół; wtedy prowadzi się ją do kanapy i odprawia wokół niej rozmaite gusła za pomocą słów, rąk, ust i małego diabełka na sprężynie.

A rano pozwala się kobiecie pomilczeć i zapachem kawy zwabia się ją do kuchni na śniadanie.

Znów odfrunęła. Tym razem to się odbyło tak: „Zobaczmy się w czwartek?”. „W czwartek? Oj nie, lecę do Tel Awiwu. Tylko na kilka dni, kochanie, kilka dni”.

Prawie cały tydzień. Tylko kilka dni.

Już Szekspir wiedział, że aktorzy nie powinni straszyć widowni i najlepiej zawczasu (w prologu) uprzedzić ją, że groźny lew to nie lew, tylko aktor, a umierający bohater dramatu nie umiera naprawdę. Szekspir był genialny.

Luna wyjechała i wróci za chwilę. Była u mnie przedwczoraj, kochaliśmy się, potem siedzieliśmy w kuchni przy likierze czekoladowym. Luna mówiła o różnych typach donzuana, ja o filozofii wesołej miłości w komediach Szekspira. O granicy między jawą a snem u Calderona. Pojedźmy do Hiszpanii! A wiedziałaś, że *Życie jest snem* dzieje się w Polsce? Pojedźmy dokądkolwiek, choćby w Polskę, byle razem. Pomyślmy o tym. Może latem? Już jest lato.

Nie mogliśmy się od siebie oderwać. Pocałowałem ją w środek dłoni. Popłynął ciepły prąd, inny niż dwie godziny wcześniej. Dotknąłem jej piersi i zostałem przy niej długo. Mijał czas, Luna siedziała wyprostowana na brzegu krzesła, miała zamknięte oczy i uśmiechała się do siebie. Wreszcie westchnęła: „Tak, to jest najprzyjemniejsze”.

A dla mnie najprzyjemniejsze było to, co dodała: „Nie dostaniesz ode mnie kwiatów po premierze. Zamiast tego pokażę ci miłość po hiszpańsku w Polsce – teraz. Chcesz?”

Więc Szekspir. Miałem szczęście: ktoś z obsady obłożnie zachorował i dostała mi się rola w *Śnie nocy letniej*. Czasu, by się przygotować, jak na lekarstwo; na szczęście nieźle znam tę sztukę. No i gram w kostiumie, bez kukielki.

W *Śnie nocy letniej* lubię wszystko. Nieskrywane upodobanie kobiet, elfów, wrózek, mężczyzn do siebie nawzajem, według złotej reguły „na kogo padnie, na tego bęc”. Wielką pochwałę wyobraźni i marzeń, bez których nie ma szczęścia erotycznego. I szczególnie, na przykład to, jak strzała Kupidyna, zgaszona promieniem księżycy, omija serce westalki i trafia w kwiatusek. Wystarczy go znaleźć, zebrać z niego magiczny sok i posmarować nim czyjeś powieki, a ów ktoś zawrze namiętnością. Wszak namiętność jest demokratyczna: należy się każdemu.

Lubię też to, że *Sen nocy letniej* kojarzy mi się z Luną. I fajnie, że tym razem gram nie Oberona, tylko plebejskiego aktora Denko, któremu figlarny duszek przyprawił oślą głowę.

Na premierę przyszli Sabcia i Lutek. Sabcia zaraz po spektaklu musiała pędzić na spotkanie swojego roku (jubileusz dyplomu), więc poszliśmy z Lutkiem na męską wódkę. Lutek pisze artykuł o stałej kosmologicznej, a w wolnych chwilach poddaje renowacji własne meble. Wygłosił mi interesujący wykład o kwantowaniu pola grawitacyjnego i o ciemnej energii, a także o usuwaniu białych krążków, które zostają na politurze po szklance z gorącą herbatą.

O kobietach – o S. i (jeśli się nie mylę) D. – ani słowa. Właściwie mi ulżyło, że nie wracamy do tamtej historii. Lutek nie był skory do wyznań. A ja nie chciałem opowiadać o Lunie.

Nie umiem się zwierzać ze swojej radości. Komu z przyjaciół i jak miałbym o niej opowiadać? „Poznałem kobietę, z którą mam fantastyczny seks”? Sabcia pokiwałaby głową i westchnęła: „Oj, Maksiu, źle skończysz”. A Cornelia rzuciłaby coś w stylu: „Aha. A w chwilach wolnych od seksu pomagasz jej odrabiać lekcje”.

Tymczasem zwierzam się sobie. Że najchętniej klęczałbym teraz przed tobą, lizał twoje łąkocie i bez końca całował gadatliwą kumoszkę.

– Wiesz co, Heliodor? Wyglądasz na szczęśliwego faceta – powiedział niespodziewanie Lutek.

– Tak?

– Mhm.

– Żyję trochę jak we śnie. Sen jest życiem.

To zdanie podkradłem Lunie. Jak to aktor, którym znowu jestem.

– Cytat? Chyba powinno być na odwrót. – Lutek podrapał się w głowę.

– Tak, tak, wciąż cytujemy i przekręcamy cytaty – powiedziałem, wstając. – Czas na mnie, jutro zrywam się bardzo rano. „Wszystko, co było, tylko uśpionym we śnie się marzyło”.

– Co?

– Nic, to akurat z epilogu sztuki, którą właśnie widziałeś.

Ktoś posmarował mi powieki eliksirem, abym pożył sobie w radosnym śnie, myślałem, idąc przez puste miasto. Nie chcę się z niego obudzić.

W domu na nocnej szafce korale Luny. Luna zostawia u mnie czasem różne rzeczy: korale, okulary, apaszkę. Talizmany do zwrotu. Lubię się nimi bawić. Przerzucam korale z garści do garści i włączam telewizor. W dzienniku migawka z aresztowania dilerów w warszawskim lokalu. Specom od techniki telewizyjnej nie udało się ukryć tożsamości kolesia w kajdankach; zdradziło go zbliżenie na fioletowe pantofle i pomalowany na czarno paznokieć. Poczulem się dziwnie w roli wróżbity, którego przepowiednia się spełniła. Prawie jest mi cię żal, Przydupasie.

Prawie. Więc, jak powiada (do własnego ducha i niezbyt poważnie) aktor Denko: „giń, giń, giń!”

Minęły dopiero dwa dni.

Gorąco, parno. Powietrze nad telawiwską plażą drży, jakby się ucieleśniło. Po zamglonym horyzoncie sunie statek. Nie odrywam od niego oczu. Jest jak uchwyt, bez którego na pewno zapadłabym w sen. Słucham Beniamina, ale zwrócona w głąb siebie, nieuważnie, docierają do mnie tylko strzępy zdań (nasza matka... tęskniłem za nią... ojciec pograżył się w wiecznym... mam żal, że...). Już znam tę opowieść i trochę mnie nudzi. Nudzą mnie ruiny i zgliszcza, których nie da się ożywić. Jałowy smutek przeszłości. Lenę denerwuje takie podejście do życia, w duchu: było jak było, jest jak jest, będzie jak będzie. Czasem jednak przyznaje mi rację: przecież nie wiadomo, co by było, gdyby. Co by było, gdybym poznała Heliadora, mając dwadzieścia lat? Nie mogłabym go poznać teraz.

Beniamin należy do gatunku ludzi zwanych przeze mnie alchemikami, którzy trwonią mnóstwo energii na uzyskanie złota z ołowiu. A ponieważ na dnie tygła czasem coś zalśni, nie mogą przestać. Nie zdradzam Beniaminowi, o czym myślę – że trochę rozumiem naszą matkę. Całe życie uciekałam od mężczyzn podobnych do mojego ojca. A ona być może uciekała od wszystkich mężczyzn. Niektórych zwierząt nie da się udomowić. Lecz one też na swój sposób kochają.

Statek przesunął się o kilka metrów. Chcę, żeby się nazywał „Heliodor”. Dar słońca. Moja skóra pokrywa się słońną mgiełką, jak wtedy, gdy się z tobą Kocham.

Przyjdę w nocy. W niebieskiej sukience. Słona. Rozgrzana słońcem Lewantu. I na powitanie znów zrobię ci laskę. Są też laski urodzinowe, imieninowe, świąteczne, z okazji i bez okazji, ale powitalne są najlepsze. Bez powodu. Z tęsknoty. Będzie nów. Czy myśmy się już kochali na nowiu?

- [PO ZACHODZIE SŁOŃCA]

Prowadziła, powiedziałbym, ze swadą. Jej dłonie miękko spoczywały na kierownicy. Podejrzywałem je o chirurgiczną zwinność.

– Czy masz specjalizację chirurga, Leno? Chirurżki?

– Nie – uśmiechnęła się – nie przepadam za krojeniem czegośkolwiek, z mięsem na czele.

Zsunęła okulary przeciwsłoneczne z czoła na nos, jakby zamykała szybki kasku, i dodała gazu.

– À propos medycyny. Wszystko u ciebie w porządku? Z barkiem?

– Tak. Mogę znów trenować.

– Żartujesz. Naprawdę chcesz startować w triathlonie? Z twoim ramieniem?

– Bez ramienia chyba bym nie próbował. A skąd wiesz, że chcę startować w triathlonie?

Zdmuchnęła kosmyk włosów znad oczu.

– Chwaliłeś się u doktora Stefana.

– Tak to brzmiało?

– Mhm. Ale nie przejmuj się. Wszyscy, kobiety też, chwalą się czasem, udając, że nie.

Fajna przejażdżka. Wiatr we włosach. Lena bębniła opuszkami palców o skórzaną kierownicę. Jechała za szybko, ale pewnie. Z gracją wyprzedzała ślamazary.

– Leno, co ja muszę wiedzieć o opiece nad człowiekiem w śpiączce? W domu?

Nie odpowiedziała od razu. Wpatrywała się w drogę. Po chwili zatrzymała swoją żółtą strzałę na jakimś osiedlu bliźniaków, zdj smallęła okulary i spojrzała mi w oczy.

– Bromden nie jest w śpiączce.

– Tylko?

– W przetrwałym stanie wegetatywnym. Nie wiem, czy z tego wyjdzie. Ale otwiera i zamyka oczy, jest wydolny oddechowo, trawi dietę. Wszystko wskazuje na to, że nie ma świadomości, a jednak niewprawne oko mogłoby nie poznać po nim choroby. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić. Sprawia wrażenie... nadludzkie.

– To znaczy?

Lena patrzyła na mnie badawczo, wzrokiem lekarki. Odruchowo też zdj smallęłam okulary.

– Chorzy po tak rozległym urazie rzadko się wybudzają, a jeśli już, to przedstawiają sobą naprawdę smutny obraz. A Bromden... – Zawahała się. – On wygląda tak, jakby wszystko z nim było w porządku. Zstąpił z nieba i położył się do łóżka. Tylko nie chce mu się z nikim gadać.

Lekko dotknęła mojej dłoni i dodała poważnie:

– W każdym razie jest bardzo chory, trzeba pilnować jego płuc i mięśni. Na pewno nie obejdzie się bez pielęgniarki, fizjoterapeuty. Ale oni nie zajmą się nim jak dzieckiem. A on tego wymaga. Dasz radę?

– Proszę o łatwiejsze pytanie.

Wskazała brodą dom.

– To tutaj. Oto klucze. Zaczekam w samochodzie.

Przestronny pokój. Kurz, kurz, pajęczyna rozpięta w górnym rogu, ze spasionym, nieruchomym gospodarzem pośrodku. Obserwował mnie z niepokojem.

Książki. Dygat. Strykowski, cały Hłasko. *Technika ćwiczeń leczniczych w kinezyterapii. Diagnostyka czynnościowa narządów ruchu. Martwa natura z wędzidłem. Życie codzienne w Holandii w czasach Rembrandta*. Na ścianie Piłsudski, szabla kawaleryjska i plakat Solidarności. O rany, Wodzu, jesteś sentymentalny. Małe czarno-białe zdj smallęcie w ramce: Ty i jakaś pani. Zdj smalląłem je. Ramka chyba dość nowa, ale zdj smallęcie jakby osmalone. Więc jest jakaś pani? Na odwrocie napis: „z H. w Sopocie, 1959”. Odwiesiłem.

Jakbyś przed chwilą wstał od tego biurka. Kalendarz bez zapisków, spinacze, kubek z czarnym osadem, fajka Petersona, wrzoścowa, wianuszek popiołu na blacie. Długopis, okulary do czytania. Arkusz brystolu: „Pięciobój – młodzicy”, z rozpisanyym cyklem treningowym. I poźółkłe zdj smallęcie pod lampką. Nadpalone. Pani z Sopotu z dzieckiem na ręku. Podpis: „w maju 1960”.

Zdmuchnąłem kurz z poręczy krzesła, przysiadłem. Pani, dziecko. Twoja rodzina? To wszystko zmienia. Ktoś ważny, skoro stoi pod lampką. Od ponad pół wieku. Wpatrywałem się w tę ładną, pełną twarz, okoloną jasnymi, może rudymi włosami. Duże, migdałowe oczy. Znam tę kobietę? Gdzieś ją widziałem? Niemożliwe. A dziecko? Jeśli żyje, jest teraz po pięćdziesiątce. Jak je odnaleźć? Jego albo ją. Gdzie szukać?

Pomyślałem o swojej córce. Powinienem do niej zadzwonić, robię to za rzadko. Jakbym się bał, że usłyszę coś niepokojącego. Albo że się rozkleję, bo najbliższa mi osoba właśnie płynie jachtem po jakimś morzu, nie ma zasięgu i nie powie mi tego, za czym tęsknię: „Tatku, mam się świetnie, właśnie kupiłam bilet do Polski”.

Wrzuciłem zdj smallęcie do torby. Poszedłem do kuchni, zakręciłem gaz i wodę. Na stole stary laptop. W głowie pląsały mi znaki zapytania. Jakby bezwiednie zapakowałem komputer do torby. Wybiegłem jak złodziej.

Poprosiłem Lenę, żeby zostawiła mnie nad rzeką. Musiałem zebrać myśli. Ale – nie zebrałem. Kolebały mi się w głowie, każda z osobna. Twoje mieszkanie. Piłsudski. Pająk. Sopot. Kinezyterapia. Życie codzienne Rembrandta. Martwa natura. Wędzidło. Fajka Petersona. Pani z dzieckiem. Laptop.

Kupiłem winogrona w sklepiku na bulwarze. Patrzyłem, jak słońce cętkuje wodę żywym srebrem. Niepokój ustępował, narastało we mnie coś przyjemnego.

Damy ci na imię Seneka, pająku. I wypytamy o wszystko. Jesteś stary i mądry, musisz dużo wiedzieć.

Na wodzie wylądowała mewa. Patrzyliśmy na siebie. Rzuciłem jej winogrono. Podniosła je gracko i pofrunęła w stronę mojego domu. Poszedłem za nią. Na zarzecznym horyzoncie słońce dotknęło drzew.

Lubię pisać na pokładzie samolotu. Najdłuższa podróż mija wówczas błyskiem. Lauro, musiałaś wiedzieć, że przyda mi się to pisanie, nie chodziło o dyscyplinę. Po kolejnym spotkaniu z Beniaminem jestem ci jeszcze bardziej wdzięczna za to, że wypełniłaś moje dzieciństwo radosną filozofią własnej produkcji. Tylko o jedno mogłabym mieć pretensję – że mnie paskudnie ubierałaś. W „praktyczne” spodnie i bluzy, które kolorem przypominały szarobure deszczowe niebo. Wciąż to sobie wynagradzam. W szafie mam pełno sukien, trochę kolidujących, jak twierdzi Lena, z moim wiekiem. Trudno. Ale Heliodor je lubi i często komentuje: „Jaka mięciutka. Jak z płatków róży” albo: „Masz na wieszaku historię malarstwa. Ultramarynę Vermeera. Zieleń Veronesego. Żółć Fragonarda”. Sukienki wybranej dla niego parę godzin temu, w słońcu, na plaży, jeszcze nie zna. Jest szmaragdowa jak morze, od którego nie mogłam oderwać oczu. Wstyd powiedzieć – tak samo wgapiam się w tyłek Heliodora, kiedy gotuje. Czasem przyłapuje mnie na tym, gdy się odwraca, żeby powiedzieć, jakiej oliwy używa (boska, gorzkawa, dziewicza oliwa!) albo jak długo należy gotować makaron *al dente* czy jajko na miękko. „Śmiejesz się – mówi. – Ze mnie? Z mistrza kuchni?”

Nie, śmieję się do twojego tyłeczka, ale nie możesz się o tym dowiedzieć, bo wszystko będzie leciało ci z rąk.

- [RANO]

Czekała w hali przylotów. Lena. Przez chwilę wpatrywałam się w nią, jakby była duchem.

– Co tu robisz? – spytałam.

– Czekam na naszą drużynę koszykówki, która wraca z jakichś zawodów – odpowiedziała, i w pierwszej chwili jej uwierzyłam, bo w samolocie rzeczywiście była liczna grupa wysokich i przystojnych facetów.

– Wygrali?

– Niestety nie. Żydzi we wszystkim dzisiaj przodują, nawet w rolnictwie. Podobno to oni skrzyżowali brzoskwinie ze śliwką, a dzieckiem tego związku jest nektarynka.

– Nie lubię, jak się po mnie przyjeżdża.

– Wiem, ale ci nie wierzę. A poza tym dzięki mnie szybciej trafisz w ramiona Heliodora.

– Lubię tam trafiać powoli. Skąd wiesz, że się do niego wybieram?

– A masz inne plany?

– Najpierw zawieź mnie do domu. Chcę się przebrać. W niebieską sukienkę.

– W tę, którą tak trudno zdjąć smallać. Zakleszczasz się. Ani przez biodra, ani przez głowę. Tak śmiesznie się wtedy miotasz.

– Nie boję się śmieszności.

– Jutro zanocuję u ciebie. Pamiętasz? Obiecałaś opowiedzieć, co jest w liście od Laury.

Tak – ten plik pożółkłych papierzysek, które zabrałam ostatnio z szafki Laury. Wśród nich kopertę: „Dla Luni, mojej ukochanej córki”. Wciąż jej nie otworzyłam. Nie chcę, żeby jakiś list zmieniał moją przeszłość, z której jestem rada, ani tym bardziej terażniejszość, z której też jestem rada. Po co mi prawda? Jak to po co. Żeby nie żyć w kłamstwie. Nawet w cudzym. O co mi właściwie chodzi? O tę resztkę tajemnicy, której nie chcę tracić, bo wychowałam się w kulcie sekretów, wśród niedopowiedzeń i przemilczeń, i sama mogłam wypełniać luki w tej historii? I co – nagle wszystko jasne? Jedna wersja wydarzeń – i koniec? Wiem, to bzdury, przecież otworzę kopertę – skoro zwierzyłam się Lenie, że istnieje ten list, to nie mogę udawać, że go nie ma.

Ale teraz tylko Heliodor, który tej nocy zlizywał ze mnie sól.

Dochodzi północ. Drzwi są otwarte. Zostawił otwarte drzwi. Śpiewają Animalsi. Na stole butelka porto i dwa kieliszki. Jeszcze nigdy nie piliśmy razem porto. Heliodor śpi z otwartą książką na klatce piersiowej. Ostrożnie wysuwam ją spod jego prawej dłoni, która zakrywa tytuł. *Sen nocy letniej*. Całuję Heliodora w senne usta. Otwiera oczy. Patrzy. Jego wzrok mnie podnieca. Cały Heliodor mnie podnieca. Kiedy najbardziej? Czasami, jak nic nie robi. Tym razem chcę od razu trafić w jego ramiona.

– Jesteś taka niebieska – mówi.

– I cała w soli. Po południu kąpałam się w morzu.

Heliodor oblizuje moje ramię. Potem drugie. Pomaga mi zdjąć smallać sukienkę.

Jego usta od razu przywierają do mojej lewej piersi.

– Prawa jest wrażliwsza. A lewa weselsza, lecz bardziej wymagająca – przypominam, chociaż Heliodor już je zna od każdej strony.

– Wszystko słone.

Tak też można. W północy. To przyjemne. We mnie jest teraz środek świata. Wiesz, o czym mówi. Kiedy przestanie, oplotę cię rękami, nogami i pokażę, jak kobieta, senna, z zarumienioną twarzą, prowadzi mężczyznę na szczyt. Jak go tuli, kiedy dotrze na miejsce. I słucha opowieści, którą on w niej zostawia.

- [RANO PO NIEBIESKIEJ NOCY]

– Oho, dopraszamy się pochwał?

Znam ten lekko drwiący ton. Kiedy łąszę się o czułe słówko („jadłaś kiedyś lepsze *ragoût* z ananase?”), Luna odpowiada pytaniem: „A jak się panu podobał mój ostatni tomik poetycki?” W ten sposób temperuje moją próżność, która jednak ma się przy Lunie całkiem dobrze.

Ledwie wróciłem do domu, zadzwoniła Sabcia. Spytałem ją, jak odebrała Szekspira w teatrze kukielkowym.

– Będę brutalnie szczera, może dlatego, że jeszcze boli mnie głowa po wieczorze z teatrologią. Dawno się tak nie upiłam. Potknęłam się w drzwiach i zobaczyłam w oczach Lutka dwa przerażone pytajniki. No i dobrze. A co do spektaklu: uważam, że było nie dość lekko. Zbyt barokowo. Najlepiej wypadł Oberon. Ogólnie biorąc, przerysowujecie. Za bardzo staracie się być zabawni. Demetriusz z trudem przypomina sobie tekst. Za to Tytania jest naprawdę wdzięczna i gra z wyczuciem.

– A Denko? – spytałem.

Jasne, chciałem usłyszeć ciepłą recenzję swojego drugiego debiutu.

– Okay, powiem jedno zdanie i nie zrozum go źle: Denko to jest rola dla ciebie, Minimaksiu.

Aha, Denko – ośła głowa. A może: jestem denny. Denko to aktorskie beztalencie, zupełnie jak ja. Minimum wszystkiego, maksimum niczego, zwłaszcza to drugie. Nie, zapewne chciała powiedzieć, że jest wręcz przeciwnie: że świetnie gram dennego aktora. Nie każdy to potrafi. Sprytnie wymyśliła swoje „jedno zdanie”. Kochana Sabcia. Dobrze mieć inteligentnych przyjaciół.

Nie wiedziałem, o której dokładnie wraca Luna; butelka porto tawny i dwa kieliszki na stole, *Animalsi*, *Many Rivers to Cross*, w odtwarzaczu – to byłoby minimum przygotowań do niespodzianki. Czekać-nie-czekać na nią, sięgnąłem po tekst *Snu*, żeby go przejrzeć pod kątem różnych uwag Sabci. Ale nie chciało mi się czytać, dopadło mnie znużenie. Przymknąłem oczy.

Próżniak – to człowiek próżny czy próżnujący? Powiedzmy, że jedno i drugie.

Nic tak nie zaspokaja męskiej próżności jak pożądanie kobiety. „Czy to cię podnieca? – spytała kiedyś Luna. – A to? A to?” „A ciebie co podnieca najbardziej?” „Kiedy dotykasz moich pleców. Kiedy całujesz mnie w szyję, tutaj. Kiedy podgryzasz i liżesz któryś z nich i nie zostawiasz go za szybko. Kiedy moja ona połyka twój palec. A czasem kiedy do mnie mówisz. A czasem kiedy nie robisz nic”.

Moją próżność Luna potrafi na przemian poskramiać i podsycać, w ten sposób ją karmi. I nieźle się przy tym bawi.

Zasnąłem. Coś zaniebieściło mi się pod powiekami. Obudził mnie smak soli na ustach.

Chodź. Jestem senny, ale niecały. Beznadziejna sprawa. Co? Ta sukienka. Kiedy odkryłem, że twoje korale są takie rozmowne? Szepczą jeden przez drugi. Naprawdę słone to morze. Popłynemy kawałek w głąb, na leniwej fali.

Skąd wiedziałaś, że puszczam ster? To już. Przytul mnie mocno i trzymaj w objęciach, proszę – dopóki nie wróci nam dech.

- [NOC, LENA ŚPI]

Wieczorem nastawiłam ulubioną płytę Leny (Simon and Garfunkel) i otworzyłam jej ulubione wino, sycylijskie nero d'avola – żeby się u mnie odprężyła, odetchnęła od tych ludzi po udarach i wypadkach. Ja w porównaniu z nią jestem bezużytecznym próżniakiem, pławiącym się w przyjemnościach. Robię sobie zakładki z zbieranych kiedyś przez Laurę kwiatów, które wciąż wypadają z książek, gromadzę pierwsze wydania, fajki i korkociągi i kocham się beztrudno z miłym facetem, a on beztrudno kocha się ze mną. Przy nim sentencja Laury, że przyjemność nie jest czymś, na co trzeba sobie zasłużyć, nabrała nowego sensu. Tak, to wszystko mi się należy. Heliodor po to jest, żeby mnie karmić smakołykami i dawać mi rozkosz. Wpadliśmy w wir, który obraca się leniwie, powoli, bez końca. Taki jest naturalny rytm wszechświata. Erotyczny.

– Dzięki Bogu, jesteś. Dzwonię i pukam. Bałam się, że zapomniałaś i będę musiała spać na wycieraczce – mówi Lena od drzwi. – O, kolacyjka, a pościel jaką mi dałaś?

– Niebieską w złote księżycy i słońca.

– Chryste, kiedy ty z tego wyrośniesz?

– Nigdy. Tak się bronię.

– Przed czym?

– Robię to prewencyjnie i tak skutecznie, że jeszcze nie wiem przed czym.

Lena, widzę to po jej oczach, usiłuje zrozumieć sens tej metody na życie, wreszcie wzrusza ramionami i przenosi wzrok na Fausta.

– Pies marsz na posłanie, a ty opowiadaj.

– No więc tak. Heliodor...

– Heliodor innym razem, teraz list Laury. Chcę wiedzieć, jak zostałaś tym nieszczęsnym, porzuconym przez matkę bękartem.

Jestem trochę zawiedziona, że nie chce posłuchać o Heliodorze. Ale tylko trochę – i tak nie umiałabym jej opowiedzieć, co mi się przydarzyło. Nawet moje zapiski są tylko bladym odbiciem tej bajki.

– No dobrze. To bogata tradycja w naszej rodzinie: moja matka była bękartem, ja jestem bękartem i Klara też. Bękartem jest mój brat Benjamin, który nad tym boleje. Ale wiesz, tak naprawdę wszyscy jesteśmy bękartami. Cała ludzkość. Porzucona przez Boga i osierocona.

– Proszę cię, do rzeczy.

– Chcesz wersję krótką czy długą?

– Średnią.

– No właśnie, tak jest najtrudniej. Dokonywać sensownej selekcji materiału. Spróbuję. Kończy się wojna. Niejaki Wiktor Sonnenberg wraca po obozach, takim, siakim, nie wiem dokładnie, ale na pewno był we Flossenburgu, gdzie więźniowie wydobywali marmur, chyba różowy, pięknie żyłkowany. Kto wie, może ten marmur tak zachwyił Wiktora, że potem został artystą. Laura też wraca, po tych wszystkich powstaniach.

– Jakich wszystkich?

– No, w getcie.

– Ale Laura nie była w getcie. Nie jest Żydówką.

– Co z tego, przecież to nasza wspólna historia i wspólne getto. – Lena kiwnęła głową. – Chyba po powstaniu warszawskim. Nie napisała o tym w liście, ale na pewno była sanitariuszką albo łączniczką, bo jak wiadomo, wszystkie kobiety w naszej rodzinie były nieustraszone. Oczywiście jest kwestią przypadku, kto się kim rodzi. Ty wychowałeś się w zamożnej rodzinie lekarzy, którzy rozpieszczali cię czy raczej rozpuszczali, a ja byłam nieszczęsnym nieślubnym dzieckiem, córką Cathy Ames i Adama Traska.

– Oni byli małżeństwem.

– W porządku, córką pół-Cyganki, jak się okazało, nie patrz tak, i księgowego, którego pasją była astronomia, czyli astronomia pomieszana z astrologią, bo chciał odkryć tajemnicę szaleństwa swojej ukochanej, a potem uchronić przed czymś własną córkę. Laura zaczęła studiować historię sztuki, Wiktor malarstwo na ASP. Poznali się, zakochali w sobie od pierwszego wejrzenia, i wzięli ślub. Jeździli w góry pod namiot, a raz nawet byli nad Adriatykiem. Rozumiesz, stąd ten lazur.

– Jaki lazur?

– Nieważne, lazur na razie pomińmy. Wiktor malował jej portrety w stylu Modiglianiego. Dość marne, ale pełne miłości, zmysłowe. Pokażę ci. A ona mu pozowała. Jest nawet jeden akt. Niestety popełnili błąd, dość typowy, mianowicie byli pewni, że ich miłość jest wieczna i nic jej nie może zagrozić. Tymczasem brat Laury, czyli mój ojciec, wówczas jeszcze przyszły ojciec, poznaje Karmenę, moją przyszłą matkę, zakochuje się w niej bez pamięci i jakiś czas później rodzą się ja.

– Pewnie dziewięć miesięcy później.

– A skoro już byłam, ktoś musiał się mną zająć. Niestety mama nie miała instynktu macierzyńskiego. Znikała na kilka dni, potem wracała, bez żadnej skruchy. Ojciec cierpiał, ale wierzył, że wszystko się jakoś ułoży. Tymczasem Laura codziennie przychodziła, żeby mnie nianńczyć.

Milknę. Lena patrzy na mnie w napięciu.

– Aż pewnego dnia Wiktor, mąż Laury, poznaje Karmenę. Nie mogą od siebie oczu oderwać. Trudno się dziwić, przecież szczyt ludzkiego życia to czysta i subtelnie dramatyczna namiętność.

– I najczęściej chwilowa – dopowiada z ironią Lena.

– Czy ty wiesz, na czym polega prawdziwe zauroczenie?

– Tak, kiedyś zauroczyłam się facetem, który okazał się gejem.

– A Laura zamiast zamknąć męża na klucz i nie wypuszczać go z domu, dopóki mu nie przejdzie, udawała, że nic nie widzi.

– Powinna była zalepić mu uszy woskiem, zasłonić oczy i przywiązać go do masztu. Najwyraźniej nie czytała *Odysei*.

– Była przeciwniczką takich metod. A moja matka rzeczywiście miała w sobie coś magicznego, jak syreny. Takie skrzyżowanie *femme fatale* z uroczym niewiniątkiem. I teraz muszę jeszcze bardziej cofnąć się w czasie. Do swoich dziadków. Jej ojciec był Cyganem.

– Romem się mówi.

– Ten akurat był Cyganem. Pięknym i uwodzicielskim. Jej matka wędrowną aktorką, też piękną, niebieskooką i jasnowłosą. Ich trupa rozbiła obóz w pobliżu taboru. Niebo obsypane gwiazdami, cykady, któż by nie uległ czarowi letniej nocy z pełnią księżyca na niebie.

– Opisy przyrody pomiń.

– A nazajutrz każde z nich, mój bezimienny dziadek i babcia Ewa, powędrowało w swoją stronę. W jej ciele też się odbywała wędrówka: najsprytniejszy cygański plemnik docierał, albo już dotarł, do komórki jajowej. Wiesz, jestem nowoczesną kobietą, ale wołałabym nie mieć w metryce wpisu: ojciec nieznany. To się od razu kojarzy z mogiłą nieznanego żołnierza. A poza tym nie można liczyć nawet na skromne alimenty. Już rozumiesz, dlaczego moja mama była nomadką. I dlaczego mamy takie idiotyczne imiona: Karmena i Luna.

– I rozumiem, dlaczego ty jesteś nomadką.

– Byłam. A teraz słuchaj, bo nastąpi najważniejsze. Któregoś dnia pan Lazur...

– Co ty z tym lazurem. Kim jest pan Lazur?

– Tak z pewnych względów nazwałam Wiktora. Czyli któregoś dnia Wiktor i Karmena znikli. On zostawił list, ona jedwabną chustkę, którą po latach wypuściłam z balkonu. Uciekli do Izraela. Wiktor miał tam rodzinę. Pewnie wyjechałby tuż po wojnie, gdyby nie Laura, która nie chciała o tym słyszeć. „I co ja, gojka, bym tam robiła? Wśród obcych, bez języka”. To cytat z jej listu.

– Trudno mi sobie wyobrazić Laurę jako mężatkę.

– Mnie też.

– Kiedy byłaś teraz w Izraelu, widziałaś się z matką?

– Nie. Zostawiła Wiktora po roku, z małym synkiem, i fruwała, może nadal fruwa, po świecie.

– O, czyli masz brata.

– Tak. Beniamina. To do niego pojechałam. A teraz się skup.

– To nie wszystko?

– Nie. Jest jeszcze drugi wątek tej historii, związany z Ksawerym. Otóż Wiktor był jego przyrodnim bratem, tak jak Sándor z Budapesztu. Mieli trzech ojców. Wiktor był pół-Żydem, Ksawery Polakiem, a Sándor pół-Węgrem.

– To brzmi niewiarygodnie. A ich matka?

– No przecież Polką. Ale wiesz, przez ten kraj przetoczyły się hordy tatarskie, szwedzkie, ruskie, germańskie, kto tutaj jest Polakiem? Ja na przykład mam w sobie cygańską krew, a ty na pewno domieszkę krwi wikingów. I każdy z braci miał inne nazwisko. Nieważne. Urodziłam się i trzydzieści kilka lat później poznałam Ksawerego. Rozumiesz?

– Czyli brata Wiktora, który był mężem Laury – upewnia się Lena, ale minę ma nietęgą.

Biorę kartkę i szkicuję ludziki, po czym stukając w nie ołówkiem i rysując strzałki, ciągnę:

– Tak, mężem Laury – figurka Wiktora dostaje ołówkiem cios w serce, a Laurze dorysowuję aureolę – który odbił jej bratu – z oczu ojca płyną łzy – ukochaną, czyli moją matkę, tym samym skazując mnie na pólsieroctwo, a Laurę na wychowywanie cudzego dziecka.

– Uhm, uhm – pomrukuje Lena.

– Pamiętam, że kiedy przedstawiłam jej Ksawerego, oboje mieli dziwne miny. Potem

spotkała się z nim w tajemnicy przede mną i szantażem zmusiła go do przysięgi, że nigdy, przenigdy nie powie mi o Wiktorze ani o tym, co się wydarzyło w przeszłości. Pewnie wolałaby, żeby Ksawery na zawsze znikł z mojego życia, ale nie forsowała tego pomysłu. Gdyby się powiódł, unieszczęśliwiłaby i mnie, i Klarę. To z grubsza wszystko.

– Czyli bardzo zwykła historia o miłości i o tym, jak ludzie potrafią uprościć sobie życie – podsumowuje Lena i jakoś za szybko wypija wino z kieliszka, który przed chwilą napełniłam. – I pomyśleć, że gdyby nie to spotkanie dwóch taborów, ta jedna przypadkowa noc pod gwiazdzistym niebem, nie miałabym przyjaciółki.

– Każde życie jest kwestią tylko jednej nocy, a właściwie chwili. Twoje też. Gdyby twój ojciec spłodził cię dzień wcześniej, to już nie byłabyś ty. Tylko twój brat albo siostra.

– Przepadam za twoją logiką. Wnosi w to moje przypadkowe życie powiew świeżości. I pierwiastek romantyczny, bez którego moja praca nie miałaby sensu. Nie śmiej się, to szczerza prawda.

Wierzę jej.

– Szkoda, że tak późno mi o tym mówisz. Może ja też mogłabym skończyć medycynę i leczyć sobie ludzi, zamiast zajmować się głupstwami.

– Wiesz co, jak na to wszystko, co się u was działo, jesteś całkiem normalna.

Całkiem normalna? Pewnie, że tak. Nienormalny jest ten, kto wymyśla takie historie i obdarowuje nimi ludzi. Jacyś bazarze i bajarki, którzy nie potrafią trzymać w karchach swojej fantazji. Mojej bazarce w dodatku brakuje cierpliwości. Sama musiałam dojść do tego, że widokówki i bilety na samolot przysyłali mi bracia Ksawerego. A teraz wciąż zajmuje się moim życiem erotycznym. To mi akurat odpowiada. I wdzięczna jej jestem za Heliadora. Mogła mi przecież wybajać jakiegoś palanta.

- **[PÓŹNYM PARNYM POPOŁUDNIEM]**

Gapię się na pulpit Twojego muzealnego laptopa. Obok leży fotografia pani o jasnych, może rudych włosach i migdałowych oczach. Pani H. z Sopotu.

Na ekranie są tylko ikony wgrane z fabrycznym software'em. To znaczy, że nie używałeś komputera do pracy ani do zabawy. Wolałeś rozpisywać cykle treningowe flamastrem na brystolu. Nie znajdę na dysku nic o pani H., nowszego zdj smallęcia ani adresu pocztowego. Ale jest Outlook Express. Jeśli go otworzę, spłyną moje listy. Jeszcze moje?

Nie zdziwiłbym się, gdybyś je znał.

Jeśli nie otworzę Twojego Outlooka, stracę jedyną być może szansę na odszukanie pani H. Prawdopodobnie pisałeś do niej, a ona do Ciebie. Korzystałeś z poczty, dałeś mi swój adres. Kiedy to było? Na początku tysiąclecia, na Krakowskim Przedmieściu.

Otwieram. I wychodzę do kuchni. Lodówka. Kabanos. Korniszon. Kieliszek czystej. Jeszcze jeden korniszon. Robię okropną rzecz. Wstyd mi. Możliwe, że Twój los nie obchodzi pani H., nie odwiedziła Cię przez te pół roku, ani ona, ani to jej dorosłe już dziecko. Ale ona obchodzi Ciebie, bo zdj smallęcie z 1960 roku od tyłu lat stoi na Twoim biurku. A jeśli pani H. i stare dziecko (jak o nim mówić?) nie żyją?

Są. Co do jednego. „Cześć Wodzu, jest ciepły grudzień, niedługo święta. Sam pewnie wiesz, jeśli w Twojej głowie czas jeszcze płynie”. Nie czytam swoich listów, nie są już moje. Jadę wstecz. Masz pocztę od 2002 roku. Niedużo tego: albo utrzymywałeś ze światem bardzo sporadyczny kontakt, albo – w co nie chce mi się wierzyć – czyściłeś skrzynkę odbiorczą. Nazwiska, adresy, daty. I jeden nick, który się powtarza iks razy, do 2010. A potem już ani razu: hannah1959.

Zamknąłem komputer. Nie wiem, co robić. Może pobiegam, żeby odświeżyć umysł. Nie mogę czytać Twoich listów do Hannah, jej listów do Ciebie. H. jak Hannah. Najprawdopodobniej pani z Sopotu. Jeśli przestaliście pisać cztery lata temu, to nie ma żadnego powodu, żeby jej szukać.

A może jednak jest powód.

Chyba odpuszczę trening. Jestem markotny. Moja myśl wędruje w jednym kierunku. Jak zwykle od paru miesięcy.

Ćwiczę teraz dwa razy dziennie. Rano pływalnia, po południu rower albo bieg, albo jedno i drugie. Bez specjalnego planu; pewnie byłbyś na mnie wściekły. Trudno, to amatorski triathlon. Kieruję się instynktem. Muszę trenować właśnie tyle, bo uruchomiłem gospodarkę endorfinową. Kiedy robię sobie dłuższą przerwę, coś mnie parzy od środka. Wiesz lepiej ode mnie, na czym to polega.

Ale nie wiesz, na czym polega akurat u mnie. To oczywiście ma wiele wspólnego z Luną. Nie mogę uwolnić się od jej obrazu. A ponieważ jest to obraz erotyczny, moje endorfiny szaleją. Nie przeżywałem czegoś podobnego od bardzo dawna.

Noszę ją pod powiekami. Jestem fotoalbumem z tysiącem odbitek podpisanych „Luna”. I szafą grającą z tysiącem płyt, na których słyszeć jej głos. Luna wydmuchuje dym. Luna podnosi do ust makaronik. Luna pochyla się nad katalogiem z porcelaną. Takie zdj smallęcia też tam są i wszystkie działają tak samo. Ale mój erotikon nie szczędzi mi mocniejszych wrażeń. Luna wsuwa kolano między moje kolana, kiedy czekamy na taksówkę. Luna mówi: „wiesz, po co przyszedłam”. Luna zarzuca mi ramiona na szyję i ociera się o mnie biustem: „prawa jest wrażliwsza, a lewa weselsza”. Luna szepcze do mojej szyi: „Gdzie twój klarnećik?”. Luna mruczy: „Waż śliską piersią dotyka się ziola”. Luna dotyka mnie TAM: „Robiłeś to już, prowadząc auto?”. Luna patrzy na mnie w ten szczególny sposób: „Na pieska? Tak, teraz, po prostu to zróbmy”.

Kiedy Luna robi albo mówi coś podniecającego, zapamiętuję to natychmiast, jak szyfr do rozkoszy. „Wyobraź sobie, że po spektaklu przychodzę do twojej garderoby. Wciąż masz na

sobie kostium Denka, ośleję głowy. Wydobywam z jego bufiastych spodni – osioł w szarawarach – twoją fujarkę. I gram na niej Vivaldiego”. „Znaczy: robisz mi loda?” „Właśnie. Chciałabym. Ale mam wrażenie, że ktoś tym kieruje – co, gdzie, kiedy i jak – i może nie chce nam tego dać”.

Kto taki?

„Ktoś, kto uważa, że wie lepiej”.

Mam głowę pełną Luny. Wystarczy, że się w niej poruszy, szepnie „to ja”, zapachnie po swojemu – i mam tylko dwa wyjścia: jechać do niej albo wkładać dres i biec.

Pobiegnę. Zdążę, zanim zamknie antykwariat.

- **[PO SKAJPIE Z BENIAMINEM]**

Zdaje się, że jak człowiek naprodukuje zbyt wiele tajemnic, to przed śmiercią chce się od nich uwolnić, żeby już spokojnie stanąć przed obliczem bóstwa, w które wierzył. Zakładam, że piekła nie ma, a tym bardziej czyścica, który wydaje się jednym z najmniej udanych conceptów ludzkości. Obym się nie przeliczyła.

Beniamin też znalazł list – od ojca. Leżał sobie w Robinsonie, na biurku. Wieczorem połączyliśmy się na skajpie.

– Wciąż czytam ten list – powiedział ponuro.

– A ja list od Laury – powiedziałam wesoło, w nadziei, że przestanie traktować swoją historię z taką powagą.

– Posłuchaj: „Twoja matka Karmena była zjawiskową kobietą. Mężczyźni na jej widok kompletnie głupieli. I mnie też odebrało rozum. Ale dzięki temu mam Ciebie, wspaniałego syna”.

– No, no, kobieta bazyliszek. Kto na nią spojrział, przepadał. Ciekawe, ile serc złamała.

Śmiech Beniamina był wymuszony.

– Posłuchaj dalej: „Nigdy sobie nie wybaczę, że skrzywdziłem Laurę. Po kilku latach odważyłem się do niej napisać. Nie odpowiedziała. I słusznie. Nie ma powrotów. Trudno to zrozumieć, ale nigdy nie przestałem jej kochać. Karmena była snem, Laura życiem”. Napisał ten list przed wyjazdem do Warszawy.

– A teraz ty posłuchaj Laury: „Uciekli po cichaczku. Czy osobie, którą przestało się kochać, nie lepiej powiedzieć prawdę i po prostu odejść? Ale ja też byłam z prawdą na bakier. Wybaczysz mi?”

Następny fragment był zbyt intymny, żeby go zawierać Beniaminowi: Laura wyznaje, że

zrazu niańczyła mnie z niechęcią, przecież byłam córką „tej kobiety”. Potem, gdy moje granatowoczarne oczy jakimś cudem przybrały „kolor nieba”, lód w jej sercu zaczął pękać, a pierwszy uśmiech niemowlęcia roztopił go.

– Dom wariatów. – Beniamin westchnął. – Całe szczęście, że ojciec zdążył pożegnać się z Laurą. Jak ona się czuje?

– Dobrze. Zapłaciłeś mi za książki taką fortunę, że stać mnie na jakieś kosmiczne leki. Laura chyba wie, że Wiktor u niej był.

Miłość jednak przed niczym nie chroni.

– A ty masz kogoś?

– Tak, ale to luźny związek. Nie zwracamy sobie głowy żadną miłością, tylko...

Nie wiem, co powiedzieć. Nie analizuję tego, co nas łączy. Nie zastanawiam się nad tym, co czuję, ani nad tym, co czuje Heliodor. Może czasem, po przebudzeniu, kiedy jest daleko.

– Tylko?

– Tylko jest nam bardzo przyjemnie, lubimy się i świetnie się bawimy.

– Aha – bąknął Beniamin.

Wyraźnie chciałby jeszcze o coś spytać, ale szybko kończę rozmowę.

Świetnie się bawimy. I robimy sobie niespodzianki. Siedzę przy biurku z pochyloną głową, a kiedy Heliodor staje za mną, przechylam ją, żeby mógł mnie pocałować. Jego usta wędrują na mój kark, ręce na ramiona, potem na piersi. „O, wiedziałaś, że przyjdę”. „Uhm, ale na więcej ułatwień nie liczę”. Całuje mnie w szyję, dokładnie tam, gdzie na pewno mam jakiś punkt A, B albo C, i powoli podciąga do góry moją czerwoną sukienkę. Patrzy na moje kolana. Wiem, że patrzy. Odślania uda. A potem cicho wzdycha. „Niespodzianka – zapomniałam również o majtkach”. Patrzę w oczy Heliodora. Znam ten wzrok. Maszyneria poszła w ruch. „Zapraszam”, mówię. Ręka Heliodora kładzie się na pagórku, a opuszek palca rusza ku najwrażliwsiemu literom alfabetu. I wsuwa się między „cudownie wilgotne nawiasy” – tak to kiedyś nazwał? Chochlik już bryka.

Nie odrywając się od twoich ust, prowadzę cię tam, gdzie kochaliśmy się w pierwszą noc wiosny. Chodź, łóżko jest jeszcze ciepłe.

Świetnie się bawimy i robimy sobie niespodzianki.

- [RANIUTKO]

Jedziemy do Kalisza! Na festiwal, ze *Snem nocy letniej*. Cieszę się jak wariat.

Obudziłem się bladym świtem, pewnie z emocji. Pierwsza myśl jak zwykle: Luna. Kochaliśmy się dwa dni temu. Potem Luna spała jak dziecko, na brzuchu, i trzymała rękę na moim biodrze. Staralem się nie poruszyć i nasłuchiwałem, co mówi przez sen. A raczej pomrukuje: „a-tak... i-tak... i-tak-a... tak”. Nie spytałem, co jej się śniło, może *Odyseja*. Uśmiecham się na to wspomnienie.

A może zrobić jej niespodziankę? Będzie po śniadaniu, w szlafroku, przy kuchennym stole; w dłoni filiżanka z kawą, gołe kolana; kochałbym się z tobą na tym stole, ale nie, po co ta niewygodna, łóżko jest jeszcze ciepłe; zanim tam dojdziemy, twoje piersi wychyną prosto w moje dłonie; twój język będzie smakował lukrem, jadłaś rogaliki? w sekundę jesteś naga, skąd wiesz, że to takie przyjemne, kiedy gryziesz mnie w ucho, a jednocześnie mój huncwot wsuwa się w twoją garść i nie wiadomo, kto jest bardziej chciwy, ona czy on... nie przestawaj.

Nic z tego. Za chwilę wyjdiesz do antykwariatu. A ja mam na głowie „śledztwo”.

Muszę spisać swoje myśli, jedną po drugiej. Hannah. Kim pani jest? Jak panią znaleźć, bez czytania Waszych listów? Kim ona jest, Wodzu? Kim jest jej dorosłe już dziecko, mężczyzną czy kobietą? Gdzie mieszkacie, on lub ona i ty, dziewczyno z Sopotu, w Warszawie, gdzieś w Polsce, za granicą?

Dlaczego właściwie do tej pory nie pomyślałem o Twojej komórce? Na pewno znajdę tam Hannah. Gdzie jest Twoja komórka? Albo notes z numerami telefonów? Zapewne w depozycie szpitalnym.

Korespondencja mejlowa zaczęła się w 2002 roku. A wcześniej?

Olśnienia bywają bolesne. Stuknąłem ciężkim kubkiem o blat, gorąca yerba mate oparzyła mi rękę – zapiekło.

Na pewno masz w domu cały plik papierowych listów od Hannah, z imieniem, nazwiskiem i adresem nadawcy. Dzwonię.

– Leno? Muszę znów jechać do Bromdena. Pomożesz?

– Da się zrobić, nie oddałam jeszcze kluczy. Zostawię ci w portierni, jedź sam, ja mam urwanie głowy w szpitalu.

Twój bliźniak. W sąsiednich drzwiach kobieta w dresie i pantoflach z różowymi pomponami. Twarz wysmarowana czymś białym. Patrzy na mnie jak na złodzieja.

– Dzień dobry – mówię.

Już jej nie ma. Nie pogadamy sobie. Wchodzę do Twojego mieszkania.

– Cześć, Seneko. Trochę poszperam, nie przeszkadzaj sobie.

Nic nie znajduję. Są jakieś rachunki, najstarszy z 2002 roku. Umowa kupna domu – 2002. Faktury, gwarancje – 2002. Czyś Ty zaczął życie w 2002 roku? Gdzie byłeś przedtem, w więzieniu? Na Marsie?

Zdj smallęcia. Ty w otoczeniu nieznanymi mi osób, na jakimś przyjęciu, na obozie sportowym, na wycieczce. Nic nie wskazuje na to, że fotografie są starsze niż z 2002. Jakieś widokówki, ale żadnej od H. Najstarsza – z 2002. Jeden list, na dnie szuflady. Do Ciebie. Odwracam kopertę: „H.” i niebieskie, narysowane długopisem serduszko. Słodkie.

Wpatruję się w stempel pocztowy. Niewyraźny, ale domyślam się roku: 2002. Co się stało w 2002 roku, spadła jakaś kometa, słońce dostało nowych plam? Na znaczku wizerunek nieznanego mi damy i słowo: Nederland.

Siadam w zakurzonej foteli. Jeśli nie przeczytam listu, nie będę wiedział nic ponad to, że pani H. napisała do Ciebie z Holandii. Więc go przeczytam i chyba też inne listy w poczcie elektronicznej. Chowam kopertę do kieszeni, otworzę w domu. Nie chcę, Seneko, żebyś był świadkiem świętokradztwa.

Wychodzę. Za uchylonymi drzwiami sąsiadki widzę na wysokości twarzy coś białego.

Drogi mój,

nie masz pojęcia, jak uradował mnie Twój list, dotarł akurat w moje urodziny! Nie licz, nie licz – skończyłam 64 lata. Tak ten czas płynie. Malutka ma urodziny dzień po mnie (ale o tym przecież pamiętasz), więc przyjechała – już 43-latką! – z mężem i synami, z Amsterdamu do Nijmegen to jest jednak kawalek. Świętowaliśmy razem, oni, Ruud (wyjątkowo w domu) i ja. Piliśmy polską wódkę.

Poza tym? Nic specjalnego. Leje deszcz. Trochę się martwię Malutką, bo nie ma pracy, nie chce wracać do dziennikarstwa. Na szczęście ten jej mąż to czysty skarb. No i chłopcy chowają się dobrze.

Cieszę się, że zapomniałeś o zgliszczach i masz nowy dom. Może wreszcie zamieszka w nim jakaś kobieta?

Gdybyś sprawił sobie komputer, moglibyśmy korespondować mejlowo – wiesz, co to znaczy? Ten internet to prawdziwy cud.

Pozdrawiam Cię gorąco – H.

PS Wysłałam Ci tytuł na nowy adres.

Uff, więc tak: Hannah mieszka w Holandii, pewnie w Nijmegen. Coś się stało z Twoim poprzednim domem, dlatego nie ma jej śladów sprzed 2002 roku. „Zgliszcza” wskazują na to, że miałeś pożar.

W 2002 roku kupiłeś komputer – zrobiłeś to dla niej i dla siebie – stąd ośmioletnia

korespondencja. Dlaczego urwała się w 2010? Hannah miała wtedy siedemdziesiąt dwa lata.

Jakie miejsce zajmuje w Twoim życiu?

Zaparzyłem sobie herbatę. Zadzwoń do Cornellii, niech mi pomoże odnaleźć panią Hannah w Nijmegen. Nie, nie mogę. Wciąż nie zrobiłem nic w sprawie przynosin Cornellii do Polski.

Malutka jest córką Hannah, nie może być inaczej. Jeśli w 2002 roku skończyła czterdzieści trzy lata, to urodziła się – w pięćdziesiątym dziewiątym! Na zdj smallęciu z 1960 ma kilka miesięcy. Jeśli to ona.

Kim jest Ruud?

Dlaczego Hannah wyjechała do Nijmegen? Żydowska emigracja? Muszę przeczytać listy elektroniczne. Trudno.

Sięgnąłem po papierosa. Ale jeśli mam zrobić ten triatlon, to powinienem ograniczyć palenie. Zapalę za godzinkę. No, powiedzmy za pół.

Może jechałeś do Nijmegen. Może z jakiegoś powodu postanowiłeś odwiedzić kobietę, z którą byłeś w Sopocie w 1959 roku. Pięćdziesiąt parę lat temu. Nie, co za bzdura.

Na zdj smallęciu wiszącym w Twoim mieszkaniu jesteście w grubych kurtkach. Jaki to miesiąc? Zima? Co tam robiliście zimą? Co Was połączyło?

Jak znaleźć Hannah? Albo Malutką? Żeby dostać Twój telefon i notes, muszę prosić o pomoc Lenę. Tymczasem może wystarczyłaby książka telefoniczna Nijmegen. Przejrzę ją i wynotuję wszystkie abonentki o imieniu Hannah. A jeśli telefon jest nie na nią, tylko na jej męża? Na Ruuda? Ilu Ruudów mieszka w Nijmegen? Czy Ruud to jej mąż, czy zaprzyjaźniony sąsiad? Czy istnieją jeszcze książki telefoniczne?

Drobinki fusów po herbacie i żadnych odpowiedzi.

- [PO ŚNIADANIU]

Śniadanie w szlafroku. Kawa, rogalik, list Laury. Musiała go pisać przez kilka tygodni, może nawet miesięcy. Chwilami jest chaotyczny, nieporadny, jakby miała kłopot z układaniem zdań, to znów potoczysty, klarowny. Czytam go codziennie, od początku do końca albo tylko fragmenty. Byli pewni, że milcząc, chronią mnie, a potem nie umieli się już z tego milczenia wycofać. I nagle Laura odkrywa przede mną wszystkie tajemnice, również bardzo intymne. „Adriatyk jest cudowny. Ciało po kąpieli jest słone i pachnie morzem. Rozbiliśmy namiot na brzegu, żeby także w nocy słyszeć fale. I kochaliśmy się, rano, po południu, wieczorem. To wędrówka w głąb siebie albo wspinaaczka na słoneczny szczyt”.

Jestem jej wdzięczna za te słowa. Chyba zawsze nosiłam je w głowie. Może dlatego nie

„ułożyłam” sobie życia. Bałam się bylejakości. Że ktoś, zamiast pieścić moje ciało, będzie je profanował, będzie się domagał i żądał, a ja zamiast wędrować, wspinać się, fruwać, będę przemierzać spaloną, nagą równinę z pustym horyzontem. Heliodor, zanim wejdzie w mój sen, bierze mnie za rękę i całuje moje zamknięte powieki. Czeka, aż zamruczę i przytulę do piersi jego głowę. Uśmiecha się, szepcze, zostawia na mnie wilgotne pieczętki. I myśli nie o celu, ale zawsze tylko o drodze. Żeby wędrowanie było długie, pełne przygód. Heliodor się nie śpieszy. Pieści moje usta, górną wargę, dolną wargę, obie naraz. Aż się rozchylą i koniuszek mojego języka ruszy na spotkanie z koniuszkiem jego języka. Aż ruszę na spotkanie z posłańcem Heliodora. Nie znam nic równie delikatnego jak on. Nic na świecie nie jest tak czułe. Tak ciekawskie. Co tam jest? – pyta. Sprawdź. Tuli się do niej, zagląda i wchodzi. To, co zawsze. Rozkosz.

Heliodor pieści mnie i rozpieszcza. Ja też rozpieszczam Heliodora. Całym swoim ciałem. Które mówi „tak” i od tej chwili już się nie rozstajemy. Jesteśmy razem. Zatrzymujemy się, patrzymy sobie w oczy i ruszamy dalej. Albo i nie – czasem ogarnia nas lenistwo, wpleceni w siebie kochamy się słowami. Wtedy żadne nie brzmi neutralnie. Wymieniamy nazwy kolorów, owadów i potraw. „Salsiccia al finocchietto”, mówię, a on: „Gnocchi alla sorrentina”. Heliodor wie, że kiedy wspomni o śledziu, będę gotowa na wiele.

„Kiść soczystych winogron”, szepczę. Laseczka Heliodora dostaje amoku. Dorzucam „parmezan”, za którym Heliodor przepada, i nic już nie mówimy.

„I pamiętaj o Itace. Kochaj się w łóżku, pod gołym niebem, na plaży, na mchu, w namiocie, ale niech to zawsze będzie podróż. Podobno dobrymi radami piekło wybrukowane, a przecież dobra rada jest bezcenna”. Święta prawda, Lauro.

- [TRUDNY WIECZÓR]

Luno, chcę do ciebie. Słońce zaszło, za trudny dla mnie ten wieczór.

Kłębi mi się w głowie. Najważniejsze: nazwisko i adres Hannah. Albo Malutkiej.

Siedzę przed Twoim komputerem. Zaraz go otworzę; trudno, skoro przeczytałem papierowy list z Nijmegen, przeczytam i te elektroniczne. Nie, tylko jeden. Ostatni list z adresu hannah1959. W nadziei, że wyjaśni mi, dlaczego kilka lat temu przestaliście korespondować. Potem poproszę o pomoc Lenę.

Dzwonek telefonu. Moja córka.

– Tatku?

– Tak, kochanie. Co u ciebie?

– Świetnie. Mieszkam teraz w Szwecji. Jest piękna pogoda. Słońce tutaj zachodzi tak fioletowo.

– W Szwecji? Z kim mieszkasz w Szwecji? Z jakimś hokeistą?

– Oj. Nie lubię tych pytań.

– A przynajmniej jest dla ciebie dobry?

– Wszystko jest super.

– To dobrze. Cieszę się, że dzwonisz. Stęskniłaś się za ojcem?

– Dobrze jest tęsknić.

Chwila ciszy.

– Tatku?

– Tak.

– Przeczytałam prezent. Naprawdę. I pomyślałam o tobie.

– Że?

– Że chciałabym cię spytać: czy ty właściwie masz uregulowane życie uczuciowe? Wiesz, o co mi chodzi. Masz kogoś?

Próbowałam przełknąć ślinę.

– Jesteś tam? Nie umarłeś?

– Nie mam pewności.

– Nagle zaczęłam się o ciebie martwić. Nie jesteś już najmłodszy, no i w ogóle. Może zostałam ci tylko ja? Może powinnam...

– U mnie wszystko w porządku, córeczko. Nie martw się. Dbaj o siebie. A jeśli chodzi o mnie, wystarczy, że czasem zadzwonisz.

– Ty też byś mógł, nie?

– No mógłbym. Będę dzwonił.

– To jesteśmy umówieni.

– Uważaj na siebie. Na to fioletowe słońce.

Moja córka. Na pewno żyje ze szwedzkim hokeistą. Jak na to wpadła, że jej ojciec nie jest już najmłodszy? Nie umiałem powiedzieć jej o Lunie. Każda zdawkowa odpowiedź na pytanie

o moje obecne życie uczuciowe byłaby jakoś nieprawdziwa.

Córka. Facet potrafi oddać swoje ciało prawie każdej kobiecie. Ale duszę – bezapelacyjnie, bez reszty i bez wahania – tylko córce.

Sięgnąłem po zdj smallęcie jasnowłosej pani z berbeciem na rękę. Malutka. Dlaczego Malutka? Tak ją nazywaliście w listach, które spłonęły? Malutka była malutka w 1960 roku, na tej osmalonej fotografii, i taka już została? Dla Ciebie, dla Was? Jak wyglądała na innych zdj smallęciach?

Luno, chcę do ciebie. Czy jesteś pod prysznicem? Podglądam cię przez mokrą szybę. Podnosisz ramiona, wkładasz ręce we włosy – twoje piersi nigdy nie są tak wolne jak wtedy, gdy wkładasz ręce we włosy. I tak bezbronne. Chciałbym je podtrzymać. Odwracasz się przodem do mnie i widzę za szybą, na której strużki wody tworzą arabeski, dokładnie pośrodku ciebie, coś ciemnego. Mój mały cyklop rośnie i wybałusza oko. Gdybym był teraz przy tobie, otarłabym kroplę w tym oku, a on połaściłby się z wdzięcznością do mokrego brzuszka.

O tej porze na pewno nie jesteś pod prysznicem, a ja muszę wreszcie przeczytać ten list. Może po powrocie z festiwalu? Jutro nasz Szekspir w Kaliszu, cieszę się na to, chcę mieć wolną głowę – wolną i wyspaną. Ale przecież nie zasnę, jeśli nie przeczytam.

SMS – od Corneli. „Będę za 3 dni. Nie odbieraj mnie z lotniska. Siedź w domu i czekaj na telefon”. Znam ten ton, nie wróży nic dobrego. W dodatku nie jestem wobec niej w porządku.

Raz kozie śmierć. Twój laptop długo nie chce odpalić. Wychodzę na balkon. Papieros smakuje jak suchy chwast. Księżyc mi mówi: powinieneś rzucić.

Skrzynka odbiorcza, ostatni list – from: hannah1959@yahoo.com, Sent: October 09, 2010.

Drogi mój,

bardzo mi ciężko tak się z Tobą żegnać. Ale kiedyś trzeba. Lekarze uważają, że to potrwa jeszcze najwyżej miesiąc. Pogodziłam się z tym. I nie chcę o tym mówić.

Dziękuję Ci. Dotrzymałeś naszej umowy i nigdy mnie nie zawiodłeś. Mężczyzna kobiecie, człowiek człowiekowi nie może dać więcej. Nie chciałeś w zamian niczego. Wciąż pamiętam Twój głos, tamte łzy na dworcu. Obiecałam pisać i pisałam. Ale to tak niewiele.

Nigdy nie użyłeś wobec mnie żadnych bolesnych słów, a przecież mogłeś – wiem, jak kochasz Malutkę. Wiem, jakie trudne to było dla Ciebie, choćby wówczas, przed laty, gdy wysłałam ją do Polski. Nawet wtedy umiałeś zrobić dla mnie, dla nas, więcej niż wolno mi było oczekiwać – milczałeś. Jestem Ci za to wdzięczna.

Nie chcę tego tak zostawić. Wysyłam Ci zwykłą pocztą list do naszej córki, w którym wszystko jej wyjaśniam. Jeśli uznasz, kiedykolwiek, że chcesz, żeby wiedziała, pokaż go jej. Wiem, że dla Ruuda to będzie szok. Ale nikomu nie ufam tak jak Tobie: masz prawo zdecydować, czy

i kiedy nasza córka powinna poznać prawdę. Wraz z moim odejściem nasza umowa przestaje Cię wiązać.

Jej adres: van Dijk, Brederodestraat 46, 1054 VE Amsterdam.

Nie będę więcej pisać. I Ty już nie pisz.

Nigdy nie zapomniałam tamtego marca. I tamtej nocy.

Żegnaj – H.

Zatrzasnąłem klapę laptopa. Dziewczynko od magicznych kwadratów, jeśli to twoja sprawka, że wiem to, co wiem – to dzięki. Ale dziś nie rób już dla mnie nic więcej, proszę.

- [UPAŁ O ŚWICIE]

Halo, tu Denko, Ośła Głowa. Jesteś tam?

Tak, Spodeczku, właśnie idę pod prysznic.

Idę z tobą. Ale to trudne.

?

Bo jem pralinki, które dostałem po spektaklu.

I uciekłeś z bankietu. Tak?

Jasne. Nuda, woda itd. Wiesz, skąd się wzięła nazwa „pralinki”?

Od pralni.

Pudło. Szef kuchni na dworze Króla Słońce uhonorował tak marszałka Plessis-Praslin. Czyli idziesz pod prysznic.

☺

Jesteś naga? Bo ja tu siedzę na golasa. Straszny upał w Kaliszu.

Pralinki na golasa? Smaczne?

Twój łąkoć. Różowy środek. Dotykam go językiem.

O? I co?

Oblizuję.

I?

Rozpływa się w ustach.

Ej, co ty mi robisz?

Jest tu jeszcze jeden żarłok.

Który co?

Głodny.

Chodź, nakarmię go.

!

Przytulę się do twoich pleców, przylgniesz pupą do mojego mokrego brzuszka. Tak kiedyś powiedziałaś? Mokry brzuszek?

Chyba nie, mów dalej.

Zaczynam. I nie prosz, żeby przestała.

☀

Co to?

Palę się.

Jaki poręczny. Co mam zrobić z tym fantem, co go trzymam w ręku?

Co tylko chcesz.

A ty czego chcesz?

Dotknąć nim twojej cipki, otrzeć się o nią leciutko i trochę mocniej, i wsunąć się do środka, tak jak lubisz, i poczuć twoje ręce na tyłku, i usłyszeć głośne westchnienie. I jechać z tobą tam, gdzie byliśmy tyle razy i gdzie znów będziemy – pierwszy raz.

No to wracaj szybko. Zrobisz to w pewnym miejscu, gdzie kwitną rododendrony.

Tęsknię.

Też-też.

To jest sposób na rozłąkę? Listy miłosne. Jak by to było, gdybyśmy pisywali do siebie

z Luną – nie SMS-y, tylko listy na czerpanym papierze, błękitnym atramentem. Jak Valmont i markiza de Merteuil. Słowa na papierze ważą jednak inaczej niż te w telefonie, a nawet na ekranie komputera. Chyba że się je wydrukuje – będą cięższe, ale nadal pozbawione zalet odręczności.

Pisaliśmy na skajpie, bo nie wziąłem ze sobą ładowarki do telefonu ani słuchawek do laptopa. Litery Luny układały się w sznurki zdań; niektóre ścierała skrzętna gumka, a w ich miejsce pojawiały się inne, jak ziarna, z których wyrastają figury nęcące wyobraźnię. I niemal czułem ją przy sobie – czuliśmy, bo było nas dwóch w nocnym upale.

Nad ranem upał zelżał. Jestem zmęczony, ale nie mogę zasnąć. Więc czytam raz po raz: „zrobisz to w pewnym miejscu, gdzie kwitną rododendrony”. Luna na pewno wymyśliła coś fajnego. Czy przypadkiem rododendrony już nie przekwitły? Czuję się jak w bajce, w której kwitną przez cały rok.

- [CIEPŁY WIECZÓR]

Lena przed wyjazdem chyba z pięć razy przypominała mi o podlewaniu ogrodu. „Pamiętaj: rano lub wieczorem”. Zapewniałam, że potrafię zadbać o kwiaty, na próżno. Kiedy dziś znów zadzwoniła i jęknęła: „Pamiętaj o...”, przerwałam jej.

– Nie mogę rozmawiać, mam tłum w antykwariacie.

Był tylko pan Stefan, który odniósł książkę i zakotwiczył przy szafce z bronią. Puścił do mnie oko. Odwzajemniłam się uśmiechem.

– Tak, ale na wszelki wypadek przypomnę, że te kwiaty to moje dzieci. Rozumiesz?

– Nie.

– I czasem trzeba z nimi porozmawiać. No wiesz, powiedzieć im kilka czułych słów. Takich, jakie mówisz Heliodorowi albo on tobie.

– Zapewniam cię, że powiędłyby ze wstydu. Mówimy sobie straszne świństwa. To nas podnieca.

– No to lepiej milcz. Nie waż się odzywać do moich niewinnych azalii. Pędzę na lotnisko, pa.

Azalie – Lena woli tę nazwę – na pewno nie będą się nudzić pod jej nieobecność.

– Mam niewiele militariów – powiedziałam do pana Stefana, który nieobecny wzrokiem wpatrywał się w muszkiet intarsjowany masą perłową – ale znam parę adresów, gdzie znajdzie pan takie rzeczy.

– Dziękuję, chyba nie skorzystam. Teraz mogę sobie zbierać wszystko, ale przesła mi

ochota.

– Ochota na pewno wróci. – Niestety wiem, że jak kolekcjonerowi się odechce, to już na zawsze. – A książkę Gasseta chętnie panu podaruję.

– Nie, nie trzeba. Przeczytałem ją uważnie, wystarczy. Były w niej podkreślenia, bardzo mi pomogły.

Pan Stefan przegląda stare widokówki, a ja piszę list do Klary, która zapowiedziała swój przyjazd – a właściwie zapowiedziała, że go niedługo zapowie; widocznie też tęskni – i przysłała mi długą listę naszych „wspólnych” planów na ten krótki tydzień: „Chciałabym pojechać do Laury, spędzić wieczór z ciotką Leną, pochodzić po Łazienkach, odwiedzić kilka galerii, zrobić rundkę po księgarniach i pomyszkować w Twoim magazynie – mam nadzieję, że wciąż go nie posprzątałaś i że Horacy ma się dobrze”.

– Przepraszam, czy mogę pani zadać niedyskretne pytanie?

Pan Stefan stał teraz przy oknie i patrzył na ulicę. Jakież to niedyskretne pytanie chce mi zadać ten niemłody już pan o wyglądzie... No właśnie – o jakim wyglądzie? Nijakim?

– Tak, proszę.

– Czy pani przeżyła coś takiego? No wie pani, to, o czym jest w tej książce.

Gładziłam brązową okładkę, jakbym głaskała głowę samego autora. Domyśliłam się, o co chodzi panu Stefanowi. Zasługiwał na szczerłość.

– Ja to właśnie przeżywam.

– Tak myślałem. Tak właśnie myślałem – powiedział i szybko wyszedł, unosząc w nieznane jakąś dziarską refleksję.

A jednak jest jeszcze czwarta kategoria mężczyzn: ci, którzy sądzą, że nigdy za późno, by stać się donżuanem.

Lubię w ludziach to, że potrafią się zmieniać. Że ktoś, kto przez lata wygląda nijako, nagle przystojnieje, a w jego oczach pojawia się błysk. A kobiety, które nie zważając na swój podeszły wiek, umieją porzucić męża, imponują mi. Żona pana Stefana musiała być na niego nieźle wkurzona. Ale wróci, bo dobrze zna jego wady i zatęskni za nimi. I pozwoli mu zbierać broń, której on już nie chce zbierać.

Klara też się przeobraża: najwyraźniej przez ten tydzień ma zamiar być ze mną od rana do wieczora. Jak mogłam dawać jej do szkoły nieumyte jabłko?

- [NOC MIESZA SIĘ Z DNIEM]

Jestem wykończony. Tak musieli się czuć Szwedzi w Górach Świętokrzyskich latem, kiedy szli na Częstochowę. Zresztą nie wiem, czy to było latem. Ale nie mieli klimatyzacji, tak jak ja w swoim volvo, odkąd przestała działać. Ledwo postawiłem walizkę na podłodze i nalałem sobie drinka, wróciły dobrze mi znane myśli.

Malutka. Pani van Dijk, odnajdę panią. Hannah nie napisała Ci, Wodzu, numeru telefonu do niej. Nie miałeś go, nie zadzwoniłeś. Po prostu wysłałeś do pani van Dijk list jej matki? Nie, z pewnością chciałeś dać go córce do ręki. Pojechałeś do Amsterdamu na Brederodestraat 46. Może pani van Dijk nie było w domu. Usiadłeś w kafejce naprzeciwko kamienicy numer 46, wpatrywałeś się w bramę i w jakieś zdj smallę córki albo, jeśli go nie miałeś, w swoje wspomnienie sprzed lat, kiedy odwiedziła Cię w Polsce.

W końcu pani van Dijk nadeszła – to musisz być ty, pomyślałeś, zerwałeś się, kawa obryzgała ci spodnie, zostawiłeś kwiaty na krześle. I co powiedziałeś? Co ona powiedziała?

Czy gdybyście się wtedy spotkali, Wasz kontakt mógłby się urwać?

Zaglądam do Twojej skrzynki odbiorczej i przelatuję nieliczne adresy od 2010 roku: nie ma ani jednego ze słowem „dijk” ani z „nl” po kropce w adresie. Nie korespondowaliście, nie miałeś innego zamiaru Malutkiej oprócz tego w liście Hannah.

A może do Waszego spotkania nie doszło? „Wiem, że dla Ruuda to będzie szok”. Nie zrobiłeś tego, nie szukałeś kontaktu z córką z powodu Ruuda?

Nie mogę w to uwierzyć.

A jeśli Twoja córka nie wie o Tobie do dziś?

Muszę zdobyć telefon do pani van Dijk. Cornelia może pomóc. SMS: „Jeśli macie tam w Amst. książki tel. znajdź mi proszę nr stacj. do p. v. Dijk, Brederodestraat 46. Dzięki i do zob.”.

I muszę się dowiedzieć, dokąd jechałeś tamtego dnia, kiedy miałeś wypadek. Dzwonię do Leny i proszę, żeby skserowała mi spis Twoich rzeczy w szpitalnym depozycie.

– Słuchaj, tkwię na dyżurze, a za cztery godziny mam samolot. Sympozjum w Paryżu, dasz wiarę? Skseruję ci po powrocie, za kilka dni, dobrze?

Daję wiarę i mówię:

– Jasne. Gratuluję Paryża. Pokaż im, co potrafi polska neurologia.

Klapnąłem w fotelu. Dobrze, że Lena jedzie w świat. I że nie jest chirurgiem. Podobno chirurdzy mają w zaniku neurony lustrzane, odpowiedzialne za empatię – gdyby im nie zanikły, nie mogliby operować. Myśli mi meandrują. Zadzwoniłbym do Luny, ale o tej porze śpi, zapewne nago...

Szukam w pamięci jakichś śladów Hannah i panny van Dijk w Twoim życiu. Czy coś przegapiam? Nie, nigdy nie natknąłem się na żadną z nich. Nigdy nie byłem u Ciebie w domu, nie mogłem zobaczyć tej fotografii na Twoim biurku.

Zawsze byłeś sam. Ty i my, i trening. „Do wody, obiboki! Raz, raz! A ty, Heliodor, masz dokładać nogi na trzeciej setce, nie jesteś cholernym Australijczykiem. Jak się będziecie opieprzać, byle lamus złoł wam dupę”.

Miałeś coś jeszcze oprócz treningów z nami, coś, co wymagało dyskrecji. Dowiedziałem się o tym owego zimowego wieczoru, kiedy poprosiłeś, żebym został po zajęciach.

Wiedziałem, w jakim kraju żyję, ale nie bawiłem się w politykę. Nie szukałem jej, a ona nie znajdowała mnie. Byłem szybki i sprawny, i niewiele ponadto. Chciałem zostać aktorem – czy aktorzy nadają się na bezimiennych bohaterów? Czy można traktować ich poważnie, kiedy chodzi o naprawdę poważne sprawy? Skądinąd okazało się, że tak, ale na co dzień, w paczce niedoszłych komedianów i sportowców, głównie stroiliśmy sobie żarty. Ci, którzy robili coś poważnego, milczeli o tym.

Ode mnie nikt niczego nie chciał. Aż do tamtej naszej rozmowy w szatni. Powiem Ci to, czego nie powiedziałem wtedy, po wszystkim, co się stało: byłem bardzo dumny.

Mówiłeś krótko i treściwie.

– Mam prośbę, możesz powiedzieć „nie”. Trzeba przewieźć do Szczecina plecak. Ciężki, więc potrzebny jest silny chłopak. Ostatnio mieliśmy parę wpadek z tym wożeniem, a wozić trzeba. Mogą pilnować tego pociągu. Ale ciebie nie znają. To jak?

– Mogę o coś spytać?

– Jeśli będzie rewizja, któraś z naszych dziewczyn w porę da ci cynk i wywalisz plecak. Musisz zdążyć do drzwi, bo przez okno nie przejdzie. Jutro dostaniesz bilet w dwie strony na pojutrze. Ktoś ci dostarczy plecak na pół godziny przed odj smallazdem. Na dworcu w Szczecinie odbiorą go od ciebie. Pytaj.

– Dlaczego akurat ja, trenerze?

– Daj spokój. Nie „akurat” ty. Pojutrze ty, potem ktoś inny. Jest nas trochę. – Uśmiechnąłeś się jakoś inaczej niż zwykle. Nie znałem tego uśmiechu; był trochę gorzki. – No, wysusz głowę, bo mróz. I zmykaj.

Ta odpowiedź musiała mi wystarczyć, chociaż wtedy chyba chciałem usłyszeć inną. Potem przez długie miesiące przywracałeś mnie do sportu, do życia, i nie wróciliśmy już do tamtej rozmowy.

Kto wie o chłopakach z drużyny więcej niż trener? Pamiętam, jak nas obserwowałaś. Fakt, nie dokładałem nóg na trzeciej setce, bo byłem przemądrzalcem – ale przecież wiedziałeś: jak będzie trzeba, to dołożę. Może wydało Ci się, że jestem podobny do Ciebie? Widywałaś mnie

z Różą – czy patrząc na nas, myślałeś o sobie, dwudziestoparoletnim, i o dziewczynie, która wyjechała z Waszym dzieckiem, a Ty postawiłeś na biurku ich zdj smallęcie?

Róża też na swój sposób wyjechała, ale ja nie postawiłem na biurku jej zdj smallęcia. Czy postawiłbym, gdyby to ona, a nie moja ekszona, była matką mojej córki?

Dziwna myśl o dziewczynce od magicznych kwadratów: nagle wydaje mi się, że już ją widziałem, w innym życiu.

Myśli same wybierają sobie ścieżki, którymi biegają – pagórkami wspomnień, strumykami skojarzeń, w gęstwinie przeżyć. W którym właściwie życiu miałbym cię widzieć, mała czarownico?

Bardzo bym chciał, Wodzu, być podobny do Ciebie. Chyba nie jestem. I po prostu mam więcej szczęścia: w odróżnieniu od Ciebie, późno bo późno, dostałem w prezencie szansę. Nawet nie wiesz jaką.

- [TAM, GDZIE KWITNĄ RODODENDRONY]

Świeci słońce, kwitną rododendrony, białe wino ma właściwą temperaturę. Odstawiam kieliszek, odgarniam włosy z czoła Heliodora. I patrzę mu w oczy. Długo. I – mam nadzieję – wyzywająco. Uśmiecha się lekko i czuje mrowienie TAM. Wiem, wiem.

– Coś ci pokażę. Jesteś ciekaw?

– Tak. Ciekawość pierwszy stopień do raju.

– Będziesz wniebowzięty. Tak Anna Karenina całowała Aleksego Wrońskiego.

– Tak Wroński pieścił usta Kareniny.

Przesuwam kciukami po jego brwiach, od środka ku skroniom. Długo. To go uspokaja. Potem obcałowuję jego usta, wzdłuż i wszerz, i tak, i siak, na bakier i wprost. Grzecznie i sprośnie. Chodź! Nie, zostanemy pod gołym niebem. A jak spadnę z krzesła? Spadnę z tobą. Przyciąga mnie.

Nie. Dość tego.

Znowu ona. Podpowiada mi, co było, jak było. I kręci nosem na krzesło, że niewygodnie. Owszem, kochaliśmy się na krzesle, bo mieliśmy na to ochotę. Ale skoro wie lepiej, niech sama o tym pisze. Ja tymczasem zadzwonię do Heliodora i spytam, cośmy robili na tarasie, na którym znów się zapomniałam.

Mocno obejmuje Heliodora za szyję, drugą ręką rozpina mu szorty, a on – hop!

Jego palce przesuwają się po brzegach cipki – powoli, w górę i w dół. Mokra. Może

głębiej.

Luna odwraca się tyłem i siada mu na kolanach.

Heliodor całuje ją między łopatkami, leciutko i wilgotnie, i pociera różowe jagody.
Twarde.

Zanurza dłonie w kubelku z lodem. Wsuwa je pod jej pupę. A krasnolud już się wciska, nie do końca. Na razie.

Krasnolud?

Niech zostanie. Całkiem udany pomysł, jeśli mu się przyjrzeć.

„Na razie” trwa tylko chwilkę. Kiedy ona unosi się i wraca, raz i drugi, mocniej, czapka krasnoluda się zsuwa. Krasnolud musi iść dalej. Teraz już do końca.

No dobrze, opowiadajmy razem.

Niebo było nieruchome i blade od upału. Heliodor rzeczywiście zanurzył dłonie w kubelku i wsunął je pod moją pupę, ale wcześniej spacerowały od kolan w górę, tam i z powrotem. Nadchodziły i się oddalały. A kiedy usiadłam, to „na razie” trwało i trwało. Nie chwilkę.

I żaden krasnolud w czapce, żaden pinokio, żadna pałeczka – tylko zakochany po uszy fallus, który kamienieje od słów, od spojrzeń. Na zawołanie. Składa mi wizyty i zawsze przynosi kwiaty.

Gwoli ścisłości – nadchodziła burza. „Krasnolud musi iść dalej”, niech jej będzie, w nieboskiej ulewie. I znów coś było pierwszy raz.

- [NAZAJUTRZ]

Wyszedłem na spacer. Księżyc się dopełniał. Co porabiasz? Katalogujesz swoje papierośnice, szylkretowe grzebienie i starożytne przyciski do osuszania atramentu. A resztę wieczoru spędzisz przy oknie, patrząc w niebo. Nie będę ci przeszkadzał, nie teraz.

Pytasz, jak to było, kiedy się „zapomniałaś” wczoraj, na tym krześle? Całowałaś mnie w słońcu, a twoja dłoń mówiła i mówiła, i na koniec powiedziała: tędy. Było jak w bajce, którą ktoś pisze, wzięwszy nasze imiona z nieba. To chyba twoje słowa.

Ale po co przypominać sobie zapomnienie?

Spaliśmy potem na szerokim łóżku Leny i śniło mi się, że mówisz coś o centymetrach i czasie: jeden przez trzy chwile, dwa przez dwie. Pięć przez jedną, ale długą. A potem cała miarka aż do końca. W słoneczne dni o końcu obwieszcza twój cichy okrzyk, a w księżycowe

noce – długie westchnienie.

Rozmyślałam. Być może dziś, gdybym patrzył razem z tobą w księżyc, chciałbym ci opowiedzieć tamtą historię o ciężkim plecaku. Może tak:

Grafitowy plecak. Ledwo się zmieścił na półce. Patrzę na niego, potem za okno, gdzie ciągnie się mazowiecka, a może już wielkopolska równina, śnieg na pustych polach, czarny las, potem znów pustkowie i z rzadka chaty, chaty. I na starszego pana, który siedzi przy drzwiach, czyta książkę i porusza ustami. Co czyta? Pani po mojej lewej ręce, w nieokreślonym wieku, obiera jajko na twardo. Kilka skorupki spada na szarobury dywanik z napisem PKP. Ziąb, ogrzewanie nie działa.

Nie myślę o niczym. Jadę.

Pani otwiera brązową butelkę z bułgarskim sokiem. Chyba gruszkowym.

Starszy pan czyta *De Civitate Dei*. Nieźle. Otulam się kurtką.

Drzwi otwierają się z wizgiem.

Dziewczyna w niebieskiej ortalionowej kurtce. Jedna z tych twarzy, których się nie zapomina.

– Są. Spadaj.

Muszę zdążyć do drzwi. Kiedy wrywam plecak z półki, pan, który czyta Augustyna, podnosi na mnie bładniebieskie oczy.

– *Felix culpa* – mówi.

Telepię się na korytarz. Widzę ich w tylnym okienku. Są w sąsiednim wagonie, dwóch w mundurach i cywil, dziesięć, dwanaście metrów ode mnie. Mundurowi włożą do przedziału, ten w cywilu sprawdza dokumenty jakiemuś chłopakowi. Nie patrzy w moją stronę.

– Masz zajarać?

Dawno nikt nie spoglądał mi w oczy tak głęboko jak ten obdartus koło kibla. Twarz usiana krostami, mimika wygłodzonego. Wciskam mu paczkę wiarusów, w której są jeszcze cztery papierosy.

– Otwórz te drzwi, a potem zamknij za mną. Nic nie widziałeś, rozumiesz? No otwieraj!

Wiatr. Mignęła tablica z napisem „Szamotuły”.

Oglądałem to tylko w kinie. Trudno.

Jeszcze więcej wiatru, nic oprócz wiatru. Najpierw plecak. Teraz ja.

Już!

Uciekłem wam, kutasy!

A potem nic.

– Miałeś wywalić plecak, a nie skakać! Mogłem się tego spodziewać, kurwa mać.

– Co mi jest?

– Jesteś skończonym idiotą. A poza tym masz kość barkową w proszku. Nie wiem, co gorsze.

– A plecak?

– Dziewczyny znalazły. Ciebie i plecak, nie pofrunął daleko. W sumie masz więcej szczęścia niż rozumu. Gdybyś uderzył w ten kamień głową, a nie ramieniem, już byśmy nie pogadali.

No tak, pomyślałem, to byłoby szkoda.

– *Felix culpa.*

– Co?

– Nie, nic. Niech pan ucałuje te dziewczyny. Tę, co chodzi w niebieskiej kurtce.

– Sam je ucałujesz. Jest za co. Stękałeś tak, że słyhać było w całych Szamotułach. Gdyby cię szybko nie znalazły, stękałbyś na komendzie. Wkurzyłeś mnie.

Ruszyłem prawą ręką i niemal zawyłem z bólu. Czuję, że szklą mi się oczy.

– Dzięki, że pan przyszedł, trenerze.

Wydawało mi się czy i Tobie się zaszklily?

– Nie ostatni raz, zapewniam cię. – Poprawiłeś mi poduszkę. – Jeszcze będziesz miał mnie dosyć. Mistrzostwa są za osiem miesięcy. Musimy zdążyć z tą rozpieprzoną ręką.

W białym fartuchu wyglądałeś jak olbrzym, który nie mieści się w drzwiach. Z ręką na klamce odwróciłeś się.

– Dzielny z ciebie chłopak, Heliodor. Ojciec musi być z ciebie dumny. Ja jestem. Cześć.

Wyszedłeś. A ja się rozplakałem.

Nagle lunął deszcz, pobiegłem do domu. Usiadłem przed komputerem i bezwiednie (?) zacząłem przeglądać stare pliki: „Luna”, „Luna1”, „Luna2”... Urwane fragmenty, czasem pojedyncze zdania. „Jesteśmy w raju i przytulamy się do siebie. Nikt nas stąd nie wygna, bo to nasz raj”. Moje zdania czy podyktowane? „Luna10”: „Centaur pomaszerował z wolna wilgotnym brzegiem rzeki, zanurzał się w niej i wypływał, i czułem, że wszystkie twoje nimfy i nereidy tulą się do niego”. Mój Boże! Jak bardzo chciałem o tym opowiedzieć – samemu sobie. Zatrzymać to, w co nie mogłem uwierzyć. I jak bardzo nie umiałem. W końcu jestem aktorem, nie pisarzem. A jednak piszę. Niech ktoś mi powie, po co i dlaczego.

A ty? Piszesz dziennik? Nie zdziwiłbym się. Och, to byłoby wesołe, gdybyśmy tak kiedyś usiedli na leżakach, pod kanaryjskim słońcem (albo pod polskim kasztanowcem na wsi, z dala od świata), i poczytali sobie.

Sygnal SMS-a. Od Cornellii: MAM TYLKO JEDNO PROSTE PYTANIE: CZYŚ TY OSZALAŁ???!!!!

- [CIEPŁY ZMIERZCH]

Spaceruję z Laurą po ogrodzie i gadam jak najęta. Od czasu do czasu pochylam się nad nią i odgarniam siwe kosmyki z jej czoła. Jest zimne, mimo upału. Tak jak drobne, coraz drobniejsze dłonie z wypukłymi niebieskimi żyłami pod cienką, przezroczystą skórą. W ogóle cała Laura się kurczy. Powoli zaczyna przypominać lalkę. Może niektórzy ludzie nie umierają zwyczajnie, tylko z upływem czasu zanikają i w końcu znikają. Docieramy do rabaty z rododendronami. Zatrzymuję się, żeby Laura mogła na nie popatrzeć. Kojarzą mi się ze słonecznym tarasem, z cykaniem cykad, z letnią burzą. „Kiedy okryłam Heliodora sukienką i objęłam go za szyję – mówię – azalie dostały rumieńców. Zapadał zmierzch i wszystko: barwy, zapachy, dźwięki i smaki, połączyło się w jedno”. Jak to się nazywa? Wieczność? Pomyślę o tym przed snem.

„O ważnych rzeczach myśl przed snem”, radziła Laura. A ja skrzętnie gromadziłam mądrości z jej skarbnicy, które potem przekazywałam Klarze. Wierzyłam w nie. Do dziś rozmyślam przed zaśnięciem. Na przykład o tym, jak to jest, że wciąż dostaję od życia to, co najlepsze. Wolność, podróże, Klarę, Ksawerego, książki. Nawet Fausta, który teraz wpatruje się we mnie, jakbym była ósmym cudem świata. Nawet ten księżyc, który na coś był, na coś się przydał.

I tak sobie chodzę beztrąsko po świecie i wciąż coś mi spada z nieba.

Teraz Heliodor.

Mam wszystko, o czym, na swoją zgubę, marzyła pani Bovary. Wzniosłość, namiętność, rozkosze i tajemnice. Jak to się dzieje?

Jedna z najcenniejszych, a zarazem najmniej subtelnych rad Laury brzmiała: „Jak nie masz na coś wpływu, to postanów, że masz to w dupie”. Dupa – to było najwulgarniejsze słowo, jakiego używała. I widocznie często musiała uznawać swoją bezsilność, bo wciąż słyszałam: „E,

mam to w dupie”. „Mnie też?”, pytałam prowokacyjnie. Laura miała tam również moją matkę i moich facetów, pogodę, moje studia, głupich lekarzy, wszystkich polityków, kwiaty, które zwiędły, mycie owoców i wiele innych rzeczy.

Tymczasem Lena z sympozjum w Paryżu bombarduje mnie SMS-ami. „Jak moje kwiaty?” „Podlewasz?” „Co tam?” Milczę. W końcu grozi, że naśle na mnie swojego ogrodnika. Podziałało. „Są zachwycone. Nie nudzą się. Tęsknią za tobą”, zapewniam. A w myślach dodaję: i rumienią się ze wstydu. Na pewno powiedzą ci dlaczego.

- [GODZINA PO GODZINIE]

„Heliodorze, w załączniku lista, o którą prosiłeś. Bromden jest gotów do wypisu. Łóżko i inne sprzęty wypożyczy Ci fundacja, załatwimy to. Z pielęgniarką też nie będzie problemu. Pamiętaj o dokumencie potwierdzającym, że jesteś krewnym (może być Twoje świadectwo urodzenia). Pozdrawiam – Lena”.

Świadectwo urodzenia! A skąd ja wezmę takie świadectwo urodzenia. Szlag by trafił. Muszę Cię wykraść, Wodzu. Nie po to odnawiam Twoją chatę, maluję, przemeblowuję. Senekę zabrałem do siebie w pudełku od zapalek. Nie po to, żebyś został w szpitalu przez brak jakiegoś kwitu.

Kto mi może pomóc?

Nie denerwować się sprawami, których w danej chwili nie sposób rozwiązać. Poczekać na lepszą chwilę. Pomyśleć o czymś innym.

Ciekawe, co też Luna kombinuje. Kiedy wracaliśmy od Leny, liczyła na palcach i kręciła głową. „Mogę ci pomóc w tych rachunkach?” „Nie”. Wie, że jestem ciekawski, i bawi się tym. Potem widzi mój barani wzrok i zdobywa się na litościwe zdanie: „Coś sobie knuję. To ci musi wystarczyć”.

Udaję, że się nabumurszam. W teatrze to się nazywa „efekt obcości”: udaję tak nieumiejętnie, że publiczność widzi udawanie. Dostaję za to całusa w szyję i pstryczka w...

Ach, lista. Zobaczmy. Torba podróżna (zamknięta, nieuszkodzona). Kurtka sportowa. Rękawiczki. Termos (pęknięty). Latarka. Płyty kompaktowe (dziewięć). Mapa Europy. Plan Amsterdamu.

Nie ma notesu ani telefonu. Zwłaszcza brak komórki jest dziwny. Ktoś ją rąbnął z miejsca wypadku? Nie mogłeś mieć gadżetu, który skusiłby hienę do kradzieży, nie Ty. Telefon i notes zabrała policja? Mam tam pójść i – co powiedzieć? Jestem synem faceta, którego chciała zabić maszyna do wylewania asfaltu, i przyszedłem spytać, jakie są wyniki śledztwa. To świetnie, skoro pan do nas zajrzał, prosimy wziąć sobie jego notes i telefon komórkowy, bo nam już się nie przydadzą. Co do maszyny, to została aresztowana.

A może Ty w ogóle nie miałeś komórki? Nieprawdopodobne, ale jakoś w Twoim stylu.

Miałeś za to plan Amsterdamu!

Jechałeś do Holandii, w przeciwnym razie na co byłby Ci plan Amsterdamu. Ale po co jechałeś w grudniu do Holandii? Mogłeś mieć sto powodów. Ja znam tylko jeden. Chciałeś się spotkać z panią van Dijk. To mogło być najważniejsze spotkanie w Twoim życiu i właśnie podczas tej podróży rozwaliłeś sobie łeb.

Jak to możliwe, że pani van Dijk nie spróbowała Cię odnaleźć, dowiedzieć się, dlaczego nie dotarłeś do Amsterdamu? Jeśli wysłałeś jej list od Hannah. Jeśli nie, musiałeś mieć go ze sobą. Jest w torbie podróżnej? Powiniennem przejrzeć tę torbę, ale nie mam odwagi znów prosić Leny o pomoc.

Myśli jak małe ludziki wędrowały mi po głowie, przystawały na chwilę i ruszały w inną stronę. Paliłem i gapiłem się na Senekę, który spacerował pod sufitem. Jesteś jak ów Rzymianin: gnuśny spacerowicz z głową w chmurach. Tamten krzątał się wokół własnej kariery, a ty, Wielki Tkaczu? Krzątasz się, snując swoją nić. Tamten, Seneka Młodszy, samotnik jak ty. Filozof dobrego życia. Co to jest dobre życie, Seneko? Tak, wiem, ogród, złote drzewo, książka. I sięganie do gwiazd, prawda? *Non est ad astra...* Jak to było w *Herkulesie szalejącym*, tym twoim strasznym sztuczycdle, któreśmy próbowali na piątym roku? „Nie ma łatwej drogi z ziemi do gwiazd”. No właśnie.

A moja droga do gwiazd? Nie ma nic wspólnego z szaleństwem, którym mściwa Junona opętała Herkulesa. Jest szaleńcza *à rebours*. Może na tym polega szczęście? Oszaleć szaleństwem ze znakiem plus. Szaleństwo jest jak cholesterol, Seneko, złe albo dobre.

Od czego to zależy – dobre czy złe? Może od bogów i bogiń. Która z nich zesłała mi ciebie, Luno? Przyprowdziła mnie pod drzwi antykwiariatu, zapaliła latarnię i pokazała w szybie nas dwoje. Czcij ją – powiedziała – bo jest moim wcieleniem. Oszalej dla niej, ale bądź mądry, a ja będę czuwać nad twoim szaleństwem i zaznasz słodyczy. Daj jej trochę swojego światła, potrzebuje go. Ale nie oczekuj nic w zamian. Wszystko, co dostaniesz, jest darem. Pamiętaj o tym, a będziesz szczęśliwy.

I jestem.

Nic o tobie nie wiem. Nie znam planetoid, które krążą wokół ciebie, nie znam Laury ani pana Lazura, ani tak naprawdę Leny. Wiem tylko, że moja trajektoria jest najwspanialsza ze wszystkich: kiedy przywodzi mnie w krąg twojego światła, po prostu zeskakuję sobie z tej gwiazdnej drogi wprost do twojej jaskini.

Diano Efeska, to byłaś ty. Czuwaj nad moim szaleństwem. Nie odbieraj mi go, proszę.

Papieros oparzył mi palce. Wsadziłem je sobie do ust, kiedy drzwi otwarły się gwałtownie...

Zaczekaj. Heliodor jest tak pochłonięty życiem Wodza, że być może nie zajrzy w porę do skrzynki pocztowej. A wtedy nici z plaży. Luna już wszystko zaplanowała. Będzie czekać. Zrób coś.

Nie panikuj. Dopilnuję tego. Lubię zaplanowany seks.

Bardziej niż taki znieca? Jak w Ozyrysie?

Wtedy akurat wszystko zaplanowałem.

Ja też kiedyś stanę w twoich drzwiach bez zapowiedzi. A teraz plaża w Torre di Mezzo. Luna chce mu zrobić niespodziankę. Wrzuci do jego skrzynki list zatytułowany „instrukcja obsługi”: „Bądź o siódmej na plaży Torre di Mezzo, a potem idź na zachód”.

Znów będą pić wino i jeść winogrona? Kapać się nago? Może przewiń film do przodu.

Proszę bardzo. Więc tak: granatowe morze, wydmy, dalej sosny.

Mówisz chyba o Bałtyku?

Pardon, tak mi się powiedziało. Morze. Nad nim wielki biały księżyc.

Nie, niech się kochają w późnym słońcu.

Mhm. Zaczynij.

Repertuar Heliodora. Luna jest ciekawa, co wybierze na preludium. Zaskoczył ją.

A czym konkretnie?

Chciał, żeby skupiła się tylko na sobie. Wsłuchiwała się w jego język i swoje ciało. I radowała każdą małą niespodzianką. W ten sposób mężczyzna wielbi kobietę jak żadną inną pieszczotą.

Wiem. Jest totalna, dociera wszędzie, od stóp do głów. Kiedyś ci o tym opowiem. O talentach języka i kobiecej rozkoszy. Żeby skupiła się tylko na sobie, mówisz, ale to nie tak, nie całkiem tak. Ona nie musi się skupiać, wsłuchiwać w swoje ciało, jest jakby odcieleśniona. Teraz ty.

Aż pociągnęła go za włosy.

Chciała go poczuć. Głęboko. Chodź, powiedziała, chodź do mnie.

...i ugryzła w ucho!

Nie za dużo tej przemocy?

Jak ty. Już w Hawanie.

Przecież to lubisz.

Skąd wiesz?

Mówiłam ci coś do ucha. Puszek łaskotał mnie w usta. Nie mogłam się opanować.

To było takie... niespodziewane.

Hawana. Palileś cygaro. Tak śmiesznie, żeby mnie rozbawić.

Smakowało mi tamto cygaro. Dawałem ci pociągnąć, pamiętasz?

No pewnie. I byłam ciekawa, co dzieje się z tym drugim cygarem. Zerknęłam raz i drugi na twoje płócienne szorty.

I co?

Fajna zabawka, sama się nadmuchuje. Roześmiałam się i mocno cię pocałowałam. Twoje usta były gorzkie od tytoniu.

Pamiętam ten pocałunek. I twój wiersz.

Pierwszych pocałunków się nie zapomina, a ten był nasz pierwszy. Ale wracajmy do Torre di Mezzo. Przez ten upał kochają się tak leniwie.

Mijają sekundy. Cofnął się i znów wszedł. Tym razem grzecznie powiedział „dzień dobry”.

Zamruczała. Jej dłonie na jego plecach, nisko, są niecierpliwe: chodź do mnie. Oddycha mu prosto do ucha, gorąco. Idą, oni dwaj, w jednym kierunku. Nieśpiesznie, z coraz krótszymi przerwami, wtedy tuli go odrobinę mocniej.

Jej ciało dopełnia się, dąży. Jest mądrzejsze od niej i dzieje się poza słowami.

...teraz równo, głęboko, bez przystanków...

Jego zapiaszczone, napięte pośladki, przygarnia je. Przestała oddychać. A potem? Dlaczego niebyt jest taki rozkoszny? Powoli wraca. Obejmuje jego plecy i znów go przyciąga. Mocno. I mówi: zostań.

Nigdzie się nie wybierał. Tkwił w bezruchu. Odgarnęła wilgotny kosmyk znad jego oczu. Po chwili drgnął w niej. Jeszcze raz. Teraz tak? Tak.

Diabelski młyn *en miniature*. Nigdy nie wiesz, dokąd zajedziesz.

Aż zacisnęła łydki na jego biodrach i powiedziała...

Jest pełnia.

Tak. A on: palimbakchej.

Dlaczego akurat palimbakchej? Co to w ogóle jest?

Są słowa, które odpowiadają na pytanie, dlaczego życie warte jest życia.

Niech będzie, brzmi wesoło. Ale skąd mi się wziął ten Bałtyk? Może powinniśmy wysłać ich właśnie tam.

Ciekawe – z nami było podobnie: zamiast na Sycylię zwabiłaś mnie nad Balaton.

I też nie miałam pewności, czy przyjedziesz.

- **[GODZINA PO GODZINIE, CIĄG DALSZY]**

...i stanęła w nich Cornelia. Była bez okularów, w T-shircie z jakimś bohomazem i nowej, półdługiej fryzurze, która ją odmładzała. Widziałem, że jest zmęczona albo znękana. Usiadła ciężko na sofie, zapaliła cygaretkę i wpatrzyła się we mnie badawczo.

Wyjąłem palce z ust i bez słowa poszedłem zrobić jej drinka: czystą z plasterkiem cytryny i mnóstwem lodu.

– Na orzeźwienie. A teraz mów.

– Nie. Ty mów. Najpierw: co z twoim podopiecznym? Z Wodzem.

– Dobrze. To znaczy w miarę. Mogę odebrać go ze szpitala. Tylko nie mam papierka. Dlaczego pytasz o Wodza?

Napiła się wódki.

– Jakiego papierka?

– Jakiegokolwiek. Potwierdzającego nasze pokrewieństwo. Takie mają przepisy.

– Wasze pokrewieństwo? – Spojrzała na mnie uważnie.

– No tak. Choćby było zmyślone.

Odetchnęła głęboko.

– A dlaczego przysłałaś mi tego idiotycznego SMS-a z pytaniem o telefon do niejakiej van Dijk?

– Idiotycznego? No dobrze, wyjaśnię ci: chyba odnalazłem córkę Wodza. Mieszka

w Holandii i nazywa się van Dijk. Wychowywała ją matka i zapewne ojczym, niejaki Ruud. Nie znam nazwiska.

Cornelia cisnęła mi złe spojrzenie i dopiła wódkę.

– Nalej jeszcze. I powiedz, skąd o tym wiesz.

– Znalazłem zdj smallęcie, ale... To skomplikowane. Musiałem sprawdzić, czy Wódz ma jakąś rodzinę. W jego laptopie jest korespondencja z panią o imieniu Hannah, przez „h” na końcu. Nie czytałem tych listów, a jednak... Słuchaj, dlaczego ty mnie o to wypytujesz?

Cornelia wstała i zaczęła się przechadzać. Ognik jej cygaretki zataczał w półmroku czerwone kręgi, jakby chciał odfrunąć i coś mi podpalić w mieszkaniu. Wreszcie powiedziała:

– Nie Hannah, tylko Hanna. Z domu nieważne jak. Po mężu Hoogen. Żona Ruuda van Hoogena. Adres mejlowy: hannah1959@yahoo.com. Moja matka.

Usiadłem.

– Mama umarła na raka w 2010 roku. Ojciec ubiegłej jesieni. Nie wspomniałam ci o tym? On nie był postacią anonimową. Komponował muzykę kameralną. Na pewno tu też o nim pisali.

– No tak – skłamałem, bo nie miałem pojęcia, czy ktokolwiek w Polsce odnotował śmierć Ruuda Hoogena. Ale przypomniałem sobie, że Cornelia powiedziała wtedy zimą: „umarł mi tata”.

– Jakiś tydzień po pogrzebie na mój adres przy Brederodestraat 46, gdzie wtedy już nie mieszkałam, przyszło to. – Sięgnęła do torebki i wyjęła białą kopertę.

– Jak to: Brederode...?

– Tak to. Mogłeś nie znać tego adresu. Ale sądziłam, że wiesz, jak się nazywam.

– Cornelia Hoogen.

– Z domu. Po mężu van Dijk.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Moje spojrzenie musiało przypominać wzrok krewetki, bo Cornelia jakby się uśmiechnęła. Joep van Dijk. Musiałem słyszeć. Wtedy, trzydzieści lat temu, kiedy po nią przyjechał. Po Kolendrę. Kiedy była tu i pływała w naszej drużynie, nie wiedząc, że przezwisko Kolendra wymyślił dla niej, dla swojej Malutkiej, rodzony ojciec.

– Gdy odwiedziłam cię w zimie, miałam w głowie rozwód z Joepem i pytanie, co dalej z moim życiem. O śmierci taty nie bardzo chciałam mówić, nawet z tobą. Ruud Hoogen był dobrym ojcem.

– Niedługo przed twoim przyjazdem – wstałem i też się zacząłem przechadzać – twój

drugi ojciec, jeśli tak mogę powiedzieć, wsiadł do samochodu i ruszył w drogę do Holandii. Najpewniej po to, żeby się z tobą zobaczyć. Zatrzymała go ta cholerna maszyna.

– Nie wiedziałam o tym.

Ręce Cornellii wpadły w dygot, a czerwony ognik drżał niebezpiecznie nad moim obrusem.

– No czytaj.

– Na pewno?

– Czytaj!

Cornelio, Najdroższa Córeczko!

Nie wiem, kiedy dostaniesz ten list ani czy w ogóle go dostaniesz. To zależy od kogoś, komu go przekazuję. Jeśli ten mężczyzna zechce się z Tobą spotkać, proszę Cię, bądź dla niego dobra. To nadzwyczajny człowiek, który zrobił coś niezwykłego.

Twój biologiczny ojciec.

Stało się, co się stało. Miałas – masz – chyba dobre życie dzięki tacie i mnie. Ale najpierw było moje spotkanie z nim. Daruję sobie szczegóły, może on Ci je wyjawia. Kochał nas przez pół wieku – na odległość, bo tego od niego zażądałam. Teraz dałam mu prawo do prawdy. Nie musiałam dawać, ponieważ je ma.

Wiem, że nie zechce skrzywdzić taty ani Ciebie. Cieszę się, że go poznasz. Żałuję, że nie będzie mnie przy tym.

Wybacz mi.

Kocham Cię – mama.

– Jeszcze to. – Cornelia podała mi drugą kartkę, wyjętą z większej koperty.

Droga Cornelio,

kiedy przeczytasz list od swojej Mamy, który załączam, zrozumiesz, kim jestem. Pomyślałem, że może teraz mógłbym Cię naprawdę poznać. Odezwij się, proszę, jeśli też tak myślisz. Chętnie przyjadę do Holandii, na przykład na początku grudnia.

Dowiedziałem się z prasy o śmierci pana Ruuda Hoogena, Twojego ojca, i składam Ci wyrazy wielkiego współczucia.

Twój inny ojciec

(Może to głupio brzmi, ale nie wiem, jak się podpisać. Moje nazwisko i adres są na kopercie).

– Nie rozumiem. Dlaczego nie szukałaś kontaktu z nim? Na tej kopercie zobaczyłaś przecież znane ci nazwisko.

Cornelia zakrztusiła się dymem.

– Nie wiedziałaś, że do ciebie jechał?

– Przecież mówię, że nie. Nie znałam tych listów. Wyprowadziłam się od Joepa w listopadzie. Nie mogłam tam dłużej mieszkać. Zostałam mu mieszkanie, a on kupił mi inne. – Znów zaczęła spacerować. – Nie przekazywał mi korespondencji. Sukinsyn. Zresztą nie sądziłam, że mogą być do mnie ważne listy, poza urzędowymi. Kto niby miał do mnie pisać zwykłe listy? Byłam bezrobotna, nikomu niepotrzebna. Przyszła zima i postanowiłam jechać do Polski.

Wpatrywałam się w litery, takie same jak te na brystolu z planem treningów, tylko mniejsze i trochę drżące.

– Jakies dwa tygodnie temu syn przyniósł mi listy z domu swojego ojca, czyli Joepa. Nie wyrzucał ich, pewnie z lenistwa, leżały na stosie makulatury. Może po prostu miał to w dupie, jego nowa flama, jakaś pieprzona studentka, również. Kiedy tylko przeczytałam ten list, a właściwie dwa, napisałam ci, że przyjeżdżam.

– To znaczy jechał wtedy do Holandii, nie wiedząc, czy chcesz go widzieć. Musiał być przerażony. Nie miał twojego telefonu. Ale nie chciał odpuścić, czekał za długo, całe życie. Jechał za szybko.

Cornelia stanęła jak wryta.

– Mówisz: zderzył się z jakąś maszyną?

– Tak. Z maszyną do wylewania asfaltu.

– Ale... dlaczego?

Podszedłem do niej i objąłem ją.

– Nie wiem, Cornelio. Przeznaczenie.

– Pierdolę przeznaczenie, rozumiesz?

Chciałem powiedzieć, że akurat to bym jej odradzał, ale odepchnęła mnie lekko i machnęła ręką tak, że czerwony ognek oderwał się od cygaretki i szerokim łukiem sfrunął na list Hanny Hoogen, który leżał na stole. Biała kartka natychmiast zaczęła żółknąć i czerwienieć od brzegu.

To były tylko dwa, trzy metry. Nigdy nie leciałem w powietrzu tak długo. Albo leciałem bardzo dawno. Na slapstickowych komediach taki lot trwa z siedem sekund i jest śmiechu wart. Ale mnie nie było do śmiechu. Spadłem całym ciałem na ten stolik, łamiąc go wpół. Pod brzuchem miałem coś ciepłego, co stygło z każdą sekundą.

Jedynе papierowe świadectwo, że nie jesteś sam na tym świecie, Wodzu. Prawdziwe świadectwo urodzenia.

- **[8 SIERPNIA]**

Dziesiąty sierpnia to świetny powód, żeby znów wybrać się nad morze. A przy okazji sprawić Heliodorowi niespodziankę. Wierzę w gusa i lubię gry o zwariowanych regułach – jeśli zajrzy do skrzynki pocztowej, dostanie piękny prezent. Jeśli nie...

W skrzynce Heliodora leżą bilet na pociąg i list z instrukcją obsługi.

„Heliodorze, mam dla Ciebie prezent, właściwie dopiero będę miała. Jaki? O tym dowiesz się 10 sierpnia wieczorem. Masz tu bilet na pociąg do Słupska. Dotrzesz tam po południu. Zwiedź sobie miasto, a o siódmej pojedź do Ustki i wzdłuż plaży idź na wschód. Po prostu idź przed siebie. Luna”.

- **[10 SIERPNIA, HELIODOR ŚPI]**

Kiedy dotarłam na miejsce, było już ciemno. Księżyc cały czas się dopełniał i zbliżał do kuli ziemskiej. Podobno moja matka została poczęta w noc, kiedy na niebie jaśniał superksiężyc. Ale możliwe, że wymyśliłam to sobie, żeby ubarwić historię rodzinną. Długo stałam pod drzwiami domu, w którym kiedyś, wiele razy, wynajmowałam pokój. Zapukałam. Drzwi się uchylły, po czym otworzyły na oścież.

– Niemożliwe. Lusiał! To naprawdę ty – powiedziała pani Amelia i mnie przytuliła.

Chryste, pomyślałam, są ludzie, którzy tak cudownie potrafią się cieszyć ze spotkania z kimś, kto na wiele lat znikł z ich życia. Jej oczy się postarzały, ale są uśmiechnięte jak dawniej. Pod naszymi nogami płacze się czarny kundelek.

– Czy to Sabinka?

– Nie, skądże, jej córka Katinka. Wejdz. Nic się nie zmieniłaś. Pięknie wyglądasz. Tak jakoś świetliście.

– To pewnie przez księżyc. Zbliża się pełnia w perygeum.

– Nie minął ci ten bzik?

A potem pani Amelia nakarmiła mnie, ululała domową nalewką z wiśni i dała łóżko z pachnącą pościelą, która suszyła się na wietrze i słońcu. Wychodząc z pokoju, powiedziała:

– Dużo o tobie myślałam. Czułam, że wrócisz.

Nazajutrz przed zachodem słońca ruszam przez las w stronę morza. W plecaku niosę miękki zielony pled, butelkę szampana, dwa kryształowe kieliszki, winogrona, kawałek sera z miejscowego sklepiku. I kubańskie cygaro. „Jak pojawi się w twoim życiu prawdziwy facet, kup mu czasem cygaro” – oczywiście Laura. Idę przez ciemny las. Z zarośli dobiegają szelesty, ale się nie boję, bo słycać już jednostajny szum morza. Za kwadrans wyjdę na pustą szeroką plażę. Uwielbiam to – kiedy jest się gdzieś, a po chwili wszędzie. Usiądę pod skarpą, tam, skąd kiedyś godzinami wpatrywałam się w horyzont albo w księżyc. Najpierw sama, a potem z małą Klarą. Obie umiałyśmy milczeć. Rozkładam pled, butelkę szampana zakopuję w chłodnym piasku. Czekam. Po półgodzinie w oddali pojawia się mała postać, która wzdłuż brzegu idzie w moją stronę. Słońce za plecami Heliodora niedługo dotknie powierzchni wody. Obserwuję go przez okulary przeciwsłoneczne. Kiedy jest już naprzeciwko, pięćdziesiąt metrów ode mnie, zatrzymuje się i zaczyna rozglądać. Rusza w górę plaży. Po minucie siada obok mnie i zanurza twarz w moich włosach.

– Jestem.

– Mam dla ciebie prezent.

– Co takiego?

– Pokażę ci, kiedy zajdzie słońce.

Pijemy szampana. Niebo na zachodzie przybiera barwę szafranu. Brzegiem morza biegnie dziewczynka. Uśmiecha się do nas. Heliodor macha do niej.

– Mam coś dla ciebie. – Sięga do kieszeni: na jego dłoni leżą trzy małe bursztyny.

Całuję go w ucho, w policzek, potem w usta. Jest nam lekko. Cały świat jest lekki. I niczego od nas nie chce.

– A teraz odwróć się, twój prezent jest już na niebie.

Nad lasem zawisł superksiężyc. Ogromny i bardzo jasny. Wpatrujemy się w niego.

– Znajduje się trzysta pięćdziesiąt siedem tysięcy kilometrów od nas.

– Bardzo blisko.

– Tam jest Morze Spokoju.

– I Bagno Zgnilizny.

Odechciewa się nam zadumy nad światem, a zachciewa naszych ciał.

– Chodźmy do wody. Jest ciepła.

Heliodor nurkuje i opływa mnie wokoło. Nad horyzontem powoli gasną resztki różowopomarańczowego światła.

– Kocham księżyc – mówię, kiedy Heliodor wyciera mi plecy. – Teraz ja tu rządę. Bo twoje słońce już zaszło.

– Podarowałaś mi go.

– No i co?

– To.

Jak opisać najzwyczajniejszy w świecie seks. Ciepłą sierpniową nocą, która pachnie sosnami i morzem. Wszystko dzieje się samo, jakby bez naszego udziału. Ktoś nas zaczarował. Jesteśmy czymś marzeniem. Ktoś daje nam rozkosz i czerpie z nas rozkosz. Wciąż nie wiem, kim jesteś, ale wiem, że mnie słyszysz. Kiedy przestaniesz mnie opowiadać, będę żyć dalej, tak jak chcę, i nadal będę kochać się z Heliodorem, który teraz zapali sobie kubańskie cygaro.

A Heliodor będzie się kochał ze mną.

jesień

„A Heliodor będzie kochał się ze mną”. Podoba mi się ten czas przyszły.

Eros wyziera poza brzeg książki. Albo raczej odbija od brzegu.

W nieznane.

- 20 GRUDNIA

Drogi Maksie, wybacz, nie odebrałam telefonu, bo pędziłam na lotnisko. Z Hawany trudno się wydostać. Taksówka nie przyjechała. Mam nadzieję, że nie naraziłam Cię na rozterki. Ze mną wszystko w porządku. Szkoda, że nie mieliśmy więcej czasu dla siebie. Naprawdę chcemy napisać razem powieść? Erotyczną? Mnie się ten pomysł podoba – mam dość bycia naocznym świadkiem, reporterskich migawek, zdań pisanych naprędce. Chciałabym wreszcie opowiedzieć o czymś nieśpiesznie. Całuję, Karen

- 20 GRUDNIA

Kochana Karen, wspaniale, że się odezwałaś. Po takich wzruszeniach to powinien być poranek z jajecznicą, a nie szminka na lustrze: „gnam na lotnisko, pa, K.”. Patrzyłem na tę karminową inskrypcję (nie starłem jej, jakby miała tam zostać na wieki) i nie byłem pewien, czy pognałaś bez szwanku lub deranżu w sercu. Albo w głowie.

Twój naczelny chyba miał rację, że Cię odwołał z Hawany, choć wolałbym, żebyś tu została i żebyśmy razem robili materiał o zmianie władzy na Kubie. Trudno, skoro Fidel nie ma zamiaru umierać, postanowiłem wrócić na święta do Polski. Ale nasza biesiada w cygarowym dymie zainspirowała mnie do zrobienia reportażu o manufakturze w Pinar del Río – wiesz, że to nieprawda, jakoby kobiety rolowały liście na gołych udach?

Powiesz: co za głupstwo. Ale chyba tego mi właśnie potrzeba. Może to starość? Tak zaczynałem jako reporter: od wiary w zadanie demitologizacji świata. Teraz myślę, że z mitologiami nie ma co walczyć. A zarazem: może te kobiety chciałyby spotkać kogoś, kto ich wysłucha? Więc sprawdzę; pojadę tam i trochę się rozejrzę.

Całuję Cię, Max

PS Tamten pomysł z powieścią erotyczną – cieszę się, że Ty też o nim nie zapomniałaś.

Przypadkiem rozlała kawę w hotelowym lobby, pomyślał, że chce zwrócić jego uwagę, pomyślał bez sensu, mogła przecież zwyczajnie do niego zagadać, ale chciał tak pomyśleć, może chciał dodać sobie odwagi, i podszedł do niej, to jest kobieta, z którą mam się ochotę przespać, miałem ochotę już wtedy, gdyśmy się wymykali na śledzia w Warszawie, ale wtedy byłem jakiś onieśmielony, więc teraz, teraz albo nie wiadomo kiedy, bo przecież nie teraz albo nigdy, przecież kiedyś tak, bo dlaczego nie, jeśli ona uważa, że moglibyśmy napisać książkę erotyczną, to złączmy ją pisać natychmiast. Na Kubie powtórzyła to zdanie. Zabrzmiało mu inaczej niż w Warszawie. Jakby mniej żartobliwie.

Przysiedli w pobliskiej knajpie. Było ciemno, w powietrzu unosił się dym z cygar, pili rum, a podstarzali kubańscy chłopcy śpiewali *Chan Chan*, no wiesz, *De Alto cedro voy para Macané*. Wtedy pierwszy raz się całowali. I powiem ci, że to było takie, po prostu boskie.

Potem poszli do jego pokoju.

I kochali się na hawańskim krześle.

Nie, w hawańskim łóżku.

Tyle rzeczy pamiętamy inaczej. Nawet Hawanę.

- **20 GRUDNIA**

Max, króciutko: fajnie, że zrobisz reportaż o cygarach, obfotografuj te śliczne kobiety. I co to znaczy, że nie zapomniałam o pomyśle na książkę? Od wczoraj? Ja tu mam pełne ręce roboty. Odzywaj się, całuję – K.

- **20/21 GRUDNIA, NOC**

Karen, bardzo się cieszę, że odpisałaś natychmiast. Masz ręce pełne roboty, a ja – siedzę na balkonie, patrzę na *solares* po drugiej stronie ulicy, przysypiam. W głowie tasują mi się obrazy z przedwczoraj, dźwięki *Chan Chan*, pijany rejs do mojego pokoju, trzeszczące krzesło, łóżko... I inne: Twój ciemny głos, kiedy rozmawialiśmy w centrum kongresowym w Warszawie. Jak pani ma na imię? Zwyczajnie: Karen, a pan? Zwyczajnie: Max. Naprawdę pan tu mieszka? Amerykanin w Paryżu, a Niemiec w Warszawie. Pani jest Węgierką? Trudno powiedzieć. Chodźmy stąd, mam ochotę na polskiego śledzia. Chciałem Cię zaprosić wtedy do siebie, ale zabrakło mi odwagi. I Twoje słowa na odchodnym: fajnie się z tobą flirtuje. Moglibyśmy napisać razem powieść erotyczną. Kiedyśmy wczoraj o tym napomknęli, pomyślałem, że to jest zdanie obietnica.

Chciałbym, żebyś tu była. Ten balkon jest nawet przyjemny, ale wolałbym nie siedzieć tu teraz sam. Mam ochotę na coś całkiem innego. Całuję – Max.

PS Co powiesz na powieść w listach? Ona i on, ludzie w naszym wieku, którym przytrafia się niesłychana historia miłosna. Dzieje się w Polsce, oboje znamy ten kraj, więc gdzieżby indziej? I dobrze się skończy!

Aha, mówiłaś, że to nasze drugie spotkanie. Ale było jeszcze lotnisko w Monachium: zobaczyliśmy się w tłumie, z daleka, pomachałem do Ciebie zza barierki, a Ty pstryknęłaś mi zdj smallęcie. Dobrze wyszło, masz je? Też chciałbym mieć Twoje.

- **21 GRUDNIA**

Kochany Maksie, jasne, że pamiętam Warszawę i tę ponurą knajpę. Cały czas pilnowałeś mojej praktyki, którą mam do dzisiaj. Liczyłam na to, że zaprosisz mnie do siebie. A mnie zabrakło odwagi, żeby się wprosić. Szczerze mówiąc, zwyciężył rozsądek: w nocy musiałam

wysłać korespondencję.

Zdj smallęcie z Monachium było niedoświetlone.

Ona i on – ona jest moja, a on Twój, tak? No więc ona może być nieaktywną i niespełnioną aktorką, dziennikarką, lekarką albo antykwariuszką. W każdym razie jest raczej wykształcona humanistycznie, bo skąd ja wezmę język urzędniczeki albo ekspedientki? To neurotyczka, ale w stopniu średnim. Dość egzaltowana, ale zdaje sobie z tego sprawę. Egzaltacja pomaga jej w zachowaniu dystansu do świata.

Wyjaśnij mi jeszcze pomysł na powieść w listach. Mają pisać do siebie? Erotycznie? Opowiedz mi o tym. Pa, K.

Dlaczego właściwie nie poszli wtedy, w Warszawie, do łóżka?

Za bardzo ich do siebie ciągnęło. Bali się, że zaczną tęsknić, mieć wobec siebie oczekiwania. To chyba ty kiedyś powiedziałaś, że dopóki nikt niczego od ciebie nie oczekuje, masz wolność.

Rzeczywiście tak uważam. A to zdj smallęcie... Czy on jest sentymentalny?

Wtedy, po Hawanie, sam nie wiedział, co mu jest. Tyle rzeczy miało się dopiero zdarzyć – pierwszy raz.

- **21 GRUDNIA**

Dobrze, Karen, spróbuję opowiedzieć, co mi chodzi po głowie: ona i on, powiedzmy M (mężczyzna) i K (kobieta), piszą listy, ale nie do siebie nawzajem. Ona opisuje swoją historię komuś – sama musisz wymyślić komu i powody, dla których pisze. Ja jeszcze nie wiem, do kogo i dlaczego pisze M., to chyba musi mieć jakiś związek z przeszłością, ale jaki? I dlaczego oboje piszą listy, na które nie dostają odpowiedzi? Bo chyba nie dostają? Czy w ogóle takie listy to dobry pomysł? W każdym razie chodziłoby o to, żeby obie opowieści dotyczyły tych samych zdarzeń, ale różniły się perspektywą – mężczyźni i kobiety opowiadają o tym samym całkiem inaczej, prawda? A jak by się to miało skończyć – oprócz tego, że wesoło, bajkowo albo jakoś tak jak w czeskich filmach? I od czego zacząć? Pojęcia nie mam.

PS Wróciłam z Pinar del Río z niczym, miałem za mało czasu. W nocy lecę do Polski. O „mojej” Kubie napiszę innym razem. Moc całusów – Max

- **21 GRUDNIA**

Max, chyba rozumiem, po prostu zacznijmy. Nie musimy wszystkiego wiedzieć. Nawet wolę, że to się będzie „kleić” na bieżąco – jak w życiu: planujesz, planujesz, a i tak wychodzi inaczej. W razie czego moja bohaterka mnie poprowadzi. Już wiem, że będzie uparta. Lec wysoko – K.

- 22 GRUDNIA, PÓŹNĄ NOCĄ

Karen, już jestem. I nie mam jet lagu (nigdy nie miewam), więc piszę. W samolocie, na wpół drzemiąc, upewniłem się, że mój M. powinien być kimś bez przydziału w nowych czasach. Może jakimś geologiem z wykształcenia, które na nic mu się nie przydaje, aktorem bez sukcesu? I musi być singlem, nie żonkosiem, i chyba nie rozwodnikiem ani wdowcem. Może mieć w przeszłości jakąś niespełnioną i wyidealizowaną miłość, o której starał się zapomnieć, więc nabrał z lekka rubasznego stosunku do życia. Ale ta rubasność powoli mu przechodzi, od kiedy spotkał K. Aha, i powinien lubić sport (ja lubię).

Mam różne zwariowane pomysły, które po wstępnej selekcji trafiają do kosza.

To co, zaczniesz? Całuję, Max

Karen rzeczywiście zaufała intuicji Luny, od początku brała jej pomysły. Chyba jednak częściej powinna je odrzucać. Bo Luna wymyśliła sobie zbyt barwną przeszłość. Te wszystkie zagadki, tajemnice. Karen nie mogła się z nimi uporać.

Przesadzasz. Nie ma tam niczego, co by można uznać za nieprawdopodobne. To już raczej Heliodor zbajerował Maksa, bo za wszelką cenę chciał być playboyem. Max musiał się nieźle napracować, żeby wybić mu to z głowy. Na szczęście antykwariuszka od razu spodobała się Heliodorowi, więc przemówił do niego argument: „Ta dziewczyna nigdy cię nie pokocha, jeśli będziesz taki”.

- 23 GRUDNIA

Max, cieszę się, że już jesteś po tej stronie dużej wody. Zanim zaczniemy pisać – ja nie cierpię wielkich niespełnionych miłości, które w nieskończoność ciągną się za człowiekiem. Mam nadzieję, że nie to szykujesz swojemu M. Pa, K.

- 23 GRUDNIA

Droga Karen, to nieporozumienie. Nie jestem nostalgikiem, przeciwnie: grzebanie w miłosnej przeszłości uważam za jałowe. Skupiam się na pomysle, który zaczyna mi się rysować: mój M. pisze do swojego byłego trenera, który jakby zastępował mu ojca. Teraz jest w tarapatkach zdrowotnych (może leży w śpiączce?). M. ma niewiele do opisanego z przeszłości, ale sporo do powiedzenia o tym, co się z nim dzieje teraz – kiedy spotkał TĘ kobietę – z jego życia. Odnalazł w tym facecie (trochę, na wesoło, przebóstwionym, jak jakiś indiański półbóg) instancję powierniczą. Ma poczucie, że spłaca dług z przeszłości, ale też bierze odsetki od tej spłaty – pisaniem niby pomaga jemu, ale głównie sobie.

Może na koniec się okaże, że nie tylko bóstwa pomagają żyć ludziom, ale też ludzie bóstwom? Myślisz, że K. może tego faceta polubić? Całuję Cię – M.

PS A wiesz, że ja też czuję się tak, jakbym spotkał TĘ kobietę? I właśnie próbuję sobie, Tobie, o tym opowiedzieć.

- 23 GRUDNIA

Max, skąd ja mam wiedzieć, czy K. polubi tego faceta? Powiem Ci, kiedy go zobaczę, usłyszę, poczuje. Niestety K. musi się zdać – przynajmniej na razie – na mój gust, chyba nie najgorszy. A wobec tego M. powinien być podobny do Ciebie? Do TEGO mężczyzny. Tylko musiałbyś wiedzieć, jaki jesteś. Właśnie wróciłam do dawnej lektury, *Szkiców* Gasseta, który dzieli mężczyzn na trzy kategorie. Muszę to gdzieś wykorzystać.

A wiesz, kiedyś zbierałam znaczki i spałam z wielkim klaserem pod poduszką. K. wobec tego będzie mieć w swoim antykwariacie również cenne znaczki, np. odwróconych bokserów albo błękitnego mauritiusa (lekka przesada). Chciałabym też, żeby umiała magicznie obcować z przedmiotami: wysnuwać z nich historie ludzi, do których należały.

Jutro Wigilia. Jak Niemcy w Warszawie obchodzą święta? Śpiewacie *Tannenbaum*?

(Pamiętam ze szkoły tę waszą pieśń. Zawsze kojarzyła mi się z przemarszem wojsk).

No to smacznego śledzia (wiem, że lubisz – ja też – wiesz). I masz tu, w załączniku, początek – Karen.

PS K. będzie pisać listy do zmarłego kochanka, Ksawerego (czy to dobre imię?) – trochę niedorzeczny pomysł, ale już się do niego przywiązałam. Skoro rozmawiamy ze zmarłymi, dlaczego nie mielibyśmy do nich pisać?

Max czuje jakiś niepokój.

To znaczy?

Nie wiem, chyba tęskni. Traktuje tę książkę jak fantastyczną zabawę, owszem. Ale także już trochę jak sprawę życiową, której na imię Karen. I która jest dużo ważniejsza niż literatura.

A Karen przeciwnie – czuje spokój. Z listu na list coraz większy. I mówi sobie: Max istnieje. Powiedziała to już wcześniej, mniej więcej wtedy, kiedy Max napisał w swoim kubańskim dzienniku: „Karen istnieje”.

Bardzo szybko okazało się, że istnieje także Heliodor, i Luna nie chciała już zwierzać się Ksaweremu. Karen wołała powieść w listach, a nie dziennik, ale zgodziła się z decyzją Luny. Uznała, że pisanie listów do trupa to jednak absurd.

- 24 GRUDNIA, RANO

Karen, dziękuję. Więc M. ciągnie dalej. Święta. Wiesz co? Mam wielką ochotę na śledzia z Tobą. Czy to przez te światełka na Krakowskim Przedmieściu? Kiedy się znów zobaczymy? Za dziesięć dni jadę do Baden-Baden na konferencję „Nowe media wobec politycznych wyzwań w Unii Europejskiej”. Gdzie wtedy będziesz? Piszemy książkę na odległość, to znaczy jesteś daleko, a ja wciąż pamiętam plamę kawy na Twojej sukience w maki, mojito, *Chan Chan* i tak dalej. Chcę Ci wysłać kwiaty, ale nie wiem, na jaki adres – Max.

- 24 GRUDNIA

Max, piszę z lotniska. Za chwilę odlatuję do Budapesztu. Tam spędzę Wigilię i święta. Imiona – niech na razie będzie M. (jak Max) i K. (jak Karen).

Dużo o niej myślę. Ona będzie trochę „czarownicowata”, więc powinna mieć jakieś rzadkie imię. Czy Ty się nie gniewasz, że ukradłam Twoje zdanie przeznaczone dla mnie? „Tak cudownie przyjmujesz pieszczotę, Karen, tak cudownie ją dajesz”. Chciałam je wykorzystać od razu. Było, wciąż jest, takie świeże. Bałam się, że mi ucieknie. Dałam je Ksaweremu, ale wiem, że powinno należeć do Twojego M.

W załączniku wysyłam Ci prezent. Napisałam to po Hawanie. Dla Ciebie. Chciałam ją – Hawanę – zatrzymać, tak jak tamto zdanie. Dlaczego? W Hawanie była pełnia. Widziałeś? Kiedy rano zamknęłam drzwi Twojego pokoju, zobaczyłam na nich trzynastkę. Winda nie działała. I omal nie spóźniłam się na samolot. Wierzę w gusła.

Z Budapesztu mogę polecieć... Zgadnij dokąd?

Wesołych świąt. Twoja Karen.

PS Niestety na Węgrzech wciąż będę się przemieszczać – jeden dzień w Budapeszcie, potem prowincja: Kecskemét, Székesfehérvár, Kiskunhalas. Twoje kwiaty mnie nie dogonią.

Nie miała zamiaru wysłać Maksowi tego, co napisała po Hawanie, ale chciała mu dać prezent na Gwiazdkę. Siedziała na lotnisku i długo się wahała, aż w końcu: jedno kliknięcie i poszło.



W powietrzu unosił się dym z cygar

Piliśmy rum

A podstarzali kubańscy chłopcy śpiewali Chan Chan

I powiem ci, że to było takie, po prostu boskie

Mówiłam ci coś do ucha

Łaskotało
Ugryzłam
Pod sufitem leniwie obracał się wiatrak
Paliłeś cygaro
Chciałeś mnie rozbawić
Twoje drugie cygaro, naprawdę
Chciałam je –
Pocałowałam cię
Mocno. Mocniej
Twoje usta były gorzkie od tytoniu

- **WIGILIA**

Kochana Karen,

nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję. Nie mam dla Ciebie TAKIEGO prezentu. Dziwna rzecz z tymi wierszami. Mój profesor od literatury (nomen omen też Maximilian), od którego nieźle dostałem w kość, dał mi w tej sprawie dwie rzeczy: fascynację i pokorę. Zawsze lubiłem układać tercyny i sestyny, ale nigdy nie ośmieliłem się pomyśleć o sobie: „jestem poetą”.

Spróbuję Ci się zrewanżować: pytałaś, co robię w Hawanie, to popatrz do załącznika. Tuż przed naszym spotkaniem w piątek zacząłem pisać dziennik kubański; znasz to? – przychodzi pomysł: dziennik kubański! A nuż się przyda? Najczęściej się nie przydaje, ale to nas nie powstrzymuje; takie pomysły są niezależne od doświadczenia. Więc Ci załączam, co wtedy skrobnałem: ostatnie dwa akapity w godzinę po Twoim wyjeździe.

A co do tego zdania o pieszczocie: oniemiałem. Co było w moim oniemieniu, nutka zazdrości, cień sknerstwa? Raczej zdziwienie tym, że można się tak przywiązać do własnych słów. Bo były intymne, powiedziane do Ciebie, a Ty je podkradłaś do tekstu? Bo były rzeczywiste, a stały się fikcyjne? Dobrze, że napisałaś to zdanie, w przeciwnym razie uleciałoby pod niebo Hawany. A przecież jest moje i twoje. I nasze. Zaczynamy mieć coś naszego?

To możliwe, że będziesz w Baden-Baden?

Wigilię spędzam sam. Jakoś nikt nie zadzwonił. Nie zdążyłem zrobić ulubionego karpia po żydowsku, według mojego przepisu trwałoby to za długo. Więc kupiłem sobie śledzie po

wiejsku i pierogi na targu. Będę pił Twoje zdrowie polską wódką. A wieczorem coś napiszę. Dziękuję, Karen.

Twój Max



Skąd się wziąłem w Hawanie? Wysłali mnie, bo krążyła plotka, że comandante en jefe umiera. Miałem obserwować zmianę warty. Wałęsałem się po mieście, popijałem rum i nic – Fidel wprawdzie zniknął, ale według moich informatorów miał się całkiem dobrze. Mimo to redakcja nie zamierzała mnie odwoływać. „Napisz reportaż o nastrojach. O Guantanamo. O czymkolwiek. I czekaj”. Po to mnie wezwali z Polski? Prawda, sam tego chciałem. „Jedź, Max – powiedziałem sobie – umiera dyktator. Byłeś na Kubie ćwierć wieku temu. To przecież ciekawe. Drugiej takiej okazji nie będzie”.

Wczoraj, w piątek przed południem, w hotelowym lobby. Ona, Karen, Węgierka, z którą kiedyś jadłem śledzia w Warszawie. Rozlała kawę. Specjalnie? Potem knajpa z wiatrakiem, który mozolnie rozgarniał powietrze ciężkie od dymu i upału. Daiquiri. Mojito. Czysty rum. Jesteśmy zawiani. Gadamy bez końca. O czym? Nie pamiętam. Od pewnej chwili to już czysty flirt. Chcę iść z tobą do łóżka.

To było nadzwyczajne. Dziwnie się poczułem: niesyty. Jakbym się napił absyntu i natychmiast wpadł w uzależnienie. Nie ma cię, nie odbierasz telefonu. Nie wiem, co myśleć, co zapisać. Chyba tylko to. Aż to: Karen istnieje.

- WIGILIA, DOCHODZI PÓLNOC

Kochany Maksie, święta na Węgrzech wyglądają podobnie jak w Polsce. Choinka, stół z dziesiątkami potraw (oblędna zupa rybna), prezenty, kolędy. Najbardziej lubię zapachy. Tylko te karpie sprzedawane żywcem – koszmar! Z tego, co pamiętam, u was też, prawda? A wiesz, jadłam kiedyś pierogi, w dzieciństwie, u swoich polskich dziadków, a potem, ze trzydzieści lat temu, kiedy byłam w Warszawie korespondentką. Już nie pamiętam ich smaku.

Cieszę się, że w ten sposób myślisz o tym zdaniu. Dopiero kiedy wysłałam Ci pierwszy list K., przyszło mi do głowy, że możesz mieć mi za złe. Jakbym oddała komuś prezent od Ciebie. Masz rację – jest nasze bez względu na to, komu je damy. Ale zdanie „Karen istnieje” należy tylko do mnie, prawda? Patrz, dopiero zaczęliśmy, a już przywiązujemy się do słów, do zdań.

Sama nie wiem: czy nasze listy nie stają się przypadkiem integralną częścią książki? Tak właśnie zaczynam się czuć – jakby równoległe działało się coś, co się zazębia z tamtym fikcyjnym światem, ale to coś też jest fikcją. Krótko mówiąc, że działamy na dwóch frontach.

Wymyśliłam imię! Czy ona może nazywać się Luna? Ma coś wspólnego z księżycem – to dlatego. Czy mogę zrobić taki nadpis, że nasza opowieść zaczyna się w dniu listopadowej pełni?

Wygląda na to, że Luna wychowała się bez matki. Studiowała coś beznadziejnego – może polonistykę, a może budownictwo. Dusza nieco artystyczna, chyba dzięki ciotce, która jej matkowała, właścicielce antykwariatu prowadzonego obecnie przez Lunę. Interesuje się sztuką, ale nie ma gruntownej wiedzy. Jest samoukiem. Pracowała to tu, to tam, ale nigdzie nie zagrzała miejsca. Przed świętami robi w sklepach awantury z powodu karpi.

Zgadłeś! Będę w Baden. Chociaż temat konferencji średnio mnie interesuje. Tam jest fajna knajpa Sterntaler. Pójdziemy? Tylko że nikt nie pozwoli Ci zapalić cygara. Szkoda.

Całuję, K.

Max tego samego dnia znalazł imię – Heliodor. Luna i Heliodor. Ładnie. Może pomińmy kolejne listy, bo oni tak kompulsywnie pisali do siebie o tej powieści, że nie da się wszystkiego ani przeczytać, ani zrozumieć. Przejdźmy od razu do Baden.

Dobrze. Max miał samolot czym świt, z przesiadką w Berlinie. Czterdzieści minut czekania na lot do Karlsruhe. Drzemał, przez głowę przechodziły mu zdania z ostatniego listu Karen: zaczynam się czuć tak, jakby działa się coś, co się zazębia z fikcją – i staje się, i jest fikcją.

Nie rozumiał tego.

Bronił się.

Minęły całe miesiące, zanim przyznał jej rację.

Tak. Tymczasem zjedli późny obiad w Sterntalerze. Wykwintny.

Aż za bardzo. Karen wzięła animelkę w sosie szafranowym. Po godzinie powiedziała: „Mam ochotę na śledzia. Ale nie tutaj”.

Siedzieli w kącie prawie pustej knajpy nad rzeką Oos, gdzie dają świetne ryby wprost z pobliskich stawów hodowlanych. Szeptali do siebie.

Ona włożyła mu język do ucha i odszukała pod blatem stołu jego...

No właśnie, jak byś TO teraz nazwała?

„Masz fajnego fiutka”. Tak powiedziała.

Złapali taksówkę. Całowali się przez całą drogę. Niemieccy taksówkarze są dyskretni.

Kochali się inaczej niż w Hawanie. Długo.

Kochali się przez trzy dni, zawsze tak samo i trochę inaczej.

Ostatniego dnia Max poszedł na wykład swojego przyjaciela z Polski, a Karen

myszkowała po mieście. Wieczorem on się uparł, żeby poszli do jego pokoju. „Nagle się boisz bzykać pod trzynastką?”, spytała.

Samolot miał jakoś nad ranem. O świcie Karen poszła do siebie i zobaczyła na stole trzynaście żółtych róż i to:

KAREN

Patrzysz tak, jakbym ci włożył w dłonie

Jajko Fabergé. A to tylko róża, Karen.

Miałem ją pod kurtką, żeby nie zmarzła.

Mróz dziś w Baden-Baden.

Idziemy do numeru i kochamy się jeszcze

Piękniej niż wtedy w Hawanie.

Te twoje zdziwienia. I to:

Tak cudownie przyjmujesz pieszczotę.

Nie widziałem, jak dociskasz kolanem

Wiek walizki. Na umywalce twoje korale.

Od dziś za rok w Jeruzalem –

Karminowe zdanie. I usta na lustrze.

W domu wyjmij, proszę, z walizki

Tę różę. Suchym płatkom będzie dobrze

W jakiejś ładnej książce. Na stare lata

Warto mieć coś, co nas przetrwa.

Przecież to on pierwszy wyjechał. Zdanie o Jeruzalem wymyślił. A róże pod trzynastką były prawdziwe.

Chciał subtelnie dać jej do zrozumienia, że fikcja to fikcja, a rzeczywistość to rzeczywistość.

Kochany Maksie, piszę już z Tel Awiwu. Słonecznie, ciepło, wietrznie. Rano przeszłam się brzegiem morza do Jaffy, gdzie w portowej knajpie zjadłam lunch. Gapiłam się na łodzie, na ludzi, na morze. Animelka tutaj smakuje inaczej niż w Baden. Pewnie dlatego, że jadłam ją sama. Potem odwiedziłam znany telawiwski antykwariat. Ponure miejsce. Spokojnie można by tam nakręcić jakiś horror. Kupiłam Ci polskie wydanie *Niebezpiecznych związków*. 1912 rok. Luna powinna mieć tę książkę w swoim antykwariacie.

Nie myśl, że przyjechałam tu, żeby się lenić. Piszę reportaż o uchodźcach z Afryki, głównie z Erytrei i Sudanu. Jest ich w Izraelu około sześćdziesięciu tysięcy. Wczoraj trzydzieści tysięcy z nich przeszło ulicami Tel Awiwu. Było spokojnie, chociaż w powietrzu czuło się gniew. Obserwuję, rozmawiam z dziennikarzami i zwykłymi ludźmi. I czytam, co piszą o tym na świecie. Większość relacji i komentarzy jest strasznie powierzchowna. Nie chcę tak pisać.

Kochanie, jak zabrać trzynaście róż do samolotu? No jak? Obciąłam jeden pączek – już się ususzył. Resztę musiałam zostawić. Żółte płatki trafią do „jakiejś ładnej książki”. Dzięki. Róże były cudowne. Nadal są – teraz pewnie cieszą oko jakiejś pokojówki, która się głowi, dlaczego jedna z nich miała tylko łądzykę, i wyobraza sobie, że to ona je od kogoś dostała. I poniekąd tak jest. „Ja to ktoś inny”. Uciekam przed tym zdaniem, które wciąż mnie dogania. Ale róże to róże. Tak.

Pojutrze stąd wyjeżdżam – tym razem do domu – z żalem, bo lubię Lewant. Jest taki zmysłowy.

W nocy wyślę Ci kolejny list Luny.

Całuję, K.

Napisała więcej: „Chciałabym się kochać z Tobą tutaj, w Lewancie. Jest taki zmysłowy. Moje ciało cały czas domaga się Ciebie. Tęskni”. Ale skasowała wszystko poza zmysłowym Lewantem. Dlaczego? Czy ludzie nie powinni mówić sobie takich rzeczy? Co czują, czego pragną. Powinni. Ale się obawiają.

Max obawiał się zdania: „Ja to ktoś inny”. Rozumiesz? Bał się, że Karen chce mu się wymknąć. Ale im bardziej to zdanie ścigało Karen, tym bardziej on starał się je dogonić. Od początku, od kiedy ona ukradła mu zdanie o pieszczocie. To był przecież pierwszy dowód na prawdziwość fikcji i fikcyjność prawdy.

Nie powinien się bać. To, czego się bał – zatarcia granicy między fikcją a rzeczywistością – niepokoiło też Karen.

Akurat wtedy, kiedy on zaczął się z tym oswajać – dzięki jej kradzieży. Tymczasem Karen zaczęła wierzyć w rzeczywistość. I że sama w niej istnieje.

Kochanie, wybacz zwłokę. Zostałem w Niemczech jeszcze parę dni i wpadłem w wir. Szkoda o tym gadać – dla mojej redakcji jestem „dezserterem”, bo uciekłem z Kuby. Mam to gdzieś. Dzięki Tobie nabrałem ochoty, żeby zacząć pisać co innego, inaczej niż dotąd. Pisać, nie pismaczyć.

Ale, ale. Nie umniejszając Twojej opowieści o uchodźcach, zauważyłem, że o tym, co najważniejsze (dla mnie!), mówisz na końcu listu. Ja muszę postępować odwrotnie (różnica temperamentów, jak między słońcem a księżycem).

Tak, róże to róże. Chcę Ci dawać róże, choćbyś je miała zostawiać po wszystkich hotelach świata. Płatki tej jednej należą do literatury (do jakiej ładnej książki je włożyłaś?), a pokójówki niech się radują!

No widzisz, jednak wciąż się bał. A przynajmniej odczuwał niepokój. „Ja to ktoś inny” huczało mu w głowie. Stąd te trzynaście róz przeciw jednej z wiersza. Zwłaszcza że Karen rzeczywiście mogła zabrać z Baden tylko jedną. Jakby uciekała w jego wiersz.

Przesadzasz z tym „huczało mu w głowie”. Potem on też zaczął podkradać jej zdania, bawili się tym.

Czuła się speszona, bo te zdania były tylko dla niego.

Nie wyprzedawał ich, chciał je przechować. Dziwił się, że te prawdziwe często są lepsze niż fikcyjne.

Oboje wciąż się dziwili i musieli się sporo nauczyć. O zdaniach. O słowach. O sobie nawzajem.

Nawet nie wiesz, czym dla mnie są te trzy dni i noce w Baden. Nasz śledź i wystawa Miró, na której się odkrywaliśmy. Czuję się tak, jakby wszystko było dopiero przede mną, przed nami.

Wracając do książki: niebywały prezent, o którym mi piszesz (dziękuję!!!), powinien trafić z rąk Luni w ręce Heliodora, dobrze? Będzie pretekstem do ich pierwszego spotkania. I dzięki za SMS-owe sugestie: 1) tak, biorę makaroniki, 2) włosy – kasztan wpadający w miedź, bardzo dobrze.

No to piszę kolejny list Heliodora. Scenkę. Możemy to tak nazywać?

Ale słuchaj, mamy już kilkadziesiąt stron, a oni nawet się nie całowali? Przecież to miała być współczesna historia erotyczna, a nie miłosna ramota z XIX wieku. Może powinni być jak John i Mary, jak my, i zacząć od łóżka? W każdym razie jeśli idzie o Heliodora, on od początku patrzy na Lunę erotycznie, tak samo zresztą jak ja na Ciebie. Zgadnij, co sobie pomyślałem, kiedy Cię zobaczyłem wtedy w Warszawie z kieliszkiem prosecco? Poza tym, że ani chybi zaraz wylejesz to prosecco do jakiejś doniczki; taką miałaś minę.

Pisz, proszę. Całuję Cię, Różo Saronu – Max

PS 1 A wiesz, że w sensie botanicznym Róża Saronu to wcale nie róża, tylko narcyz albo szafran, albo zimowit jesienny, albo dziurawiec zwyczajny, albo dzwonek?

PS 2 Mam coraz bardziej dosyć swojej „macierzystej” redakcji – odczuwam opresję macierzy. Heliodorowi kazałem się męczyć w plastikowym świecie korporacji i z pewnością go stamtąd zabiorę. Chociaż nie wiem, czy chcę, żeby miał fajniej niż ja.

- 15 STYCZNIA

Maksie drogi, nie całowali się, bośmy popadli w radość pisania. To niebezpieczne – tak, tak, ma się wtedy ochotę rzucić pracę, uciec gdzieś na południe i prowadzić jakieś nierealne życie. Najlepiej nad morzem. A solarni mężczyźni lubią się wylegiwać na plażach mórz południowych. Ty też?

Nic nie szkodzi, że to tak długo trwa – zanim ich wyślemy do łóżka, niech będzie wiadomo, kto z kim się spotkał. Kim jest ta kobieta, kim jest ten mężczyzna. Nie tylko Luna chce to wiedzieć, ja też. My obie.

Oni muszą się sporo nauczyć, o zdaniach, o słowach. O sobie nawzajem?

Nie stchórzymy? Wiemy, jak o „tym” pisać? Wiesz?

Mnie na razie martwi co innego – zaczęłam się bać tych wszystkich zagadkowych wątków, które trzeba będzie jakoś rozsądnie rozwinąć i zakończyć. Miłe złego początki.

I jeszcze jedno – że swoje pisanie nazywasz pismaczeniem. Powiem Ci coś: gdyby tak było, nigdy bym nie rozlała wtedy kawy, nawet przypadkiem, ani nie poszła z Tobą do łóżka. Teraz już wiesz – uwiodłeś mnie stylem, stylowo. Może nie mam gustu, ale lubię ten styl.

Następnym razem udowodnię Ci, że Heliodor nie ma fajniej niż Ty. A nawet, że Ty masz fajniej niż Heliodor. Pa, Twoja K.

Karen poczuła się trochę dotknięta: przez trzy noce kochali się w Baden, na szwabskim łóżku, na szwabskim krześle, pod prysznicem, z fantazją i bez fantazji, przed północą, po północy, nad ranem, po czym nagle okazuje się, że Heliodor ma fajniej.

Jak mu chce udowodnić, że tak nie jest?

Prześcignie Lunę, będzie bardziej pomysłowa, wyrafinowana i perwersyjna. Rozpali Maksa do purpury tej róży, którą będzie muskać jego fiutka.

Kobiety takie rzeczy planują?

Niektóre. Wyjątkowe.

Wobec tego Karen jest bardziej wyjątkowa niż Luna.

To znaczy?

Nie wiem. Może nie chodzi o wyjątkowość. Po prostu ona ma z Maksem coś, czym nie podzieli się nawet z Luną.

Dała Lunie rzeczy, których sama nie ma. Mówiliśmy o tym. Ale może ma więcej niż ja?

To jest pytanie filozoficzne. Kto ma więcej, bogowie czy ludzie? A odpowiedź, wyobraź sobie, nie ma znaczenia: przecież w razie potrzeby jedni przeistaczają się w drugich.

A ci drudzy w tamtych.

- **15 STYCZNIA**

Och, Karen, kiedy mi udowodnisz?

Tak, jestem solarny, Heliodor też.

No dobrze, niech się uczą. To się nazywa retardacja. A po ludzku: boisz się ich pierwszej nocy, prawda? Ja też się boję. Jak znaleźć słowa na ich seks?

Coś mnie uderzyło w Twojej ostatniej scenie. Zdanie: „jeśli ludzie niczego od ciebie nie oczekują, masz wolność”. Świetne zdanie, Karen. Kompletnie utopijne. Ludzie zawsze czegoś od Ciebie oczekują, *ergo* nigdy nie zaznajesz wolności. Chyba że w bajce. Albo w micie. Heliodor będzie oczekiwał telefonu, randki, wieczornego seksu i porannej laseczki. Ale za nic nie zechce burzyć poczucia wolności Luny. Zwłaszcza w łóżku. Ktoś przecież zadba o to, żeby jego oczekiwania same się ziściły, czyż nie?

Całuję, całuję – Max

- **18 STYCZNIA**

Max, to jest zdanie z mojego życia. Tak, utopijne. Nawet na bezludnej wyspie znajdzie się jakiś cholerny Piętaszek. Ale czy nie jest tak, że prawie każdemu marzy się utopia, do której dąży? Dla Luny jest nią wolność. Ma ją w głowie.

Udowodnię, co jest do udowodnienia, kiedy do mnie przyjedziesz. Na przykład za tydzień – jeśli nic nagłego się nie stanie, jakieś trzęsienie ziemi, potop albo zamach – będę w Budapeszcie. Chcą, żebym napisała „wyważony” tekst o polityce Orbána. Nie mam nic przeciwko temu, żebyś mi poprzekadzał. Całuję, K.

- **19 STYCZNIA**

Kochana Karen, najpierw najważniejsze: przyjadę do Budapesztu, bo już to sobie wyobraziłem: kocham się z Tobą w nocy i za dnia, aż do chwili, kiedy odrywasz się ode mnie, wkładasz szlafrok w papugi i mówisz „muszę popracować”. To będzie z pewnością „wyważony” tekst. Nigdy jeszcze nie widziałem Cię w szlafroku przy laptopie – na ten widok zaprawdę przepłaszają Twoje papugi. Znów i znów, i znów. Cieszę się na to J.

„Ten Facet żyje w dwóch światach” – podoba mi się to zdanie. I to, że nie odmawiasz Heliodorowi gustu. Ale jak facet, który ma gust (i jednak własny styl), może wkładać sportową kurtkę na garnitur (zapewne niezły), ewidentnie świetne koszule i stylowe krawaty? I nie wspomniałaś o butach, a buty w ocenach stylu są kluczowe. Więc Ci powiem: Heliodor lubi sanchezy, kowbojki i obuwie sportowe o nienachalnym designie. Ale nigdy w życiu nie włożyłby takich butów do garnituru. Na co dzień chodzi w T-shirtach i dżinsach. Czy może nosić zabytkowe bursztynowe spinki, tego nie wiem (na pewno nie pod kurtką sportową). Wiem, że z żółtych kamieni lubi beryl i topaz.

Wolność. Czasem myślę, że cena za nią jest zbyt wygórowana. Opowiedzieć Ci o tym?

Całuję Cię – M.

No właśnie, cały Max. Coś sobie wyobraził i od razu musiał jej o tym donieść.

Bawiło ją to. Dawno nie czuła, że jej na kimś zależy. Tak jak teraz. I miała wrażenie, że wie lepiej niż Max, czego on potrzebuje.

Szlafrocza w papugi?

Owszem, Karen miała taki szlafrok, ale Max nigdy go nie widział. Reporterki nie podróżują z szlafrokami. Mają w walizce tylko dyżurną spódnicę.

- **20 STYCZNIA**

Kochany Maksie, ja też się cieszę. Chciałabym Ci pokazać kilka miejsc w Budapeszcie, ważnych dla mnie. Przedszkole, w którym codziennie karmiono nas ohydną papką z warzyw, w różnych kolorach, lecz o jednym smaku. Bramę na Váci utca, w której pierwszy raz się całowałam. I piękne secesyjne kamienice, których się boję, bo są pełne demonów. To chyba nie fair, że przekazałam Lunie ten lek. Postacie literackie muszą żyć życiem swoich kreatorów. Ale przyznaj, sownie ją za to nagradzam. A nagród będzie coraz więcej: mam pomysł na ich pierwszy seks. Czy Heliodor wytrzyma jeszcze dwa miesiące?

Kochanie, w każdej chwili mogę go ubrać inaczej. Dać mu np. wytworny wełniany płaszcz. Ale uwierz, jak facet jest tak bardzo nie na swoim miejscu (korporacja), musi się jakoś bronić. Max, to nie ma nic wspólnego z gustem. Swoją gust Heliodor nosi pod tą kurtką – piękne koszule, marynarki, krawaty. Tak myślę. A sanchezy, kowbojki? – każda normalna kobieta czasem widzi w snach, jak jej facet któregoś dnia wyrzuca takie buty na śmietnik.

Jak Ty zniesiesz węgierską kuchnię? Nie licz na owoce morza. Węgier ma się do nich tak, jak budapeszteńskie kamienice do lekkiego telawiwskiego bauhausu.

Cena wolności jest mniejsza, niż się nam wydaje. Wystarczy przemeblować głowę. Tak – opowiedz mi o tym.

Odbiorę Cię z lotniska. Całuję, K.

Wystarczy przemeblować głowę – o tak. Max wciąż się tego uczył, bo jego wolność miała taki cierpiętniczy rys. Była wolnością w miarę rozsądnego maksymalisty, którego ten rozsądek strasznie męczy. W każdym razie chciałby, żeby słowa zatkały ową dziurę w czasoprzestrzeni – obcą Heliodorowi. Antykwariat Luny jest na Nowym Mieście, prawda? Pół godziny marszu od jego mieszkania? A Karen żyje na orbicie okołozemskiej.

Niech Max nauczy się tęsknić.

- **20 STYCZNIA**

Dwa miesiące? Zwariowałaś, Kochanie? Czarne oczy Fausta, niebieskie Heliodora, Lacos, róża. I wciąż nic? Wytłumaczysz mi, co się kryje za tą zwłoką, na którą oboje przystajemy? „Radość pisania” to za mało.

Już uwielbiam węgierską kuchnię. Wiesz dlaczego?

Pogódź się jakoś z moimi butami. Mają związek z wolnością. Pamiętasz, co mówi Sailor w *Dzikości serca*? „Kurtka ze skóry węża jest symbolem mojej indywidualności i wiary w wolność jednostki”. Tak samo jak moje kowbojki. Lubię wolność. Ale trzeba mieć dużo szczęścia, żeby się nią cieszyć i nie zachorować na bezwład serca. Wiesz: melancholia, nad głową Saturn, pod nogami śpiący pies. Wolność w kosmosie, który zije pustką, jest niefajna.

Jak dobrze, że istniejesz.

Uczę się tęsknić – Twój M.

- **22 STYCZNIA**

Kochanie, Luna jeszcze o tym nie wie, ale chciałabym, żeby poszli do łóżka w pierwszy dzień wiosny. Może przy Vivaldim. Wiem, co pomyślisz – że to okropnie pretensjonalne. I będziesz miał rację. Ale powiedz, czy można się fajnie kochać bez egzaltacji, bez romantycznych pierdół, bez tęsknoty za niewinnością? Można? Pewnie tak, ale Luna potrzebuje tego wszystkiego – zalotów, róż, gestów. On też – spojrzeń, kuszenia, zapachu werbeny itd. Chyba za bardzo wybiegam w przyszłość – przecież oni dopiero się spotkali. I chcemy zrobić z tego spotkanie przez duże S, prawda?

Mówisz, że Heliodor w tej pierwszej akcji jest pod tym względem prosty jak fujarka: patrzy na dłoń, usta z makaronikiem, biust i już jest „gotów”. Tak mu się tylko wydaje. Jego fiutek może jest gotów, ale on nie!

Nie muszę się godzić z Twoimi butami, bo się z nimi nie pokłóciłam. Cytowałam jedynie sen wielu kobiet. Ale to ciekawe – czy jakieś części garderoby mogą oznaczać wolność? Czy Sailor tę kurtkę ze skóry węża nosiłby również na bezludnej wyspie, gdyby miał pod ręką wygodny sweter? A Ty, Max, a ja – jak byśmy się ubierali w kosmosie ziejącym pustką? Tak na marginesie – większość reporterek i reporterów, z którymi miałam do czynienia, nosiła kowbojki. A ja zawsze takie buty, w których można szybko uciec – parę razy się przydały.

Saturnem mnie rozbroiłeś. „Jest okrutny, jest małomówny, a jego żywioł – to czasu bieg. Nosi piękne imię Saturn, ostrożnie z nim – on bogiem jest!” Brassens. Znalazłam ten przekład w internecie. Słuchaj dalej: „Stąpa cicho, chód ma bezgłośny, jak nocny złodziej, zwrot losu zły; z nudów róży zasusza pąk, by zabić czas, by ukraść dni”.

Co to jest bezwład serca?

Twoja Karen

To moment, w którym zaczęli ich „wodzić”? Przed pierwszą randką.

Wahali się. Nie umieli. Max był zafascynowany. Notował sobie: „H. nakłada TEN uśmiech, który ona kwituje, że jakiś taki nieporadny. Ona w ogóle nie widzi w nim mężczyzny fizycznego, co najwyżej jego ubranie? Dlaczego się nim interesuje? Można przeżyć tyle lat i wciąż nie wiedzieć, na czym to polega? W każdym razie Heliodor otwiera się, dopiero kiedy dostaje zielone światło. Jego próżność (przecież zielone kiedyś się zapali) równoważy jednak pewna autoironia. Rzeczywiście jest solarny, słońce uruchamia w nim czystą cielesność. W tym sensie on już pisze listy erotyczne (kiedy mówi o pływaniu, o Cornelii, zwłaszcza o swoich wrażeniach z wizyt w antykwariacie). Ale oczywiście włącza mózg (swoje superego). Jeszcze nie wie, co dalej”.

- **24 STYCZNIA**

Najdroższa, no tak, do wiosny jeszcze daleko. Ale może jak już ich umówimy na prawdziwą randkę (teatr! dziedzina, w której Heliodor czuje się w miarę pewnie), to wyjdzie jakoś inaczej?

Zdanie o tęsknocie za niewinnością musisz mi chyba wyjaśnić. Też lubię Vivaldiego.

„Róży zasusza pąk”. Baden-Baden, pąk, który wzięłaś do Tel Awiwu, Saturn, Brassens. Wszystko się łączy ze wszystkim? Jak tu nie wierzyć w gusła?

Bezwład – albo raczej gnuśność – serca to acedia. Bierze się ze światła Saturna. Opowiem Ci kiedyś o acedii u Dantego i Dürera – mam przyzwoite niemieckie wykształcenie humanistyczne ☺ – ale nie teraz, nie teraz, bo teraz nie umiem, ani moje serce, ani ten kolega,

który mi towarzyszy, kiedy myślę o Tobie (muszę znaleźć dla niego imię); są przeciwieństwem gnuśności. Co to będzie, jak pójdziemy dalej? Powinienem napisać wykłady o zaułkach polskiej demokracji – zapraszają mnie do Tybingi – a w głowie mam tylko pewną ciasną uliczkę. Zgadnij jaką.

Ten Budapeszt to dokładnie kiedy?

Uwielbiam Cię, Księżno Pierścieni – M.

- 25 STYCZNIA

Najdroższy Maksie, pośpieszyłeś się z Księżną Pierścieni – zbyt szybki wniosek. Ta piosenka Brassensa to mój sposób na łzy. Włączam ją sobie i na jakiś czas sprawa załatwiona. Od Saturnów trzymam się z daleka. Wystarczy mi Księżyc. Lunie też – czy nie za dużo go w jej życiu?

Budapeszt – od pierwszego lutego. Spędzę tam pięć dni. Na razie czytam węgierskie gazety wszystkich politycznych opcji. Wychowałam się w tym kraju i wciąż go nie rozumiem.

Budapeszt to całkiem odpowiednie miejsce, żeby pomówić i o acedii, i o Saturnie. Tutaj mieszka *homo saturninus*. Pa, K.

Obawiałam się tych rozmów. Że oboje zaczną smęcić i zamiast na wesoło będą się kochać melancholijnie albo, co gorsza, acedyjnie.

Mają takie skłonności?

Kochanie, tam gdzie są strata i brak, może się też pojawić Saturn. Karen ma na to swoje sposoby.

A Max bywa bezradny. Stąd na przykład rubaszność Heliodora – sposób na Saturna. Tak też można.

Można.

- 25 STYCZNIA

Max, przepraszam, przed chwilą dowiedziałam się, że zamiast do Budapesztu, lecę rano do Kijowa. Wychodzi na to, że Heliodor rzeczywiście będzie miał lepiej od Ciebie. Bardzo, bardzo żałuję, K.

Max robił wesołą minę. Kazał Heliodorowi wykopyrtnąć się na oblodzonym chodniku.

Zamiast Karen to Luna pojechała do Budapesztu. A Heliodor do ortopedy.

Max i Karen rozmawiali o tych mijankach. „Kiedy znikasz, muszą mi wystarczyć korale z berylu na poduszce”, mówił z lekkim żalem.

W Hawanie zostawiła korale na umywalce.

Potem zostawiała je w różnych miejscach. Raz w kieszeni jego marynarki, raz w bucie.

Tak się bawili.

- 3 LUTEGO

Najsłodsza Karen, od przedwczoraj jestem w Tybindze – zdecydowałem w ostatniej chwili, że jednak pojadę. Uwielbiam to miasteczko: Hegel, Hölderlin i młodzież uniwersytecka. Neckar zamarzał (latem cudownie się tu pływa czółnem, którym kieruje flisak z wielką żerdzią). Chciałbym połączyć po Schwarzwaldzie, ale nie mam kiedy (wykład, panel na uniwersytecie, spotkanie z działwą szkolną). Pracujemy bez końca (Ty chyba więcej ode mnie?), a górą i tak Chiny. Wiesz coś o chińskim seksie?

Żałuję tego Budapesztu. Bardzo się za Tobą stęskniłem. Zaczyna prószyć śnieg. Przed moim oknem latarnia, chyba taka jak przed witryną Luny. W tle ciemny masyw Schwarzwald. Zamykam oczy. Za tym masywem jest Baden.

„Teraz mnie pieść” – słyszę stamtąd zdanie, od którego mój druh staje na baczność. Najchętniej teleportowałbym się do Kijowa. Żeby o tym nie myśleć, piszę – jakbym tam był i kochał się z Tobą (zobacz załącznik). To mój dzisiejszy sposób na tęsknotę.

Ściągnąłem z sieci *Cztery pory roku* i puszczam sobie w telefonie. Śnieg sypie i sypie. Całuję Cię w nadziei na TĘ wiosnę – M.

PS Kiedy się spotkamy u mnie, pokażę Ci te figurki szachowe. I nauczę tańca na kwadratowym czarno-białym parkiecie.



Wysiadamy z taksówki, gorącej jak sauna. Do którego numeru idziemy? Wszystko jedno. Zrzucamy ubranie: buty, moja śliwkowa koszula, masz zimne palce, morską sukienka, rozpinam czarny stanik (nigdy nie wiem, jakim cudem), nie przestajemy się całować, szorty wokół łydek, szczeni ze sobą przewracamy się na łóżko. Głaszczę twoje piersi, chowam je w chłodnych dłoniach i zaraz ocieplam językiem. Słyszę, że jest ci przyjemnie. Kiedy domagasz się, żebym przyszedł, oddychasz głośniej, dotykasz moich pośladków, przyciągasz mnie.

Twoje ręce, moje policzki: „chodź”. On łąsi się do małej gaduły, ona oddaje mu pieśczętę. Oblizuję twardą jagodę, prawą. Unosisz się odrobinę, wsuwam dłoń pod dwa półksiężyce. „Chodź do mnie”. Mościmy się, ja i on, w mokrym gniazdku. Coś gorącego wzbiera, przepelnia mnie, chce wystąpić z brzegów.

Jestem. Powolutku. Szybciej. Wyżej. Mocniej. Lubisz zmianę. Twój język wędruje po mojej szyi. Bliskość. Większej nie może być. Drzę. On jeszcze raz się cofa, a potem nurkuje – najgłębiej. Chcesz, żeby znieruchomiał i czekał. Tulisz mnie bardzo mocno. I spadasz.

Potem leżysz na plecach, masz zamknięte oczy, prosisz, żebym trzymał cię za rękę i mówił do ciebie. Więc mówię, opowiadam o miastach, które widziałem i których nie widziałem, o znanych mi i nieznanymi książkach, recytuję wiersze, które dopiero trzeba wymyślić.

Odwracasz się na bok. Wędruję palcami po twoich plecach, wsuwam nos we włosy; pachną olejkami arganowymi. Mijają minuty.

Lizę twój kark. Masz dreszcze? Moje ręce szukają punkcików. Pod łopatkami. Niżej. W dwóch dołączkach na krzyżu. Jeszcze niżej. Przesuwam palcem nad dolinką między dwoma wzniesieniami, dotykam wilgotnego miejsca. Kładziesz się na plecach i wsuwasz rękę w moje włosy. To znak, że znów mnie chcesz.

Teraz, za drugim razem, jest inaczej. Klęczę nad tobą, zostaję długo przy piersiach. Leniwie oblizuję pękaty pączek, jeden, lewy. Zsuwam się w dół. Twoje dłonie muskają moją głowę. Czuję prąd. Ocieram się językiem o kapturek. Słodki zapach. Kropelka. Eliptyczny ruch bioder. Podążam za nimi. Język biegnie wzdłuż śliskich nawiasów i płasza wokół nabrzmiałego owocu. Ściskasz moje skronie. Taniec trwa długo. Mruczysz.

Aż przychodzi chwila, w której przerywasz ten płas, bo znowu chcesz wesołego mnicha. Zrzuca kapuzę, zatacza się, zostawia lśniący ślad na twoim brzuchu, chciwie zagląda ci między piersi. Bawisz się nim, potem robisz mu miejsce: niech sam znajdzie drogę. Pochylam się i całuję cię teraz inaczej, goręcej. Twoje pięty dotykają wysoko moich ud – jak ostrogi.

To długa wyprawa, wędrowiec idzie stępą, zerka we wszystkie zakamarki, to znów sunie prosto, lekkim klusem. Zwalnia, kiedy proszą go o to twoje ręce na moim karku, oddech, łydki, pięty. Aż wreszcie, w którejś chwili, wie, że jesteś gotowa do długiego, niskiego lotu. Daj nam tylko chwilkę. Całujesz mnie teraz, jak to się mawia, namiętnie. Ten pocałunek masz dla mnie tylko w tych sekundach, jeszcze trzy, jeszcze jedna – już.

Rano: woń arganu. Masz głowę na mojej piersi. Dotykasz mnie tam i zaczynam pęcznieć. Robisz mi najlepszą laskę świata. Mężczyzna chyba nigdy nie jest tak bardzo we władaniu kobiety, jak wtedy, gdy ona bierze do ręki paleczkę i dyryguje. Jednak mam fajniej niż Heliodor.

- **3 LUTEGO**

Max, kochanie, zawstydziłeś mnie tym listem, nie wiem, co powiedzieć. Czy ja tak mówię – „teraz mnie pieść”? Tak rozkazuję? Nie wiem, jak to jest z Luną. Sprawdź. Tylko z ciekawości. Nie będę jej zmieniać. Niech dziewczyna rozkazuje – Heliodor jej się należy.

Dziękuję Ci, że w porę kontuzjowałeś Heliodora. Gdyby nie to, Luna pewnie by do niego

pojechała. Za wcześnie. Nie potrafiłaby potem stłumić smutku pierwszej nocy. Zamknęłaby antykwariat i wyjechała np. do zimowej Ustki. Ale proszę, więcej nie zniżaj się nad nim dla opóźnienia ich seksu. Już żadnych kontuzji, dobrze?

Zachwyciło mnie, co powiedziałeś parę dni temu przez telefon, że oni mogą brać z seksu to, co najlepsze, bo mają srebrne łyżeczki do jedzenia ciastka pełnego bakalii i nie muszą go połykać. Piękne zdanie i bardzo wysoko zawiesza nam wszystkim poprzeczkę. Oni mają te srebrne łyżeczki i będą się delectować, wobec tego my musimy mieć pióra wieczne ze stalówkami z platyny i doskonały atrament. I oczywiście odwagę.

Ale Ty przecież masz odwagę – Twój list. Całuję, K.

Max miał więcej odwagi niż Karen. Nie napisała, że ten list ją podniecił. Czytała go wiele razy. Nie mogła się skupić na pracy.

Ciekawe, że im bardziej byli odważni, tym dłużej odwlekali seks Luny i Heliadora. Biedak pobiegł do niej z ortezą na barku, a ona wcisnęła mu psa, żeby sobie polecieć gdzieś tam.

Potem zachorowała na grypę.

Max był tak odważny, że aż zaborczy. Ale powstrzymał przed tym Heliadora.

Karen wzruszyła się i zadzwoniła do Maksa. Wtedy pierwszy raz uprawiali seks przez telefon.

- **4 LUTEGO**

Och, Karen, nie chciałem Cię zawstydzić! Nigdy nie wiem, czy utrafię w Twój nastrój a) „Gdyby nie ci ludzie tutaj, oblizałabym go” albo b) „Ja tak powiedziałam? Naprawdę?” Nic na to nie poradzę, że nie zapominam żadnych Twoich zdań.

Wiem, oba te nastroje są prawdziwe. Z Twoich półsłówek domyślam się, że to ma coś wspólnego ze wszystkimi słowami, które czasem pisuje się z wielkiej litery – jak wolność. Pamiętam: Luna ma wolność w głowie.

Smutek pierwszej nocy też ma z tym coś wspólnego?

To ciekawe. Tajemnicze. Naprawdę kobiety tak czują? Co jest w tym „pierwszym razie”, że popadają w smutek? Może nawet w rozpacz? Że chciałyby unieważnić zmianę, jaką owa noc niechybnie ze sobą przynosi.

Znam historyjkę o mężczyźnie (nazwijmy go M.) i kobiecie (powiedzmy K.). Mieli fantastyczny seks, jaki rzadko się zdarza. Po nim K. zaczęła płakać. Nie mogła przestać. M. bał się zapytać, dlaczego ona łka i łka. Nad ranem, kiedy wydawało mu się, że zasnęła, wstał i wyszedł do piekarni po ciepłe rogaliki na śniadanie. Kiedy wrócił, K. już nie było. Znalazł tylko kartkę: „To były łzy szczęścia i rozpacz. Nigdy nie przeżyłam czegoś takiego. I już nie chcę.

Nie zobaczymy się więcej. *Te quiero*”. I odcisnięte na tej kartce czerwone usta. Czy to jest historia o smutku pierwszej nocy?

Wróciłaś z Kijowa? Co dalej? Chyba dociągamy do końca „Zimy” (choć w Warszawie minus pięć). Musimy to przeczytać? Marzę o Twoich zdaniach w trybie rozkazującym – Twój Max

- **6 LUTEGO**

Najdroższy Maksie, ta historyjka – no, nie wiem. Ja bym taki liścik, że nie zobaczymy się więcej, zostawiła raczej po marnym seksie, o którym chce się czym prędzej zapomnieć. Wybacz, nie wierzę w takie rzeczy – to się dzieje tylko w książkach, w filmach. A kobiety to straszne kłamczuchy. Kłamała, żebyś to Ty (prawda, że chodzi o Ciebie?) nigdy o niej nie zapomniał. I popatrz – udało się.

O smutku pierwszej nocy mogę Ci opowiedzieć, bo mamy za sobą tę pierwszą i kolejne. Zresztą to ważne ze względu na Lunę – ona też dozna tego smutku, a nawet złości. To ma coś wspólnego z naturą i kulturą. Wiesz – facet zdobywa, kobieta jest zdobywana. Nie cierpię tego. Nie chcę się tak czuć. Że coś straciłam. Ani żeby Luna tak się czuła. Dlatego nie podobał mi się Heliodor w pierwszej wersji. No wiesz, w takiej: „Patrzyłem na tę kobietę jak wilk, który czeka, żeby się rzucić na ofiarę. Ale ofiara wytrzymała mój wzrok, nie ruszyła się z za biurka”. Ofiara – rozumiesz?

Nie ma na to rady – natura i kultura.

W dodatku tamten Heliodor chciał, żeby ofiara, czyli Luna, była trudną zdobyczą. Zimną, wytrawną graczką, która odbija każdą piłkę. Nie mogłam w to wchodzić. I chociaż tyle o tym rozmawialiśmy, nie umiałam Ci tego wyjaśnić. Nigdy nie zapomnę tamtej kłótni.

Wróciłam trzy dni temu. Do Budapesztu poleciał ktoś inny. Na razie nigdzie się nie wybieram. Potrzebuję mnie w redakcji. A Ty, jakie masz plany? Całusy, K.

- **12 LUTEGO**

Kochanie,

właśnie wróciłem z samotnych nart i znalazłem Twój list. Tyle się w nim dzieje, że nie wiem, od czego zacząć. Zacznę jak zwykle: mam ochotę dotknąć Cię ustami w szyję, przy ramieniu, i poczuć dreszcz, kiedy lekko przechylasz głowę, żeby przyjąć pocałunek.

Na kłamczuchach słabo się znam, łatwo się gubię w psychologii ich zachowań. Tamta kobieta nie była kłamczuchą. Była wcieleniem andaluzyjskiej dumy. Nawiasem mówiąc, lubię kłamczuchy. Jedną to nawet bardzo.

Wiem, o czym myślisz w związku z „bestialstwem” starego Heliodora. Ale to tylko retoryka. Nawet on był zdobywcą autoironicznym – w przeciwnym razie nie zdołałbym go

zmienić, prawda? Dzięki za kompromis, bądź co bądź zostało zdanie „wytrzymała mój wzrok, nie ruszyła się z za biurka”. I wiem, że nie lubisz Laclosa, ale nie przecz, że sporo wiedział o mężczyznach i kobietach.

Czytam sobie nasz manuskrypt i zatrzymuję się przy Twoich zdaniach o drzewie i korzeniach, o Heliodorze alias Déjà Vu. To tu zaczyna się bajka? I czy jest możliwa bez bogów, mitów etc.? Dziwne, ale mam wrażenie, że wracamy do rozmowy o wolności i bajkowym szczęściu, które trzeba mieć, żeby się nią cieszyć. Jeszcze nie jestem pewien, o co mi chodzi; Heliodor będzie wiedział, bo on chyba widzi już w Lunie kogoś nie tylko z tego świata.

Seks na odległość jest bardzo fajny. Wiem, co powiesz: nic nie zastąpi fiutka w cipce. Ta prawda akurat na nic mi się nie przydaje – M.

To wtedy zaczęli brnąć w mitologię?

Mniej więcej. Max już kazał krążyć Heliodorowi wokół Diany i Endymiona.

Na skraju przesady.

Ale ta myśl, że Diana stoi na straży wolności kobiety, która obdarowuje mężczyznę...

Nie masz pojęcia, jak bardzo w takich chwilach kobieta potrzebuje bóstw opiekuńczych.

Oni mają dobrych opiekunów. Zauważ, jak w którymś momencie Karen zaczyna dbać o atrakcyjność Heliodora, a Max o satysfakcję Luny.

Nie wybiegajmy naprzód. Tymczasem Max naprawdę wygląda na spragnionego.

- **14 LUTEGO**

No wiesz, Max, jesteś chyba zanadto frywolny. Na pewno bym tak nie powiedziała. Co najwyżej pomyślała. Kłamię – powiedziałabym. Przecież to najprzyjemniejszy sposób uprawiania seksu. Luna też tak uważa. Lecz nie zdradza tych swoich myśli. A jak jest z Heliodorem? Czy powinniśmy znać ich upodobania, zanim trafią do łóżka?

Wysłałam Ci kolejną scenkę Luny. Z Budapesztu wróciła z bałkańską gripą. Śmiać mi się chce na wspomnienie naszych grudniowych rozmów. Pamiętasz? – zmysłowy seks bez zaangażowania uczuciowego, bez zobowiązań, żadnej miłości itd. I że trzeba śmiać. Tymczasem co? – odwagę między bajki włożyć (ciekawe, że wobec siebie, w życiu, mamy jej więcej niż wobec fikcyjnych postaci), w dodatku są już w sobie zakochani. To o tym tak naprawdę mówią te mętne wywody Luny na temat drzew i korzeni. Są wyznaniem miłości. Niech się jeszcze trochę pouwodzą – ten przedseksualny, ale już erotyczny etap związku mężczyzny i kobiety jest, w pewnym sensie, najbardziej emocjonujący. Przed i po. „Po” nie ma już powrotu. Będą odczarowani?

Śniłeś mi się, a mój sen Luna opowie Heliodorowi. Mam ich więcej. Zachowam je dla

siebie – pamiętam Twoje słowa, że tylko nudziarze opowiadają sny. Całuję, K.

PS Samotni ludzie chyba nie powinni jeździć na narty. Kto im poda szklanek wody, kiedy coś sobie złamię?

Ten list Karen też był wyznaniem miłości. Chyba wtedy pierwszy raz pomyślała, że dobrze by było mieć prawdziwy dom – nie taki na godziny. Gdzie w łazience jest maszynka do golenia i wiszą dwa ręczniki kąpielowe.

Zacytuję ci fragment starej notatki Makska: „H. nie lubi słowa «miłość», uważa, że to spotyka człowieka raz, najwyżej dwa razy w życiu i dla każdego jest czymś innym. Jednak poza miłością ludzi może łączyć bardzo wiele dobrych i ciepłych uczuć. Seks bez uczuć jest możliwy, ale raczej do dupy. Uczucia muszą być, jednak niekoniecznie takie jak w melodramatach. Tu ma być słonecznie!”. Jeszcze trwa zima, a Karen pisze o wyznaniu miłości i trafia w sedno.

Na dworze trzymał mróz.

Kiedy Heliodor „odzyskał” zagrypioną Lunę po jej powrocie i przestał się niepokoić, już wiedział czy raczej czuł, że potrafi ją kochać.

Raczej Max czuł.

Wszyscy czuli. Czuliśmy.

- **16 LUTEGO**

Kochanie, tym razem od końca: zamiast szklanki wody, wolałbym whisky. Zadzwoń w tej sprawie do Ciebie. I poproszę też o masaż rehabilitacyjny (jaki – to już zostawiam Twojej inwencji). Bo chciałbym przypiąć narty, wsiąść na rower, skoczyć do wody.

Żartuję. Słyszę, co mówisz.

Nie jestem frywolny, tylko figluję. Trochę zapomniałem, jak to się robi – wybacz. Szybko sobie przypomnę.

Nie, nie musimy znać ich upodobań. Tego nie trzeba wiedzieć! To przychodzi samo. Człowiek błyskawicznie uczy się seksualnych upodobań partnerki, partnera. Wiesz o tym, zdradziłaś mi tę wiedzę w Baden.

Nie zgadzam się z Twoim zdaniem, że „po” nie ma już powrotu. „Po” to przyszłość, niewiadoma. My w naszej książce poprzestaniemy na teraźniejszości, prawda? Dlatego tak mi się podoba Twoje kończące naszą „Zimę” zdanie, o kocie, którego Luna mogła ZATRZYMAĆ.

Masz rację, że miłosne przedśpelnienie nie ma sobie równych. Trzeba cenić drogę do celu: słodkie słowo w knajpianym zgiełku, muślinowy pocałunek w taksówce. Oboje to wiemy, Karen. I to, że nasze hotelowe rozkosze mają swój rewers: wyziębione, ciemne mieszkania, do

których wracamy z jakiejś tam wojny, samotną wódkę, samotne narty, w najgorszym razie – acedię. Luna i Heliodor mogą i powinni wesoło się uwodzić, ocierać o siebie, przyciągać się i odwlekać seks – mają ten luksus, że mieszkają tak blisko. Trzydzieści minut spacerem.

Bardzo to podniecające, że Ci się śniłem. Czy miałem w tym śnie imię na H.?

Całuję – M.

PS Cieszę się na rozdział „Wiosna”. Czy wiosną Cię wreszcie zobaczę?

- **22 LUTEGO**

Kochany Maksie, dzięki za wykład o sztuce uwodzenia. Podziwiam, jak potrafisz zastosować swoją wiedzę w praktyce – na przykład uwodzić kobietę na skajpie. Czy ludzie to robią?

Powinniśmy im dać chociaż jedną taką rozmowę. Co Ty na to?

Kiedy mnie już uwiodłeś słowami, zdaniem, pomyślałam, że lepiej byłoby tę powieść nagrać, niż napisać. Słowa mówione mają w sobie emocje, intencję. W zapisanych stwarza je sam czytelnik. Każdy na swój sposób. Zdanie: „Śniło mi się, że jestem naga, rozpinam guziki twojej koszuli” zrobiło na Tobie wrażenie. A czy zrobi na tych, którzy je tylko przeczytają?

Wysyłam Ci kolejną Lunę. Czuję, że będziesz kręcił nosem na różne moje pomysły, jakby wyjęte właśnie z dziewiętnastowiecznej powieści. Pozwól mi, dobrze? Wymyślając życie Luny, muszę i chcę słuchać jej pragnień. Zresztą naprawdę wierzę, że Spotkanie poprzedza jakaś historia z przeszłości, jakiś na poły zapomniany sen, *déjà vu*. Przypomniałeś mi, jak wtedy w Warszawie wylałam prosecco do donicy z fikusem. Dlaczego to zrobiłam? – przecież mogłam odstawić kieliszek. Zorientowałam się, że mnie obserwujesz. Zgadnij, co pomyślałam – możesz się śmiać – pomyślałam: ten facet sądzi, że ani chybi wyleję to prosecco do jakiejś doniczki. Nie chciałam Cię zawieść. Spotkanie.

„Po” nie ma już powrotu do „przed”. Tylko to miałam na myśli. Do tej chwili, kiedy podlewałam fikusa, a Ty patrzyłeś.

Nie martwmy się starymi pomysłami, z których trzeba zrezygnować, może do czegoś nam się przydadzą. Będzie jeszcze kupa radości i jeszcze więcej łez i zgrzytania zębami, bośmy sobie poszaleli, bez dyscypliny. Nie da się szaleć w sposób zdyscyplinowany. Kto z nas będzie miał trudniej z opisem seksu? Ty czy ja? Mężczyzna czy kobieta? Nie wiem. W każdym razie ja mam trudniej z rozbuchaną zagadką rodzinną, którą będę musiała jakoś złożyć do kupy. Wciąż główkuję nad językiem naszych scen erotycznych i upadam na duchu. No bo dlaczego ta piękna wypukłość na Twojej szyi nazywa się tak okropnie? – grdyka.

Na szklanek whisky możesz liczyć, a co do masażu – pomuskam Cię różą. Chciałbyś?

Acedia nam nie grozi, uwierz. A gdyby nawet – są jakieś metody stosowane przez

mnichów, którzy podobno często na nią zapadają.

Czy zobaczę Cię wiosną? Zadzwoń. Tulę Cię, K.

PS Zwróć uwagę na głoski nosowe w tym zdaniu. Węgrzy uważają, że brzmią zmysłowo.

Karen wysłała mu kolejną Lunę, nad którą biedziła się z powodu „rozbuchanej zagadki”, ale zaznaczyła też na czerwono jego zdanie „świeciłem jak jarzeniówka i z uszu wydobywały mi się smużki siwego dymu”. I pomna tamtej kłótni, była bardzo delikatna.

Przeczuwali kłopot. Z opisami seksu trudno mieli oboje i oboje sobie szaleli. Czy to był jakiś substytut tego, że nie mieszkają trzydzieści minut od siebie?

Pakowali w to mnóstwo emocji. Im dłużej się nie widzieli, tym więcej.

- **3 MARCA**

Najdroższa Karen, dostałem korektę swojej nowej książki (wybór starych reportaży) i bez końca nad nią siedzę. Cały czas mam w głowie Twój list. Chcę, żebyś zrozumiała, skąd ta jarzeniówka i siwy dym.

„Pod sufitem obskurnego szpitala ledwie mżąca światłem jarzeniówka”. To w reportażu z Damaszku. „Jak okiem sięgnąć, pogorzeliś, smużki siwego dymu”. Już nie wiem, w którym tekście. Tyle mi było wolno. Ale zawsze chciałem, żeby metafora oderwała się od widzialnego obrazu, rozumiesz? Żeby wyszła z podrzędnej roli i sama stworzyła obraz – nierzeczywisty, przerysowany, nawet groteskowy – i żeby wszczepiła go w wyobraźnię. Tak chciałem pisać.

Hasamy sobie, szalejemy. I ja, i Ty. Jak ucieczka, to „na koniec świata”, jak „padamy sobie w objęcia”, to „ze szlochem”. Jasne, powycinałaś. Ale tak naprawdę chcesz zagrać na nosie wszystkim redaktorom i oprawcom, którzy haratali Ci teksty. „Luna jest egzaltowana i już”, „dlaczego słowo «dusza» ma być niestosowne?”, „imieszłowy po to są, żeby ich używać, literatura nie składa się z samych Izaaków Babłów”. Dobrze pamiętam?

Błagam Cię, nie upadaj na duchu!

Miej sobie pretensjonalne pomysły. Zresztą nie wiem, dlaczego *déjà vu* sięgające do mitologii ma być pretensjonalne. I wciąż się zastanawiam, jak to jest, że wiele erotycznych scen z filmów czy książek pozostawia mnie zimnym jak lód – bo są tanie i banalne? Ale wystarczy, że wspomnisz w liście o prosecco w doniczce, i już mam erekcję. A moje erekcje (wybacz minoderyjny żarcik) są przeciwieństwem taniochy i banału.

Ta grdyka, czuję, jeszcze wróci.

W Polsce chłodno. Tym goręcej pragnę zobaczyć Cię wiosną i przypomnieć sobie, jak to jest z tą naszą pieszczotą.

Chciałbym i róży, i masażu.

Całuję Cię – M.

PS Nie wiem, jak to jest z uwodzeniem się na skajpie. Paradoks, że ludzie w naszym wieku muszą używać takich wynalazków, żeby zaznać odrobinę rozkoszy. Ale to fajne wynalazki, no nie? Gdybyś jeszcze włączyła kamerkę...

- **8 MARCA**

Kochany Maksie, Twój list trochę mnie uspokoił. Wciąż czuję się niepewnie. Nie tylko dlatego że lubię wyciągać z lamusa różne słowa i tony, które podobno są już *passé*. Można je przecież odkurzyć, odświeżyć. Pytanie, jak się to wszystko sprawdzi w scenach erotycznych. Jak nazywać Twojego, no właśnie kogo? co? – fiutka? penisa? fallusa? pinokia? – który wystawia się do pieszczoty? Trzeba zacząć, a potem się zobaczy. Zobaczymy, kiedy tylko gdzieś do mnie dołączysz.

Teraz wystawa Miró – „ważniejszy niż dzieło jest efekt, jaki ono wywołuje”. Jeśli dwoje ludzi zmierzających drobnymi kroczkami do seksu spotyka się przed obrazami Miró – efekt jest do przewidzenia. Zresztą wystarczy opowiedzieć, co myśmy wyprawiali w Baden wśród jego obrazów. Czy pamiętasz tego dżentelmena z fularem? I co się działo z Twoją pałeczką?

Grdyka wróci. Mam z tym słowem na pieńku. Nie tylko z tym.

A co z rekwizytami typu księżyc, słońce czy postacie mitologiczne? Zastanawiałam się, dlaczego mamy do nich taką skłonność. Chodzi chyba o to, że szukamy odpowiedniej oprawy dla ich erotycznej, no dobrze – jednak miłosnej, przygody.

Całuję Cię, mój Febliku, K.

PS Rzuciłam okiem na kalendarz i się wzruszyłam. Dzisiaj święto kobiet. Ósmego marca mój ojciec szykował kolację i dostawałyśmy, mama i ja, od niego kwiaty.

- **12/13 MARCA**

Kochana Karen,

to zabawne, że wspominasz o ósmym marca. Byłem tego dnia w odwiedzinach u znajomej logopedki (wiesz, tej od czyżyka, co czesze czarny koczek). Nawarzyłem sobie niemieckiego piwa, brnąc w polską fonetykę – pani G. pomogła. Miałem dla niej dziękczynne kwiaty, czerwone goździki (miniaturowe – takich jak dawniej już nie ma). Drzwi otworzył jej teść, uroczy staruszek, a poza tym wcielenie polskiej mitologii: przedwojenny kawalerzysta, u którego na ścianie wiszą szabla i ryngraf. Chyba nie przepada za wizytami Niemca w swoim polskim domu. Ale tym razem myślałem, że zrzuci mnie ze schodów wraz z czerwonym wiechciem. „Wie pan – powiedział – my dajemy naszym kobietom kwiaty na co dzień, nie od

święta. Zwłaszcza nie od TAKIEGO święta”.

Gdybym tylko mógł, dawałbym Ci kwiaty na co dzień. (Co nie znaczy codziennie! Polski to naprawdę trudny język). Żebyś zawsze miała pod ręką świeżą różę, kiedy do Ciebie dołączam.

Słowo „przygoda”, nawet z przymiotnikiem „miłosna”, JUŻ do nich nie pasuje, prawda? Mimo że JESZCZE nie byli w łóżku. A my, czy my mamy miłosną przygodę, Karen? Śniło mi się wczoraj, że spotkaliśmy się w Bejrucie i poszliśmy do kina.

Byłaś w Bejrucie? Bo ja nie. M.

PS A jak wpadłaś na ten feblik? Tego feblika? Zdziwiasz mnie. Przy całym słowotwórczym problemie w związku z „pinokiem” (konikiem, pegazikiem etc.) feblik wydaje mi się kapitalnie pomocny. I w ogóle to, że feblikiem może być ktoś lub coś. Nie wiedziałem o tym. Bo to, że ktoś (ja) czuje feblik do kogoś (do Ciebie), to już właściwie banał. I za mało powiedziane. Ja czuję prawdziwego FEBLA (nie myl, proszę, z feldfeblem; nie jestem pruskim ani nawet habsburskim militarystą).

- **16 MARCA**

Kochany Maksie, Ty też nie możesz się powstrzymać: te tajemnice i gusła z ostatniego listu Heliodora będziesz musiał potem jakoś uzasadnić, żeby zaspokoić moją ciekawość. Czasem myślę, że my uwodzimy się tymi pomysłami. Przecież Heliodor i Luna nie znają nawzajem treści swoich listów. My tak. Więc dla kogo, pytam, dla kogo ten magiczny kwadrat i dziewczynka w niebieskim płaszczu? Dla kogo tajemnice rodzinne Luny, jej sny i pełnie księżycy?

Jest 16 marca. Tego dnia 1914 roku niejaka Henriette Caillaux, żona francuskiego ministra finansów, zastrzeliła wydawcę „Le Figaro”, który miał zamiar opublikować jej listy miłosne z okresu, kiedy trwało jeszcze poprzednie małżeństwo jej męża. Co byśmy zrobili, gdyby ktoś chciał opublikować nasze listy? Chyba jestem cyniczna – po prostu zażądałabym, żeby nam zapłacił. I moglibyśmy spędzić kilka tygodni na plażach mórz południowych.

Tymczasem jednak od rana do wieczora zajmuję się Bałkanami. Mój szef uważa, że doświadczona reporterka powinna znać się na wszystkim.

A mnie kiedyś śniło się, że byliśmy razem w Pradze. Nie pamiętam dlaczego. W załączniku mały prezent. Całuję, K.

CZESKI FILM



Doba hotelowa zawsze się kończy nie w porę.

Co robisz przez cały dzień, kiedy twój samolot

odlatuje wieczorem lub co gorsza w nocy?
Tułasz się po mieście, jak ja, czy wolisz
muzea, gdzie zawsze jest ciepło i cicho?
Wtedy w Pradze, pamiętasz?
– noc była dla nas za krótka –
poszliśmy z walizkami do kina Lucerna.
Zgasło światło, coś mi szepnąłeś do ucha.
Niestety reklama ukradła
to zdanie.
Ocalał tylko zaimek „cię”.
Jaki czasownik przed nim stał?
Może mówił o tym, co mi zrobisz,
że coś nieprzyzwoitego.
W połowie filmu twoja dłoń
oderwała się od mojego kolana i ruszyła w górę.
Widzowie co rusz wybuchali śmiechem.
Po nagim udzie. Było lato.
A niby co miałyby robić na czeskiej komedii,
nie znając czeskiego, para
bezdomych reporterów.

- **19 MARCA, PÓŹNA NOC**

Kochanie, jestem wzruszony. Ale tym razem, Twoim wzorem, wzruszeniu dam wyraz na koniec.

Teraz: wystawa Miró. Czy to, że piszę, jak naprawdę było, i w dodatku że Heliodor BYŁ TAM JUŻ KIEDYŚ Z JAKĄŚ KAREN, to jest błąd? Moja reporterska rutyna?

Boże, na tej wystawie w Baden – jak ja Cię pragnąłem.

Sny, pełnie księżyc, dla kogo? Jasne, że dla nas. To nie przypadek. Nie umawialiśmy się co do tego. To jest jakaś podskórna prawda, której nie trzeba uzasadniać. Ludzie racjonalni nie kpią z tego, co jest irracjonalne, ale należy do tradycji ich kultury. A może i natury? Może natura i kultura nie muszą się ze sobą kłócić, przynajmniej nie zawsze, nie we wszystkim?

Plaże mórz południowych – tak! Wiosną, wczesnym latem zamierzam polecieć nad Adriatyk. Pojedziesz ze mną? Proszę!

Ten Twój wiersz... Wiem, że zwykle gadam za dużo – teraz nie będę. Gdybyś tu była, przytuliłbym Cię i wiedziałabyś, jak niezdawkowo Cię tulę. Można to opisać – niezdawkowy uścisk? Zwiewny pocałunek?

Pamiętasz, co napisałem o Bejrucie? Trzeba odczarować ten truizm, że sny to literacka łatwizna. A co, jeśli należą do naszych najbardziej autentycznych doświadczeń? W załączniku znajdziesz prezencik (teraz ja zapraszam Cię do kina).

Jest druga w nocy, mam nadzieję, że znów mi się przyśnisz. Twój – M.

PS Nie wyjaśniłaś mi, co z tym feblikiem. I proszę Cię, dajmy im wreszcie TO!

To stąd, z tych oniriad, wziął się pomysł z Manhattanem?

Nie, to było później. Najpierw sami poszli do kina.

A moim zdaniem najpierw wymyślili Woody'ego Allena.

Który wymyślił się sam. Przeczytajmy prezencik.



ŚLIMACZKI MAJĄ DOM ZAWSZE PRZY SOBIE

(wesoły wiersz o długim seansie filmowym w Bejrucie)

Para bezdomnych reporterów, tak.

Mają to, co lubią: wolność.

I lubią to, co mają: hotele, bary,

Galerie. Łączy ich historia, którą

Piszą w drodze. Weszła im w życie,
Pomieszała się z nim, prawdziwa jak
Sen. Sen jest życiem, mówi ona.
A on dotyka jej pleców, zanim
Nadj smalledzie taksówka, przez
Siedem minut. Taksówka nadj smalledzie
Nieprędko, wojsko odcięło
Dzielnicę rządową. Co za ulga.
Umiem też całować inaczej,
Mówi ona i kładzie mu dłoń
Na policzku. Zawsze całujesz
Inaczej, odpowiada on. Chodźmy
Do kina na jakiś długi film, którego
Nie zrozumiemy. Tak, nie trzeba
Rozumieć.
Ślimaczek,
Mówi on, kiedy jego palce
Wspięły się w najgłębszą ciemność.
Ślimaczki mają dom zawsze przy sobie
I lubią wizyty, które nie trwają
Za krótko.

- **21 MARCA**

Kochany Maksie, wiesz, że dzisiaj jest pierwszy dzień wiosny? A zarazem, tak, tak, ich

pierwszy seks. TO. Mówimy o seksie bezwstydnie, więc dlaczego relacja Luny jest grzeczna i nieśmiała? A sceneria, w której kochają się pierwszy raz, tak odległa od naszego obscurnego pokoju w Hawanie?

Ciekawa jestem Twojej opinii o tych pierwszych zmaganiach z językiem. Należałoby stworzyć jakieś erotyczne esperanto dla kochanków na całym świecie. Z każdego języka wziąć to, co najpiękniejsze. Z węgierskiego – przynajmniej dwa słowa: *csikló* i *bimbó*. Zdradzę Ci, że służą do całowania, a jutro, kiedy zadzwonię, powiem, co znaczą.

Adriatyk – oj, tak. Sprawdzę, jak bardzo jesteś solarny i czy Twoja solarność zgadza się z opisem Laury (lubi się wylegiwać na plażach mórz południowych i gapi się na dziewczyny). Na wystawie Miró gapiłeś się na mnie. Mam pytanie: ilekroć się o Ciebie przelotnie otarłam, Twój konik stawał dęba – jak Ty to wytrzymałeś? Ja bardzo dzielnie.

Feblik? Dla mnie to oczywiste słowo. Używał go mój polski dziadek, który urodził się jeszcze w XIX wieku. Pamiętam też wiele innych: mówił do mnie nawojka, jadł nie dorsza, tylko pomuchłę, źle wychowanych ludzi nazywał barbarusami, a kiedy byłam niegrzeczna, narzekał, że się kramarzę. I najgorsze słowo, które chcę zapomnieć, ale nie mogę: słowa „łono” używał w znaczeniu „piersi”. Najadłam się wstydu, kiedy komuś powiedziałam, że serce bije mi w łonie. Dziadek mnie pocieszył, że ludzie to nieuki, a ja mówię Fredrą. Efekt jest taki, że boję się mówić po polsku, bo Polacy się ze mnie śmieją.

A wiesz, ślimaczki lubią też krótkie wizyty.

Całuję Cię w feblika, K.

Nie byli pewni. Dzwonili do siebie po pięć razy dziennie.

Rzeczywiście, i rozmawiali bezwstydnie. „Wieża zaraz otworzy pyszczek i wytryśnie – Pyszczek? Wieża ma pyszczek?” Co nie oznaczało, że umieli TO napisać.

Tak, rozmowy pełne cytatów. Z opowieści, którą właśnie przeżywali.

Aż Karen – Luna – napisała: „Heliodor nie jest cytatem ze świata. Nie ma do niego rymu”.

A Max był zachwycony. Wziął to do siebie.

Oboje mieli rację.

- **21 MARCA**

Najdroższa, piszę niezwłocznie i w wielkim podnieceniu. Wreszcie „się” stało. Czy odtąd wszystko będzie inaczej?

Napisałaś: „żeby nawiązał kontakt z utraconą niewinnością”. Chyba już rozumiem (dzięki

fikcji, Twojej!). I że Luna nie używa naszych bezwstydných słów. Chce kochać się przy Vivaldim. Mam Ci wyjaśniać, Kochanie, to, co sama wymyśliłaś? Nie wymyśliłaś. Wyjęłaś to z zasobu, który nasza kultura erotyczna wyśmiewa, bo nie ma czasu, dokądś jej śpieszno. A dokąd? Dokąd nam było śpieszno, kiedyśmy w Hawanie wyszeptywali sobie słowa, których nie ważymy się dać im, przynajmniej na razie? Do głupiego życia, które anuluje Vivaldiego: na lotnisko.

Ale wiesz co? Jedno i drugie jest fajne: i neoromantyczne wstydy, i to o chwiejącej się wieży...

On to teraz mówi? Przez neoromantyczne wstydy piął się na wyżyny językowej hipokryzji.

Ona też. Może to była cena bajkowości, czytaj: niewinności?

Wszystko jedno. Po próbach i błędach zostali przy „tutti”, „largo” i „rano sprawdzmy, czy to była prawda”.

Nie! Mam ten cytat: „Otwierasz oczy. Kładziesz głowę na moim ramieniu. Obejmuję ją i całuję twoje czoło. Nic nie mów. Lepiej nie. Byliśmy zbyt daleko. Chce mi się spać. A rano, rano przytul mnie i sprawdzmy, czy to była prawda”. Usunęli to.

Szkoda, bo to akurat ładne.

Tak. Zwłaszcza że rano w Hawanie niczego nie sprawdzali. Pamiętasz: szminka na lustrze: „Gnam na lotnisko”.

Głupie życie.

Csikló i *bimbó* brzmią cudownie, bo wesoło. Może tylko w moim niemieckim uchu? *Csikló* (sprawdziłem sobie, co znaczy) rzeczywiście służy do całowania – to najbardziej tajemnicza część kobiecego ciała. I ze względu na to, do czego służy, wielka nadzieja mężczyzny.

Niemczyzna za wesoła w tych sprawach nie jest, ale bywa inwencyjna. Przychodzi mi do głowy słowo *Muttermund*, „usta matki”. Poetyczne, acz nieprzesadnie, prawda? I jakoś niepokojące. A oznacza pewien otworek...

O koniku na wystawie Miró już nic Ci nie powiem, bo przecież wiesz, jak to było: w finale zupełnie inaczej, niż to opisaliśmy. I z perspektywy owego finału jednak fajniej. Wiesz: on woli kłusować, niż wierzgać w stajence.

Do Adriatyku jeszcze tak daleko. A co u Ciebie na przykład w kwietniu? Ja mogę się ruszyć z Warszawy. Podziwiam Twoją polszczyznę.

Alles Liebe. Czyli niby „wszystkiego miłego”. Ale *Liebe* w języku Goethego to także – chyba wiesz co, Poliglotko? – Max

Kochany Maksie, mnie też wiecznie dokądś śpieszno. Tylko kiedy piszę do Ciebie albo wymyślam scenki Luny, zwalniam, jakby ktoś przełączył mnie na inny tryb – inaczej pracuje mój mózg, moje ciało. Nie żal mi wtedy czasu, niech sobie płynie.

Ale przewiduję, że przez ten mózg będą kłopoty z ciałem. Zaczęło wariować. Wciąż mam przed oczyma dwoje nagich ludzi i wyobrażam sobie, co wyprawiają. Czy byłoby łatwiej, gdybym Cię miała pod ręką? Może – ale wówczas nie chciałoby mi się o tym pisać. Niespełnienie też się na coś przydaje. Niesytość?

Co to będzie? Mamy do napisania jeszcze kilka (ile właściwie?) scenek erotycznych. Poradzimy sobie? Idę do sklepu i myślę o seksie. Przechodzę przez jezdnię i myślę o seksie. Za kierownicą myślę o seksie. Max, mieliśmy się zmagać z językiem, ale cielesnych udręk nie przewidziałam.

Pytanie: „Czego byś chciał?” nie wchodzi w grę. Czuję do niego wielką niechęć. A skoro tak, Luna nie może zadać go Heliodorowi, w dodatku pierwszej nocy. Powiedziałaś, że od takiego pytania każdy facet oszaleje ze szczęścia. Ale przecież w seksie nie chodzi o to, żeby szaleć ze szczęścia. Oni mają się bawić, domyślać, poszukiwać, wędrować. Wciąż na nowo. A to pytanie już na wstępie coś kończy. Chyba nie umiem Ci tego wyjaśnić.

Nie wiem, co będzie w kwietniu. Spróbuję wymóc na szefie kilka dni wolnego. Wiesz, jak to robię? Za pomocą paskudnego szantażu. Doświadczona reporterka może sobie na to pozwolić.

Kochanie, no to wracam do pracy. Jednak muszę napisać tekst o sytuacji politycznej na Węgrzech. Młody reporter, który wtedy za mnie pojechał do Budapesztu, nie dał rady. Po powrocie powiedział, że nic z tego nie rozumie. Pocieszyłam go, że wcale się nie dziwię. Żeby zrozumieć Węgry, trzeba by zacząć od bitwy pod Mohaczem. A to było dawno – w 1526 roku. W ostateczności – od traktatu w Trianon. Bez tego ani rusz. Nie przesadzam.

Ale jak ja mam pisać o Węgrach, cały czas myśląc o seksie?

Jak się mają Twoje kaletki i konsola?

Całuję, K.

Karen wcale nie usiadła do tego tekstu o Węgrzech, tylko zaczęła pisać list urodzinowy dla Maksa. Jej ciało wariowało. Przepraszam za rym. Gdyby wtedy do niej przyjechał, to spotkanie przyćmiłoby Hawanę i Baden.

Tworzyli fikcyjny świat i przeżywali go fizycznie. Cały czas byli podnieceni, bodaj bardziej niż Luna i Heliodor.

Max miał dwie kochanki, a Karen dwóch kochanków.

- **24 MARCA**

Kochanie,

pominę wątek Mohacza i Trianon, a co za tym idzie, nie wspomnę o Lesie Teutoburskim ani o Pieśni Nibelungów. Wiem, że mieszam porządki, ale przecież mit nie jest mniej ważny niż tak zwana prawda historyczna – właśnie się o tym przekonujemy. À propos, w związku z poprawkami do pierwszych stu stron: zgoda co do Leny. Wycofam się z Krymhildy, ale zostawię jej nordyckość, dobrze?

„Czego byś chciał?” – uff. Ciekawa kontrowersja. Nadal uważam, że to jest bardzo dobre pytanie, urzekająco proste, bynajmniej nie opresywne, i dobrze mierzy inteligencję erotyczną partnera. Ale – w porządku: Luna jest Twoja. A wiesz: myślę czasem, że mam teraz dwie kochanki. Albo jedną, ale w dwóch osobach. Jest daleko i blisko – w mojej głowie. W związku z tym też wciąż myślę o seksie – z Tobą-Luną-Luną-Tobą. Niektóre rzeczy robię (myślę) pierwszy raz w życiu.

A Ty, czy nie robisz (mówisz, myślisz) ze mną różnych rzeczy pierwszy raz? Ta pierwszorazowość to część naszego zauroczenia, im później przychodzi, tym trudniej z niego ochłonąć.

Heliodor przestaje wysyłać listy do Wodza. Jestem bardzo rad z ostatniego zdanka w scenie z Arletą po bankiecie. Jest takie proste. Będzie kluczowe. Myślę, że pasuje do mnie dzisiaj, teraz.

I zauważyłem: „kobieta po pierwszej nocy z mężczyzną czuje się dziwnie. Chciałaby tę noc cofnąć i zarazem powtórzyć”. Pomówmy jeszcze o tym.

Bardzo chcę Cię zobaczyć w kwietniu. ZSS (Załatw Swego Szefa).

A właściwie spod jakiego Ty jesteś znaku, Węgierko? Bo ja Baran.

Całuję Cię – M.

- **25 MARCA**

Najdroższy Maksie,

dzisiaj są Twoje urodziny. Zastanawiałam się, co mogłabym Ci podarować, gdybyśmy ten dzień spędzali razem. Nie gromadzimy przedmiotów. Przeczytane książki zostawiamy w hotelach, samolotach, pociągach. Wszystko, co nam potrzebne, mieści się w jednej walizce. Lubię takie życie, ale kiedy wracam do domu, w pierwszej chwili brakuje mi kwiatów, drobiazgów, jakimi z upływem czasu wypełniają się mieszkania ludzi osiadłych. Luna też jest

koczowniczką, choć mądrzejszą – ma dokąd wracać. Zadbam o to, żeby nie straciła bajecznej podróży z Heliodorem. Żeby mogli spędzać razem dni swoich urodzin.

Gdybyś dzisiaj tutaj był, podarowałabym Ci piknik. Opowiadam o tym w załączniku.

Całuję Cię inaczej niż zawsze. Lubię słowo „inaczej”. K.

PS A ja – Rak.



Pakuję do kosza, wiesz co, prawda? Szampana, oliwki, ser, owoce. I cytrynę, dla ozdoby, żeby błyszczała w słońcu. Pamiętam o wodzie, bo potem chce się nam pić. O serwetkach, niech będą zielono-czerwone. O pledzie. Las jest zaledwie kilometr od hotelu. Byłam tam i znalazłam polanę bardzo odpowiednią do świętowania. Na jej skraju rośnie brzoza. Rozkładam pled, a ty otwierasz szampana. Pieszczę twoje wargi chłodnym winogronem, a potem wsuwam je do twoich ust – to dla ciebie całe to teatrum. Żebyś czuł, jakie to ważne, że się urodziłeś. W jednej ręce trzymam kieliszek, drugą rozpinam twoją koszulę, powoli, potem szorty, trochę szybciej, żeby wypuścić na wolność paleczkę. I pora na wyznanie: dziś mam ochotę nazwać ją trochę dosadniej. Więc biorę łyk szampana i patrząc ci prosto w oczy, mówię: „Masz fajnego fiuta”. To słowo nie pasuje do historii, którą opowiadamy, ale do naszej – tak. Kobiety czasem kusi i wtedy przestaje się ceregielić. I ma frajdę, kiedy nazwie rzecz po imieniu. Tak się biedzimy, wymyślamy jakieś poetyzmy, a potem zwykły „fiut” sprawia nam tyle radości.

To dopiero początek prezentu.

Obok nas, na gałązce, kopulują dwie biedronki oczatki. Stworzyłam je dla ciebie. Jak myślisz – po co? I po co ten zapach ziół i brzoza?

– Max – pytam – dlaczego nie mam nic pod sukienką?

Milczysz, ale rzecz nazwaną po imieniu ta wiadomość bardzo poruszyła.

A teraz patrz – jeden ruch i suknia spada. Wokół talii mam wstążkę zawiązaną na kokardkę. Ukradłam ją w hotelowej restauracji ze stolika nowożeńców. Dlatego jest biała.

Krótko mówiąc, prezentem jest miłość w plenerze.

Na polanie. W drżącym od listków brzozowych cieniu. Kładę dłonie na trawie. Rozwiązujesz wstążkę. Całujesz moje plecy i pieścisz cycuszki. Pinokio łąsi się do moich pośladków, ud i wsuwa się – jak to nazwać? – tam. Witają się, łakomie oblizują nawzajem. On chce wejść dalej, ale zwleka. Ona chce go wpuścić, ale się waha. Naradzają się i przekomarzają.

Preludium – o tym się pamięta, a ty pamiętasz również o kodzie, którą przedłużasz w listach i telefonach, tak że staje się częścią kolejnego preludium.

I wnika.

Nie opowiem, co wtedy czuję. Ty lepiej znasz moje wnętrze, ciemność, która cię zabiera. Jeszcze raz. Jeszcze raz. I zostawiasz we mnie całą swoją biel.

Nie lubię tego pytania, ale dziś są twoje urodziny, więc je zadam: „Czego byś chciał?”.

Bądź szczęśliwy, Twoja Karen

- 26 MARCA

Och, Karen! Radość i podniecenie, które mi dałaś w prezencie: patrzę na rzędkie Twoich słów, jednocześnie słyszę Cię i widzę, jakbyś tu była i czytała mi na głos.

Czy listy Luni i Heliodora są równie podniecające jak ten Twój? Kiedy ochłonę, napiszę scenkę. Ale po tym liście prezencie, nie wiem, o czym ani jak.

Czego bym chciał?

To drogocenny podarunek. Chowam go w kaletce.

Rzeczywiście dziwna rzecz z tymi słowami. Konsola nie kojarzy mi się z architekturą ani meblarstwem: jest w niej słońce i sól, może stąd wzięła się konsolacja? Smutek i słona łza, pociecha i ciepły promień w jednym?

Męski kroksztyn ma właściwe znaczenie, ale konsola?

Śnił mi się Cortazár. Siedział przy konsolce i tasował kartki z reprodukcjami Klee i Miró. Nagle odwrócił się do mnie i powiedział: *la libertad, única ropa que le caí a bien a la Karen.*

Może jednak wiem, o czym napiszę. Całuję Cię w konsolę – Twój Max

Max nie zna hiszpańskiego, jednak to zdanie zapamiętał. Rano zapisał je, a potem odnalazł w przekładzie *Gry w klasy*, w którym zgubiła się „wolność”.

Śnił po hiszpańsku? Nie do wiary. A dlaczego zajrzał do *Gry w klasy*?

Bo Klee i Miró należą do świata Magi.

A może magii? Dla Karen i Maksa Miró stał się częścią obrządku.

A jakże. Po tym liście Max napisał ową mocną scenę.

- 28 MARCA

Drogi Maksie, ciekawe, że śnisz po hiszpańsku, chociaż nie znasz hiszpańskiego. I niezwykle sny dajesz Heliodorowi. W pierwszej chwili przestraszyłam się tego rozkazu „obejmij mnie mocno ustami”, i że jego adresatką jest Luna. Ale nie, to tylko cortazarowski sen. Mam wrażenie, że tryb rozkazujący w ich, w naszych ustach brzmi jakoś mniej inwazyjnie. Myślę o tym.

Ile nieporozumień może wywołać jedno słowo, jeśli jego znaczenie jest nieoczywiste. Pytałam nie o Twój stolik, tylko o kolumnkę. Nie odpowiedziałeś.

Luna właśnie poznała swojego brata przyrodniego. A potem – znów jest trochę onirycznie, chyba niestety do poprawki. Powinniśmy tę scenę napisać razem, tak jak dialogi.

Pojutrze lecę do Kairu. Marszałek as-Sisi zrzucił mundur i będzie kandydować w wyborach. To pewne, że wygra. Jak sądzisz, zechce udzielić mi wywiadu? Żartuję. Nie zechce. Pewnie się domyślasz, że nie palę się do tej podróży. A wiesz, w miejscach, gdzie jest niebezpiecznie, mam piękne sny. Na przykład taki: wieczorem wracam do zapyziałego hotelu i w hallu widzę Ciebie, jak siedzisz i czytasz gazetę. Trzymasz ją do góry nogami i przez dziurkę obserwujesz wejście. Wchodzę, gazeta przesuwana się nieznacznie. Wiem, że to Ty. Twoje dłonie rozpoznam, nawet gdybyś je sobie odmroził na Kamczatce. Ale w Kairze jest ciepło. Dalszego ciągu nie znam.

Całuję, K.

Wzięła klucz i poszła do swojego numeru. Po kilku minutach Max ruszył za nią. W korytarzu na jej piętrze spotkał sprzątaczkę. Tymczasem Karen postanowiła wziąć prysznic.

Ale przed wyjazdem do Kairu napisał jeszcze jeden list. Miał plan.

- **28 MARCA, NOC**

Najdroższa, a który hotel w Kairze wybierasz? Nie bierz zapyziałego! Doradzam Intercontinental Cairo Semiramis albo Osiris (znam tylko te dwa).

Nie wiem, czy nie za dużo tych snów. Zresztą także w snach, zamiast mówić swoim językiem, uciekamy w zdania typu: „Wąż wysunął mokry pyszczek”. Pamiętam, co mówiłem o metaforze, ale – jednak – nie przestałem być reporterem. Reporter napisałby: „Spęczniał, urósł, stwardniał i zwilgotniał” (pomijam to, że reporterzy raczej nie zajmują się urodą erekcji). Co lepsze?

Mamy prawie 150 stron. Uśmiecham się do ich historii. Na początku wiedzieliśmy o sobie niewiele: opiszemy tę samą historię językiem mężczyzny i językiem kobiety, które będą się różnić jak pary chromosomów XX i XY – tak zakładaliśmy. Ale potem zaczęliśmy mówić jednym językiem, naszym. To dobrze czy źle? Głupie pytanie, bo nie mogło być inaczej. Heliodor i Luna podkradają sobie myśli i zdania, też tworzą wspólny język. Obie historie nakładają się na siebie. Tyle tylko, że oni spokojnie się kochają, a my głównie gadamy. Zagadujemy tęsknotę.

Trochę mi łatwiej tęsknić, kiedy czytam takie zdania jak to o figlarzu, który siedzi w lobby hotelu Ozyrys i patrzy przez dziurkę w gazecie. Weź kostium kąpielowy, w Kairze jest teraz 25 stopni.

Całuję – M.

Wcale nie znał kairskich hoteli. Wybrał dwa z internetu.

Wiedział, że Karen jest bystra i zamieszka w Ozyrysie.

Miał lot z przesiadką w Rzymie, był na miejscu około południa. Pojechał prosto na 49 Rue Nobar. Spytał o numer pokoju Karen. Wydawało mu się, że słyszy szum wody. Kiedy sprzątaczką na korytarzu zobaczyła faceta z butelką sherry i bukietem róż (w liczbie 33), otworzyła mu drzwi i dłuższą chwilę gapiała się przez szparę. Max ułożył róże na podłodze, tak żeby tworzyły korytarz od łazienki do szerokiego łóżka, nalał sherry do dwóch kieliszków i puścił z telefonu *Many Rivers to Cross* Animalsów. Sprzątaczką zamknęła drzwi. Woda pod prysznicem przestała szumieć.

I jak było?

A jak miało być? Bosko. I znów inaczej.

Max chciałby, żeby Karen zauważyła, że kocha ją inaczej. Po arabsku. Licho wie, skąd o tym wiedział: o seksie słabo znanym zachodniej obyczajowości, bardziej demokratycznym niż w Europie. O współbrzmieniach, niedokończeniach, naśladowaniach. O tym, że fiutek szaleje w przedpokoju. Antyszambruje. Słyszałaś o „krawcu miłości”?

?

O „łuku tęczy”, o „rozchylonym kwiecie”?

Całkiem ładnie. Możesz być pewny, że zauważyła, jeśli tak właśnie ją kochał. Ciało i mózg kobiety rejestrują najdrobniejszą zmianę w erotycznych zachowaniach mężczyzny. Dzięki temu kobieta potrafi zdemaskować zdrajcę.

Wciąż dowiaduję się od ciebie czegoś nowego. Opowiesz mi o tym?

Tak, jeśli ty mi opowiesz o tym krawcu, łuku i rozchylonym kwiecie.

- **3 KWIETNIA**

Kochany Maksie, jeśli chcesz, możesz czytać moje listy od końca. Czasem łapię się na tym, że przejmuję jakieś obyczaje Luny. Natomiast ona, jak na razie, nie ma moich nawyków.

Po Twoim wyjeździe wybrałam się do Miasta Umarłych. Oczywiście nie sama, tylko ze

znajomym dziennikarzem, który tam często bywa i ludzie traktują go jak swojego. W takich miejscach zawsze czuję się nieswojo, jak damulka z bogatego świata, która chce sobie urozmaicić wczasy widokiem egzotycznej biedy. Kiedy o nich piszę, zdania trąca fałszem. Już-już przychodzi do mnie ten język i okazuje się, że mówi bardziej o sobie albo co gorsza o mnie niż o tych ludziach. Tak jest od początku. Zaczęłam od swoich Cyganów (*pardon* – Romów) węgierskich i rumuńskich. I kierowałam się intuicją. Tamte reportaże były nawet niezłe, choć dziś wydają mi się zbyt emocjonalne. A potem przez całe zawodowe życie pisałam pod znieczuleniem.

Siedzę w hotelu i próbuję napisać o tym, co tutaj widziałam – i wiesz, poszukiwanie erotycznego języka dla Luny wydaje mi się łatwiejsze.

Uwielbiam pisać naszą książkę, uwielbiam te nasze zdania. Twoje pocałunki marcowe i kwietniowe. Takie w sam raz. Nie mądrzyły się ani nie chciały być lepsze.

Za trzy dni wyjeżdżam. Muszę tu wrócić pod koniec maja na wybory. Kwiecień mam wypełniony po brzegi, tak jak Ty. Ale w maju chciałabym sprawdzić pocałunek majowy. I zrobić Ci majową laseczkę. A może pierwszomajową? Pamiętasz czyny pierwszomajowe? Czy nie byłoby weselej, żeby zamiast machać łopata, sadzić drzewa albo przekraczać normy, kobiety tego dnia robiły swoim facetom laski, a mężczyźni... Wymyśl, co w tym dniu mężczyźni mogliby robić dla kobiet, żeby były szczęśliwe. Tak jak ja teraz.

PS 1 Mam na stopie ślad po ukłuciu. Czy to była droga ciernista, czy droga usłana różami? Wszystko jedno – prowadziła do rajcu.

PS 2 Podobno Rilke umarł na białaczkę, którą wywołało ukłucie różanego kolca.

Całuję, K.

7 kwietnia

Ukochana Karen, nie wiem, gdzie będziesz czytać ten list – w Warszawie kwiecień wciąż jakiś niewiosenny, a ja już marzę o maju. Piszesz podniecające zdania, jak to o pocałunkach, które się nie mądrzą. Akurat to najpierw powiedziałaś (przy genialnej arabskiej kawie), a potem napisałaś. Może dlatego wydaje Ci się, że wpaść na coś takiego łatwiej, niż „machnąć” refleksję o sobie na tle egzotycznej biedy?

Zdanie o pocałunkach chciałbym Ci ukraść.

O naszych egzaltacjach i romantyzmach jeszcze pogadamy, prawda? Przecież Heliodor i Luna nie biorą ich z naszych rozmów. Więc skąd?

Najbliższe dni spędzę na prostowaniu neurologicznych niedorzeczności. Trochę tego jest. Język od czasów babilońskich nie przestaje się dzielić, mam wrażenie, że jest coraz więcej przeróżnych socjolektów czy żargonów. Neurologi, logopedzi, wszyscy fachowcy gadają szyfrem. My też wiemy swoje o reportażach z frontu. „Według źródeł zbliżonych do Pałacu...

Partyzantka dogasa, ale upłynie dużo wody w Eufracie, zanim okoliczna ludność... To była ich nauczycielka angielskiego; zaniemówili, kiedy zobaczyli ją w burce, myśleli, że to żart. Ledwo autobus ruszył, krzyknęła *Allāhu Akbar* i wyrwała zawleczkę. Przeżył jeden siedmiolatek”...

Dobrze odmierzone zdania; nie muszę ich wymyślać, po prostu mam je w głowie. Napisaliśmy takich zdań x do potęgi x, aż w końcu mamy ochotę na coś takiego: „Wąż rozpoczął swoją opowieść. Rozchodziła się śpiewnie po całym jej ciele. Napawała je radością i smutkiem”.

Kto jest fachowcem od języka erotycznego? Wszyscy, którzy uprawiając seks, coś do siebie mówią.

Czy mamy inne wyjście? – musimy dać H. i L. nasze zdania, choć przeznaczamy je dla siebie nawzajem. Skoro już tyle w Tobie Luny, a we mnie Heliodora.

No i najważniejsze: „co w tym dniu mężczyźni mogliby robić dla kobiet”. Myśl pierwsza z brzegu, a właściwie z życia: mogliby brać wychodzące spod prysznica kobiety na ręce – nie pokłudyby się na „drodze usłanej różami” – i zanosić je na posłanie, i dawać im pierwszą pieszczotę: pieścić nadgarstek, całować dołeczek w zgięciu łokcia. A potem słuchać rozkazów.

Ja też byłem w raj. Ozyrys jest bogiem życia.

Całuję Cię w dołeczek – Max

PS Zdanie, że jesteś szczęśliwa, schowałem najgłębiej w sercu. Bije mocno!

- **12 KWIETNIA**

Drogi Maksie, a tutaj ciepło i słonecznie. Twój list przeczytałam w redakcji. Do końca kwietnia mam komentować sytuację w Izraelu, na Ukrainie, w Egipcie, na Węgrzech (Orbán wygrał wybory), ale stacjonarnie. Krótkie teksty. To mi nawet odpowiada, chociaż trudno pisać o czymś, czego się nie widzi. Zwłaszcza jak się rzuca palenie. Tak – od tygodnia nie palę i jestem odmóżdżona. Myślę tylko o jednym: o papierosie.

Na razie nie umiem wymyślić kolejnej scenki. Podczytuję to, cośmy już napisali. I co? Wszędzie widzę używki: Heliodor wciąż pali, chociaż szykujesz go do startu w triathlonie. I pije. Ona także, trochę mniej. Heliodor robi sobie drinka, nalewa whisky do szklanki z kostkami lodu, które pękają, Cornelia wyjmuje z plecaka butelkę Jacka Daniela, następnym razem pije czystą. U Rogera piją, pod brzozę piją, wszędzie piją. I palą. Może to tylko przeczulenie związane z moim żalonym stanem, ale powinniśmy prześledzić ten wątek.

Max, byłam pewna, że Ty te sprawy neurologiczne Wodza konsultujesz z jakimś lekarzem. Wszystko brzmi tak fachowo. Czyli co – czerpiesz wiedzę z Wikipedii? Niemożliwe!

Wiesz, sądziłam, że jako DR (doświadczona reporterka) wyrażam się dość precyzyjnie. Chyba jednak za szybko i zbyt skrótowo chciałam Ci opisać te swoje namysły nad językiem i wyszło nie tak – co innego miałam na myśli. Trzeba być uważnym – piszemy coś, a do adresata

dociera inna treść. Nigdy, przenigdy nie chciałam mówić o sobie, zwłaszcza w kontekście biedy. Przeciwnie – od ponad trzydziestu lat szukam języka, w którym byłabym nieobecna. To się czasem udaje.

Powiedziałam Ci – uwielbiam pisać naszą książkę, która daje mi radość i wolność, jakiej nigdy nie czułam jako reporterka. I chyba pierwszy raz nie oceniam tak surowo tego, co piszę. Umiem się śmiać z wpadek, bawić, zmyślać. Co ciekawe – ten kontrast między dyscypliną a niefrasobliwością stwarza coś w rodzaju pełni.

Jesteś w tym wszystkim. W moich zdaniach. Wiem, jak trafiłeś do tych, które składają się na naszą powieść, ale nie rozumiem, jeszcze, w jaki sposób wpływasz na język moich reportaży. Kiedy pisałam o Mieście Umarłych, myślałam o Tobie. I nagle zaczęłam znikać z tego miasta, z tekstu – zostali ludzie, którzy tam mieszkają. Może rozumiem, co mówi Buber – że każde prawdziwe życie jest spotkaniem.

Kochanie, Ozyrys kojarzy mi się ze śmiercią i z jego fiutkiem, który zaginął na dnie Nilu. Żadna kobieta już nigdy go nie pocałuje. No to Cię całuję, K.

- **20 KWIETNIA**

Najdroższa Karen,

po naszej ostatniej rozmowie telefonicznej nic tylko poprawiałem. Odłupuję Heliodorowi różne zdania, aż leci kurz, jak przy rujnacji domu z cegły. Wybacz, że się burmuszyłem. Chcę tylko, żebyś go lubiła (bardzo, ale ociupinkę mniej niż mnie).

„Żadna kobieta już nigdy go nie pocałuje” – fantastycznie wieloznaczne.

Zniknąć w tekście – wiem, o czym mówisz. Reportaże i proza erotyczna są chyba od siebie biegunowo odległe, bo w naszej historii pakujemy się do tekstu na wszelkie sposoby. Paradoksalnie te poetyzacje są świadectwem naszych reporterskich nawyków; uciekamy w sztuczność, ponieważ odwaga, z jaką rozmawiamy o fiutku i cipce, budzi w nas obawę przed napisaniem reportażu z rozkoszy erotycznej, w którym rzekomo nie powinno nas być. A jednak musimy być; to, co powiedziałaś mi przez telefon o H. – że powinienem go upodobnić do siebie – tego właśnie dowodzi.

Następna scena erotyczna, nad którą się biedzę (dopóki cierpisz przez niepalenie), musi być mądrzejsza. Jak usta, które zdradzają mądrość i talent, kiedy się nie mądrzą.

Jestem w Twoich zdaniach? Nigdy nie słyszałem nic równie pochlebnego. Może gdzieś tutaj tkwi tajemnica języka erotycznego, który się nie osuwa w grafomańskie oczerety, tylko naprawdę działa?

Muszę jeszcze o tych używkach: lubimy palić i pić, bo od liceum wałęsamy się z Filipem Marlowem, chadzamy do baru z Ravikiem, wdychamy dym z fajek Bogarta. Pamiętasz, jak sexy wyglądała z papierosem Catherine Deneuve albo Liz Taylor? Że to niezdrowo? Jasne. O tym, że

ma być zdrowo, doskonale wiemy, choć nie zawsze wiemy dlaczego. Bo tak mówią lekarze i biurokraci? Ale filozofowie już chyba nie? A jeśli zdrowie równa się zniewolenie?

Dobra. Nie palimy na lotniskach, w knajpach i na przystankach. A pamiętasz, jak fajnie było na Kubie? Wyglądałaś nadzwyczaj podniecająco z cygarem w smukłych palcach. Paliłaś z dużym wdziękiem. Tęsknię za tym obrazem.

Dzisiaj Wielkanoc. Co robią w Wielkanoc prześlizgane węgierskie reporterki? Chyba nie piszą o Orbánie? Jednej z nich chciałbym zajrzeć przez ramię, zanim kropla dżdżu z moich włosów (deszcz w Warszawie) spadnie na jej manuskrypt.

Całusy świąteczne – Max

PS Wróciły do mnie nasze rozmowy o smutku pierwszej nocy i poczuciu straty. Zajrzyj, proszę, do opowiadania Ingeborg Bachmann *Ondyna odchodzi*, zrobiłem Ci PDF.

- 22 KWIETNIA

Kochany Maksie, normalne węgierskie reporterki w Wielkanoc świętują i objadają się po długim poście. A ja miałam dyżur w redakcji i byłam głodna jak wilk (polski) albo jak niedźwiedź (węgierski). Ale nie narzekam, wolę to niż wielogodzinne biesiadowanie. Naprawdę – słowo „tradycja” nie kojarzy mi się najlepiej, od kiedy, jeszcze w czasie studiów, zaczęłam się włóczyć po cygańskich dzielnicach. Dla mnie oznacza ono przede wszystkim wykluczenie.

Podoba mi się ta spadająca kropla deszczu, przypomina kroplę wody na różowym śniegu. I inne krople, kropki, kropeczki. U Luni i Heliodora jest już maj, prawda? Nie możesz się go doczekać. Ja też. To chyba wystarczający powód, żebyś klepnął Heliodorowy „pocałunek lekki jak promień majowego słońca” (zanim Ci ten fragment wysłę, naprawdę nastanie maj), który ma coś wspólnego z Twoim: „Myśli mam lekkie jak wiatr”.

Słowo *csikló* może Ci się teraz przydać.

Niestety, język erotyczny chyba nie potrafi się obejść bez kiczu i „grafomańskich oczeretów”. Co z tego? Ja, podobnie jak Luna, wolę się kochać w łóżku, nad którym wisi odpustowy gobelin, a nie Rembrandt. Na ciepłym mchu, na piasku itd.

Całuję, K.

- 30 KWIETNIA

Tak, Koteczku! Wybacz, że tyle to trwało; tymczasem byłem w Berlinie, gdzie opowiadałem o polskim życiu politycznym. Czuję się z tym niefajnie. Kocham ten kraj i jakoś go podziwiam, ale czasem za blisko mi stąd do Azji.

„Pocałunek lekki jak promień majowego słońca” – jasne, że klepnąłem. *Csikló* może mi się przydać? Chyba już nie będę nazywał JEJ inaczej (po polsku to ONA, a po niemiecku ON). Nieźle też brzmi zwrot *caresse le clitoris* – mam wrażenie, że francuszczyzna jak w sam raz odpowiada urokowi tej pieszczoty, którą tak lubię w naszym seksie.

Umiemy ją opisać? Kiedy całuję Cię TAM (pod gobelinem)? Tę chwilę, kiedy wszystko się już zaczęło i wszystko jest jeszcze przed nami?

Już. Ani słowa więcej. Może jedno, co wygrzewa się na słońku: *szeretlek* – M.

(Jak widzisz słownik niemiecko-węgierski stał się moją lekturą).

- **3 MAJA**

Hej! Gdybyś miał wątpliwości – to gromkie „hej” jest wołaniem *de profundis*. Całe dni biorę się w garść, po czym upadam na duchu i ciele, znów się podnoszę i tak bez końca. Wciąż deklinuję w myślach słowo „papieros” – i wcale nie po węgiersku, tylko po fińsku, bo w tym języku jest aż piętnaście przypadków. I pomyśleć, że, jak zwykle, chodzi o mózg, o „tę kupkę szarej masy, która mieści się w dwóch dłoniach”. Mózg, który zawiaduje i nałogami, i zakochaniem. Na szczęście chemia mózgu Luny i Heliodora nie zdąży się skończyć. A swoją drogą – co dzieje się z bohaterami powieści, kiedy skończy się powieść? Nadal w niej żyją, wciąż od nowa, tak samo i trochę inaczej?

Z tą miłością do jakiegoś kraju tak bywa: kochasz go, ale nie wiesz za co. A Ty masz dwa trudne kraje do kochania. Ale czy musisz je kochać? Lubię wracać na Węgry, ale wielu rzeczy tam nie cierpię – na przykład patriarchy, bezczelnych kelnerów na Váci utca, wyjętych jakby z modernistycznych powieści, tej gadki o naszej wyjątkowości, o tym wiecznotrwałym przedmurzu chrześcijaństwa i o Trianon, pogardy dla Cyganów. A kocham: język. Literaturę. Muzykę ludową. I węgierską Kobietę.

Kotku, pojutrze (chyba) wyślę Ci kolejny fragment, który powstaje na raty. Poczekasz? Jasne, że tak. Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest.

I na koniec:

Ja też coś lubię. Rozkazywać mu, bez słów. Wystarczy pocałować Cię w czoło. Wiesz o tym? A on zrywa się ze snu albo powolutku, nieśmiało wstaje, przeciąga się i rozgląda. I pyta: to co, poharcujemy?

Całuję, K.

- **5 MAJA**

Kochanie, podoba mi się stabilność Waszej relacji, opartej na ciekawości – cierpliwości – nadziei – i z całą pewnością odpornej na nudę. A miłość? Tak, jest cierpliwa, ale zamiast

„łaskawa”, wolę „ciekawska” i „nadziejotwórcza”. CCN – figura, którą opisałaś mi w Kairze – pasuje do opisu rozkoszy i cielesnych, i duchowych. Święta trójca. Nie bluźnię, w końcu to nie ja wymyśliłem, że Bóg jest miłością. A jeśli tak, to ja Go lubię, a On nie może mieć mi za złe, że uświęcam trójcę Ciekawość – Cierpliwość – Nadzieja. Polacy mają taki zwrot: „za pan brat”. Myślę, że z bogiem, który jest miłością, można być za pan brat. Dziwne tylko, że nie można być „za pani siostra”. W końcu miłość jest kobietą. Tu i teraz węgierską. Jak to będzie „za pan brat” po węgiersku?

Zapędziłem się. No dobrze, wracam jeszcze do tego prysznic w antykwariacie. Jak widzisz, Heliodor dostał od Luny słowo *csikló*. Twoje, nasze, nas czworga. Nurzamy się w tych podwójnościach: rzeczywistość–fikcja, prawda–zmyślenie. W ich nierozdzielności. Trzeba, powiedziałaś kiedyś, zmyślając, mówić prawdę. A mówiąc prawdę, zmyślać. A może powiedziałaś jedno, a ja drugie. Co za różnica – w miejscu, niemięjsku (utopii), w którym jesteśmy, wszelkie różnice (między nami czworgiem, między naszymi światami) wydają mi się względne. Nie mogę się temu nadziwić.

Prysznic w antykwariacie jest symboliczny dla naszych decyzji, nie uważasz? Pozostawiamy go w niedomówieniu – czy dlatego, że sami w Ozyrysie kochaliśmy się nie na mokro i na stojąco, tylko w łóżku, w płatkach róż?

Aha, w nowej wersji nie ma już wielosmakowej *csikló*. Jest Czomolungma.

Smaki Twojej *csikló* – nie mam słów. To właśnie jest problem: brak słów. Może trzeba ich szukać w innych językach.

O Wiktorze Sonnenbergu jeszcze sobie pogadamy, co? Wszystko mi się płacze.

Co dzieje się z bohaterami powieści, kiedy skończy się powieść? Czy z niej wychodzą? No jasne, ale ich losy różnie się układają. Na przykład niepodobna sobie wyobrazić, że komedie romantyczne z happy endem dochrapiają się kiedyś Znaczenia krwawych tragedii. Nie wiem, dlaczego nauka o literaturze tak bardzo się myli w tej mierze. Ludzie marzą o pięknym życiu, które może być piękne, nawet jeśli jest w nim choroba, samotność, śmierć. Coś o tym wiemy, prawda? Ale jakimś zrzędzeniem tego BOGA, o którym mówiłem, wiemy też coś o ziszczonych marzeniach. Co za paradoks, niemiecki renegat wiary wraca na łono Iglesia del Amor (po hiszpańsku „kościół” jest kobietą, a „miłość” mężczyzną) dzięki węgierskiej Kobiecie.

Dlaczego przychodzą mi do głowy słowa w języku, którego nie znam? Tajemnica kupki szarej masy. Chciałbym pobaraszkować z Tobą w otchłani, z której wołasz. Przy polskiej wódce i kubańskim cygarku – wybaczone mefistofeliczne okrucieństwo. Wiesz, że Mefisto też ma cygarko, które mu się ciągle tli? À propos, czy my mamy pomysł na Fausta?

Czytam Twój wiersz, raz po raz, i myślę, że musimy wysłać H. i L. do kina. A Ty, pójdiesz ze mną na jakiś film, który nie będzie nam przeszkadzał w wyznawaniu wiary?

Twój M.

Kochany Maksie,

przecież wiesz, że jestem niepoprawną sceptyczką, której obcy jest optymizm, a tym bardziej pozytywne myślenie – jakiś niedorzeczny wynalazek współczesnej psychologii. Oczywiście używam słowa „nadzieja”, ale na co dzień jej nie mam. A jeśli mimo wszystko coś mi spada z nieba, czuję czystą radość, nieoczekiwaną. Gdyby Bóg był (była) kobietą, można by było z Nią być „za pani siostra”. Kiedyś przedstawię Ci swoją wizję świata stworzonego przez Panią Bóg, a nuż Ci się spodoba.

A tymczasem za pan brat można być tylko z diabłem. Tylko on poklepie Cię po ramieniu, powie dobre słowo, pocieszy. Oj, też się zapędziłam. Stop.

Pomysł na Fausta? No tak, najpierw wciąż się wokół nich pałętał, a teraz znikł. Nie wolno tak traktować zwierząt. Musimy o niego zadbać.

Tak, wyślijmy ich do kina na jakiś film, który oboje lubimy. Zaraz przeczytam sobie twój wiersz o ślimaczkach.

Od 12 maja aż do prezydenckich wyborów w Egipcie jestem wolna jak wiatr. Czyli bardziej niż ptak. Ale nadal na odwyku – cygareto nie wchodzi w grę. Ani otchłani. Nie chcę Cię w nią wciągać.

Wiem, że coś wymyślisz. Pa, K.

PS Przeczytałam ten tekst Bachmann, który mi podesłałeś. Przeraza mnie zawarta w nim figura kobiety.

- **8 MAJA**

Kochanie,

znowu zacząłem od końca i znalazłem nutkę kokieterii („może to jest fajne?”) plus same odmowy: ani cygara, ani otchłani, tylko przerażająca figura kobiety u Bachmann. Oby ta Twoja asceza nie miała jakichś skutków ubocznych. Będę im przeciwdziałał, jak umiem.

Wracając do Bachmann: pochopnie oceniasz Ondynę. Kiedy powiada na końcu tekstu – po wszystkim, co wyrzuciła z siebie o mężczyznach – „Przyjdź. Choć raz. Przyjdź”, to mówi najprościej coś głęboko prawdziwego. To inna wersja ambiwalencji, którą wyraziła Lucile Desmoulins, kiedy w *Śmierci Dantona* wołała do Camille’a: „Odejdź! Przyjdź!”. Czy nie o tym mowa, kiedy Luna wspomina o pragnieniu kobiety: cofnąć tę noc i powtórzyć? I Ty, gdy piszesz o stracie i smutku pierwszej nocy?

Ciekawe, co mówisz o nadziei. Tylko tę siostrę spośród córek Zofii Rzymskiej włączyłaś do swojej trójcy, a teraz się jej wyrzekasz. Niepotrzebnie. Cierpliwość i ciekawość może zależą

od Ciebie, ale ona nie. Jej siostrami są wiara i miłość; przychodzą i są albo nie.

Od 19 grudnia w Hawanie mam wrażenie, że Nadzieja mieszka sobie u mnie, sublokatorka za darmo, i za nic nie chcę, żeby się kiedykolwiek wyprowadziła.

Kiedy są te wybory w Egipcie? Wiesz, odpadłem od bieżącej polityki, zabiegam w swojej niemieckiej redakcji o „status specjalny”, co, jak się domyślasz, jest bardzo trudne. Mam dosyć zmagania z instytucjami, w tym wypadku z wielkim niemieckim „medium”. Najchętniej porwałbym Cię na jakąś wyspę, gdzie byłibyśmy tylko my i córki Zofii Rzymskiej.

Załączam Ci fragment z liczbami i rozmowę z Cornelią. Wysłałbym H. i L. na Felliniego albo na Woody’ego Allena. Niech robią to, co, my też byśmy mogli, gdybyś mieszkała trzydzieści minut stąd. A może po prostu przyjeżdż? Całuję Cię w Czomolungmę – Max

PS 1 A wiesz, dlaczego zamęczono trzy córki Zofii? Bo mamusia odmówiła złożenia ofiary bogini Dianie. Śmierć Wiary, Nadziei i Miłości jest jednym z najokrutniejszych świadectw religijnego zacietrzewienia. I popatrz, ta sama Diana przekonuje mnie w XXI wieku, że dziewczynki żyją i wszystko będzie dobrze.

PS 2 Dziś rocznica wyzwolenia. Wypiję za to. I zasną sobie z Twoim obrazem pod powieką.

- 9 MAJA

Max, masz rację – śmieję się w głos – ja rzeczywiście jestem cała w negacjach. A Ty od razu reagujesz, bo pewnie sobie myślisz, że wpadam w melancholię, i chcesz mnie ratować. Nic złego się nie dzieje – to tylko wyobraźnia: zobaczyłam siebie, jak palę cygaro, i musiałam powiedzieć stanowczo „nie”. Albo jak się kochamy w otchłani: czeluść podobna do piekła, skąd się nie można wydostać, i my w niej ginimy. Czy udzieliła mi się Bachmann? Figura kobiety – pogrążonej w rozpacz, błagającej o miłość i uprawiającej gry pełne dramatycznych gestów – tak mnie odpycha, że w tym wypadku negacja jest czystym wyznaniem wiary, miłości i nadziei. Spójrz na Lunę, która krzyczy w bezgwiezdną noc: „Każda kobieta ma prawo nie chcieć wyjść za ojca swego dziecka”. Dlaczego to robi i do kogo krzyczy? Przecież nie do siebie. Ona ogłasza to całemu światu, całej tradycji. Skamielinom. I Mężczyźnie. Krótko mówiąc, akceptuje naturę, lecz nie kulturę. A zatem na pewno nie zawoła: „Przyjdź! Przyjdź! Przyjdź choć raz!”. (Zwróć uwagę, że to rozpaczliwe wołanie zamienia się w cichą prośbę: „Przyjdź. Choć raz. Przyjdź”). Ani nie powie: „Nie rozumiem cię, nie rozumiem, nie potrafię zrozumieć!”. Bo nie chce trawić życia na próbach zrozumienia tego, czego nie da się zrozumieć.

Zawsze, zanim jeszcze się poznaliśmy, czytałam Twoje reportaże. I widziałam, jak z upływem czasu coraz bardziej chcesz zrozumieć. U mnie było odwrotnie – stopniowo z tego rezygnowałam. Lubię to, że się tak różnimy. Zwłaszcza pod względem płci.

O Cornelię wypytam Cię, kiedy się spotkamy.

O Zofii Rzymskiej muszę poczytać.

O rocznicy wyzwolenia niewiele wiem, bo Węgry były zdobywane, nie wyzwalane.

O Woodym Allenie jestem dobrego zdania.

O Tobie myślę.

O nim też.

Całuję, K.

- 12 MAJA

Najdroższa,

rzecz techniczna: proponuję przestawkę, najpierw kino, potem scenka u Rogera. Co Ty na to? O kinie pogadamy na skajpie?

To naprawdę fajne, że nasze wyobraźnie zderzają się i odbijają od siebie – jak bilardowe kule, które na koniec i tak wpadną do tej samej dziurki i będą się tam ocierać i tulić. Bardzo lubię ocierać się o Ciebie w galeriach i knajpach, a potem Cię tulić – w taksówce, w windzie, a wreszcie w pokoju, gdzie zimna butelka szampana zadaje sobie pytanie, czy zajmiemy się nią przed, czy po?

Rozumiem, co mówisz o Bachmannowej kobiecie (choć już się boję używać słowa „rozumiem”), ale jedziesz po bandzie, mówiąc „w tym wypadku negacja jest czystym wyznaniem wiary, miłości i nadziei”. Otóż myślę, Kochanie, że negujesz rozpacz (i bardzo dobrze), jednak w tej negacji nie ma jeszcze imion Zofiowych córek. O nadziei już było, to teraz słowo o wierze. Przeczytałaś fragment o liczbach? Cytuję: „Przepowiednie nie są po to, żeby dawać im wiarę. A jednak w takie jak ta bardzo chce się wierzyć. Wierzyć w przyszłość w przeszłości. «Chcę, żebyś przypomniał sobie mój sen». Luna to powiedziała?”

Widzisz, ta wiara, a zatem nadzieja, a zatem – może – miłość (takie było starszeństwo w tym rodzeństwie!) to jest program „na tak”. W programie „na tak” natura i kultura całują się w usta: natura czuje mrowienie „tam”, a kultura je nazywa, na przykład „przypomnianym snem”.

Chyba wiem, co powiesz: że mieszam bajkę i rzeczywistość. Wybacz, Najdroższa. W tym miejscu, w samym środku wysokiej rozmowy, chcę Ci zacytować Twoje słowa: „piszemy coś, a do adresata dociera inna treść”. Nie wiem, jaka treść dotrze do Ciebie, ale powiem, co właśnie mam ochotę powiedzieć, tym razem po polsku: kocham Cię – Twój M.

- 12 MAJA

Max, Twoje słowa dotarły do mnie w stanie nienaruszonym. Takie przesyłki są zaopatrzone w nalepkę *Fragile*, żeby się z nimi ostrożnie obchodzić. Hołubię je. Są tak

czasochłonne, że teraz nie potrafię myśleć o przestawkach – czy najpierw Roger, czy kino. Co za różnica. Ani zajmować się kulturą i naturą. To wszystko musi poczekać. Chciałabym pójść z Tobą do kina. Tak po prostu. Może na *Manhattan*? Albo spotkać się gdzieś. Na przykład na Sycylii. Podobno plaża Torre di Mezzo jest piękna i pusta. Czternastego maja będzie pełnia. Nie umiem tego słowa (po węgiersku jest jedno) ani powiedzieć, ani napisać – zapiera się jak osiołek. Dlaczego? Ale powiem – też-też. K.

- 12 MAJA, NOC

Karen,

Czternastego maja mam wywiad z Bardzo Ważnym Politykiem, na który umawiałem się od miesiąca – jak go nie zrobię, moja redakcja urwie mi głowę. Poza tym na Sycylii jest teraz 20 stopni i siąpi.

Jeśli masz czas, nie przyjechałabyś do Warszawy? Ja też chcę iść z Tobą do kina. Nawiasem mówiąc (przepraszam za swój niemiecki pragmatyzm), nie napiszemy tej scenki na odległość. Więc – obejrzymy sobie *Manhattan*, a potem zrobię gnocchi alla sorrentina (oczywiście będą też oliwki, ser i tak dalej J).

Dlaczego nie umiesz „tego” powiedzieć? Jesteś, Kochanie, rajską wyspą, która musi uważać na ocean. Rozumiem to (czasem warto rozumieć). Twoje „też-też” jest jak brzeg, który pozwala fali wtulić się w ciepły piasek. Dobrze jej tam. Czasem mniej znaczy więcej – Twój M.

- 22 MAJA

Max, jest pogodna noc. Zapomniałam spojrzeć na warszawską pełnię. Ładna była?

Zastanawiam się, czy nie przesadziliśmy z tą sceną kinową. Wciąż nie wiem, po co robić to w kinie, skoro można w łóżku. Ale nie będę marudzić, bo lubię dawać Lunie rzeczy, których sama nie robiłam – dopóki nie poznałam Ciebie. Pewnie nie zdążę ze wszystkim – przecież musimy jeszcze rozwikłać te zwariowane historie. Komplikuję życie rodzinno-osobiste Luny między innymi w imię realizmu. Mówiliśmy o tym: tak żyją ludzie. Czy znasz jakiś łatwy, prosty los? Ja nie. Nie chciałam Ci o tym mówić, ale teraz powiem: kiedy przyprowadziłam pana Lazura do Luny, myślałam o swoim drugim dziadku, którego nie znałam. Nie ocalało po nim żadne zdjęcie, żaden przedmiot. Zginął gdzieś w Bawarii. Późno się o tym dowiedziałam – od tej pory przemycam go do swoich tekstów, reportaży, wywiadów. A teraz – do naszej prozy. Buduje mu grób, który będę mogła odwiedzać. Zdaje się, że on też porzucił jakąś kobietę, ale o tym w naszej rodzinie uporczywie się milczało. Strasznie mnie wnerwia sentencja, że milczenie jest złotem. Kto to wymyślił.

To było takie dziwne – mieszkać z Tobą cały tydzień, nie w hotelu, nie na chybcika. Z dała od pracy. Mieć pod ręką kochanka i kucharza w jednej osobie. Bardzo zręcznie się przedzierzgałeś. Jesteś lepszym aktorem niż Heliodor. I podoba mi się Twój fartuszek. Kiedy wkładasz go na gołe ciało. A Twoje gnocchi są pyszne.

Całuję, K.

PS Spisałam końcówkę (w załączniku), z którą nie zdążyliśmy w Warszawie (Woody Allen w cudzysłowach). Pogadajmy o tym na skajpie.



Luna lubi się śmiać, choćby z tego, że ten guzik jest chyba większy od dziurki.

Teraz ja: „Mój problem to zachwyty i jednocześnie obrzydzenie męskim organem”. Cały Woody Allen.

Męski organ kusi i odstrasza. Teraz kusi. Luna odkrywa, że puszek na uchu Heliodora zdębiał. A dokąd zmierza ręka Heliodora?

Ciepłą szczeliną między udami. Coś do niego mówią. Nie idź za szybko. O, tu jest szerzej. Nie zatrzymuj się. ‘S Wonderful, uwielbiam to, a ty? Twoje uda...

Co z nimi?

Mam: „...uda się. Zostaw to mnie. Dopilnuję, żeby wszystko było jak trzeba”.

Prawdziwy facet!

Heliodor, też prawdziwy, czuje w uchu jej język, który mówi tędy, tędy, i koronkę pod palcami, i wsuwa się pod nią, i dotyka wilgotnych fałdek. Wędruje po nich.

Luna unosi się w fotelu, uda rozchylają się jeszcze trochę. Rób to, rób tamto, mówią jej gesty i nieznaczące ruchy, które on w mig odbiera. Jest trochę beczelna – uważa, że to się jej należy. Że Heliodor po to jest, żeby sprawiać jej rozkosz.

Świetnie, bo Heliodor też tak uważa.

Czas jakby się zatrzymał.

Tak. Gorący oddech. Mruczando. Teraz.

Co?

Teraz on błądzi językiem po szyi Luny, a jego palec... Jeden masuje csikló. A drugi wsunął się w ciasną uliczkę. Ślisko. Najpierw płyciutko, opuszkiem. Teraz głębiej. Powoli.

Ona wyszła mu naprzeciw i objęła go za szyję. Dobrze, odgryź mi ucho. Słyszysz? So lady be good...

Puzon doprasza się więcej muzyki.

„Czy moje życie warte jest życia?”

Zgrany duet.

„Groucho Marx”...

W jednym rytmie.

Synkopy.

„szwedzkie filmy”...

Szybciej. Dłoń Luni ściska mocno...

„jabłka i gruszki Cezanne’a”...

Palec Heliodora zatacza kółeczka.

„kraby u Sama Wo”...

Aha, kraby, chce powiedzieć Luna, ale tylko wzdycha głośno.

Nie patrzą na Isaaca, czyli Woody’ego Allena, który opowiada, dlaczego jego życie warte jest życia. To on patrzy na nich.

Zaraz koniec. Zamykam oczy i co widzę? Co widzi Isaac?

„Twarz Tracy”...

Słyszą to?

Już chyba nie. Przypomniał mi się nasz pierwszy raz w Hawanie. To było takie, po prostu boskie. Tęsknię za tym.

Ja też. Dobrze jest tęsknić – nie za długo.

Są już napisy. Luna oddycha szybko, coraz szybciej, palce Heliodora nieruchomieją, jej pośladki też. Zamiera. Zaczyna spadać, on trzyma ją za rękę. Kiedy usłyszą końcowe glissando, jej cipka rozgada się i wszystko mu opowie.

Ale glissando Gershwinia jest chyba na klarnet.

U nich na puzon. Który właśnie eksplodował.

Polubią ten kawałek i już zawsze będzie się im kojarzył.

Nie wiem jak ty, ale ja, kiedy słyszę Chan Chan, mam ochotę na seks.

Ze mną?

Wiedziałaś, że o to spytasz. Z tobą.

Napisy, których nie widzą. Twarz Luny. Ona patrzy na niego. On już zna to spojrzenie. Całuje ją w policzek i myśli: dwoje oczu, dwa owalne jeziora. Szczęścia chodzą parami.

- 24 MAJA

Karen, Kochanie.

To był cudowny tydzień.

Twój drugi dziadek. „Buduję mu grób” – poruszające zdanie, ale nie umiem powiedzieć nic więcej. Chyba nie mam prawa. Jak Niemcy zaczynają o tym gadać, natychmiast robi się jakoś obłudnie. Co to jest, że narodowość tak nas tłamsi, w istocie wpisuje w konteksty, w których nie chcemy być? Ale jesteśmy w nich i będziemy. To dotyczy też Polaków, którym przyglądam się od zewnątrz i – już, po tylu latach – od wewnątrz. Nie radzą sobie ze swoim losem, nie umieją o tym opowiedzieć. A opowiedzieć – to być może jedyny sposób, żeby z czymś takim żyć.

Mój ojciec walczył na tamtej wojnie. W Polsce. A w rodzinnym gospodarstwie mamy podobno pracowali Polacy – przymusowi robotnicy. Niewiele o tym wiem, to był temat tabu. Tajemnica, która bardzo mnie intrygowała. Może dlatego jako dziennikarz chętnie tu przyjeżdżałem, nauczyłem się języka. W końcu postanowiłem w Polsce zamieszkać. Zapytasz (już pytałaś) dlaczego. Ilekroć pytali mnie o to moi rodacy, nie kwapiłem się do wyjaśnień, bo zwykle mieli w oczach tę niemiecką wyniosłą ironię. Tobie bardzo chcę to wyjaśnić ale – pozwól – innym razem.

I popatrz: razem uznaliśmy, że trzeba, żeby oni wyszli od Rogera; stukałem w klawiaturę, a Ty oblizywałaś moje ucho – wiesz, jakie to (stukanie) było trudne?

Kiedy byłaś u mnie, kochaliśmy się jak oni. Ale dlaczego nie chcieliśmy, żeby raz zrobili to tak jak my, kiedy było już pustawo w tej warszawsko-kubańskiej knajpie? Bo to nieprawdopodobne? Tak, to Twoje słowa, „fikcja nie umywa się do rzeczywistości”. Uwielbiam się z Tobą migdalić tam, gdzie nie mogą tego robić figury literackie. Mamy lepiej niż one.

Kochanie, nie jestem lepszym aktorem niż Heliodor. W ogóle nie jestem aktorem, tylko głupim, zakochanym reporterem. Przepadam za naszym nieopisywalnym sam na sam w tłumie ludzi – dotykam Cię, podglądam i słucham Twoich szeptów, a świat wokół nas zajada się *ropa vieja* i popija rum.

Pamiętasz hawańskie anioły? Mam ochotę rozebrać się przed Tobą, założyć na głowę różowe różki na baterie i zatańczyć do kubańskiej melodii...

Już – znowu – tęsknię!

Max

- 26 MAJA

Max, znów jestem w Kairze, a myślami – w Warszawie.

Widziałam takie rogi. W kiosku na rogu ulicy, przy której mieszkaś. Na drzwiach wisiała kartka: „Świecące rogi tylko 5 zł”. Weszłam, żeby je zobaczyć. Z reporterskiej ciekawości. Kupiłeś je?

Tak, to było nadzwyczajne. Chyba umiem opisać te nasze pieszczoty: siedzieli w kącie knajpy na kanapie, po drugim mojito jego dłoń zaczęła głaskać jej plecy, przy trzecim wsunęła się pod uniesione pośladki, rozmawiali o czymś, skamieniałeś?, sprawdź, sprawdziła, o, ślimak też się budzi, uważaj, idzie kelnerka... Nie, raczej nie umiem. Czy kiedyśmy wychodzili, Roger uśmiechał się znacząco, czy tak mi się tylko zdawało? Oj – przecież Roger nie istnieje. Szkoda.

Mam ten sam pokój w Ozyrysie. Od razu mi go dali – nie musiałam, tak jak Luna w Budapeszcie, pokazywać szafirowego boa ani nic. Zapamiętali nas. Sprzątaczkę tutaj nie są zbyt pracowite – przy szafce nocnej leżał płatek róży. Lubię takie znaleziska.

Jak zamkniemy „Wiosnę”? Może w plenerze – piknikiem pod brzozą? Takim jak ten, który podarowałam Ci z okazji Twoich urodzin. Nie jestem pewna, czy Luna chce się tak kochać, ale spróbujmy – w razie czego możemy się wycofać.

Dlaczego nie pamiętam hawańskich aniołów? Wracam za tydzień. Co dalej?

Całuję, K.

O! Gdzie się podziewałaś?

Zaczytałam się. Ale już jestem.

Dobrze. Karen po lekturze scenki „przed weekendem” zadzwoniła do Maksa z pytaniem, dlaczego nie dał Heliodorowi najlepszej laski świata, o której pisał w liście z Tybingi.

Odległość między życiem a literaturą, odparł wymijająco Max.

Więc jednak masz lepiej niż on, powiedziała Karen.

Pili absynt, którego chce się więcej i więcej.

Wszyscy czworo.

Najdroższa,

wyskoczyłem do pensjonatu pod Warszawą, żeby mimo upału pracować – napisać ich plener; masz rację, to dobry pomysł na koniec „Wiosny”. Więc wracam do urodzinowego listu od Ciebie. Wtedy w marcu nie umiałem Ci odpowiedzieć, robię to teraz (patrz załącznik).

Wygrał as-Sisi, wiadomo już? Możesz wreszcie zaplanować urlop? Twój – M.

PS Plener napiszę w nocy, z chłodniejszą głową. Twoja scenka będzie ostatnia w rozdziale. (A wiesz, uwielbiam kochać się z Tobą na biedronkę; tę chwilę, kiedy mam w dłoniach Twoje piersi, a Ty rozprostowujesz palce na prześcieradle i się odwracasz. O H. i L. też byłbym spokojny).



Kochanie, siedzę na tarasie, piję białe wino z pikantną nutą w tle i jem palcami makrele. Na monitorze: twój list. Nie muszę ci mówić, co zrobił z moim kogucikiem wykrzyknikiem, miłośnikiem takich lektur, wtedy w marcu. I teraz.

Seks jako prezent. Na odległość. Kto to wymyślił, jaki bóg czy bogini? Może Diana, patronka tych, co przemierzają wielkie leśne i morskie przestrzenie.

Słowo „fiut” nie pasuje do naszej historii? To zabawne: użyłaś go (prawda, że w zdrobnieniu), kiedyśmy jedli śledzia w Baden. To był nasz drugi śledź – po pierwszym, warszawskim, uciekliśmy od siebie, jakbyśmy dobrze wiedzieli, że zanurzamy się w morzu. Nie da się go przepłynąć wplaw – utoniemy. Ale potrafimy się w nim pławić z rozkoszą. Dzień po dniu.

Koda, która staje się częścią kolejnego preludium. Tak, ledwie orkiestra przestaje grać, pędzę na lotnisko i w samolocie zamykam oczy. I „zabiera mnie ciemność”, w której wciąż słyszę muzykę.

Tak, kocham się z tobą na odległość. Wracają do mnie twoje słowa, preludia do naszej rozkoszy, które zawsze trwają za długo. Teraz na przykład to, co powiedziałaś ostatnio w knajpie, gdzie oddawaliśmy się „naszym pieścizotom”. „Podniecasz mnie, nie wiem, kiedy najbardziej. Czasem, gdy do mnie mówisz. Czasem, jak nie robisz nic”. Przekażę te zdania Heliodorowi, niech się nimi pocieszy w czasie, jak „nie robi nic”, bo Luna akurat buja po świecie.

Praca mi nie idzie, próżnuję, owszem, trochę inaczej, niż chciał Seneka, kiedy opiewał beczynność w gaju oliwnym, z książką w ręku (zresztą: czy można czytanie nazwać próżnowaniem?). I myślę o twoich prezentach, Karen. Kiedy pieścisz główkę mojego zwierzaka i skupiasz się na swojej przyjemności – nawet nie wiesz, jak szczodra jesteś wtedy. Mam ten

obraz pod powiekami, teraz ciężkimi od wina. Moje palce błyszczą w słońcu, płuczę je w wodzie mineralnej, która ścieka na kamienną posadzkę tarasu; dla sunącej po niej pary złocistych ślimaków to prawdziwa ulewa. Akurat te dwa nie mają domu (w wierszu było inaczej; ślimaczy los ma wersję poetycką i prozaiczną). Chcą się schować pod liściem figowca. Pełzną raźnie, wyglądają na syte i wesołe i wprawiają mnie w rozmarzenie – przywędrowały tu od ciebie?

Przepadam za głaskaniem twoich dwóch ślimaków po ich śliskiej, coraz bardziej śliskiej skórze, a podczas gdy mój palec tak łąsi się do nich i łąsi, one garną się do niego i prowadzą go w głąb pęczniejącej pieczarki.

No tak, znów te metafory. Powiem to całkiem zwyczajnie i wprost: mój fiutek jest sztywny i tęskni za twoim wszechwiednym uściskiem. Seks na odległość udaje się najlepiej, kiedy odległość nie jest za duża, prawda? Twój Max

- **1 CZERWCA**

Kochanie, wygrał, ale oficjalne wyniki podadzą chyba pojutrze. Zostanę aż do zaprzysiężenia. Jest bardzo gorąco. Patrzę na Kair rano i wieczorem i uświadamiam sobie, że znam tylko jego ciemne strony. Byłam tutaj po trzęsieniu ziemi w 1998 i dziesięć lat później, kiedy na Manszijet Nasser runęła lawina głazów z góry Mukattam. Pisałam o Mieście Śmieciarzy, a ostatnio o Mieście Umarłych. A teraz chętnie „machnęłabym” (jak mówisz) tekścik o jasnej stronie Kairu (jest taka), zatytułowany na przykład *Noc w Ozyrysie*. Żałuję, że tytuł *Purpurowa róża z Kairu* ktoś już wykorzystał. Wiadomo kto.

Pozazdrościłam Ci książek, które wydałeś i które szykujesz. Ja wszystko drukuję w gazetach albo trzymam w szufladach. Z moich tekstów o Cyganach ukazał się tylko jeden, w dodatku ocenzone. Nie śmieję się – zanim odejdę na emeryturę (odejdę?), chciałabym się jakoś pożegnać ze swoimi biedakami. Będę potrzebowała Twojej rady.

Uważaj na ślimaki bez domu (bezdome?), czyli nagie. Są szkodnikami. Może te, które wędrowały po Twoim tarasie, to ślimaki luzytańskie? Kochałam się w czasach studenckich w limakologu – stąd moja wiedza.

A Ty w kim się kochałeś?

Wysłałam Ci „biedronkę” w wersji Luni. Ona mówi, że to we Francji za taki seks groziła kiedyś kara śmierci – nie szkodzi, że u Heliodora jest inaczej? Pomyśl tylko – starożytni mogli sobie dokazywać do woli, i w życiu, i w pisaniu. Jak na przykład Katullus. A potem – zakazy, pasy cnoty, stopy, więzienia.

Albo taki Berlin. W latach dwudziestych najweselsza stolica Europy, a już od początku trzydziestych – najbardziej ponura.

Mimo wszystko krzepi mnie myśl, że robimy rzeczy, za które kiedyś zabijano ludzi. Za „nasze pieszczoty” w knajpie na pewno trafiłabym na szafot. Ty, mężczyzna, chyba nie. Sprawdź, proszę, za co jeszcze karano śmiercią w różnych epokach.

Ważne: oni w ogóle nie rozmawiają o swoim życiu, Heliodor nie zwierza się z własnej przeszłości ani terażniejszości, Luna nie opowiada mu o swojej zwariowanej rodzinie ani o Ksawerym. Domyślam się dlaczego. A Ty?

Po powrocie mam zamiar oddać się rozkoszom. Z Tobą. Żeby sprawdzić, wciąż sprawdzać, te wszystkie rzeczy, o których napisałeś mi ze słonecznego tarasu. Nie na odległość. Nie w knajpie. Chcę winnych pieszczot. Z pikantną nutą. Co Ty na to? Pa, K.

- **4 CZERWCA**

Najmilsza Karen,

o najważniejszym na końcu.

Dziś w Polsce rocznica pierwszych prawie wolnych wyborów. Lubię patrzeć, jak Polacy się cieszą; robią to rzadko; ich rocznice to w większości celebracje nieszczęść narodowych, reprzyzy żaloby. Nie mnie, Niemcowi, oceniać ich stosunek do historii. Nadal. Jednak. Choć przecież czuję się trochę Polakiem.

Mimo pięknej pogody, tkwię przy komputerze. Muszę pchnąć naprzód swoją książkę. Ma coś wspólnego z ubóstwem, tak, bo raczej nie z biedą, nie z tym, o czym piszesz. Widziałem jej sporo w Afryce, ale i w Europie. Jednak odmówiłem sobie prawa do wzruszeń, nie tylko z zawodowych powodów. Po prostu nie znam się na TYM nieszczęściu.

Bo widzisz, jestem cholernym farciarzem i nie mogę udawać, że się znam. Niemiecka bieda powojenna jakoś specjalnie nie dotknęła mojej rodziny. Jedni moi dziadkowie należeli do bogatego berlińskiego mieszczaństwa z Schönebergu. Drudzy mieli niemal latyfundium w bawarskim Allgäu. Żadna aliancka bomba nic im nie zrobiła. Mama z ojcem poznali się w 1953, robiąc sobie zdj smallęcia pod Łukiem Triumfalnym.

Niemcy lat dwudziestych... Masz rację, babcia berlińska opowiadała mi, czym był roz hulany Berlin, kabarety, kolorowi transwestyci tańczący na ulicach, wolność. Aż, bodaj w 1926 roku, przyjechał tam pewien doktor ze szpotawą nóżką i zaczął pracowicie przerabiać mit Berlina w antymit Sodomy. W tej sprawie założył gazetę. Byłem jeszcze szczeniakiem, kiedy w piwnicy babcinego mieszkania znalazłem pudło ze stertą pożółkłych egzemplarzy „Der Angriff”, czyli „atak”. Kim był pan doktor Goebbels, babciu? I co to znaczy „zażydzenie”?

Pamiętam Twoją prośbę i sprawdzę, jak wyglądał ten marmur z Flossenburga – jeśli to jeszcze potrzebne.

Koteczku, jednak skończę później, bo właśnie zadzwonili z polskiej TV, że bym natychmiast opowiedział, czym dla Niemców jest polski czwarty czerwca. Chyba niczym, ale – zgodziłem się na rozmowę. Pa, Max

- **5 CZERWCA (5 RANO)**

Nie mogę spać.

Chciałbym, żebyś tu była.

Jest już jasno. Obudziłem Cię, całując cichutko w ucho, za uchem, aż zarzuciłaś mi ramiona na szyję. Nie musisz otwierać oczu. Po prostu wsunę się i zaczekam. Nie czekaj? Nie musisz mi tego dwa razy powtarzać.

Napisałaś: „oni w ogóle nie rozmawiają o swoim życiu”. Dlaczego? Heliodor chyba wciąż nie umie opowiedzieć o Wodzu nawet sobie; sam nie wie, jak to się potoczy, boi się pytać Luny? Ona wie o Wodzu tylko od Leny. Bajka – jak życie – toczy się sama? Czy może ktoś decyduje za nas, jak się toczy?

Pamiętam, co powiedziałaś w Kairze: zauroczenie nie gaśnie tak długo, jak długo ludzie, którzy przekroczyli wszelkie granice intymności, mogą i chcą dalej do siebie mówić, opowiadać sobie, ile dusza zapagnie. Ty mnie, ja Tobie. Dobrze, wobec tego będziemy się kochać i gadać do siebie w nieskończoność. A oni?

W kim „się kochałem”? To co innego niż „kogo kochałem”. W tym „się” jest jakaś młodzieńcza bezinteresowność: kochałem „się” na przykład w pani od niemieckiego, a jej to nie obchodziło. A zarazem samozwrotność: kochałem „się”, czyli – siebie; czyżby język wiedział lepiej od nas, że tym, co nazywamy miłością do kogoś, usprawiedliwiamy, przynajmniej niekiedy, miłość własną?

A jednak wierzę, że można używać języka tak, żeby nie kłamać – zwłaszcza sobie. Dopiero to odkrywam – dzięki Tobie. (Ten niewyszukany rym o 5.15 rano oznacza, że nie powinienem ciągnąć tego wątku).

Tymczasem – nawet nie wiesz, kiedy znalazłem się nad Tobą, żeby zabrać Cię na senną, nadranną przejażdżkę. To cudowne tak witać dzień: niskim lotem nad asfodelową łąką, po którym lądujemy, i jest kawa i jajecznica.

Całuję Cię, Najmilsza – Max

PS 1 Jajecznice oczywiście ukradłem z Twojego ostatniego zdania w „Wiośnie” – uwielbiam je.

PS 2 Sprawdziłem: za „pieska” karali szafotem i Niemcy, i Francuzi. Ale dla rodaków pana Guillotin nie jest to okoliczność łagodząca.

- **5 CZERWCA (WIECZÓR)**

Najdroższy, na sen dobrze robi melisa, takie ziółko, a poza tym nauka obcych słówek. Widocznie mózg szybko się wtedy męczy i przechodzi w stan spoczynku. Zawsze trzymam na

szafce nocnej jakiś kieszonkowy słownik. Dzięki temu bez trudu zasypiam i umiem się porozumieć w sześciu, a może nawet siedmiu językach. Siedem języków – to siedem krajów, w których mieszkałam lub pomieszkiwałam. Wyznam Ci, że tylko jeden słownik nigdy mnie nie usypiał, a wręcz rozbudzał – niemiecki. Kiedy pewnej nocy dotarłam do słówka *Bankangestellte*, nie mogłam zasnąć do rana. W moim węgierskim uchu nawet fraza *ich liebe dich* brzmi, jakby ktoś wyznawał mi nienawiść. Chciałabym usłyszeć, jak Ty to wymawiasz.

Ten marmur. Wymyśliłam, że był różowy i pięknie żyłkowany. Jakbym stawiała dziadkowi nagrobek z tego marmuru. Jego ojciec i dziadek, którzy zdążyli wyzionąć ducha przed wojną, mają nad sobą płyty i macewy z marmuru karraryjskiego, z jakiego Michał Anioł wyrzeźbił Pietę. Tak mi wstyd, że to właśnie mój rodak kiedyś rzucił się na nią z młotkiem.

Patrz, opowiadamy sobie o sobie. Bo tak to się dzieje: ludzie się spotykają i zaczynają snuć opowieść. Skąd masz tę bliznę? – pyta ona. W dzieciństwie ugryzł mnie pies – odpowiada on. Ale my chcemy bajki – żeby między Luną i Heliodorem nie było żadnej przeszłości; żeby w łóżku kochali się, zamiast zawierzać sobie nawzajem swoje historie. Żeby żyli dniem teraźniejszym, chwilą. Są mądrzejsi od nas – nie zadają pytań. „W kim się kochałeś?” „Co w czasie wojny robił twój ojciec?” „A twój, jak to możliwe, że po 56. awansował?” „Dlaczego nie masz dzieci?”

Znów zapamiętałeś jedno z moich zdań, których nie rozumiem, ale przypomniane przez Ciebie nagle nabierają sensu. Z tym kairskim mam pewien kłopot – przecież Heliodor i Luna niewiele rozmawiają i niewiele o sobie mówią, a chcemy, żeby ich zauroczenie trwało, prawda? Może to my za nich wciąż do siebie gadamy i oni już nie muszą? Tak chyba jest. To by oznaczało, że przysłuchują się nam i czytają nasze listy.

Z wpisu Luny do „Lata”, który Ci wysyłam, dowiesz się trochę o tym, co myślę o miłości. W wielu sprawach zgadzam się z Gassetem. Na przykład, że „każdy, kto czuje się zakochany, jest nim dlatego, że chce się zakochać”.

Chciałabym wiedzieć, jakiego typu jesteś mężczyzną. Którym z donżuanów. Oj, chyba tym pierwszym.

Nie odpowiedziałeś na moje pytanie „co Ty na to?” Wolisz się ze mną bzykać na odległość czy naprawdę? Na wszelki wypadek masz u Luny instrukcję, jak się odelektryzowuje kobietę.

Całuski, K.

Max słusznie się niepokoi, że Luna i Heliodor za mało rozmawiają.

A Karen ma rację, że ona i Max gadają za nich.

Gdyby Karen i Max mogli się kochać, kiedy chcą, byłiby mniej rozmowni.

Rozmowa jest afrodyzjakiem. Gdyby byli mniej rozmowni, nie mieliby takiego fajnego seksu.

Mają seks od wielkiego dzwonu.

Rozdzwonił się w historii, którą piszą. Dlatego nie słycać tam rozmów. Tylko bim-bom, bim-bom.

- 10 CZERWCA

Kochana Karen,

dziękuję za instrukcję! Już chciałem sprawdzać rozkład lotów, ale zdałem sobie sprawę, że nie wiem, dokąd miałbym lecieć. Gdzie właściwie jesteś akurat dzisiaj? Tam, gdzie wczoraj? A gdzie będziesz jutro?

Winne pieszczoty. „Pijesz” do mojego wina anima de raimat o pikantnym finiszu? Nie, Ty oberwałaś „nie” słowu „niewinne” i zostały „winne”, czyli karalne, niekiedy najsurowiej. Rzeczywiście: wina jest pikantna i podniecająca. Dlatego tak polubiliśmy ryzyko publicznego zgorzenia w knajpie, kinie, taksówce. Ale na koniec chowamy się w czterech ścianach i zamykamy drzwi pokoju z wygodnym łóżkiem. Bardzo chciałbym znów zamknąć te drzwi, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Naprawdę, nie w liście, nie „na odległość”.

Jestem ciekaw, co myślisz o miłości (poza CCN). Dante u Gasseta: „miłość wprawia w ruch słońce i gwiazdy” – też uważasz, że to tylko „lekka” przesada? Tak, wiem, podsuwasz mi inne zdanie jako instrukcję obsługi gry pod tytułem „Co Karen myśli o miłości”. Czasem nie wiem, które zdania Luny są bardziej Twoje niż jej, i na odwrót.

A wiesz, co ja myślę o miłości? Że wszystkie teorie są licha warte. Przeczytaj nową scenkę: Luna znów zostawiła u Heliadora korale. Wiesz, że kiedy byłaś w Warszawie, też zostawiłaś u mnie naszyjnik? Szukałaś go? Przepraszam, że Ci o tym nie powiedziałem; tak jak Heliodor lubię go przerzucać z garści do garści. Wczoraj patrzyłem na niego i próbowałem napisać wiersz. Nie umiem go skończyć, ale zaczynał się tak: „Zbieram twoje słowa, Karen, jak korale rozsypane w miastach. Zrobię ci z nich naszyjnik. Kiedy go zostawisz rano, jak list na poduszce, będę czytał i czytał”.

No to już wiesz.

Ich liebe Dich.

Posłuchaj Schumanna opus 48 do pieśni Heinego; może zmienisz zdanie co do brzmień niemieczyzny. Potrafi być piękna.

Twój M.

PS Że niby uważam się za donzuana? Oczywiście. Jeśli spotkasz mężczyznę, który zaprzeczy, że tak właśnie myśli o sobie, nie wierz mu. To kłamca, mizdry się, żeby Cię uwieść i odciągnąć od naszej książki!

- **13 CZERWCA**

Kochany Maksie, czasem bardziej troszczę się o Lunę niż o siebie, teraz to widzę. Wysłałam ją do Tel Awiwu, żeby się tam leniła na plaży, obserwując statek sunący po horyzoncie. Może jednak zrobiłam to także dla siebie – też grzeję się w tym słońcu. Słońce podobno jest lekarstwem na niepokoje. Tak jak trwonienie czasu z ukochanym facetem. Choćby na naukę gry w szachy.

Szachy – nie wiedziałam, że to taka zmysłowa gra. Kiedy pokazywałeś mi, jak się porusza koń, wieża, goniec, myślałeś o czymś innym. Ja też. O tym, że lubię z Tobą tracić czas. Tak jak Ty ze mną, na mnie, kiedy na przykład przerzucasz z garści do garści te głupie korale.

Co wiem o miłości? Nic a nic. Czasem tylko cytuję czyjeś zdania o niej. Mądre, lecz zbyt poważne, żeby w nie uwierzyć.

Proszę, rozbaw mnie jakimś zdaniem o miłości, które mnie rozbawi, żebym w nią nigdy nie wątpiła.

To chyba chandra, którą Twój Schumann tylko pogłębił.

Pa, K.

Karen dużo pracowała, wciąż była w podróży i tęskniła za Maksem. Coraz mocniej.

Tęskniła, tęsknili bardziej niż na początku.

Tak, bo z nimi było inaczej niż z H. i L. Ich apetyt rósł w miarę jedzenia i nie mogli go zaspokoić. Wciąż odkrywali w sobie coś, co uchylało kolejne drzwi.

I wzbudzało ciekawość.

Najpierw tęskniła za jego ciałem. Potem za zdaniem. Potem, no wiesz – róże, gesty, spojrzenia, uśmiech. I tak dalej, i tak dalej. I nagle zatęskniła za całym Maksem.

Taką tęsknotę trzeba jakoś zaspokoić. Czymś zabawnym?

- **15 CZERWCA**

Kochanie,

chandra, Ty i chandra? Czy Tel Awiw Luny poprawia Twój nastrój? Naszego – mojego i Heliodora – nie poprawia. Tęskniliśmy. Fajnie, że Luna jest już z powrotem.

Czy ja znam zabawne zdania o miłości? Wiesz, miłość chyba nie jest zabawna. Różne

tonacje języka to tylko protezy, których nam potrzeba, żeby kuśtykać po jej niewymownym kontynencie. Bo ja jestem tu, a Ty gdzie indziej. Heliodor i Luna, w przeciwieństwie do nas, mogą po prostu do siebie przybiec.

Ale Ty, Karen, znasz wspaniałe zdania o miłości. Jedno dałaś Heliodorowi: „jesteś taka niebieska”. Czy można piękniej adorować kobietę? A inne dajesz mnie: „lubię tracić z Tobą czas”. Wiedziałaś, że trudno by było obdarować mnie hojniej? (Chyba że jedną z Twoich niespodzianek, co nie wymagają słów; majtki, które wsunęłaś mi do kieszeni marynarki w knajpie Trinidad, mam pod poduszką).

Ktoś, kto zna takie zdania, nie może wątpić w miłość.

Szachy – masz rację, są zmysłowe. Wpadłem na pewną myśl (może Cię rozbawi). Pomyślałem, że cały ten agon szachowy (dwie armie naprzeciw siebie, które chcą się zniszczyć) można by podminować erotyką. Wiesz, biała wieża zadurzona w czarnym królu, czarny konik próbuje przelecieć białą damę... Może „gambity” i „obrony” zmieniłyby się w fokstrotę i kadryle? (Pamiętasz, obiecywałem Ci naukę tańca na czarno-białym parkiecie). Świat byłby weselszy i lepszy. Ba, ale jak o tym opowiedzieć?

Tymczasem skończyłem wreszcie książkę o katastrofie polskiej inteligencji. Nie wiem, czy polska inteligencja podzieli moje opinie – zobaczymy. W pierwszej połowie lipca chętnie bym gdzieś prysnął. Co Ty na to?

Twój M.

Wybrali najbardziej okrężną drogę do siebie. Odmówili sobie tylu rzeczy. Gdyby postanowili inaczej, nie musieliby tęsknić ani tyle gadać. Mogliby sobie razem milczeć, wspólnie tracić czas i jeść tę jajecznicę, kiedy tylko zechcą. Odmawiali sobie nawet słowa „miłość”. A po paru miesiącach – jak by tu powiedzieć? Okazało się, że to, co musieli dać Lunie i Heliodorowi, dotyczy też ich. Miłość.

Karen ma kłopot z tym słowem. Złościło ją, kiedy odkryła, że Luna wymknęła się spod kontroli i bez jej zgody najzwyczajniej się zakochała.

Jaki kłopot?

Weź pod uwagę, że jest inna niż Max. Nigdy by nie powiedziała: „granice mojego języka oznaczają granice mojego świata”. A Max pewnie tak.

Nauczył się to akceptować. Że Karen nie jest „językocentryczna”, że relatywizuje swoje zdania. Ale rzecz tkwi nie w języku.

Tylko w życiu.

W pytaniu, co dla nich, razem i z osobna, lepsze. Lotniska, hotele, tęsknota, gadanie, książka – czy przysłowiowa jajecznica, kiedy tylko ma się na nią ochotę. Droga czy bajkowe miejsce, do którego prowadzi.

I o którym piszą.

No tak. Wiadomo przynajmniej tyle, że dopóki piszą, są w drodze.

- **18 CZERWCA**

Kochany Maksie, Tel Awiw jest dobry na wszelkie nastroje. Mówiłam – to lekkie, świetliste miasto, no i leży nad morzem! Przecież Luna dlatego tam lata. I jeszcze jedno: lot trwa nie długo, nie krótko – lecz w sam raz. Zdążysz poczytać, coś napisać, porozmyślać, a nie zdążysz się zmęczyć.

Wysłałam Ci rozmowę Luny z Leną, gdzie wyjaśniam z grubsza tę zawiłą historię rodzinną. Daj znać, jeśli nie zrozumiesz. Ale czy wszystko musi być jasne? W naszej przeszłości też są luki. Dużo więcej luk. Kiedyś próbowałam je wypełnić. Szybko zrezygnowałam: nie chcę się czuć winna za swoich przodków, nie odpowiada mi też rola ofiary. I nie lubię, kiedy „zasługi” rodziców wbijają ich dzieci w wyższościową dumę. No wiesz – ryngrafy na ścianach, herby, dwory, latyfundia. Profesury, maniery, porcelana. A co ma zrobić ktoś, kto jest córką Cyganki? Może właśnie to, co robi Luna – kpić sobie, zmyślać, kłamać albo mówić prawdę, która wcale nie jest prawdziwsza niż kłamstwo.

Przyznaję, straciłam cierpliwość do tego wątku, więc żeby już do niego nie wracać, powiem Ci: widokówki i bilety na samolot wysyłali Lunie bracia Ksawerego. Sama na to wpadła, bez mojej pomocy. Ta „neutralna” fabuła tak mi się rozbuchała, bo za długo prowadziliśmy ich do łóżka. Od chwili, kiedy tam dotarli, przestała mnie interesować. A Ty już wiesz, jak rozwikłać sprawę Wodza?

Max, Twój czarny konik na białej damie naprawdę mnie rozbawił. Poproszę o jeszcze – uzależniłam się. Całuski, K.

- **22 CZERWCA**

Kochanie,

wspaniały warszawski pierwszy dzień lata. Dlaczego Cię tu nie ma, nie spacerujemy po Łazienkach, nie pijemy mrożonej kawy (nie robimy w kawiarni tego, co tak dobrze nam wychodzi), a potem – nie pływamy łódką po Wiśle i nie opowiadamy sobie bez końca tych wszystkich naszych historii, których jeszcze nie znamy, a które tak nas ciekawią? O, robi się chłodno, wracajmy, mam w domu sycylijską salsiccia di tonno (kielbaskę z tuńczyka, jadalną kiedyś?) i kapitalne amarone.

Dzięki za kolejną scenkę. Co do poprzedniej – tak jak Ci mówiłem przez telefon: jeśli nad tym panujesz, to zostawmy, jak jest; sprawdzimy, czy w porządku, przy sczytywaniu całości. Co do lodu w garderobie teatralnej – jak widzisz, kupiłem Twoją sugestię.

W scenie „po skajpie z Beniaminem” zastanowiło mnie zdanie: „Miłość jednak przed niczym nie chroni” (wybacz, kończymy ten wątek, dalszy ciąg będzie w naszej następnej książce pod tytułem *Fenomenologia miłości*. Napiszesz ze mną następną książkę?).

Dlaczego miłość miałaby przed czymkolwiek chronić – jak pancierz, jak coś w rodzaju świętego nimbu? Jest dokładnie na odwrót: miłość nas obnaża, czyni doskonale bezbronnymi. Widać ją po naszych twarzach, gestach, spojrzeniach i uśmiechach, bo nas zmienia; wodzi za nos, nakłania do rzeczy, na które przedtem nie było nas stać. Czasem daje siłę, a czasem bezlitośnie osłabia. Wypełnia nam świat, odbiera w nim miejsce na cokolwiek innego niż ona sama, surowa księżna, figlarka, czarownica. I może dopiero w chwili, kiedy na dobre wtrąci nas do swojego lochu, powie przymilnie: „Gdzie ci będzie lepiej? Czekaj spokojnie, aż sczeźniesz”. Tak (jednak) chroni swoich jeńców – ślepych, głuchych, niemych. Podobnych do trzech małp.

I jeszcze jedno: nie można jej wezwać, nie można przed nią uciec. Czy to nie jest najlepszy dowód na istnienie mocy nadprzyrodzonych?

Oj, muszę kończyć. Ale nie myśl, że jestem głuchy na Twoją szachową sugestię, Najdroższa – patrz załącznik. Trochę to trwało, ale jest. (Zajęcia z metryki to był koszmar. Być może koszmary zapamiętuje się dużo lepiej i na dłużej niż euforie).

Twój stęskniony Max

PS Milczę w sprawie Wodza, bo nie znam szczegółów. Zostawiłem ten wątek Heliodorowi. Właściwie on (wątek) pisze się sam, ja tylko pilnuję interpunkcji.

Powinien jednak kupić bukiet róż, a tekst dołączyć jako pokaźny bilecik na czerpanym papierze.

Śmiała się, kiedy przeczytała załącznik.

TERCYNY SZACHOWE



Dama bije gońca, partia jest przegrana.

Już blisko do końca, król padł na kolana

i patrzy, patrzy Max Pierwszy Przytomny,

patrzy z klęczek na królowej biust,

i wtula głowę w jej trójkącik wonny,

i słyszy szept karminowych ust:

Przegrałeś, knowaczu, więc odwagi dokaż,
a może w mym sercu odezwie się nutka
litości. Rozkazuję: pokaż...
Kończyć nie musiała, król znał rym do „nutki”,
tedy przydomku królewskiego pomny,
odgadł i wyjął swój lśniący, ogromny...
O, rzekła królowa, jaki on malutki!

- 22 CZERWCA

Najdroższy, wydrukowałam Twój wiersz i przypięłam pinezkami pośrodku korkowej tablicy. Jest otoczony wianuszkami kolorowych karteczek: rocznica czegoś tam, wywiad z kimś tam, bilet dokądś tam itd. Siedzę sobie z nogami na biurku, pijam chłodne chardonnay i co rusz wybucham śmiechem. Naprawdę tęsknię. A tęskniąc, wyobrażam sobie Twoją minę, kiedy mozolnie składasz tercyny. Zasnę z tym obrazem w objęciach.

Miłość to ciemny loch, w którym się czeźnie? Niewola? No, no. Sądziłam, że tylko miłość nieodwzajemniona. Często mam wrażenie, że odbierasz świat intensywniej niż ja, trochę dramatycznie. Że się poruszamy po innych liniach na pięciolinii. Dotyczy to również H. i L. Dziwię się zawsze, kiedy odkrywam, że oni mają nasze temperamenty. I nasze języki. Takie inne. Chyba jest tak, że zdania Heliodora stanowią o jego świecie, a świat Luny stanowi o jej języku. Jakby podążali w innych kierunkach. Jak wobec tego mogli się spotkać?

Śmieszne pytanie. Wyobrażam to sobie tak, że się akurat cofali w przeciwnych kierunkach i zderzyli plecami.

Odwrócili się i spojrzeli na siebie.

A, to ty – pomyślał Heliodor.

O, nie wiedziałam, że jesteś – pomyślała Luna.

Cieszę się na ich rozmowę skajpową i z góry zakładam, że będziemy ją kilka razy poprawiać. Pewnie, że można się bzykać na odległość, za pomocą słów, ale jak to zapisać – bez wyrazów twarzy, mruknięć, chrząknięć, tonów, gestów?

Wciąż wspominam Warszawę. I zawsze wtedy się uśmiecham. Zabawne, że tak chętnie pokazujesz. Wystarczy powiedzieć: „pokaż fiutka”. Oszczędzę Heliodorowi takiego doświadczenia, chociaż z góry zakładam, że byłby rad. Ktoś, kto wciąż coś zakłada, nie może pisać żadnej fenomenologii.

Całuski, K.

- 24 CZERWCA

O, Kochanie, dziękuję!

Tak, to prawda, bardzo intensywnie przeżywam świat – z Tobą w epicentrum. Dramatycznie? Trzęsienia ziemi są dramatyczne.

Nie, nie chodzi o sofoklejskie konflikty i nieszczęścia. W typologii gatunków do dramatu należy też komedia. Loch miłości jest wytapetowany różnymi emocjami, od smutku do euforii, ale istota rzeczy polega na tym, że nie sposób się z niego wydostać. Chyba nie można też miłości zabić. Dopiero kiedy ta kuglarka straci zainteresowanie dla swoich małp, one odzyskują wzrok, słuch, mowę – i są wolne. Co nie znaczy: szczęśliwe.

Twoja uwaga o zdaniach i światach H. i L. jest bardzo celna. I to, że oni mają nasze temperamenty i języki. Więc pytanie o tajemnicę ich spotkania dotyczy nas. Nie mogę się nadziwić, że istniejesz. Pisałem Ci: nie wierzę w teorie, ale w takie zdania – „Karen istnieje” – tak. Czy to jest pycha, że podobają mi się niektóre własne zdania? Może to lepsze niż fałszywa skromność.

Trafnie „zakładasz z góry”. Ale to literatura. W życiu jest tak, że kiedy już się nawzajem odkryjemy, niczego nie zakładamy. Masz słodką paprykę w proszku? – pytasz, mieszając drewnianą łyżką lecz („jeszcze takiego nie jadłeś”), a ja całuję Cię we włosy, w kark, obejmuję dłońmi Twoje piersi, twardnieję i wiem, że to czujesz. Jestem za Tobą, oblizuję Twoją szyję, domyślam się, że puściłaś tę łyżkę (stoi na sztorc w papryce, cebuli i pomidorach), bo przyłgnęłaś do mnie mocniej. Nie, mówię cicho, słodkiej nie mam, podciągam do góry Twoją spódnicę w maki – tę spódnicę. Nie szkodzi, mówisz, dodamy oregano...

Ja też wciąż się uśmiecham, kiedy wspominam tamten tydzień.

Myślę, że z Itaką wyszło nam nie najgorzej. Już wiesz, kim jest Malutka? Wstyd powiedzieć, ale wątek Hannah wywołuje we mnie wzruszenie.

Całuję Cię – M.

- 28 CZERWCA

Kochanie, a jednak dość dramatycznie. Dałeś Wodzowi taką historię, że musi być dramatycznie. A Luna swoją historię traktuje i opowiada z ironią. Ale mogłaby inaczej: „Można by ją z powodzeniem przerobić na powieść gotycką, na farsę albo groteskę. Obstają przy ironicznej komedii”.

Dajmy już spokój „miłości”. Tylko dwie uwagi: po pierwsze, nie mieszałabym do tego

trzech małą, zwłaszcza że tylko jedna nie słyszy, jedna nie widzi, jedna nie mówi; po drugie, miłość można zabić. Zapewniam Cię, że wystarczy jedno złe słowo Heliodora, a miłość Luni zgaśnie. Nie sprawdzajmy tego, bo nawet jak wykasujemy, zostanie. I koniec bajki.

Twój przepis na leczo – bardzo oryginalny. Zwłaszcza to oregano. Musisz jednak wiedzieć, że do prawdziwego leczo potrzebna jest świeża węgierska papryka i papryka w proszku z Kalocsy, ta, której używacie, to sproszkowana cegła. (Pogardliwe prychnięcie Węgierki, która zna się na papryce). A poza tym smalec (niestety) i słodkie pomidory. Reszta się zgadza.

Wiem, kim jest Malutka.

O której jutro spotykamy się na skajpie?

Całuję, K.

- 29 CZERWCA

Kochanie,

co mam począć z chwiejącą się wieżą, kiedy tak sobie skajpujemy? Czy to nam wyszło? Przemieszciliśmy się z nimi (z H. i L.) dokumentnie – chyba jak nigdy dotąd? Jeszcze raz przeczytałem Twój list z wczoraj i zdałem sobie sprawę: nigdy bym nie pomyślał, że to się może zdarzyć, a jednak się dzieje. Jeśli to przemieszanie dotyczy wszystkiego, ich i nas, książki i życia, to powiedz: czy Ty wiesz, jak ta historia się kończy?

Profesor Maximilian (ten od metryki; charyzmatyk, guru, za którym ciągnął się sznur studentek) powiedział mi kiedyś: „Wie pan, jest taki punkt, w którym życie bardzo wyraziście różni się od narracji o życiu. Bo życie trwa i w istocie narracja może ostatnim zdaniem – na przykład: żyli długo i szczęśliwie, a księżyc przyglądał się ich upojnym nocom – opowiedzieć o tym, że trwa. Tyle tylko, że to jest właśnie ostatnie zdanie, zakończone kropką. Przeczytał je pan i zamyka książkę, gasi światło, pańska kobieta odwraca się na drugi bok albo w ogóle jej nie ma, a księżyc przygląda się już tylko panu. I co pan z tym pocznie? Powiem panu, co może pan począć. – (Tu zrobił znaczącą pauzę i zapalił wrzoścową fajkę Petersona, taką jaką dałem Wodzowi). – Może pan skorzystać z pewnej przewagi literatury nad życiem i zacząć czytać od początku. Choć wiąże się to z pewnym ryzykiem”.

Szukałem źródła tego zdania z księżycem, bo brzmiało jak cytat, ale nie znalazłem. Profesor wymyślił je na użytek rozmowy ze mną. O jakim ryzyku mówił? Nie było rady, zapytałem go później o to, ale odpowiedział wymijająco: „Niech pan sobie wyobrazi, że jest pan cytatem z nieznanego źródła. Jeśli źle się pan z tym poczuje, proszę zapomnieć o literaturze i znaleźć sobie jakiś przyzwoity zawód”.

Może dlatego zostałem reporterem i zawsze pilnowałem, żeby nie mieszać życia z opowieścią o nim? A teraz myślę: Heliodor i Luna są cytatem z naszego życia. Może nas też ktoś cytuje? Powiedz mi kto!

Miłość Luny może zgasnąć od jednego słowa? Profesor Maximilian zapytałby: „I co pan z tym pocznie?”.

Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ale wiem, że teraz chciałbym dać Ci słowo, które niczego nie gasi, lecz przeciwnie; świeci sobie ciepłym światłem. Chciałbym Ci je dać, ale nie na odległość – wcałować je w Twoje usta.

Twój Max

PS Tam, gdzie kwitną rododendrony, powinni się kochać jakoś inaczej. Może jednak w słońcu, na krześle?

- 29 CZERWCA

Kochanie, przeczytałam naszego skajpa i uważam, że jednak nam nie wyszło – straciliśmy miarę i zrobiło się sztucznowo. Nie szkodzi, popracujemy nad tym.

No jasne, wszystko nam się miesza. Oni i my. Nie masz pojęcia, ile razy siedziałam w antykwariacie Luny, ile razy dotykałam koszul Heliodora, a nawet, wybacz, zdradzałam Cię z nim. A czy Ty, powiedz szczerze, nie uwodzisz Luny? Niebawem postawimy kropkę na końcu ostatniego zdania. Może być trudno. Wiem tylko tyle, że powinno być końcem, a zarazem początkiem. Czy pamiętasz ostatnie zdanie *Buszujących w zbożu*? „Lepiej nigdy nikomu nic nie opowiadajcie. Bo jak opowiecie – zaczniecie tęsknić”. Tak jakoś powinna się skończyć ta historia.

Czyli miałeś sensownego nauczyciela. Zazdroszczę Ci.

Jaką rolę pełni fajka w naszej opowieści?

Dobrze, jeśli chcesz, damy im seks na krześle. Czy słoneczny taras w ogrodzie Leny będzie odpowiednim miejscem na takie zabawy?

Odezwę się jeszcze przed północą w pewnej ważnej sprawie.

Całuję, K.

Krzesło... W Hawanie niby nie wiadomo, czy kochali się na krześle. Ale w Baden z pewnością – na „szwabskim krześle”.

W życiu robi się coś... Po prostu się robi, tak czy inaczej, po prostu nie można inaczej, tu, teraz, nie można i już. Ale kiedy chcemy to opisać, nagle zaczynamy teoretyzować: nie, krzesło nie będzie fajne; przeciwnie, dlaczego nie; no nie wiem, dobra, jeśli chcesz, damy im krzesło.

- 29 CZERWCA

Karen, Kochanie, masz rację, są mielizny, sztuczność. Poprawimy to. Kiedy sami się kochamy przez telefon albo na skajpie, świetnie nam idzie, a kiedy trzeba wymyślić – napisać! – Heliodora w Kaliszu, wtedy klops. Ale popatrz na nasze didaskalia, wklejam, Ci:

Nie wziąłem ładowarki do telefonu ani słuchawek do laptopa.

Nie, dlaczego on to pisze?

Tłumaczy, a właściwie my tłumaczymy, dlaczego piszą, a nie gadają.

?

Czego nie rozumiesz? On ma trochę przestarzały sprzęt. Jak ja.

Łopatologia. Niepotrzebne. A ty jesteś kokiet.

?

Dumny ze swojego sprzętu.

Świntucha.

Kup sobie nowy. Z kamerką.

Patrzyłbym na ciebie i nici z roboty.

Każdą rozmowę zaczynałabym od „pokaż”.

Jesteś naprawdę zepsuta.

Też-też. Nie masz kamerki, a i tak nici.

No to może tak: Halo, tu Denko, Ośła Głowa. Jesteś tam? Tak, Spodeczku, właśnie idę pod prysznic.

Didaskalia są niezłe, nie uważasz? Szkoda ich.

Wracam do Twojego listu: zdradzasz mnie z tym zboreźnikiem? Boże, jak dobrze, że mogę nie być małostkowy i więcej: cieszyć się, że Ci się spodobał! Mój profesor miał rację: książki wprawdzie zawsze kończą się kropką, ale mają swoją przewagę nad życiem. Był mądrym człowiekiem. Jednym z tych, co to rozumieją za wiele i może przez ten nadmiar nabawili się zgorzknienia. Wszyscy go kochali, a on udawał, że tego nie widzi. Miał rzadki przymiot: pokorę. Pewnego dnia zniknął, nikt nie wie, gdzie się podział. Podobno asystentka weszła do jego gabinetu, który opuścił chwilę wcześniej, i znalazła tłącą się fajkę.

Nie wiem, Kotku, czy fajkowe znaki w naszej książce coś znaczą. Może nie muszą nic znaczyć.

Czekam na ten tajemniczy komunikat w ważnej sprawie.

Całuję, całuję – M.

PS Słoneczny taras Leny – już coś czuję, wiesz gdzie.

- **29 CZERWCA**

Kochanie: „Może nas też ktoś cytuję?”. Jasne, że tak. Całe życie ktoś nas cytuje, wymyśla, śledzi. I wodzi na pokuszenie, na przykład brzmieniem nazw. Och, mówi, jedźcie do Torre di Mezzo albo do Cala dell’Uzzo w rezerwacie Zingaro. Te nazwy skrzą się słońcem Sycylii i same w sobie są tak erotyczne, aromatyczne, że trudno nie ulec ich czarowi.

Nie chcę iść na łatwiznę.

Inaczej mówiąc: figa z makiem.

Niespodzianka. Wysłałam Ci bilet do Budapesztu, na pojutrze. Na lotnisku powiedzą Ci, jak dotrzeć do Tihany nad Balatonem, gdzie na Ciebie czekam. Jest gorąco, wokół cykają cykady, a z pobliskiej knajpy płyną dźwięki czardasza – trudno, widocznie tak musi być: polki, polonezy, czardasze, minnesangi.

A tak naprawdę: chcę pobyć z Tobą w miejscu, gdzie w czasie wakacji godzinami wpatrywałam się w szaroburą wodę i marzyłam, żeby pojechać na Sycylię i zobaczyć morze. Czy życie zawsze jest gdzie indziej?

Miejscowe wina są równie dobre jak sycylijskie.

Całuję, K.

- **9 LIPCA**

Kochany Maksie, pewnie jesteś teraz gdzieś nad Karpatami. Po Twoim wyjeździe pogmerałam jeszcze w naszej tarasowej scence i przed chwilą Ci ją wysłałam. Dziwnie pisze się razem takie rzeczy.

Prawda, że półwysep Tihany i wzgórze nad Balatonem są niesamowite? Teraz ja domagam się pochwał. Jak Heliodor. Szkoda, że nie zdążyłam zabrać Cię na koniec świata. Idziesz sobie w Veszprém zabytkową uliczką, niczego nie podejrzewając, i nagle świat się kończy – nic tylko urwisko. Jakbyś zawisł w powietrzu. Lepiej, żeby nieloty unikały takich miejsc. W planach miałam jeszcze: rezerwat bawołów, dni lawendy, burzę nad Balatonem, echo w Tihany. Może następnym razem?

Zostawiłeś: pióro (jesteś staroświecki), granatową skarpetkę, zapalniczkę i grzebyk (to na

pewno nie jest grzebień). Są oczywistym dowodem na to, że chciałeś zostać.

Było mi z Tobą przyjemnie, bezpiecznie, wesoło i opływałam w rozkosze.

Całuski, K.

PS Czekam na dalszy ciąg historii Wodza. Przyślesz wieczorem? A może omówimy też ich scenę plażową w Torre di Mezzo? Mam dużo czasu, mogłabym nad nią popracować.

Trudno to zrozumieć: Karen planowała Sycylię, a wylądowali nad Balatonem. Tego wieczoru, kiedy Max wrócił do Warszawy, długo rozmawiali na skajpie o tym, jak Luna i Heliodor będą się kochać na plaży w Torre di Mezzo. I chociaż w ich zdaniach świeciło słońce i czuło się sól, tak naprawdę mówili o wspólnej nocy pod gołym niebem, opodal jeziora.

W tej rozmowie przestali rozróżniać czasy: zatarły się granice między było, jest, będzie. Między postaciami i sceneriami. Tak działa wyobraźnia kochanków – jest jak kłącze.

Karen zaczyna rozmyślać o nadmorskiej scenie z Luną i Heliodorem i szkicuje ją sobie w głowie. I co? – nagle postanawia wprowadzić zmianę w scenariuszu. Torre di Mezzo zamienia na pocziwą, wesołą i lekko frywolną Ustkę.

Max tymczasem redaguje scenę na tarasie; potem będzie się biedził nad zakończeniem historii Wodza, a po trosze też Heliodora i swojej.

- 11 LIPCA

Kochanie, załączam Ci taras i ciąg dalszy. Luny i Heliodora tam niewiele, za to nas – w sam raz: w Torre di Mezzo – kto? poznają ich, to Karen i Max, na tarasie Leny – Karen i Max. Cieszę się, że mamy dwa razy ten Arial. I że zdołaliśmy ocalić parę słów. Na przykład krasnoluda. Palimbakchej. I siebie w tych słowach.

Kiedy zadryndałaś wczoraj, była burza. Właśnie wyszedłem spod prysznic, owinięty ręcznikiem, i dumałem o ich rozkoszach na krześle. Ale myśl powędrowała nad Balaton. Zobaczyłem Twoją szyję, krągłość ramienia, piersi. Pocałowałaś mnie muślinowo. Ręcznik sam zsunął mi się z bioder, a ocalony krasnolud nadął się pod Twoją dłoń. Nie wiedziałem, co robić. I wtedy zadzwoniłaś. Twoje (czy Luny?) zdanie „nadchodziła burza” było telepatyczne – dopiero redagując taras, zdałem sobie z tego sprawę.

Wiem już wszystko o Wodzu. Żal mi triatlону, ale trudno; Heliodor za dużo palił i pił przez ten rok. Aha, może się zdziwisz, że wydłubałem jego (a właściwie swoje) stare zdanie o centaurze, nimfach i nereidach. Pomyślałem, że powinien zostać jakiś ślad naszych estetycznych złudzeń – dziś świadczy tylko o tym, jak ślepo brnęliśmy w te poetyzmy. Pożyczyliśmy sobie język, żeby się w tym języku kochać. Niepotrzebnie, bo kiedy się kochasz, nie musisz niczego pożyczać – masz wszystko.

Tak dla porządku: nereidy jako uosobienia fal, zabawiające się z trytonem, są całkiem

wdzięczne. Tylko dlaczego napisałem „centaur”, a nie „tryton”?

I jeszcze zwracam Ci uwagę na polski kasztanowiec na wsi, może nad jeziorem? Jestem Ci winien jezioro! „Czy życie zawsze jest gdzieś indziej?” Dla mnie, teraz, zawsze tam, gdzie Ty.

Całujemy – Nadęty Krasnolud i Max

- **12 LIPCA**

Kochany, ja też mam ochotę tutaj zostać. A może kupię dom, właśnie w Tihany, i w nim zamieszkać? Ale jak? – jestem uzależniona od swojej pracy, wciąż byłby pusty.

Przeczytałam. A jednak dramatycznie. Wybacz, że mówię o tym drugi raz, to nie zarzut, tylko zaciekawienie: spójrz, w jak odmiennych tonacjach opowiadamy o naszych bohaterach. Domyślam się, że wątek z plecakiem (nieco martyrologiczny) jest osobisty.

Może i Ty masz gdzieś córkę? Żal mi, że córka H. jest bezimienna. A triatlonu mi nie żal. Ambicje sportowe Heliodora od początku traktowałam z przymrużeniem oka.

Śladów „naszych estetycznych złudzeń” (krótko mówiąc, grafomanii) zostało całkiem sporo. Przy ostatnim czytaniu powinniśmy je jeszcze trochę pozacierać. Zajrzałam do tych naszych dawnych produkcji i mam nadzieję, że nikt nigdy tego nie przeczyta, a nam będą służyć ku przestrodze. Niestety mózg otumaniony uczuciem wytwarza jakieś okropne zdania, które brzmią jak kpina z tego uczucia.

Zadzwonili z redakcji, czy polecę do Palestyny (och!), czy znów na Ukrainę (nie!), czy może, skoro „moje ambicje zawodowe tak rażąco się kurczą” (szef chyba widzi, że jestem „otumaniona uczuciem”, które klóci się z zawodowymi ambicjami), napiszę rocznicowy tekst o lądowaniu na Księżycu. Pewnie, że napiszę, przecież dwanaście lat temu zrobiłam wywiad z Neilem Armstrongiem. Miałam dziesięć lat, kiedy spacerował po Księżycu, i obiecałam sobie, że też tam kiedyś dotrę. Ten pamiętny wielki krok okazał się jednak tylko kroczeniem. Kiedy dziś o tym myślę, jestem jakoś rozczarowana.

Niewiarygodne, finiszujemy. Luna wrzuciła kopertę do skrzynki pocztowej Heliodora. Obiecałam jej seks na mchu dziesiątego sierpnia, no to będzie go miała – właśnie nad tym pracuję. A potem niech sobie robią, co chcą.

A gdzie Ty i Twój krasnolud będziecie tej nocy, kiedy na niebie pojawi się superksiężyc?

Owszem, jesteście mi winni jezioro.

Całuski, K.

- **15 LIPCA**

Kochanie, no tak: Heliodor i ja, ja i Heliodor. Nie chcę mówić o nim dramatycznie. Wątek z plecakiem jest osobisty o tyle, że znalazłem kogoś, kto jeździł wtedy z plecakiem do Szczecina. Byłem dumny, że się ze mną (Niemcem w Warszawie) przyjaźni. Ale chodziło mi nie o tego fajnego chłopaka, tylko o własnego ojca. Przecież wiesz.

Tak, jestem ojcem. Mam dorosłą córkę, która wyszła za Holendra i mieszka w RPA. Domyśliłaś się ze słów Heliodora, prawda?

Popatrz, mimo różnicy zdań nie pokłóciliśmy się o złamany stolik. To najbardziej prześmiewczy epizod, na jaki się zdobyłem – zero dramatyzmu. Może dopiero teraz staliśmy się naprawdę supertandemem?

A Ty jesteś romantyczka! Skrzynka na listy, bilet kolejowy, instrukcja obsługi? Świetnie, może to są właśnie potrzeby, które warto pielęgnować. No dobrze, ja też jestem romantykiem, i to takim raczej polskim. Jednak nie tylko stąd brały się nasze uwznioślenia. Dlaczego radośnie majsterkując przy miłosnych słówkach, fiutka nazywaliśmy „jednorożcem” a cipkę „lilią”? Bo postanowiliśmy o naszej zabawie opowiedzieć innym. Jednocześnie to, że igramy jak para rozchichotanych grafomanów, jakoś nas nie obchodziło, „inni” znikali nam z oczu.

Nigdy natomiast nie było grafomanią to, co mówiliśmy do siebie w Baden, w Warszawie, nad Balatonem. Może dlatego, że łóżkowe rozmowy nie są przeznaczone dla żadnych „innych”?

No to czekam na ostatnią scenę, Kochanie. A potem... Zgadnij, co potem.

Twój M.

PS Myślę, że słowo dramatyzm, którego tyle w naszych listach, trzeba ująć w cudzysłów. Jeśli „dramatyzm”, to paradoksalny. Taki jak to, co czuł Heliodor, kiedy powiedział głośno tamto zdanie: jestem szczęśliwy.

- 17 LIPCA

Drogi Maksie, jasne, że jesteśmy supertandemem. Różnice podobno dzielą, a nas nie podzieliły. Ciebie denerwowały różne miny Luny, mnie – wylewność Heliodora, Ciebie – moje głądzioty, mnie – Twoja skłonność do analizowania uczuć. Długo by wymieniać. Powinniśmy się pożreć już na początku. „Nie rozumiem”, mówiliśmy, raz Ty, raz ja. Owo „nie wszystko trzeba rozumieć” dałam Lunie trochę bezrefleksyjnie, a ta dewiza ciszką wkradła się nie tylko do książki, ale także w nasze życie.

Tekst o lądowaniu na Księżycu ma się ukazać 20 lipca. Słabo mi idzie. Nie potrafię przetrząsnąć kładki między światem z 1969 roku a dzisiejszym. Między dziesięcioletnią dziewczynką, która wówczas wpatrywała się w ekran telewizora, a kobietą, którą jestem dzisiaj. Nagle, w tej chwili, pomyślałam – ale to zwariowany pomysł – że łącznikiem może być ich spotkanie: Luna i Heliodor wierzą w gusła, chociaż każde z nich przed czterdziestu pięciu laty było świadkiem wielkiego triumfu nauki. I spotykają się w Ustce, żeby razem popatrzeć na supermoon.

Czy Armstrong był szczęśliwy? Czy przez to, że chodził po Księżycu, nie stracił księżycy? Co czuł, kiedy patrzył na niego z ziemi? Czy kochał się z kimś w jego świetle? Te pytania wydają mi się ważne. Romantyczne? – trochę.

Bycie szczęśliwym – jest chyba tak, że kiedy szuka się szczęścia, ono gdzieś się chowa, a wychodzi z kryjówki, jak przestajemy o nie zabiegać. Armstrong w poszukiwaniu szczęścia poleciał bardzo daleko.

Kiedy umarł, ktoś powiedział, że Księżyc będzie tęsknił za pierwszym ziemskim synem. Wątpię. Całuję, K.

- 17 LIPCA, NOCĄ

Max, skończyłam!

Nie brnijmy już w nasze zdziwienia. Ale o jednym muszę jeszcze powiedzieć. O tym, co dzieje się od milionów lat: że na widok kobiety (mnie), mężczyźni (Tobie) staje fiutek. Dziwię się, że za każdym razem tak się temu dziwię.

Nie chcę zgadywać „co potem”. Chcę, żebyś mnie gdzieś zabrał. Gdzie będzie ładnie. I nie będzie żadnych innych. Dobranoc, K.

- 21 LIPCA

Karen, Najdroższa,

„A Heliodor będzie się kochał ze mną”. Tak właśnie powinno się to kończyć – nie kończyć. Są tu dwa czasowniki, jeden w czasie przyszłym – „będzie”, jutro, pojutrze, zawsze – a drugi w przeszłym, „kochał”, wczoraj, przedwczoraj, w prehistorii. Nie rozumiem tej polskiej logiki gramatycznej, ale wydaje mi się, że jest w tym logika literacka: przeszłość i przyszłość spotykają się w teraźniejszości tego zdania, które jakby anuluje przemijalność. To jakaś wielka tajemnica języka. Szkoda, że nie mogę dopytać o to mojego profesora Maximiliana – pewnie patrzy teraz na mnie z jakiejś chmury, pyka fajkę, chichocze i mruczy: „No i? Co pan z tym pocznie?” Nic nie pocznę.

„Powinniśmy się pożreć już na początku”? Tak, tak. Ty lubisz księżyc, ja kocham słońce. Ale księżyc i słońce nie mogą się pożreć, bo istnieją dla siebie. Ludzkość coś o tym wie (w alchemii taoizmu głowa powinna być jak księżyc, *yin*, a serce jak słońce, *yang*). I Heliodor coś o tym wiedział, pamiętasz? Trochę żałuję, że ona wtedy u niego nie została, przecież Heliodor wzbil się na wyżyny swojej atrakcyjności intelektualno-erotycznej.

Być może wszystko byłoby inaczej. Przespaliby się ze sobą, potem porozmawialiby przez telefon. Chwile ciszy podczas tej rozmowy trwałyby za długo.

Ehm. W każdym razie temu – żeby wszystko było w swoim czasie – służyła retardacja, o której rozmawiali. Karen podniecały obce słowa, których używa Max.

I chrząknięcia.

Ehm.

Wydrukuję całość. Napisz, kiedy możesz przylecieć do Polski. Uciekniemy nad jezioro. Będziemy tam tylko Ty i ja, cyklop i kwiatusek. I oczywiście książka, która o nich opowiada.

Najczulszy c – M.

- 23 LIPCA

Kochanie, w redakcji odbyła się bitwa o sierpniowe urlopy. Wymowne spojrzenia – że skoro nie mam męża, dzieci, to jest mi wszystko jedno. Zawsze tak było. Niestety tym razem ja też chciałabym w sierpniu, więc stawiałam czoło: owszem, nie mam męża, dzieci, rodzeństwa, rodziców ani nawet kota, za to mam kochankę, i właśnie w sierpniu chcemy sobie popatrzeć na jezioro, które o tej porze jest najpiękniejsze (czy to prawda?). Krótko mówiąc, mogę przylecieć pierwszego.

Dlaczego Luna nie została wtedy u Heliadora, chociaż wzbіл się na wyżyny? Przecież wiesz – żebyśmy mogli, i my, i oni, dłużej się bawić. I żeby TAKIM zdaniem móc zamknąć ostatnią scenę. To, co o nim napisałeś, jest niesamowite. W przyszłości jest przeszłość, a w przeszłości przyszłość, tak?

Wiesz, co teraz robię, prócz tego, że piszę do Ciebie? Wciąż zerkam na Twoje *Tercyny*. Wybacz, nie potrafię Cię rozbawić tak jak Ty mnie, chociaż czuję, że Tobie też by się przydało: wczoraj miałaś znękany głos.

A może jednak rozbawi Cię, jak powiem, że wcale nie jesteś uporządkowanym Niemcem, chociaż takiego udajesz. Pilnowałeś wątków, przypominałeś mi o porzuconych motywach, dyscyplinowałeś, sprawdzałeś, a ja czekałam na chwilę, żebyś się zapomniał. I stało się – zapomniałeś o misiu. Niech już tak zostanie.

Cudny jesteś, kiedy się zapominasz.

Za tydzień Cię przytulę. K.

O jakim misiu?

Czekałam na to pytanie.

Wiem! Był na samym początku, a potem już nie wrócił. Max wiele razy pytał o niego Karen, ale go zbywała – że później, że czeka na odpowiedni moment.

Po prostu nie chciało się jej do tego wracać. Oczywiście mogła usunąć misia, ale żal jej było.

Więc co z nim?

Laura podarowała go Wiktorowi, kiedy byli młodzi i zakochani. Karen wstydziła się tego pomysłu – że to tani symbol, łatwizna, i czuła, że Max też tak uważa.

Chyba rzeczywiście chciał, żeby dała sobie spokój z misiem, ale nie powiedział jej o tym.

Max lubił w Karen, poważnej reporterce, różne dziecinności. Na przykład jej trochę kanciaste ruchy i że w rozmowie pomaga sobie rękami.

A Karen łowiła jego chrząknięcia i obce słowa.

Wracając do misia – kiedy człowiek się zakocha, dziecinnieje. I znów dostaje zabawki.

Amor jest okrutnym dzieciakiem.

- 26 LIPCA

Najdroższa, tak się cieszę, że pokonałaś zjednoczone siły mężów i żon w Twojej redakcji!

Owszem, masz kochanka, ale nie tylko kochanka. Zaświeciłaś mi w życiu, rozświetliłaś je. Trzeba być kimś dużo więcej niż kochanką, żeby zrobić coś takiego z facetem, który niejedno widział i przeżył. A teraz mój świat od rana do wieczora wypełniają obrazy: Karen rozlewa kawę. Karen pali cygaro. Karen pisze szminką na lustrze. Karen w piaskowej taksówce dotyka mojego uda. Karen obraca w palcach pączek róży. A nawet (choć tego nie widziałem): Karen wygłasza w sklepie mowę w obronie karpia. I tak bez końca. Już nie umiem udawać uporządkowanego Niemca, ale akurat to mi nie doskwiera. Jeśli jestem trochę znępany, to z innego powodu: kończymy naszą książkę. Co dalej?

Tak, w przyszłości jest przeszłość, a w przeszłości przyszłość. „A Karen będzie się kochała ze mną”. Słyszysz radość?

À propos książek: mojemu polskiemu wydawcy podoba się to, co myślę i napisałem o polskiej inteligencji. Ale nie ma pieniędzy; najlepiej gdyby Niemcy sypnęli groszem, sfinansowali przekład i zapłacili mi honorarium. A przecież napisałem to dla Polaków, nie dla Niemców.

Nieprawda, że nie potrafisz mnie rozbawić. Sfrunęłaś z kosmosu. To cud. Trzeba wierzyć w cuda. Ja uwierzyłem.

Zadzwoń, to omówimy szczegóły drogi nad jezioro, dobrze? Można się w nim kąpać nago. Kiedy się zobaczymy za pięć dni, będziemy o pięć dni starsi. Ale potem będziemy się tulić, kochać i już tylko młodnieć.

Twój niecierpliwy – M.

Potem Karen odpisała Maksowi, Max odpisał Karen, ona jemu, on jej – nie mogli przestać, jakby się bali, że z czymś nie zdążą. I jeszcze dzwonili do siebie.

Nie dziw się – kiedy człowiek ma tak wiele, zaczyna się bać przepowiedni wróżących koniec świata. Że nie zdąży: czegoś powiedzieć, zrobić, wyznać. Małe słowa, małe gesty, małe wyznania. „Masz takie chabrowe oczy”, mówił Heliodor, chociaż oczy Luny są szaroniebieskie. A Luna, bez słów, tuliła go tak, że była w tym prosta opowieść o szczęściu.

„Dwa roześmiane chabrowe jeziora”. Jezioro – odbłysek słońca w wodzie. Max i Karen siedzą przy stole. Czytają, co napisali, i się śmieją. Z takich zdań: „paliliśmy się jasnym płomieniem”, „chcę cię wypić jak tequilę”, „oprowadzałam bestię po swoim ogrodzie”, które chyba nie należą do opowieści, jakiej chcieli.

Nie przejmują się tym, chociaż czeka ich jeszcze sporo pracy: będą usuwać, zmieniać, wykreślać i dopisywać. I czasem się spierać. Lubią to, bo wtedy są jeszcze bardziej razem. Spierają się erotycznie, namiętnie. Teraz też. Karen nie znajduje argumentu, uśmiecha się i bez słowa idzie w stronę jeziora. Max rusza za nią. Chodź, chodź, mówią dłonie Karen, pokażę ci, że nie masz racji.

Pokazuje mu, że nie ma racji. To trochę trwa. Książka może poczekać, na stole pod drzewem; kartki przygniecione popielniczką, żeby nie porwał ich wiatr. Teraz są razem – Karen, Luna, Heliodor, Max, dwoje we czworo lub czworo we dwoje – i mają, czego dusza zapagnie.

Krótko mówiąc, można być i mieć. A przy okazji zρέcznie wykorzystać do tego duszę. Słońce stoi wysoko, ani drgnie. Kartki niecierpliwą się i podrygują na wietrze. Max wyciera Karen plecy i co jakiś czas całuje ją w łopatki, w kark. Karen mruczy jak Luna.

To chyba raczej Luna mruczała jak Karen. I może podróżowała z płatkami róży w książce.

Heliodor i Luna nie musieli kolekcjonować chwil. Karen i Max też już nie muszą. Siadają przy stole, ale nie czytają. Czas jakby się zatrzymał. Max dotyka kropli wody na policzku Karen, ona wtula twarz w jego dłoń. Mamy paprykę do sałaty? – pyta. Mamy wszystko, mówi Max i całuje ją w szyję, we włosy.

Wierzysz, że można mieć wszystko?

Wierzę, że niemożliwe bywa możliwe. A ty?

Kiedy na nich patrzę, chyba tak.

To co, pójdziemy już?

Tak. Chodźmy.

Max Sonntag, ur. 1959 w Kempten (Allgäu). Studiował germanistykę, slawistykę i filozofię w Tybindze. Autor reportaży wojennych z Bliskiego Wschodu, Afryki Północnej i Azji. Wiele lat pracował jako korespondent zagraniczny w Polsce. Wydał kilka zbiorów reportaży (m. in. tom *Niedziela w Bejrucie*) i książkę eseistyczną o polskich przemianach *Podzwonne dla inteligenta*. Mieszka w Warszawie.

Karen Holdasi, ur. 1959 w Pécsu. Studiowała filologię węgierską w Budapeszcie i dziennikarstwo w University of London. Debiutowała fundamentalnym esejem o życiu Cyganów węgierskich i siedmiogrodzkich. Autorka reportaży wojennych m.in. z Iraku, Bośni, Czeczenii, Syrii, Ukrainy. Korespondentka zagraniczna w Tel Awiwie i Budapeszcie. Mieszka w Londynie oraz w hotelach różnych miast świata.